

Bunt **generałów** | **Konie** na rzeź | Syndrom **Krychowiaka** | **Izrael** bierze odwet  
Skazana na **50 lat** | **Patoszchy** | **Polska Izera** będzie chińska | Zwierzęcy **seks**

POLITYKA.PL

# POLITYKA

LIDER  
SPRZEDAŻY

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195  
TYGODNIK, nr 43 (3436), 18.10–24.10.2023

## Wielki sukces opozycji

### Czy i kiedy powstanie rząd Donalda Tuska?

**RAPORT WYBORCZY** s. 6–20

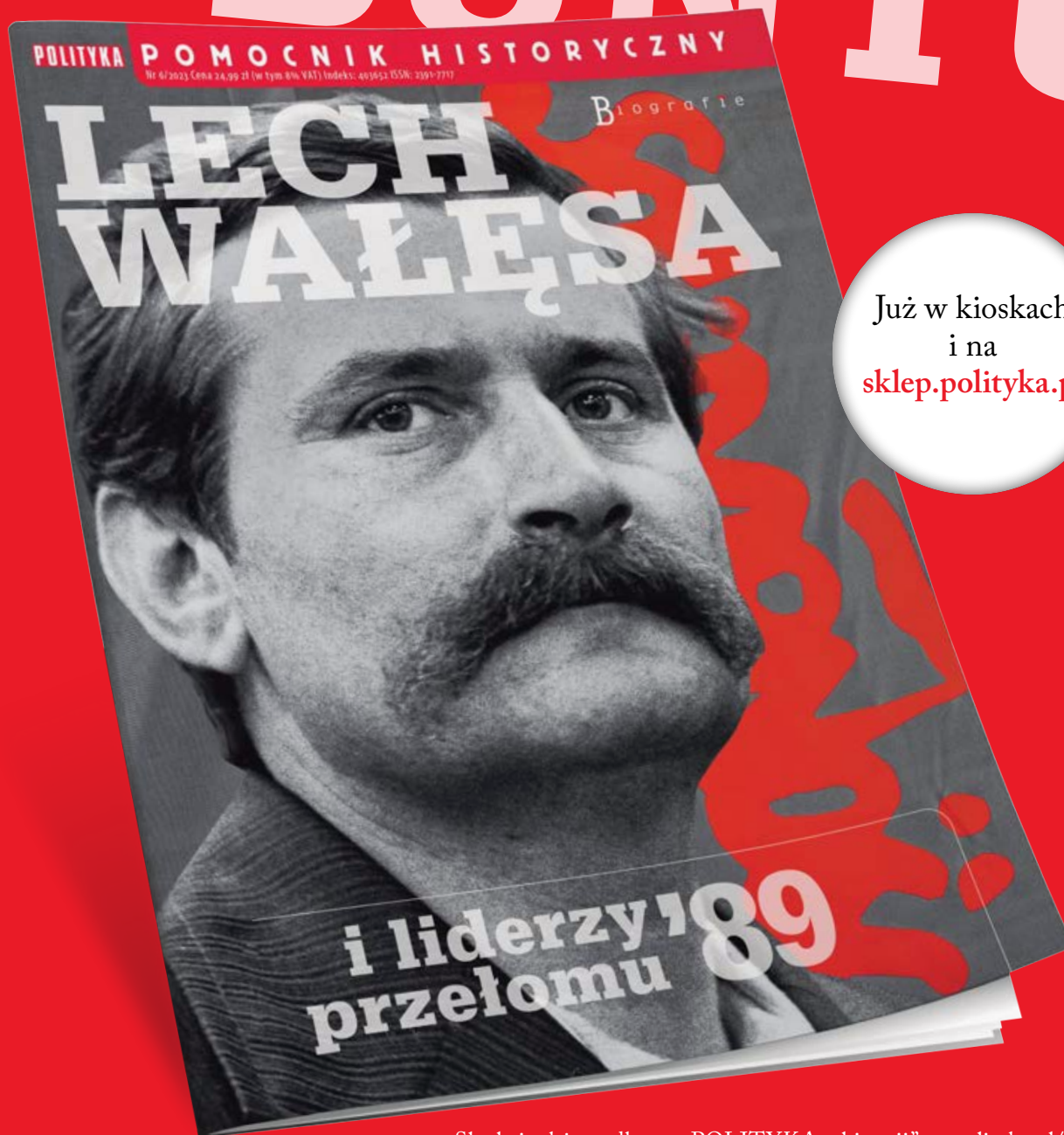


© OLEG MARUSIĆ/REPORTER

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



# IKONY BUNTU



Już w kioskach  
i na  
[sklep.polityka.pl](https://sklep.polityka.pl)

Słuchaj także podcastu „POLITYKA o historii” na [polityka.pl/podkasty](https://polityka.pl/podkasty)  
Zapraszamy na profil pełen historii: <https://www.facebook.com/projektimpulsar>

Partner główny wydania



Partner wydania





21 Bunt generałów



30 Wszystkie winy Krychy



54 Izraelski 11 września

## Wybory 2023

- 6 Jerzy Baczyński, Mariusz Janicki  
**Kończy się 8 lat rządów PiS**
- 9 Wojciech Szacki  
**Jak i kiedy powstanie rząd**
- 10 Rafał Kalukin  
**Przełom przy urnach**
- 14 Łzy szczęścia, satysfakcja, żal i stypa – relacje ze sztabów
- 17 Światowe media o wyborach w Polsce
- 18 Rozmowa z prof. Przemysławem Sadurą o przekazaniu władzy i scenariuszach dla rządzących



## Polityka

- 21 Marek Świerczyński  
**Tarcia na linii MON–wojskowi**

## Społeczeństwo

- 24 Marta Mazuś **Uchodźcy z Ukrainy: kto im jeszcze pomaga**
- 27 Agnieszka Sowa  
**Smutny los koni z Morskiego Oka**
- 30 Marcin Piątek  
**Grzegorz Krychowiak: piłkarz niebanalny**
- 34 Katarzyna Kaczorowska  
**Dzieciobójczyni skazana na dożywocie**
- 40 NA WŁASNE OCZY  
Juliusz Ćwieluch  
**Kolarstwo szosowe – nowa religia Polaków**



## Rynek

- 44 Adam Grzeszak  
**Izera: made in China**
- 47 Marcin Piątek  
**Polski biznes w Ukrainie**

## Świat

## IZRAEL PALESTYNA

- 54 Mariusz Zawadzki IZRAEL  
**Nowa odsłona konfliktu bliskowschodniego**
- 57 Łukasz Wójcik  
**Strefa Gazy: zakładniczka Hamasu**
- 60 Tomasz Zalewski USA  
**Bomby na Bliskim Wschodzie z perspektywy Białego Domu**
- 62 Artur Domosławski ARGENTYNA  
**Kim jest Javier Milei i dlaczego może wygrać wybory**
- 66 Marek Orzechowski HOLLANDIA  
**Utracona przytulność**

## Nauka/projektpulsar.pl

- 68 Rozmowa z prof. archeologii porównawczej **Davidem Wengrowem** o tym, co wpływa na tworzenie porządków społecznych
- 72 Marta Alicja Trzeciak **Masturbacja u zwierząt: chciana i akceptowana**
- 76 Paweł Walewski **Jedna szczepionka na półpasiec i ospę wietrzną?**

## Historia

- 78 Sławomir Leśniewski  
**Bitwa pod Lipskiem: ostatni bój księcia Poniatowskiego**

- 80 Joanna Podgórska  
**Dzieje łódzkiego hotelu Grand**

## Kultura

- 88 Aleksandra Żelazińska **Ciąg dalszy losów warszawskiego dilerka w nowej powieści Jakuba Żulczyka**
- 92 O swojej najnowszej książce „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych” opowiada **Zbigniew Rokita**
- 96 Janusz Wróblewski  
**Historia zagłady plemienia Osagów w najnowszym filmie Martina Scorsesego**
- 99 Jak pokazywać społeczne problemy przez sztukę, opowiada **Krzysztof Wodiczko**, artysta wizualny i teoretyk sztuki.
- 102 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

## Ludzie i style

- 108–113 • **Łęk przed życiem**
- Mem z uśmiechem
  - Gra w patoszach
  - Jesienne odśrody kawy
  - Wzory Morrisa w sieciówkach
  - Turcja: raj dla bezpańskich zwierząt • Jesienna zupa mocy



## Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 84 Afisz • 103 Chutnik i Plebanek
- 104 Koziołek • 105 Wicha
- 106 Tym • 107 Do i od redakcji
- 114 Polityka i obyczaj



## SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

## Zmęczony kosmita

Szkoda, zabrakło naprawdę niewiele. Gdyby tylko Polki i Polacy okazali trochę więcej wytrwałości i na kolejne trzy, cztery kadencje zamknęli oczy, zacisnęli zęby, zatkali nosy i zagłosowali na PiS, to zdaniem Jarosława Kaczyńskiego Polska doszłaby „do czegoś, czego nie było od 966 r.”. Tzn. do przeciętnego poziomu życia najbogatszych państw UE.

Od tysiąca lat Polska te kraje konsekwentnie goni, na razie udało się dobić do 86 proc. średniego poziomu życia w UE. Niewykluczone, że gdyby PiS zaczął rządzić wcześniej, to dogonilibyśmy, a nawet pogonilibyśmy Zachód kilka stuleci wcześniej, a Francuzów nauczyłibyśmy jeść nie tylko widelcem, ale także łyżką i nożem. Niestety jest obawa, że teraz, po wygranej opozycji w wyborach, na pogonienie Zachodu trzeba będzie poczekać kolejne tysiąc lat.

Jarosław Kaczyński wyraził niedawno opinię, że to Bóg zdecyduje o wyniku wyborów. Dziś możemy się zastanawiać, dlaczego zdecydował on tak, a nie inaczej i czy miał inne wyjście. Osobiście uważam, że jeżeli Bóg istnieje i jest istotą rozumną, to obserwując niedawne zachowanie prezesa PiS przed pomnikami ofiar katastrofy smoleńskiej – raczej nie miał.

Rządzący dużym europejskim krajem prezes szarpiący się w miejscu publicznym z wieńcem nagrobnym, a następnie

próbujący wyrwać telefon filmującemu go mężczyźnie, to widok poruszający. Kiedy prezes chodzi od policjanta do policjanta, przedstawia się jako wicepremier ds. bezpieczeństwa i żąda wylegitymowania irytującego go mężczyzny, sprawia wrażenie kosmita usiłującego bezskutecznie nawiązać kontakt z przedstawicielami innej cywilizacji.

Sceny te mogą świadczyć o tym, że prześladowany od ośmiu lat przez opozycję Jarosław Kaczyński jest już bardzo zmęczony, a rządzenie Polską, w której oprócz niego istnieje ktoś taki jak Tusk, stało się zadaniem ponad jego siły. W czasie ostatniej konwencji wyborczej Kaczyński nie krył, że podczas 15 poprzednich konwencji bardzo często mówił o Tusku. „Chciałem tym razem nie mówić, ale nie daję rady, bo on ciągle mnie zmusza” – wyznał zrezygnowany.

Uważam, że tym zmuszaniem do mówienia o sobie Tusk pokazał cały swój cynizm i okrucieństwo; przecież musiał widzieć, że wyczerpany Kaczyński nie daje rady. Niestety, znając Tuska, nie zdziwiłbym się, gdyby – wykorzystując słabszą dyspozycję prezesa – zmuszał go także do innych obrzydliwych rzeczy, np. do wyśmiewania się z transseksualistów i oskarżania młodych kobiet o dawanie w szyję.



## Portugalia – z Lizbony do Porto

Zobacz największe atrakcje Portugalii: urokliwą Lizbonę, stylowe Cascais, historyczne Óbidos, sanktuarium w Fatimie, uroczyste Porto i klifowe wybrzeże Atlantyku.

**Program wycieczki:** **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Porto. Spacer po mieście – katedra. **Dz. 2** Czas wolny w Porto. Dla chętnych wycieczka "Braga i Guimarães" (dodatkowo płatna). **Dz. 3** Rzeka Douro i miasto uniwersyteckie Coimbra. Przejazd do Nazaré i wspólna kolacja. **Dz. 4** Klasztor Boskiej Zwycięskiej w Batalha, Fatima. Mury obronne w Óbidos. Klasztor Cystersów w Alcobaça. **Dz. 5** Przejazd z Nazare do Lizbony. Dzielnice Alfama i Belém, klasztor Hieronimitów. **Dz. 6** Baśniowa Sintra. Widoki z Cabo da Roca. Wizyta w Cascais i Estoril. **Dz. 7** Wylot z Lizbony do Warszawy.

**7 dni | Wylot z Warszawy 28/04 2024**

**7.748,-**

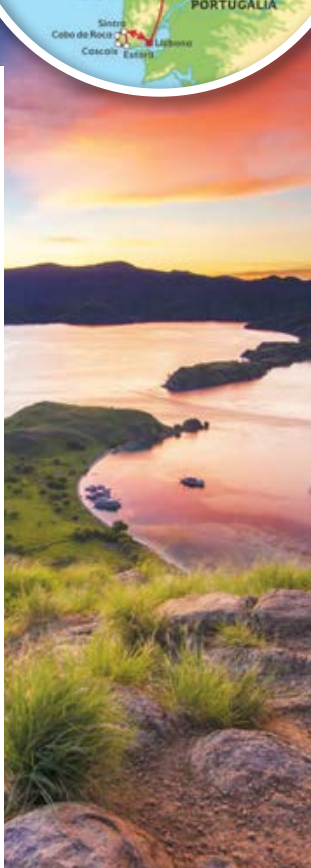


## Przywitaj Bali i Komodo

**Program wycieczki:** **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Denpasar. **Dz. 2** Przyjazd na Bali i przejazd do Candi Dasa. **Dz. 3** Candi Dasa. Zabytkowa wioska oraz pałac wodny Tirta Gangga. **Dz. 4** Candi Dasa - Munduk. **Dz. 5** Munduk. Wycieczka do Wodospadu Czerwonych Korali i wykład poświęcony darom ofiarnym. **Dz. 6** Munduk – Ubud. Gorące źródła Banjar. Bliźniacze Jeziora, Świątynia Bogini Wody i lokalny targ w Bedugul. **Dz. 7** Ubud. Kurs gotowania. Czas wolny. **Dz. 8** Ubud. Zwiedzanie na własną rękę lub na rowerze (za dodatkową opłatą). **Dz. 9** Ubud. Świątynia Tanah Lot. Przelot na Flores. **Dz. 10** Labuan Bajo. Całodniowa wycieczka tożdzię do Parku Narodowego Komodo. **Dz. 11** Przelot na Bali. Przejazd do Sanur. **Dz. 12-13** Wypoczynek w Sanur. **Dz. 14-15** Wykwaterowanie z hotelu. Wylot z Bali i przyjazd do Warszawy.

**15 dni | Wyloty z Warszawy**  
10/04, 15/07, 07/09 2024

**od 12.998,-**



## Wielki rejs z Albatrosem na Antarktydę – Siódmy Kontynent

Prawdziwa ekspedycja morską statkiem Albatrosa, Ocean Albatros – 15 dni z polskim pilotem (dla grup powyżej 15 osób).

**Program wycieczki:** **Dz. 1** Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Buenos Aires. Zwiedzanie miasta i kolacja. **Dz. 3** Buenos Aires – Ushuaia, zakwaterowanie w hotelu, zwiedzanie miasta. **Dz. 4** Ushuaia. Narodowy Park Tierra del Fuego, wejście na pokład statku. **Dz. 5-6** W drodze na Antarktydę. Kanał Beagle'a i Cieśnina Drake'a. **Dz. 7-10** Sztetlandy Południowe i Półwysep Antarktyczny. Zejście na ląd obok siedlisk pingwinów. Wycieczka do wygasłego krateru oraz obserwacja ptaków, fok i delfinów. **Dz. 11-12** Cieśnina Drake'a. Powrót do Ushuaia w Argentynie. **Dz. 13** Ushuaia – samolotem do Buenos Aires, kolacja z degustacją wina i pokazem tanga. **Dz. 14** Wylot z Buenos Aires do Warszawy. **Dz. 15** Przyjazd do Warszawy.

**15 dni | Wyloty z Warszawy**  
28/01, 27/10 2024

**od 61.998,-**



**albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81**

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL40

# Smak nadziei



OBYWATEL JANEK

ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK

Niemożliwe stało się prawdą! Kończy się 8 lat rządów PiS! Opozycja demokratyczna będzie tworzyć nowy rząd! Wybory 15 października nie pozostawiają wątpliwości: PiS mimo formalnego zwycięstwa przegrał je z kretesem.

# O

JERZY BACZYŃSKI, MARIUSZ JANICKI

czywiście trzeba spodziewać się, że PiS spróbuje ukraść wynik. Obdarzony przez prezydenta misją tworzenia rządu, podejmie zapewne próby skorumpowania grupy posłów Konfederacji i Trzeciej Drogi. Mówi się też o możliwej intrydze, czyli zaproponowaniu premierostwa Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi z PSL, po to aby sprawdzić wewnętrzną lojalność przyszłej koalicji. Ale entuzjazm zwycięstwa, a przede wszystkim mandatowa przewaga opozycji są tak duże, że wydaje się nieprawdopodobne, aby jakiegokolwiek triki mogły zapobiec powołaniu nowego gabinetu pod kierownictwem Donalda Tuska.

Rzecz jasna, nie ma pewności, jak Kaczyński i jego ludzie zachowają się w sytuacji, kiedy będą musieli oddać gabinety, samochody, posady, służby specjalne, armię, TVP, spółki Skarbu Państwa, prokuraturę i wiele innych instytucji, które wykorzystywali w sposób urągający zasadom demokratycznego państwa prawa. Osiem ostatnich lat pokazało, że PiS jest zdolny do wszystkiego, sięga poza granice wyobraźni demokratów, nie cofnie się przed niczym, co może

przedłużyć okres chaosu, niepewności i dać temu ugrupowaniu czas na załatwianie własnych spraw, interesów, na pozbywanie się dowodów świadczących o tym, co zrobili z państwem przez dwie ostatnie kadencje. Urzędnicy i służby państwa muszą więc otrzymać jasny komunikat, że wszystko, co zdarzy się w okresie interregnum, każda decyzja, każdy transfer finansowy, będą poddane szczególnej weryfikacji. Wojna nerwów już się jednak rozpoczęła, prezes Kaczyński zapowiedział wręcz „obronę niepodległości”. Widać, że polityczny przełom jest na razie przez PiS wypierany. Ale jest faktem: moralnie i politycznie władza PiS skończyła się w Polsce 15 października.

Jeszcze kilkadziesiąt godzin przed wyborami właściwie żadne sondaże i prognozy nie przewidywały tak znacznego, sięgającego 50 mandatów, sukcesu opozycji. Mówiło się i pisało o wyniku w pobliżu remisu: od tygodni najbardziej realnym wariantem miały być albo rządy PiS z Konfederacją, albo niemożność stworzenia większościowego gabinetu i wcześniejsze wybory. Prawdziwym szokiem okazała się więc klęska Konfederacji, która jeszcze niedawno obiecywała „wyrzucić stolik”, powołać swojego



marszałka Sejmu i decydować o przyszłym układzie władzy. Jej obecne 15 mandatów, bezużyteczne politycznie, nawet dla PiS, to miara klęski tej tiktokowej efemerydy.

PiS niby wziął swoje, 36 proc. głosów i 196 mandatów (poniedziałkowe ostatnie prognozy) – to bardzo dobry wynik, zwłaszcza jeśli przypomnieć sobie bezlik afer, jawnego złodziejstwa, jakiego dopuszczała się ta ekipa, historię jej nieudolności, agresji, arogancji. PiS, kiedy odda władzę, będzie hałaśliwą, brutalną opozycją, silną nie tylko liczbą mandatów, ale także kontrolą nad urzędem prezydenta, nad Trybunałem Konstytucyjnym czy NBP. Także – nagromadzonymi przez lata fortunami, całą siecią pravicowych organizacji, partyjnych mediów, wpływami w Kościele katolickim. Jednak, tak czy inaczej, „system PiS” został złamany, już się nie domknie, po utracie władzy cała konstrukcja autorytarnego państwa zacznie się sypać, choć pewnie także na nasze głowy. To jednak smartwienie na następne dni i tygodnie – dziś najważniejsza jest radość ze zwycięstwa. Największego od początku wolnej Polski triumfu polskiej demokracji.

**P**isaliśmy o ogromnej, wręcz przytłaczającej przewadze, jaką w tej kampanii zapewnił sobie PiS. Manipulacja okręgami wyborczymi, która pozbawiła miasta, zwłaszcza stolicę, wielu należnych mandatów; wyznaczenie wyborów na Dzień Papieski; nieograniczone fundusze, dodatkowo zasilane środkami spółek Skarbu Państwa pod pretekstem kampanii referendalnej. Samo to referendum, bezwstydnie, po raz pierwszy w polskiej historii, połączone z wyborami parlamentarnymi, było od razu traktowane jako finansowe i propagandowe wsparcie partyjnego przekazu. A ten przekaz, podkreśnany całodobowo przez TVP i wszystkie pisowskie media, miał w kampanii charakter wyjątkowo prymitywny, skupiony na polaryzacji, jak politologicznie nazywa się szcucie na przeciwników, obrzucanie ich błotem, inwektywami, oskarżanie o zdradę narodową.

Kampania PiS przejdzie do historii jako wielka operacja robienia z wyborców idiotów, wmawiania im, że lider opozycji i były premier Donald Tusk jest agentem niemieckim i rosyjskim, że poprzednie rządy i polscy generałowie chcieli oddać pół kraju pod terror i gwałty rosyjskiej armii, że planują wyprzedaż lasów i w ogóle majątku narodowego, a przede wszystkim zamierzają wpuścić do Polski (setki) tysięcy arabskich terrorystów i gwałcicieli. Poziom bzdur i kłamstw był przerażający, tym bardziej że dał przecież PiS poparcie ponad jednej trzeciej Polaków. Ta trucizna pogardy i nienawiści wobec ludzi odmiennych wyglądu czy poglądów, sączona przez lata i podawana w końskich dawkach przed wyborami, krąży i długo jeszcze będzie krążyć w elektoracie PiS, a detoksykacja będzie żmudna, wymagająca tyleż zdecydowania, co empatii.

Rzadko zdarza się, aby zwycięskie ugrupowanie nie uczestniczyło w rządach, ale formacja Jarosława Kaczyńskiego sama odgradziła się murem od reszty politycznej sceny, budowała monopartyjny system, który wykluczał jakąkolwiek współpracę, kompromis, negocjacje, dlatego teraz pozostaje sama, nikt nie chce z nią pertraktować. Pisaliśmy przed wyborami, że trzecie kadencje autokratycznej władzy są przełomowe, decydujące; potem już bardzo trudno takie rządy pokonać, państwo jest przejęte niemal w całości, a ludzie zaczynają się do takiego stanu

rzeczy przyzwyczajać i do niego adaptować, co widać na Orbánowskich Węgrzech czy w Turcji Erdoğan. PiS zatem traci władzę w ostatnim momencie, kiedy polityczna zmiana mogła się dokonać jeszcze we w miarę cywilizowany, demokratyczny sposób.

**T**o walne zwycięstwo opozycji ma w dużej mierze twarz Donalda Tuska, który wziął na siebie główny ciężar walki z pisowską hydrą, stał się jednocześnie obiektem największych ataków propagandy obozu władzy. Był pierwszoplanową postacią po obu stronach tej kampanii, która toczyła się „wokół Tuska”. Kiedy powrócił do roli przywódcy Platformy Obywatelskiej w 2021 r., było jasne, że rozpoczyna się wielka gra o przywrócenie w Polsce liberalnej demokracji, ale być może sam lider PO nie zdawał sobie wtedy sprawy, jak niesłychanie ciężki to będzie bój, jak głęboko PiS wciął się w społeczną i państwową tkankę, jak jest zdeterminowany i popierany na poziomie wręcz fanatycznym. Mówiło się, że Tusk prowadzi w kampanii ściśle własny projekt, sam podejmuje decyzje, czasami postrzegane jako ryzykowne, ale bierze za nie indywidualną odpowiedzialność. Tak jakby czuł się trochę winny za „opuszczenie” swojej partii w 2014 r. To niesamowite, że wrócił i znowu wygrał, po raz kolejny upokarzając Kaczyńskiego odebraniem mu władzy.

Donald Tusk, mimo wielkiego własnego wysiłku, nie osiągnąłby tego sukcesu, gdyby nie pozostałe formacje opozycyjne, które zanotowały skromniejsze wyniki niż Platforma, ale okazały się niezbędne, aby pokonać PiS. Kiedy szef PO wziął na siebie główny wrogi ostrzał, dał tym samym sposobność Trzeciej Drodze i Lewicy na budowanie własnych wizerunków, prezentację bardziej szczegółowych programów: mieszkaniowych, edukacyjnych, zdrowotnych, ekologicznych, społecznych i innych. Bo oprócz tej wielkiej walki o ustrój kraju ludzi interesowały także życiowe problemy, to była ważna sfera – może mniej efektywna, spoza głównego frontu starcia „dobra ze złem”, ale stanowiła istotną broń całej opozycji.

Po okresie wzajemnych animozji wewnątrz opozycji, które trwały zwłaszcza po upadku koncepcji jednej wyborczej listy w lutym, w ostatniej fazie kampanii nastąpiła radykalna, pozytywna zmiana, jak słyszymy, po spotkaniu liderów i uzgodnieniu paktu o nieagresji i współpracy. Taka kooperacja mogła zapewne nastąpić wcześniej, ale tak czy inaczej wyraźnie było widać, jak korzystny wpływ miała w końcówce wyborczej batalii: choćby podczas Marszu Miliona Serc, gdzie udanie przemawiał Włodzisław Czarzasty, czy w trakcie debaty w TVP, kiedy Szymon Hołownia dobrze odnalazł się w sztywnym formacie krótkich odpowiedzi na kuriozalnie długie pytania. Nastąpiła jakaś synergia, wspomaganie i zapewne zostało to dostrzeżone i docenione, sądząc zwłaszcza po wzroście poparcia dla Trzeciej Drogi na samym finiszu. To był istotny czynnik powodzenia antyPiSu.

**T**eraz wyborcy opozycji oczekują kontynuacji tej współpracy, a jakiegokolwiek większe perturbacje przy tworzeniu rządu, personalne kłótnie, nie mówiąc już o jakichś nielojalnościach nowych posłów, będą potraktowane bardzo surowo, także z pozycji moralnych. Jakiegokolwiek flirtu z PiS byłyby odczytane jako zdrada wobec tych, którzy – być może po raz pierwszy w życiu albo ponownie od wielu lat – zaufali politykom. Bo w tych wyborach ►

► zadziałała i wygrała też sama demokracja, pokazała swoją siłę i ozdrowieńczą moc. Frekwencja sięgająca 74 proc. okazała się spektakularna, mobilizacja ogromna, widać było połączenie determinacji i entuzjazmu, jakby ludzie zrozumieli, że populistów może pokonać też tylko vox populi, a zwolenników demokracji musi być więcej niż tych popierających pelzający autorytaryzm.

To partia Kaczyńskiego dotąd słynęła ze zdolności uruchamiania ukrytego elektoratu, tak wygrywała zwłaszcza w wyborach europejskich w 2019 r. czy w wyborach w 2020 r. Formacje populistyczne bardzo źle znoszą porażki, ponieważ budują swoją siłę na nieustannym „umilowaniu przez lud”, które ma wymiar metafizyczny i nigdy się nie kończy. Kiedy okazuje się, że istnieje inny „lud”, jeszcze liczniejszy, który ma odmienne poglądy, faworytów i priorytety, cała legenda upada. Co nie znaczy, że następuje koniec PiS, który był już wcześniej kilka razy przedwcześnie ogłaszany. Kaczyński wciąż będzie miał w Sejmie wielki klub i będzie starał się destabilizować nowe rządy, wykorzysta każdą szansę, aby dzisiejszą opozycję skłócać, osłabiać, wyłapywać jej najsłabsze ogniwa. PiS jest w tym biegły, dał tego dowód, klejąc śmieciową koalicję, która funkcjonowała na granicy większości przez ostatnich wiele miesięcy. Nowa koalicja rządząca, aby zachować spójność, będzie musiała wykazać się odpornością na takie chwytaki, mając na uwadze, jak wielki kredyt zaufania dostała.

**W** końcu – a właściwie przede wszystkim – w wyborach wygrała Polska. Rządząca prawica lansowała przez długi czas eventy pod hasłem „Polska – wielki projekt”. Brzmiało to odpowiednio efektownie, patriotycznie i propagandowo. To była kwintesencja pisowskiej manipulacji, bo sugerowała, że partia Kaczyńskiego i jej rozmaite przystawki mają całościową wizję państwa, które systemowo, z rozmachem, na dekady zmieniają i reformują we wszystkich dziedzinach. Ten „wielki projekt” w praktyce okazał się produktem marketingowym, w istocie mistyfikacją. Polegał na transferze pieniędzy z budżetu państwa najpierw do szerokich grup społecznych, aby zagarnąć jak najwięcej wyborców „środką” (500 plus), a z czasem do coraz węższych środowisk, aby utwardzać ten najpewniejszy elektorat (np. dotacje dla prawniczych fundacji). To była najczęściej transakcja, a nie systemowe rozwiązania. PiS nie tyle rozwiązywał problemy, ile je wykupował, zasypywał publicznymi pieniędzmi, coraz bardziej zadłużając państwo.

Na jakkolwiek dziedzinę życia publicznego by spojrzeć, nie widać tam żadnego realnego postępu: ani w służbie zdrowia, ani w sądownictwie, edukacji, energetyce, infrastrukturze, inwestycjach, w sferze nauki i innowacji. Partia Kaczyńskiego skupiała się na ideologii, socjotechnice, na tym, jak coś wygląda, wydaje się ludziom, jaką ma siłę perswazji na rzecz utrzymania władzy, a znacznie mniej na tym, aby jakąś dziedzinę życia publicznego rzeczywiście poprawić, zreformować, wdrożyć długofalowe plany. Kaczyński z Morawieckim stworzyli sztuczną krainę dotowanej szczęśliwości, specyficzną państwową piramidę

finansową, która działa, dopóki udaje się na to pożyczyć gdzieś pieniądze. Przelewy szły do portfeli, kraj był zasilany z budżetu, ale się nie rozwijał. Powstawał park krajoznazowy z politykami PiS jako aktorami charakterystycznymi i telewizją, która ich życzliwie transmitowała.

Nowy rząd stanie zatem przed podwójnym zadaniem. Z jednej strony będzie musiał przywrócić demokratyczne ramy państwa, reaktywować praworządny system z jego niezależnymi instytucjami, rozliczyć winnych deliktów i przestępstw, ale z drugiej – zając się od razu całą bieżącą materią kraju i społeczeństwa. Z tym wszystkim, na co PiS nie miał chęci i czasu. Kaczyński urządził wielki spektakl, zorganizował ośmioletnią imprezę ku swojej chwale, która miała mieć ciąg dalszy, a goście byli już zaproszeni.

Przejmująca władzę opozycja występuje trochę w roli porządkowych, którzy muszą zaprowadzić podstawowy ład ekonomiczny, zrobić audyt państwa, wyprostować wiele zabagnionych spraw, np. przyjąć środki z KPO, zając się na serio kwestią migracji, obronności, klimatu, relacjami z Unią Europejską i USA, także z Ukrainą. Pozostanie także uzgodnienie obietnic, jakie padły

w kampanii wyborczej: kwestia regulacji aborcyjnych, socjału, podatków, kredytów, mieszkania na wynajem, wdowich rent, dotowania prywatnych wizyt u lekarza, likwidacji prac domowych uczniów, zniesienia funduszu kościelnego i wielu innych deklaracji.

**P**rawo i Sprawiedliwość chciało zmienić ustrój państwa. Siły polityczne, które ten pozakonstytucyjny proceder przerwały, zdobyły społeczną sympatię, mają kapitał zaufania. Ten kapitał będzie naturalnie pomagał Tusкови, Hołowni, Kosiniakowi-Kamyszowi i Czarzastemu przez najbliższy czas. Energia zmiany, emocja związana z wysiłkiem i zaangażowaniem polityków i wybor-

ców to duży napęd dla nowej ekipy – tak z reguły zawsze jest, zwłaszcza po długim okresie bezruchu i frustracji. Ta pierwsza faza po zmianie rządów jest najważniejsza. Nowi liderzy państwa powinni zdawać sobie z tego sprawę. Bo paradoksalnie po rządach PiS wymagania wobec następców nie zmalowały. Nie wystarczy być tylko lepszymi od ludzi Kaczyńskiego. Miliony, które wsparły w wyborach antyPiS, długo patrzyły na afery, nepotyzm, kłamstwa, nadużycia władzy, bezczelność propagandy, małe interesy, łamanie podstawowych norm demokracji i moralności. Teraz żądają i uczciwości, i sprawności, mistrzostwa.

Wynik wyborów 15 października to wielki osobisty triumf Tuska, całej opozycji i jej liderów, polskiej demokracji, a przede wszystkim – i tu nie możemy się wstydzić patosu – Polek i Polaków, którzy ustanawiając europejskie rekordy frekwencji i osobistego zaangażowania w wybory, dali niepewnej sobie Unii Europejskiej i światu, zarazonemu populizmem, smak nadziei. Dowód, że tak często pogardzane i wyśmiewane „wartości europejskie” i murszejące rzekomo demokratyczne instytucje są wciąż żywe. Że ludzie – dziesiątki, setki tysięcy zwykłych obywateli – są gotowi się o nie upomnieć i czynnie ich bronić. Te wybory to jedno z najdumniejszych wydarzeń w historii naszego kraju.

JERZY BACZYŃSKI, MARIUSZ JANICKI





Kurz opadł, znamy już wyniki wyborów, ale co dalej? Według konstytucyjnych procedur wygląda na to, że rząd dzisiejszej opozycji powstanie w grudniu, gdy premiera wybierze Sejm. Do tego czasu będzie rządził najpierw Mateusz Morawiecki, a potem ktoś powołany przez Andrzeja Dudę – Morawiecki lub inny polityk PiS.

# Gry rządowe

WOJCIECH SZACKI

**P**od rządami obecnej konstytucji wotum zaufania najszybciej dostał rząd Beaty Szydło w 2015 r. – 24 dni po wyborach. Najdłuższy zaś proces ten trwał w przypadku gabinetu Kazimierza Marcinkiewicza w 2005 r. – 46 dni. W 2015 r. wszystko było jasne od razu po głosowaniu; PiS jako pierwsza partia w historii III RP zdobył samodzielną większość, nowy prezydent Andrzej Duda sprzyjał Zjednoczonej Prawicy, więc sprawy potoczyły się bardzo szybko.

Z kolei w 2005 r. mieliśmy chaos, bo wszyscy spodziewali się koalicji PO-PiS, w Sejmie trwały negocjacje obu partii, a na koniec wyłonił się z tego rząd PiS ze wsparciem Samoobrony i LPR. Jednak w obu przypadkach gabinet powstał już w pierwszym kroku przewidzianym przez konstytucję.

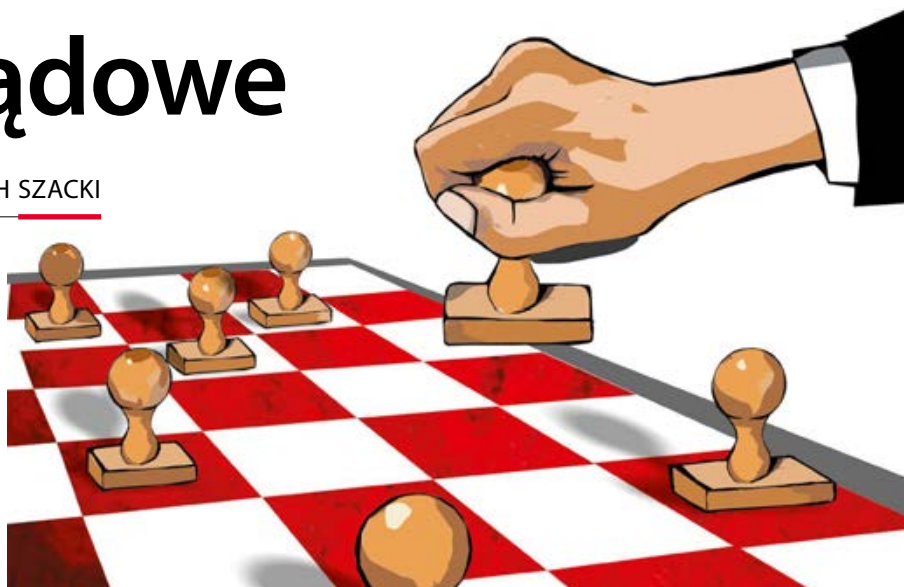
Dziś zanosi się na to, że rząd będzie powstawał rekordowo długo, bo Donald Tusk z sojusznikami ma większość, ale PiS – prezydenta i kilka narzędzi, by opozycję spowolnić.

**J**ak będzie wyglądał proces formowania rządu? Jak to wygląda krok po kroku?

Termin zwołania pierwszego posiedzenia Sejmu liczy się od dnia głosowania – prezydent ma na to 30 dni od wyborów, czyli nowi posłowie zbiorą się najpóźniej 13–14 listopada. Do tego czasu potrwa kadencja obecnego Sejmu. I wciąż będzie rządził premier Mateusz Morawiecki.

Na pierwszym posiedzeniu Sejmu Morawiecki poda się do dymisji, a Andrzej Duda powierzy mu wykonywanie obowiązków do momentu powołania nowej Rady Ministrów. Prezydent ma na desygnowanie i powołanie nowego szefa rządu wraz z ministrami 14 dni od pierwszego posiedzenia Sejmu.

Duda może powołać na premiera kogokolwiek – teoretycznie nie jest związany wynikami wyborów ani wskazówkami



ILUSTRACJA IRENEUSZ SZUNIEWICZ

partyjnych liderów. W praktyce powoła zapewne kandydata PiS.

Nowy premier będzie miał 14 dni na przedstawienie Sejmowi programu (*expose*) i zdobycie wotum zaufania. Potrzebna jest do tego bezwzględna większość głosów, co w praktyce oznacza, że głosy wstrzymujące są liczone jako głosy przeciw. Przy maksymalnym wykorzystaniu terminów głosowanie nad wotum zaufania powinno się odbyć pod koniec pierwszej dekady grudnia.

Nic nie wskazuje na to, by jakikolwiek rząd PiS mógł w tym Sejmie liczyć na wsparcie większości. Po przegranej głosowaniu premier poda się do dymisji, a Duda powierzy mu wykonywanie obowiązków do czasu wyłonienia nowego rządu.

Wówczas też powstanie zapewne rząd dzisiejszej opozycji. Inicjatywa od prezydenta przechodzi bowiem do Sejmu. Posłowie będą mieli 14 dni na wybranie premiera i udzielenie mu wotum zaufania (ponownie większością bezwzględną). Drugi krok zakończy się zapewne w drugiej połowie grudnia. Jeśli posłowie dadzą wotum zaufania rządowi, prezydent odbierze od niego przysięgę i powoła na stanowiska premiera oraz ministrów.

**P**rzy tak wyraźnym zwycięstwie opozycji cała procedura tworzenia rządu skończy się prawdopodobnie w drugim kroku.

Tylko dla porządku dodajmy, że konstytucja przewiduje jeszcze krok trzeci. Jeśli Sejm nie wybierze premiera, inicjatywa wraca do prezydenta. Trzeci krok jest podobny do pierwszego – Duda będzie miał 14 dni na powołanie premiera wraz z ministrami. Prezydent może wskazać tego samego kandydata co w pierwszym kroku lub sięgnąć po kogoś innego – np. innego polityka PiS, kogoś ze swojej Kancelarii lub bezpartyjnego profesora. Powołany w tym trybie przez prezydenta rząd będzie miał kolejne 14 dni na uzyskanie wotum zaufania, tym razem już zwykłą większością głosów. To głosowanie mogłoby się odbyć w drugiej dekadzie stycznia. Jeśli Sejm nie udzieli wotum rządowi powołanemu w trzecim kroku, prezydent skracając kadencję parlamentu i zarządza przyspieszone wybory, które muszą się odbyć w ciągu 45 dni – w naszym przypadku przypadałyby one na koniec lutego. Do tego czasu obowiązki premiera wykonywałby polityk powołany na to stanowisko w trzecim kroku.

Wcześniej rozstrzygnie się wybór marszałka Sejmu. Posłowie powinni go wybrać na pierwszym posiedzeniu; wcześniej pracami izby będzie kierował marszałek senior, powołany przez prezydenta spośród najstarszych posłów. W poprzedniej kadencji był to Antoni Macierewicz z PiS i nie ma powodu przypuszczać, by Duda wskazał teraz kogoś z grona opozycji. ■

# Trudne zwycięstwo

RAFAŁ KALUKIN

Wyborczy sukces opozycji to dopiero początek długiej drogi do naprawy państwa.

**P**owtarzaliśmy sobie od dawna, że to będą najważniejsze wybory od czasu kontraktowych z czerwca '89. Ale nie było pewności, czy za tą intuicją podaży większość Polaków. Niezwykle brutalna kampania, której agresywny ton dyktowało Prawo i Sprawiedliwość, nie sprzyjała zresztą szerokiej partycypacji, odrzucając od polityki mniej zaangażowane grupy wyborców. Ale strategia PiS na ich demobilizację nie powiodła się.

Bijąca dotychczasowe rekordy III RP frekwencja 73 proc. pokazuje, że to naprawdę była wielka bitwa o Polskę. I społeczeństwo obywatelskie stanęło na wysokości zadania. To był ten najważniejszy klucz do zakończenia rządów Jarosława Kaczyńskiego, bo bez szerokiego udziału na co dzień mniej zaangażowanych wyborców ogólnie antypisowski nastrój nie znalazłby odzwierciedlenia w wyborczym werdykcie. Jedynie 15 proc. niegłosujących cztery lata temu wyborców, którzy teraz pofatygowali się do urn, poparło partię rządzącą. 65 proc. z nich oddało z kolei głos na ugrupowania opozycji demokratycznej, najwięcej na KO.

Mimo wszystkiego warto zauważyć, że ostatecznie na PiS zagłosowało ok. 8 mln osób, czyli nieznacznie tylko mniej niż cztery lata wcześniej. Pomimo strat poniesionych w trakcie kadencji – z deklaracji respondentów Ipsos wynika, że 88 proc.

ówczesnych sympatyków PiS znów zagłosowało na tę partię. To tylko pokazuje, że w tych wyborach rządzący obóz sięgnął do swoich najgłębszych rezerw. Tyle że partiom opozycyjnym udało się to w jeszcze większym stopniu. Przy tak wyśrubowanej frekwencji zdolności mobilizacyjne PiS już nie wystarczyły, wynik procentowy okazał się niższy o 6 pkt proc. niż w 2019 r. PiS utracił nadwyżkę, która wcześniej gwarantowała partii samodzielne rządy.

## PiS nadal w grze

W jakimś sensie historia się zatem powtórzyła: w 2007 r. rządzący po raz pierwszy PiS również zaostrzył kampanię ponad ówczesną miarę. Była ciężka i mroczna, bazowała głównie na straszaniu Platformą. Przesadzono jednak z produkcją ołowiu i błota, tymczasem Polacy oczekiwali czegoś pozytywnego. Do urn pofatygowało się bardzo wielu nowych wyborców, którzy głosowali głównie antypisowsko.

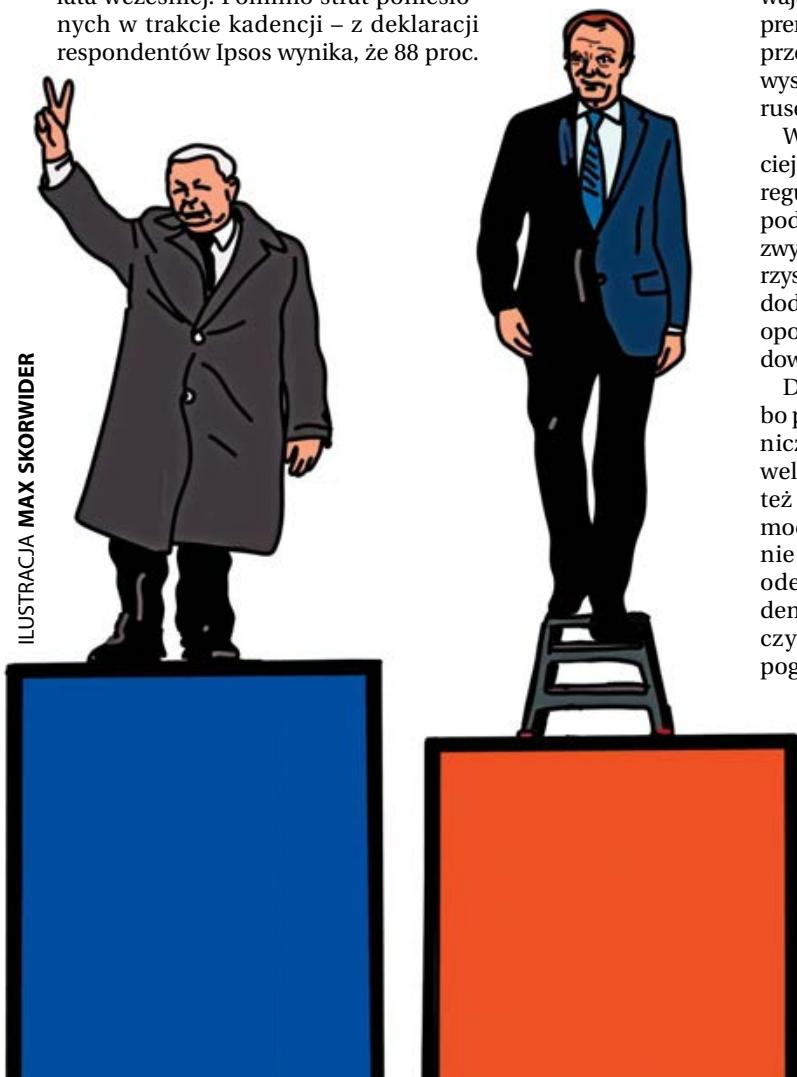
I podobnie było w tym roku. Obsesyjne pisowskie ataki na Tuska miały ogłuszać i w efekcie wyłączać umiarkowanych wyborców, ale bardziej ich chyba męczyły. Męczył jak nigdy Kaczyński odgrywający po kilka razy dziennie swój ponury rapsod o Tusku, męczył premier Morawiecki absolutnie kuriozalnym występowaniem w debacie przedwyborczej. Kampanijny patent „oni są jeszcze gorsi od nas” wystarczył do procentowej wygranej, ale jest to zwycięstwo pyrusowe, w istocie polityczna klęska Kaczyńskiego.

W pierwszym wystąpieniu chełpił się pobiciem rekordu trzeciej z rządu wygranej. Ale to wątpliwy powód do satysfakcji, gdyż reguły sprawiedliwej rywalizacji zostały w trakcie tej kampanii podeptane w stopniu bezprecedensowym, nawet jak na brutalne zwyczaje tej ekipy. Rządzący spłodowali całe państwo, żeby wykorzystać jego zasoby w walce o głosy. To pewnie przyniosło PiS parę dodatkowych punktów, być może blokując tak oczekiwaną przez opozycję „mijanę” na szczycie. Frekwencyjna klęska referendum dowodzi jednak, że większość Polaków nie dała się ogłupić.

Do większości parlamentarnej brakuje PiS bardzo wiele, bo ponad 30 mandatów. Nawet doliczenie głosów Konfederacji niczego by nie zmieniło. Takiego deficytu raczej nie da się zniwelować politycznym szabrem, korupcją, hakami. Nie bardzo też widać przestrzeń do odwracania wyniku wyborów za pomocą konstytucyjnych deliktów, naciskania na Sąd Najwyższy, nie wspominając już o rozwiązaniach siłowych. Czyżby więc odejście PiS miało nastąpić tak po prostu, jak w normalnym demokratycznym kraju? Aż trudno uwierzyć, ale przecież Kaczyński jeszcze w niedzielny wieczór wydawał się mentalnie pogodzony z perspektywą oddania władzy. Chociaż oczywiście trzeba mu patrzeć na ręce, gdyż autorytarne skłonności nigdy do końca nie znikają.

Ale zarazem podkreślał, że „projekt” nie został poGREBANY, wciąż jest w grze, to tylko okoliczności uległy zmianie. Można to rozumieć jako deklarację dalszego politycznego trwania, na wszelki wypadek ucinającą spekulacje o emeryturze. Bo też dla przywództwa Kaczyńskiego nie ma dzisiaj w PiS realnej alternatywy, a największym przegranym wydaje się niby to szykowany kiedyś na sukcesora Morawiecki.

ILUSTRACJA MAX SKORWIDER





## Wybory parlamentarne 2023

### POPARCIE DLA KOMITETÓW OGÓLNOPOLSKICH

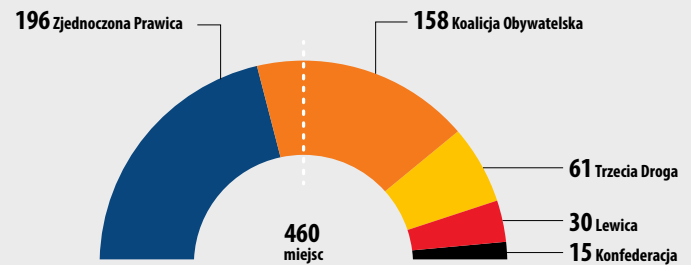
wstępne wyniki wyborów według sondażu Ipsos *late poll* (w proc.)  
16 października godz. 14.45



## Sondażowy układ sił w Sejmie

### PROGNOZOWANY PODZIAŁ MANDATÓW W SEJMIE

na podstawie sondażu Ipsos *late poll* 16 października godz. 14.45



Źródło: Sondaż Ipsos *exit poll*/PAP

złoży mu jakąś ofertę, przynajmniej postara się zbudować w miarę cywilizowane relacje z konkurencyjnym ośrodkiem władzy? A może cały impet politycznego starcia przekieruje teraz właśnie w stronę głowy państwa, co będzie komunikatem dla wyborców, że na prawdziwe sprzątnięcie po PiS trzeba jeszcze poczekać do ostatecznej rozgrywki w wyborach prezydenckich? Tak właśnie zrobił Tusk po zwycięstwie w 2007 r., biorąc wtedy na celownik prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Inna sprawa, że paktowanie z Dudą kłóciłoby się z logiką ustrojowo niezbędnego i zarazem oczekiwanego w demokratycznym elektoracie rozliczenia rządów PiS. Do czego z kolei niezbędna będzie niezależna prokuratura, której oswojenie z politycznych uwikłań Duda pewnie będzie blokował przy użyciu weta. To oczywiście kwadratura koła, wymagająca karkołomnych rozwiązań politycznych. A na dodatek wszystko to trzeba będzie jakoś pogodzić z kampanijnym zobowiązaniem do zasypania polskich podziałów.

Równie trudne decyzje czekają Tuska w polityce ekonomicznej. Jak bowiem pogodzić platformerskie przyrzeczenie „nic, co dane, nie zostanie zabrane” – doprawione zresztą kosztownymi obietnicami samej KO – z konstytucyjnym, ponadstaniowym deficytem budżetowym, jak również obłądną skalą inwestycji w obronność? A co zrobić z kończącymi się w tym roku tarczami antyinflacyjnymi, zerową stawką VAT na żywność, subsydiowaniem prądu dla gospodarstw domowych? Racjonalizacja wydatków przy dającej się łatwo przewidzieć propagandzie PiS to prosta droga do reaktywacji czarnej legendy społecznie nieczułego liberalizmu, czego nie powstrzyma nawet ogólny ▶

Oddanie władzy będzie oczywiście bolesne dla pisowskiej nomenklatury, która obsiadła państwo i zbiła na tym prywatne majątki. Ale już czysto polityczne perspektywy PiS wcale nie wyglądają najgorzej. Trzyma przecież w garści prezydenta Dudę i raczej nie zawaha się go użyć do stosowania obstrukcji. Podobnie jak trybunału Przemyskiego, prokuratury, „publicznych” mediów. Pewnie dopiero teraz zobaczymy, co tak naprawdę kryje się za propagandowym sloganem o „totalnej opozycji”. Przerazona możliwością rozliczeń partia powinna się jeszcze mocniej skonsolidować wokół przywództwa Kaczyńskiego. Z najliczniejszym klubem w Sejmie, praktycznie bez konkurencji na opozycji, PiS zmonopolizuje cały społeczny sprzeciw wobec nowej władzy. To imperium jeszcze nie raz będzie kontratakować.

## Mission impossible Tuska

Jak w tej sytuacji odnajdzie się Donald Tusk, który najpewniej będzie pierwszym w dziejach III RP powracającym do władzy premierem? To bodaj największa dzisiaj tajemnica polskiej polityki. Bo niczego nie ujmując triumfującej PO oraz jej przyszłym koalicjantom, nieokreśloność projektu nowej władzy wydaje się mimo wszystko głębsza niż poprzedników. To była pierwsza taka kampania, w której programy służyły za mało znaczący rekwizyt, a decydowały przede wszystkim emocje. Zresztą zabrakło nawet zwyczajowej giełdy nazwisk na stanowiska ministerialne: wszelkie spekulacje kadrowe miały charakter szcztakowy i jakby zamglony. A to przecież najprostszy miernik politycznych planów i ambicji ubiegającego się o władzę obozu.

Personalizując kampanię KO, Tusk wziął na siebie ogromne ryzyko, a potykając się w telewizyjnej debacie, chyba po raz pierwszy tak poważnie zachwiał dotąd absolutnym zaufaniem na partyjnym zapleczu do swoich politycznych kwalifikacji. Ostatecznie udało mu się jednak wyjść cało z opresji, a wyborczy wynik z trójką z przodu definitywnie potwierdza przywództwo Tuska. To będzie miało ogromne znaczenie w koalicyjnych negocjacjach, gdyż mniejsi partnerzy nie mają innego wyjścia, jak uznać władztwo byłego i zapewne przyszłego premiera. Raczej więc nie należy się spodziewać z ich strony licytowania ponad stan ani nawet przyziemnych fochów, którym szczególnie Szymonowi Hołowni zdarza się ulegać. Nie będzie też problemem antyliberalne nastawienie garstki posłów i posełek Lewicy Razem, którzy zapewne wejdą w rolę mniej lub bardziej przyjaznych recenzentów rządów Tuska, ale bez siły blokującej.

Przed wszystkim jednak zwycięzca „najważniejszych wyborów od 1989 r.” – zakładając, że zmiana władzy nastąpi w konstytucyjnych terminach – stanie przed olbrzymią skalą wyzwań. Karnawał nowej władzy będzie tym razem wyjątkowo krótki. W pierwszej kolejności premier Tusk niewątpliwie przeprowadzi wielkie kadrowe czyszczenie resortów i państwowych spółek, wystawiając za drzwi pisowskie „kuwety”. Równoległe przystąpi też do ofensywy dyplomatycznej, czyszcząc relacje z Unią Europejską (odblokowanie KPO!) oraz nadwątlone przez PiS w kampanii strategiczne partnerstwo z Ukrainą. Ale już z uchwalaniem ustaw nie będzie tak prosto, tym bardziej konieczne staje się znalezienie patentu na ominięcie obstrukcji Dudy i Przemyskiego. Tuskowi już nieraz zdarzało się sugerować, że dysponuje planem wyjścia z konstytucyjnego klinca, który pozostawia po sobie PiS. I oby tak było, bo rutynowe rozwiązania na gruncie demokracji parlamentarnej do niczego sensownego nowej władzy nie doprowadzą, skazując ją na polityczną impotencję przynajmniej do wyborów prezydenckich. Sęk w tym, że ekstraordynaryjne środki muszą się zmieścić w logice demokratycznego państwa prawa.

Chociaż nie należy też bagatelizować znaczenia rozwiązań czysto politycznych. Czy Tusk podejmie jakąś próbę gry z Dudą,

► przesył pisowskim rozdawnictwem. Nie jest też jasne, co Tusk postanowi w sprawie sztanदारowych inwestycji odchodzącej ekipy, szczególnie zaawansowanych już planów budowy elektrowni jądrowych oraz CPK. W zdrowej demokracji rozsądna kontynuacja byłaby oczywiście pożądana, tyle że Polska po dwóch kadencjach rządów Kaczyńskiego jest państwem ciężko chorym.

Ogólnie rzecz biorąc, Tusku będzie dużo trudniej niż w 2007 r. Epoka ciepłej wody w kranie minęła bezpowrotnie, a jego karty też są dzisiaj dużo słabsze.

### Sukces na ostatniej prostej

Najbardziej spektakularny finał udał się w kampanii Szymonowi Hołowni, który udanym występem w telewizyjnej debacie najpewniej uratował politycznie karkołomny projekt Trzeciej Drogi przed bolesną kląpą. Długo była najsłabszym ogniwem opozycji, ale ostatecznie wylądowała na podium z poparciem ok. 3 mln Polaków. To mniej więcej tyle samo, ile łącznie zagłosowało w wyborach prezydenckich trzy lata temu na rywalizujących jeszcze ze sobą Hołownię i Władysława Kosiniaka-Kamysza.

Wtedy to Hołownia zdominował późniejszego partnera. Teraz prawdopodobny wydaje się aksamitny rozwód PSL i Polski 2050, gdyż o ile obaj liderzy nie gorzej się dotarli, o tyle obie formacje dzieli chyba zbyt wiele. Ale najprawdopodobniej to słabsi poparciem ludowcy wyciągnęli z tej inwestycji wyższą stopę zwrotu. Już nie pierwszy raz weszli do Sejmu dzięki podpięciu się pod zewnętrzne źródło zasilania, ciesząc się reprezentacją ponad realne możliwości. To o tyle istotne, że przed wyborami nie brakowało za kulisami polityki obaw o ich lojalność wobec obozu demokratycznego. Sukces neutralizuje jednak takie pokusy, podobnie zresztą jak czytelna perspektywa zbudowania stabilnej większości wokół Tuska.

Z kolei o kadrach Hołowni wiadomo tyle, co nic. Z sejmowymi reprezentacjami politycznych start-upów w przeszłości zawsze był problem, gdyż okazywały się zbieraninami przypadkowych postaci, bez środowiskowego kleju, realnej wspólnoty ideowej i biograficznej. Czy Hołownia jako pierwszy zdoła ominąć owe rafy? Jego nieco neurotyczny typ przywództwa pewnie nie gwarantuje należytej rękoi, ale mimo wszystko warto docenić dotychczasową drogę polityka, który bazując przede wszystkim na efekcie świeżości, musiał pedałować w politycznym peletonie przez całe trzy lata, nie mając jak inni budżetowych pieniędzy i rozwiniętych w terenie struktur.

Żaden inny lider nie musiał się borykać z porównywalną choćby amplitudą wznoszeń i upadków, ale ostatecznie wytrzymała Hołownia postawiła na swoim. Powinno mieć jednak świadomość, że sukces na ostatniej prostej tak samo zawdzięcza sobie, jak i Donaldowi Tusku, który nie tylko wygasił polityczną presję na Trzecią Drogę, ale nawet rzucił jej – wraz z wieloma wyborcami KO – koła ratunkowe. Taktyczne głosowanie na Hołownię przysporzyło tej formacji zapewne 2–3 pkt proc. Można więc oczekiwać, że mający skłonność do obnoszenia się ze swoimi urazami lider Polski 2050 okaże się teraz zdyscyplinowanym koalicjantem. Ekspercki etos jego formacji niewątpliwie się zresztą przyda nowemu układowi rządzącemu. Na dłuższą metę nie obędzie się jednak bez napięć, gdyż Hołownia raczej nie zrezygnował z ambicji prezydenckich, co wcześniej czy później sprowadzi go na kurs kolizyjny z (zapewne) Rafałem Trzaskowskim.

O niedosycie może za to mówić Lewica, która straciła kilka punktów w porównaniu z poprzednimi wyborami i całkiem sporo sejmowych mandatów. Co o tyle bolesne, że jej kampania wyróżniała się w tych wyborach na plus. Była na swój sposób elegancka, najbardziej merytoryczna, a przy tym spójna i niezłe zaprogramowana. Stratedzy Lewicy od początku wiedzieli, z jakimi grupami chcą się komunikować. Woleli mieć wróbla w garści, nie tracąc czasu i energii na uganiecie się za gołębiem na dachu. Chociaż apetyty na ostatniej prostej mimo wszystko lewicowcom urosły, szczególnie po niezłym występie Joanny Scheuring-Wielgus w telewizyjnej debacie.

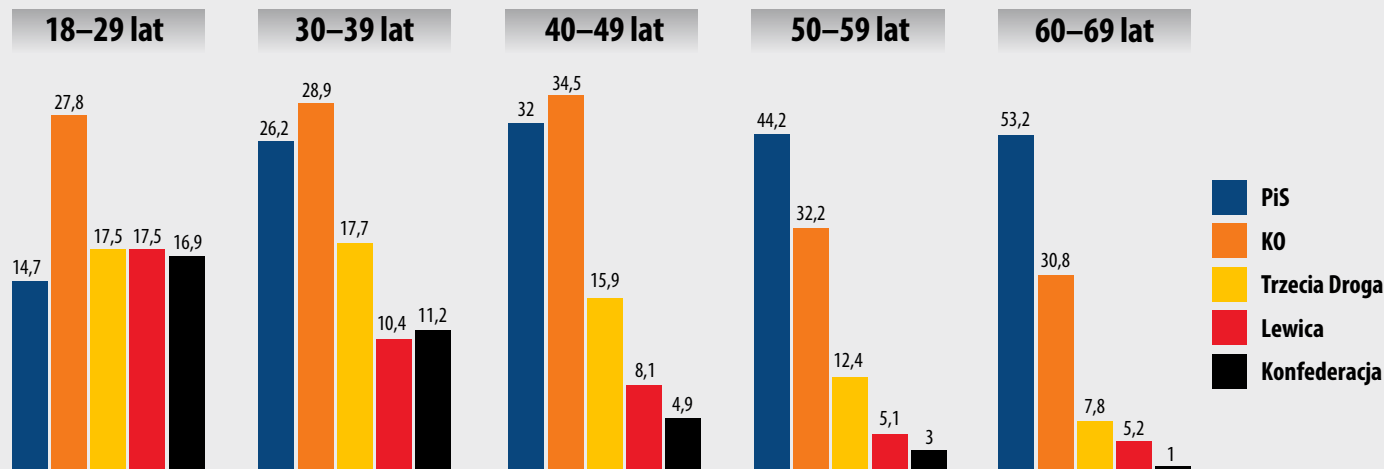
Chociaż trudno wytykać im konkretne błędy. Akurat tych wyborców, o których Lewica zabiegała, udało jej się zmobilizować. Raczej młodych, wielkomiejskich, z rozwiniętym kapitałem społecznym. Obniżony wynik to głównie efekt oszałamiającej frekwencji. Po prostu demografia dała o sobie znać, nieubłagane prawa starzejącego się społeczeństwa. Bo kiedy suweren w trzech czwartych ruszył do urn, starzy nakryli młodych czapkami, a poparcie Lewicy siłą rzeczy musiało spaść. Tyle dobrego, że pod statecznym i raczej przewidywalnym przywództwem Włodzimierza Czarzastego Lewica pozostanie istotnym graczem na politycznej scenie oraz – jak należy oczekiwać – lojalnym koalicjantem.

### Konfa w ruinie

Ale największą ofiarą wysokiej frekwencji jest mimo wszystko Konfederacja. Jeśli ktoś naprawdę zaliczył w tych wyborach autentyczny polityczny upadek, to właśnie ona. Jednak niezależnie

## Młodzi wyborcy za Koalicją Obywatelską, starsi za Prawem i Sprawiedliwością

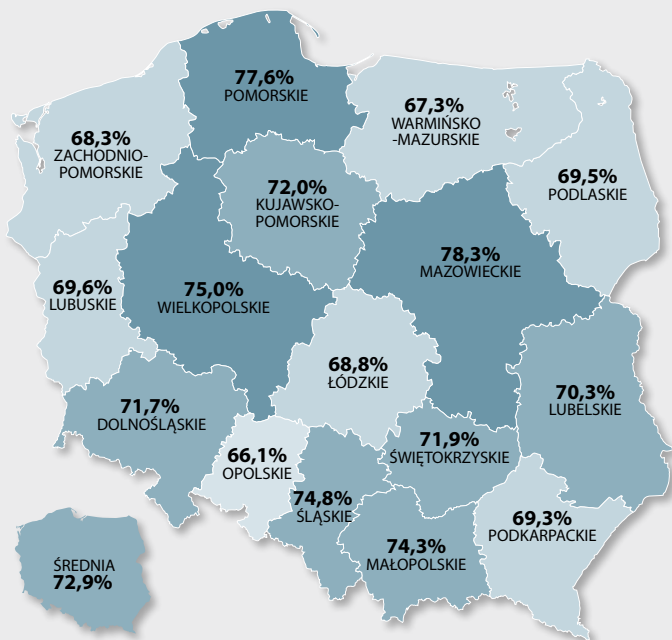
Late poll Ipsos dla Polsatu, TVN i TVP



## Frekwencja w wyborach parlamentarnych

### FREKWENCJA WYBORCZA

Sondaż Ipsos exit poll z godziny 21:00

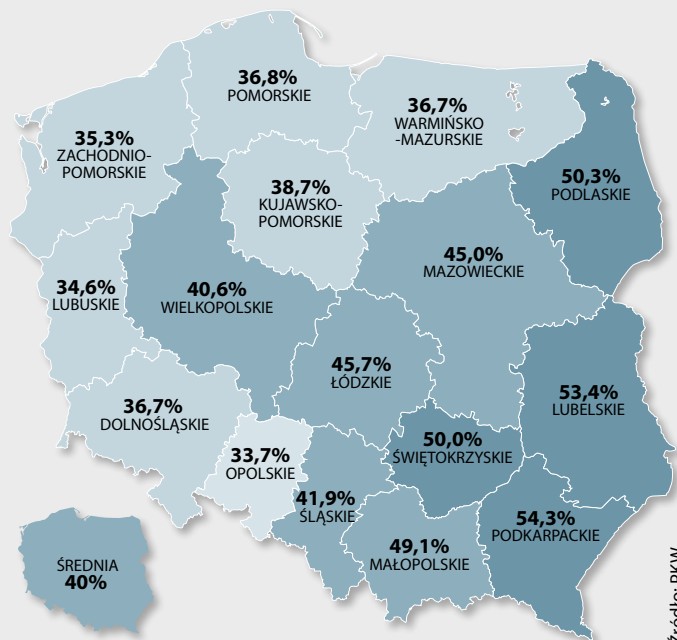


Źródło: Sondaż Ipsos exit poll

## Frekwencja w referendum

### FREKWENCJA W REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWYM 2023 R.

Dane cząstkowe z 12 676 na 31 497 (40,25%) obwodów głosowania



Źródło: Sondaż Ipsos exit poll

Źródło: PKW

od niesprzyjającej im demografii konfederaci popełnili też szereg politycznych błędów, które przyspieszyły trend opadania z imponujących na początku lata poziomów poparcia. Prawie już szykowali się do szturmowania granicy 20 proc., ale skończyli tuż nad progiem.

Niby liderzy Konfy mieli świadomość, że sondażowa górka przyszła im zbyt szybko i łatwo. Sami o tym mówili w mniej zobowiązujących rozmowach. Ale zarazem zwyczajki bardzo ich rozzuchwalały. Stali się nadmiernie buńczuczni w deklarowaniu „wywracania stolika” i całkiem już otwartych zapowiedziach wyborczej dogrywki. Dla zmęczonych permanentną kampanią Polaków była to perspektywa raczej koszmarna. Ewidentnym błędem było też sprowadzenie kampanii w jej drugiej fazie do wizerunkowej prezentacji Sławomira Mentzena z Krzysztofem Bosakiem „zamiast piwa”. Tymczasem będący dotąd magnesem dla wyborców torunianin zdążył się wyborcom opatrzyć, już nie intrygował jak na początku, a co gorsza zaczął razić arogancją i dezynwolturą.

Rozjechała się przy tym konfederacka baza z nadbudową. Pozbierani od Sasa do Lasa kandydaci – istne panoptikum postaci dziwacznych, trochę śmiesznych i trochę strasznych – ani trochę nie pasowali do obranego kursu na klasę średnią, szczególnie przedsiębiorców. Zanim też zawierzono komunikacji w sieci kosztem kampanii bezpośredniej. Na koniec zaznaczył jeszcze teren typową dla siebie prowokacją Janusz Korwin-Mikke i skończyło się katastrofą. Nie będzie zatem wywracania stolika ani nawet sowitych politycznych premii z racji bycia języczkiem u wagi. Co najwyżej jeszcze bardziej marginalne niż do tej pory sejmowe kółeczko, do tego niespójne i wewnętrznie skonfliktowane. Publiczne rozliczenia zaczęły się zresztą jeszcze w wieczór wyborczy i nie można wykluczyć, że po Konfederacji wkrótce pozostanie już tylko wspomnienie.

### Co te wybory mówią o Polsce?

Że jest podzielona na konserwatywny wschód i liberalny zachód, ale o tym wiemy od dawna. Im większe miasto, tym łatwiej natknąć się na ulicy na zwolennika opozycji. Ale już niemal

połowa mieszkańców wsi głosuje na PiS. Wielkie miasta tradycyjnie lepiej się zmobilizowały, te największe w ponad 80 proc. Ale w sumie zwyczajki frekwencyjne okazały się wyższe w Polsce lokalnej, która dobiła do poziomu 70 proc.

Dane z sondażu Ipsos to jak zwykle ciekawy barometr naszych politycznych postaw. Gdyby to wyłącznie mężczyźni posiadali prawa wyborcze, PiS utrzymałby władzę, chociaż w koalicji z Konfederacją. W społeczeństwie samych tylko kobiet Konfa spadłaby pod próg, a zwycięstwo demokratycznej opozycji byłoby jeszcze okazalsze, niż faktycznie było. W najmłodszej grupie wyborców (18–29 lat) głosowanie na obóz Kaczyńskiego to orientacja niszowa, a „antyduopolowe” formacje – czyli Trzecia Droga, Lewica i Konfederacja – dostały łącznie o ok. 10 pkt proc. więcej niż KO i PiS. Wśród seniorów strony wielkiej polaryzacji zgarniają 84 proc. poparcia, z czego ponad połowa PiS. 40- i 50-latkowie są bardziej podzieleni w sympatiach, chociaż pierwszym nieco bliżej do Tuska, a drugim do Kaczyńskiego.

Wyższe statusowo grupy oczywiście popierały opozycję, te stojące niżej w społecznej hierarchii – dotąd rządzących. Niespecjalnie wyszło Konfederacji łowienie głosów w kręgach biznesowych. Tylko co dziesiąty właściciel firmy ją poparł; „socjalny” PiS miał w tej grupie dwukrotnie wyższe poparcie, a KO – aż czterokrotnie. Rolnicy aż w 67 proc. głosowali na partię Kaczyńskiego, deklasując o sześć długości Trzecią Drogę z ludowcami na listach. Popiera również PiS co drugi robotnik. Za to Lewicę – już tylko co dwudziesty! To jednak formacja wykształconej i ogólnie liberalnej inteligencji, może więc jednak postawienie w kampanii na kwestię socjalną było błędem Czarzastego i spółki?

Materiałów do analiz pojawiło się bez liku, ale na to przyjdzie jeszcze czas. A tymczasem nacieszymy się nadchodzącą polityczną zmianą, w którą wielu z nas do końca pewnie nie wierzyło. Na polityczną normalność pewnie jeszcze trochę poczekamy, ale po ostatniej niedzieli przynajmniej już wiemy, że wreszcie znaleźliśmy się na właściwej ścieżce.

RAFAŁ KALUKIN

# Ta ostatnia niedziela

Reporterzy POLITYKI wraz z politykami i sympatykami KO, PiS, Trzeciej Drogi, Nowej Lewicy oraz Konfederacji oczekiwali w niedzielę wieczorem na pierwsze sondażowe wyniki wyborów parlamentarnych. Jakie nastroje panowały w sztabach? Kto i na co liczył? A kto się przeliczył?



## Łzy szczęścia w KO

Szampańskie nastroje czuć było już od wejścia. Bo też informacje z „bazaru” – jak komentatorzy polityczni nazywają przecieki z badań *exit poll*, krążące w mediach społecznościowych w dniu wyborów – były optymistyczne. Zebrani w Muzeum Etnograficznym w Warszawie politycy Koalicji Obywatelskiej jeszcze przed godz. 21, kiedy media oficjalnie podały pierwsze sondażowe wyniki, skalę zwycięstwa opozycji szacowali na ok. 250 mandatów. I niewiele się pomylili. Równy z końcem ciszy wyborczej ogłoszono, że opozycja łącznie może liczyć na 248 mandatów.

„Zrobiliśmy to! Naprawdę! (...) Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy z drugiego miejsca. Wygrała Polska, wygrała demokracja, odsunęliśmy ich od władzy” – wołał ze sceny Donald Tusk, otoczony młodymi ludźmi odpowiedzialnymi za kampanię KO w internecie. I dodawał: „Ale dziś możemy to już powiedzieć. To jest koniec tego złego czasu, to jest koniec rządów PiS-u”.

A słowom lidera KO towarzyszyły nie tylko brawa i wiwaty, ale i przejmujące reakcje. Kilka polityczek płakało; były uściski, uśmiechy, wreszcie – uczucie

ogromnej ulgi. Bo udało się powstrzymać Kaczyńskiego, zatrzymać proces niszczenia Polski i spychania nas na Wschód. I to mimo szalenie nierównej i nieuczciwej kampanii wyborczej.

– *Wielki sukces, patrząc na to, ile pieniędzy PiS włożył w kampanię. Gigantyczne kwoty, nieuczciwe finansowanie bokiem przez referendum, miliardy wpuszczone w różnego rodzaju działania, agitację i okazuje się, że jesteście lepszym narodem, niż sądzili rządzący! Zmobilizowanym, wierzącym w praworządność, odbudowującym się. Przed nami masa trudnych zadań, ale czujemy tę zmianę w Polsce, klimat już jest inny. My na północy mówimy, że wiał dobry wiatr. I ten dobry, mocny wiatr zmiotł tę zgniliznę, która była przy władzy* – komentowała na gorąco Barbara Nowacka, liderka wchodzącej w skład KO Inicjatywy Polskiej, posłanka z Gdyni. Również Michał Kołodziejczak, lider dookooptowanej do KO AgroUnii i „kampanijne odkrywce” Tuska, mówił o poczuciu nadszycia zmian: – *Rozpoczął się proces przemian i odbijania PiS-owi polskiej wsi. To jest trudne, zwłaszcza po tym, co PiS robił w mediach publicznych. Ale pokazaliśmy, że można zacząć budować pojednanie. Więc jestem dobrej myśli.*

Co istotne, wśród polityków KO nie było słycać obaw związanych z formowaniem

wspólnego koalicyjnego rządu KO, TD i Lewicy i wyborem kandydata na premiera. – *Kampania wyborcza pokazała, że w ramach opozycji była prawdziwa współpraca. Mimo że komentatorzy często w to wątpili, nam się to udało. Nie było ataków, była zdrowa konkurencja, rywalizacja fair. Naprawdę coś, z czego można brać przykład i na czym można budować* – podkreślał Borys Budka.

Oczywiście Kaczyński łatwo władzy nie odda. I to była jedyna gorzka myśl, która krążyła wśród fetujących sukces uczestników wieczoru wyborczego KO. Bo PiS ma prezydenta, ma państwowe instytucje i cały aparat propagandy. – *Kaczyński na pewno się przygotował na wariant przegranej, łatwo nie odpuści* – przyznawał Paweł Rabej z Nowoczesnej. Ale też politycy KO są pewni, że najdalej za kilka tygodni to oni będą tworzyć rząd. Że pisowsko-prezydencka gra na czas i próby korumpowania posłów na niewiele się zdadzą. – *Damy sobie za tym radę, ale o szczegółach, z wiadomych przyczyn, nie chcę mówić* – przekonywał Borys Budka.

Opozycja wie, że wygrała; usłyszeli to wyborcy i świat. Więc – jak podkreślał Donald Tusk – „Nikt nam już tych wyborów nie ukradnie”.

MALWINA DZIEDZIC



## Stypa w PiS

**G**odzinę przed ogłoszeniem wyników polityk ze sztabu PiS zapytany o nastroje odpisał krótką wiadomością: „Zmiana władzy”. Na Nowogrodzkiej przynajmniej półtorej godziny przed godz. 21 wiedzieli, jakie są wyniki badania *exit poll*. Nastroje były bardzo kiepskie. Uderzające było to, że pod sceną zebrało się najwyższej 150 osób – żadnych znanych twarzy – a cały wieczór wyborczy trwał ze 20 minut. Z ekipy Zbigniewa Ziobry pokazał się tylko Jan Kanthak. Spodziewano się wygranej, ale też wszyscy już wiedzieli, że PiS nie zdobędzie większości mandatów w Sejmie i – co ważniejsze – nie będzie jej miał z kim zbudować. Jarosław Kaczyński w swoim krótkim przemówieniu realistycznie zwrócił uwagę, że nie ma większości koniecznej do rządzenia. „Przed nami stoi pytanie, czy ten sukces będzie można zmienić w kolejną kadencję naszej władzy. Tego w tej chwili nie wiemy, ale musimy mieć nadzieję” – mówił.

Chętnych do udzielania wywiadów było zaledwie kilku. Inni zamknęli się na zapleczu, wychodzili tylnym wyjściem, aby nie musieć odpowiadać na pytania mediów. Europosel Ryszard Czarnecki, w swoim stylu, wykorzystał ten moment, aby przypomnieć o sobie, ale i on nie tryskał



optymizmem: – *Mam nadzieję, że PiS stworzy rząd, nadzieja umiera ostatnia.* Politycy PiS niczym refren powtarzali, że to historyczne zwycięstwo, że trzeba czekać na oficjalne wyniki, że PiS jest niedoszacowany. Krzysztof Szczucki, szef Rządowego Centrum Legislacji, przyznał że liczył na więcej: – *Zwycięstwo historyczne, ale jednak przegrana. Konfederacja zaskoczyła słabym wynikiem. Nadzieja w tym, że w exit poll ponad 20 proc. ludzi nie chciało odpowiadać, może to byli nasi wyborcy.* Jeden ze sztabowców pocieszał się, powtarzając: – *Pamiętajmy, Słowacja.* Nawiązywał do sytuacji u naszych sąsiadów, gdzie sondaże w dniu wyborów podały wynik zupełnie inny niż oficjalny.

Kilku naszych rozmówców mówiło, że teraz trzeba pukać do PSL. Ważny polityk PiS: – *Wszystko zależy od tego, ilu ludzi wprowadził z ich wspólnej listy Szymon Hołownia, a ilu Kosiniak-Kamysz. Jeśli ludowcy mają większość mandatów z tej*

*koalycji, to są jakieś szanse na rozbięcie ich jedności.* Ktoś inny trzeźwo jednak dodał, że przed wyborami samorządowymi, które już za kilka miesięcy, Kosiniak-Kamysz nie będzie chciał iść na żadne układy z Kaczyńskim, tym bardziej że od Donalda Tuska też pewnie dostanie dobrą ofertę.

Ale generalnie można było usłyszeć dużo dobrego o PSL. – *Jeśli część opozycji zachowa rozsądek, a wierzę, że tak będzie w przypadku PSL, który tak jak my też jest partią konserwatywną, to razem będziemy mogli nadal realizować dobre projekty dla Polski* – mówił europosel prof. Zdzisław Krasnodębski. Czarnecki chwalił TD za odwagę. A posłanka Małgorzata Gosiewska przestrzegala ludowców przed „pójściem z Tuskiem”: – *Kto z nim pójdzie, to jego odpowiedzialność i jego zdrada.*

**P**remier Morawiecki tym razem ze sceny nic nie powiedział. W zamkniętej dla innych mediów strefie udzielił wywiadu TVP i Polsatowi. Cztery lata temu dziękował Joachimowi Brudzińskiemu, który także był wtedy szefem sztabu. Nasz rozmówca z Nowogrodzkiej: – *Właśnie się potwierdziło, że prawdą jest to, co czytaliśmy w skrzynce mailowej Michała Dworczyka. Ktoś tam pisał o premierze: „Ta czaszka już się nie uśmiechnie”.*

ANNA DĄBROWSKA

## Żal w Konfederacji

**N**ie ma co ukrywać, że ponieśliśmy porażkę. Mieliśmy wywrócić ten stolik, ale wszyscy wskazuje na to, że się nie udało” – szczerze wyznał Sławomir Mentzen chwilę po ogłoszeniu wyników *exit poll*. Według pierwszego sondażu jego ugrupowanie zdobyło 6,2 proc.

Z wierzchu było paradnie – warszawski klub, wygodne łóżce ze skórzanymi kanapami, klimatyczne światła, ogromna kula dyskotekowa nad barem, biało-czerwone flagi powiewające na ekranach, AC/DC z głośników. Ale nastroje od początku były stonowane, żeby nie powiedzieć – minoro-we. Teatralne uśmiechy, uściski dłoni (lub całowanie, jak w przypadku Grzegorza Brauna), brzęk szkła, zachwalanie krawatów w dolary kupionych na święcie kapitalizmu, a w rozmowach z prasą – ostrożność i ważenie słów. Żeby nie tłumaczyć się ze słabego wyniku, który wszyscy przeczuwali, opowiadało się o sondażowniach, które często się mylą, i głosach, które trzeba będzie liczyć przez dwa dni.



– *Teraz może być różnie, ale za 10–15 lat Konfederacja będzie rządzić niepodzielnie* – dało się usłyszeć z rozmów przy szklance, które szykowały na nadejście zlego. Pytani o to, w jaki sposób ich ugrupowanie zgubiło połowę z 13-proc. poparcia, które sondaże dawały im latem, konfederaci nie chcieli przyznać się do falstartu i wyczerpania mocy na finiszu kampanii. Zamiast tego obwiniali duopol, nieprzychylnie media i wyborców niegotowych do konfrontacji z trudną rzeczywistością.

Niektórzy – jak wicereczennik koalicji Wojciech Machulski – jeszcze na godzinę przed ogłoszeniem *exit poll* zapewniali, że wynik będzie dwucyfrowy. Inni – jak Aleksander Kowaliński, nr 3 w stolicy

– przekonywali, że niezależnie od wyniku Konfederacja i tak nie stworzy koalicji z PiS albo „centrolewem”. A Anna Bryłka, rzeczniczka partii, przyznała przytomnie, że owszem nie stworzy, ale dlatego, że z wynikiem nieznacznie przekraczającym próg wyborczy Konfederacja nie będzie już potrzebna do żadnej koalicji. – *Nikt nie przewidział ponad 70-proc. frekwencji, a wiadomo, że im większa frekwencja, tym gorzej dla nas* – tłumaczyła.

**A**później były wyniki i czas na przemówienia. Szef sztabu Witold Tumanowicz zalił się, że „wygrały obietnice proinflacyjne”, Sławomir Mentzen obwieścił największą porażkę w jego życiu, zaś drugi z liderów ugrupowania Krzysztof Bosak znalazł dobre słowo i wyznał, że może i wynik nieznacznie nad progami jest słaby, ale przy rekordowej frekwencji oznacza, że Konfederacji udało się przekonać do siebie dziesiątki, a może nawet setki tysięcy nowych wyborców. Na koniec przemówił Grzegorz Braun, długo i w swoim stylu, ale mało kto już go słuchał, a wielu konfederatów spuściło tylko głowy.

NORBERT FRĄTCZAK ►

## ▶ Słodko-gorzko w Nowej Lewicy

**W**ieczór wyborczy Lewicy został zorganizowany w Studiu Las na warszawskim Mokotowie. – *Jesteśmy pełni nadziei na zmianę* – tak najczęściej na pytanie o samopoczucie odpowiadali członkowie młodzieżówki Razem, a także dużo starsi działacze byłego SLD, część z nich jeszcze z przypinkami Unii Pracy. Co chwila ktoś podchodził i prosił Jacka Dehnela i jego partnera Piotra Tarczyńskiego o zdjęcie. Z sześciu liderów tej kampanii tylko Włodzimierz Czarzasty przeniakał w tłumie przed ogłoszeniem wyników. A starsi działacze lewicy eseldowskiej kalkulowali, jaki wynik będzie uznawany za ewentualny sukces – i Lewicy, i Czarzastego.

– *Widzieliśmy dziś ogromną mobilizację ludzi do pójścia na wybory i to jest uspaniałe. Wszystko na to wskazuje, że na wyższej frekwencji może zyskać opozycja* – komentowała jeszcze przed ogłoszeniem wyników *exit poll* postanka Katarzyna Kotula. – *Obywatele się obudzili. Niezależnie od sondaży typuję wynik Lewicy*



*na poziomie 11 proc. Bardzo dobry występ podczas debaty i bardzo dobra, konsekwentna kampania, bezbłędna w mojej ocenie, może przynieść Lewicy dobry wynik* – dodawała.

Tuż przed ogłoszeniem *exit poll* na scenie pojawili się liderzy: Włodzimierz Czarzasty, Robert Biedroń, Adrian Zandberg, Magda Biejat i Joanna Scheuring-Wielgus. Wynik (8,6 proc.) został przyjęty z entuzjazmem i z brawami – głównie wśród zebranych gości. Liderzy wpatrzyli w ekran wielkiego telewizora starali się ukryć rozczarowanie. „Bez względu na to, jakie są liczby, bo one muszą się jeszcze potwierdzić, po 18 latach Lewica wraca do współrządzenia!

(...). Ale niech ten uśmiech na waszych twarzach zagości. Pomyślcie, jakie minki mają w PiS, jakie minki mają ludzie w TVP” – mówił Czarzasty. Joanna Scheuring-Wielgus zaś podkreślała: „To my jesteśmy gwarancją praw kobiet, świeckiego państwa, usług publicznych, mieszkań na wynajem. Będziemy tego wszystkiego bardzo pilnowali”.

– *2 mln ludzi nam zaufało* – komentowała na gorąco posłanka Anita Kucharska-Dziedzic. – *Natomiast przy ogromnym poruszeniu elektoratu niezdecydowanego i przy tak dużej polaryzacji zawsze słabną mniejsi gracze i po stronie mniejszych ugrupowań jest poczucie niedosytu* – dodawała.

I takie właśnie komentarze słysząc było w kularowych rozmowach polityków Lewicy po zakończeniu oficjalnej części wieczoru. „Miało być przecież 12 proc.!”. „Trzecia Droga zabrała nam kilka procent”. Radość z przewagi opozycji nad PiS mieszała się ze smutkiem związanym z tym, że licząca ponad 40 posłów reprezentacja Lewicy w Sejmie może się skurczyć nawet o kilkanaście mandatów.

AGATA SZCZERBIAK

## Satysfakcja w Trzeciej Drodze

**K**ażdy, kto od środka zna Trzecią Drogę, wie, że było to polityczne małżeństwo z rozsądku, a nie z miłości. Szymon Hołownia w wianie wnosił niemal 15-proc. poparcie. Ale do związku wchodził na finansowych oparach. PSL też nie był krezusem, ale miał większą zdolność kredytową. W końcu to partia z tradycjami i strukturami, która przez lata uchodziła za nieodzowne spoiwo kolejnych rządów. Tyle że na granicy sondażowego poparcia.

Wspólny wieczór Trzeciej Drogi partia urządziła w warszawskim Hotelu Crowne Plaza. Warto podkreślić, że wspólny, bo nie wszystkie regionalne wieczory wyborcze początkowo miały być takie. Ostatecznie sygnał z partyjnych central głosił, żeby trzymać jedność do końca. W efekcie w Crowne Plaza wiele osób na sali wyraźnie się nie znało. Spotkały się dwa środowiska. W tłumie zgromadzonym na wieczorze wyborczym stara gwardia PSL mieszała się z politycznymi debiutantami. Wszystkich łączyły jednak dobre nastroje już na długo przed ogłoszeniem wstępnych wyników



sondażowych. Ludzie czuli, że rekordowo wysoka frekwencja gra na ich korzyść. Do Norberta Pietrykowskiego, jedyńki na listach TD w Bydgoszczy, już przed godz. 21 przychodzili pierwsi ludzie z gratulacjami. Pietrykowski się oganiał, że niby ciągle nic nie wiadomo. Ale po jego minie widać było, że już się trochę czuje posłem. Do Sejmu startował po raz pierwszy. I jak zaznaczył – ostatni. – *Za dużo agresji. To była bardzo ciężka kampania* – mówił.

Jednak radość, która wybuchła po ogłoszeniu pierwszych sondaży, pokazała, że 13-proc. wynik był co najmniej spełnieniem marzeń i wcale nie wydawał

się oczywisty. Sala wręcz zawyła z radości. 55 mandatów dla TD przekładało się nie tylko na realną pozycję w parlamencie, ale również ewentualnym rządzie. Trudno się dziwić, że liderzy choć śmiertelnie zmęczeni, to jednak szczęśliwi. Władysław Kosiniak-Kamysz i Szymon Hołownia niemal jednym głosem krzyknęli: „Ludzie są dobrzy, Polska jest piękna, będzie dobrze”. „Będziemy kotwicą demokracji” – zapewniał Hołownia, dobrze wiedząc, że bez TD nie uda się stworzyć opozycyjnego rządu. „Dość kłótni i do przodu” – wtórował Kosiniak-Kamysz. A dalej było już tradycyjnie. Podziękowania dla żon za cierpliwość, ogólna radość i szczęście.

J eśli PiS liczy, że będzie mógł stworzyć jakiś rząd koalicyjny, to – według zapewnień i ludowców, i hołowniowców – może zapomnieć o TD. – *Ich trzeba sądzić, a nie z nimi rządzić* – podkreślał Jakub Stefaniak z PSL. – *Wierzę, że rozsądku nie zabraknie. Polacy wyraźnie powiedzieli: dosyć kłótni, oczekują współpracy i zadaniem polityków jest tego głosu posłuchać* – dodawał Mirosław Różański, emerytowany dowódca generalny i kandydat na senatora z namaszczenia PL 2050.

JULIUSZ CWIELUCH



Kolejka do głosowania w Londynie.

# Wiatr zmian

Wyniki wyborów w Polsce są najlepszą wiadomością płynącą w tych dniach ze świata.

JĘDRZEJ WINIECKI

**N**iedzielnemu głosowaniu w Polsce towarzyszyły na świecie dramatyczne okoliczności. Tak jak 4 czerwca 1989 r., gdy uwagę kierowano na skąpany we krwi pekiński plac Tiananmen. I na Iran, gdzie zmarł przywódca, ajatollah Ruhollah Chomeini. I jeszcze na katastrofę kolejową pod Ufą, największą w historii ZSRR. Teraz na pierwszy plan wysunęła się pacyfikacja Strefy Gazy, będąca konsekwencją ataku Hamasu na Izrael 7 października. Nawet Ukraina zeszła na drugi plan, mimo że armia rosyjska prowadzi intensywną ofensywę pod Donieckiem.

Amerykańskie media były pochłonięte przede wszystkim wydarzeniami na Bliższym Wschodzie. Dlatego telewizja CNN o polskim głosowaniu informowała głównie na paskach. Radykalnie konserwatywna stacja Fox News właściwie nie odnotowała słabszego wyniku PiS i zwłaszcza Konfederacji, mimo że w przedwyborczych zapowiedziach to w niej amerykańska stacja widziała jęczyczek u wagi. Więcej się o Polsce pisze. Liberalny „New York Times” ogłasza, że Polska idzie ku centrum, a wpływowy, bardziej konserwatywny portal Drudge Report pyta: „Czy Polska skręca w lewo?”.

Informacje spływające z polskich lokali wyborczych przyjmowano powszechnie z nadzieją wyczekiwaną, choć rozmaicie rozumianą. Niemiecki tygodnik „Der Spiegel” w swoim komentarzu zrównuje triumfalizm Donalda Tuska („Udało się!”) i premiera Mateusza Morawieckiego („Wygraliśmy!”). Drugi niemiecki tygodnik „Die Zeit” rysuje perspektywę zwrotu w polskiej polityce zagranicznej, zdominowanej przez stały konflikt „narodowo-konserwatywnego PiS” z UE na tle reformy sądownictwa i „leżące na dnie” stosunki z Niemcami, które do najniższego

poziomu ściągnęły żądania reperacji w wysokości 1,3 bln euro.

„Wiatr demokratycznych zmian, który dla większości obserwatorów był zaskoczeniem”, wyczuli w Warszawie korespondenci francuskiego „Le Monde”. Zauważyli, że PiS zachowa wpływ na bieg spraw publicznych. Przywołali rolę wyborczyń, decyzje najmłodszych obywateli, osie podziałów obyczajowo-światopoglądowych i zapowiedź, że Polska stanie się ponownie wiarygodnym partnerem w Unii.

„Nareszcie jakaś dobra wiadomość” – skwitował *exit polle* znany politolog Francis Fukuyama. W ten sposób komentował w jednym z serwisów społecznościowych wpis brytyjskiego historyka i przyjaciela Polski Timothy’ego Gartona Asha, który przewiduje pozytywny zwrot dla całej Europy. „Jeszcze Europa nie zginęła!”, dopisał po polsku Ash. Polska niedziela poprawiła nastrój w tzw. Brukseli, pogorszony niedawnym zwycięstwem eurosceptyków na Słowacji.

**W**iele mediów przytaczało komentarz amerykańskiej agencji Bloomberg, że polskie wybory „dają Unii Europejskiej tak potrzebny impuls”. Źródłem tej nowej energii ma być finał „ośmiu lat rządów nacjonalistów i rutynowych ataków na UE” oraz zakończenie „długiego rozdziału populizmu i konfliktów”. Rychłe uzyskanie 35 mld euro z unijnych funduszy „pozytywnie wstrząsnęłoby największą gospodarką Europy Wschodniej” i otworzyłyby perspektywę „izolacji Viktora Orbána, kolejnego populisty, dotąd ochranianego przez sojusz z PiS”. W analizach unijnych konfiguracji podkreśla się też, że Polska nie zmieni linii w stosunku do Rosji.

Tam „Komsomolskaja Prawda” uznaje, że Rosję wyniki wyborów nad Wisłą „ani ziębią, ani grzeją”, bo „jednych zaciekle rusofobów zastąpią drudzy”. Prokremlowski dziennik zastanawia się, jak zareaguje Waszyngton, gdy Tusk – już jako premier – podporządkuje się europejskiemu przy-

wództwu Berlina. „Komsomolskaja” sugeruje, że niewiele się zmieni w kwestiach ukraińskich. „Pomoc wojskowa jest zamrożona – sama polska armia potrzebuje broni, by stać się ponoć najsilniejszą w Europie”, rewizji nie ulegnie sprawa zboża, a w ogóle to Polska „postanowiła przerwać niepohamowane bratanie się z Ukraińcami”.

**O** „policzku dla PiS” wspomina BiełTA, reżimowa agencja prasowa w Białorusi, która przytacza opinię białoruskiego samozwańczego prezydenta Aleksandra Łukaszenki. Według niego „jeśli przyjdą nowe siły do władzy, pojawi się nadzieja na jakiś restart”. Co ma wynikać stąd, że prezydent Andrzej Duda i premier Morawiecki „to lokaje Waszyngtonu trzymalni na krótkiej smyczy”, zaś Tusk pozostaje „politykiem proeuropejskim”.

W reakcjach ukraińskich sporo miejsca poświęcano nie tylko rozważaniom o broni i zbożu, generalnie pozytywnemu stosunkowi do Ukrainy większości czołowych ugropowań, ale także – tu z poważną obawą – sytuacji osób mieszkających w Polsce. „Ukraińska Prawda” z satysfakcją pisze o kiepskim wyniku „znanej z antyukraińskich haseł” Konfederacji. Podnoszą także pytanie, jak potoczy się dynamika stosunków i na ile głosy nieprzychylnie Ukrainie są odosobnione, a na ile to postawa całego społeczeństwa.

Polskiemu głosowaniu przyglądano się też na rządzonych przez Orbána Węgrzech. Opozycyjny burmistrz Budapesztu Gergely Karácsony powitał powyborczy poniedziałek kawą w kubku z bolesławieckiej ceramiki. Po drugiej stronie barykady prorządowy (więc i propisowski) portal Mandlerin swój emocjonalny komentarz opatrzył tytułem: „Niech Bóg obdarzy naszych polskich braci słowackim exit pollem!”, co jest nawiązaniem do scenariusza, w którym powyborcze sondaże na Słowacji okazały się błędne.

Híradó, portal węgierskich mediów publicznych, jedynie lapidarnie poinformował swoich czytelników, że wybory wygrał PiS. Nie podał przy tym kontekstu zwycięstwa. A jeszcze krótki materiał zilustrował zdjęciem głosującego Lecha Wałęsy. Fotografii nie podpisano, więc czytelnik mógł odnieść wrażenie, że to portret przypadkowego Polaka z wąsem, który oddaje głos. ■

# Wyszło na dobre

Rozmowa z prof. Przemysławem Sadurą o tym, dlaczego PiS realnie przegrał wybory, jak będzie powstawał nowy rząd oraz co może i co powinna zrobić teraz obecna opozycja.

**ŁUKASZ LIPIŃSKI: – Rozmawialiśmy przed tygodniem, kiedy zwycięstwo opozycji, zwłaszcza w tej skali, wydawało się mało realne. PiS wygrał te wybory, ale przegrał. Odda władzę?**

**PRZEMYSŁAW SADURA: –** Spodziewamy się wszyscy, że prezydent powierzy najpierw tej partii misję tworzenia rządu. Ale to nie będzie raczej służyło temu, żeby tworzyć jakąś większość, ale temu, żeby troszeczkę zyskać na czasie. Tłuste koty potrzebują chwili, żeby spakować kuwety. Dodatkowy miesiąc to nie tylko jeszcze jedna pensja dla wszystkich, którzy są zatrudnieni w spółkach Skarbu Państwa – jak to przemnożymy przez liczbę zatrudnionych pisowców i krewnych, to wychodzi duża kwota. Chodzi o to, żeby spalić papiery, które powinny być spalone, wykonać ostatnie przelewy, a potem dopiero przeprosić i spadać.

Dla mnie najważniejszym wydarzeniem wieczoru wyborczego było przemówienie Jarosława Kaczyńskiego, a konkretnie jedno zdanie, w którym dopuścił przejście PiS do opozycji. Przed tym przemówieniem powiedziałbym pewnie, że będą próby przeciągnięcia struny, sprawdzania, gdzie są granice cierpliwości społeczeństwa czy sojuszników międzynarodowych.

Kaczyński wysłał sygnał także do różnych środowisk w ramach Zjednoczonej Prawicy, żeby nie próbowały na własną rękę podważać tego wyniku. Możemy się spodziewać, że to będzie przekazanie władzy w bardzo złym stylu, a jeśli się da opóźnić, to będzie opóźniane, nowy rząd od samego początku będzie się musiał liczyć z opozycją, która neguje wszystko. Ale raczej nie będziemy mieli żadnego Majdanu czy szturm na Kapitol, jakiejś próby podważenia wyniku wyborów.

**Co się stało, że PiS przegrał? Rozmawialiśmy o tym przed wyborami: miał ogromną przewagę**





**logistyczną i finansową: cały aparat państwa, spółki, telewizję publiczną, pseudoreferendum, ceny paliw i stopy procentowe... Boisko było wyraźnie przechylone.**

Na jednym poziomie to kwestia słabej kampanii. Zaserwowano nam najrozmaitsze dania, ale wszystkie były odgrzewane. Tam nie było żadnego nowego pomysłu. Jedyna rzecz, która była nowa, ale zgapiona od Viktora Orbána, to zorganizowanie referendum równoległe do wyborów. PiS nie przewidział, że wybuchnie afery wizowa, która podważy całą ideę referendum. Dostyc szybko je więc odpuścili, wykorzystując tylko to, że środki na promowanie referendum mogli wykorzystać na kampanię. Ale nie było na nią żadnego świeżego pomysłu, to nic nie dało.

PiS po raz trzeci próbował wygrać tym samym, czyli programem 500 plus. A my ze Sławomirem Sierakowskim przed publikacją książki „Społeczeństwo populistów” jeden z naszych raportów zatytułowaliśmy „Koniec hegemonii 500 plus”. Badania już dwa lata temu pokazywały, że dało się wygrać tym programem za pierwszym razem, jako obietnicą; dało się za drugim razem, strasząc, że opozycja to odbierze; ale trzeci raz to już nie przejdzie.

**Czy poparcie dla PiS zacznie teraz się kruszyć? Jeśli wypuści z rąk władzę, utraci nimb partii skutecznej, niepokonanej.**

Oby. Ale z drugiej strony przed popadaniem w przesadny optymizm powinna nas chronić sytuacja ekonomiczna, w jakiej opozycja demokratyczna przejmuje władzę – jest być może najgorsza od lat 90. Skala zadłużenia może okazać się tak duża, że z nostalgią wspomnimy słynną „dziurę Bauca”.

To nie będzie łatwa kadencja. Najpierw prawie dwa lata z prezydentem, który raczej będzie torpedował wszelkie wysiłki opozycji, żeby zmieniać prawo. Instytucje, spółki Skarbu Państwa, wszystko jest poobsadzane przez PiS i trzeba będzie stopniowo prowadzić wymianę kadrową, to będzie trwało i trwało. Ciągłe jest wysoka inflacja, nie bez powodu Polacy się w tych dniach

rzucili, żeby wykupić resztki taniego paliwa, bo wiedzą, że będziemy wkrótce płacić za wszystko więcej. A od pewnego momentu to już będzie zapisywane w bilansie nowego rządu.

Oczywiście nowy rząd będzie o wszystko obwiniał PiS i przez długi czas słusznie. Ale przez te cztery lata trzeba wyprowadzić Polskę z trudnej sytuacji, nie popełniając tych błędów, które zdarzało się popełniać partiom dotychczasowej opozycji demokratycznej. Nie można przerzucić wszystkich kosztów na tych, którzy są nieuprzywilejowani, trzeba się w sposób solidarny podzielić tym trudem.

**Dla opozycji pierwszym wyzwaniem będzie stworzenie nowego gabinetu bez gorszących sporów. Rząd będą tworzyły trzy koalicje.**

Nadzieję daje tu zmiana zachowania liderów opozycji w ostatnich tygodniach kampanii. Pokazali społeczeństwu, że choć nie udało się stworzyć wspólnej listy, to wypracowali w końcu jakiś pakt o nieagresji, porozumienie o regułach *fair play*. Podczas Marszu Miliona Serc liderzy partii pozdrawiali się nawzajem i pokazywali, że łączą ich wspólna sprawa. Udało im się przekonać społeczeństwo, żeby dało im szansę – to jest dobry prognostyk.

Mniej się boję momentu wyłaniania wspólnego rządu, problemy będą narastać później. Im bliżej kolejnych wyborów, tym myślenie kategoriami własnej partii może zacząć przeważać. Także rządzenie może napotykać problemy, zobaczymy również, jak pójdą kolejne głosowania. Czekaj nas trójkosk – w przyszłym roku najpierw wybory samorządowe, a potem europejskie, a za niecałe dwa lata – wybory prezydenckie. Kampania i wyniki tych wyborów będą bardzo mocno wpływały na nastroje w rządzie i na charakter współpracy między partiami.

Ich rzeczywistość jest więcej niż te trzy komitety, które teraz startowały. Z punktu widzenia socjologii i politologii nie jest łatwe dogadanie się w tyle ugrupowań i stworzenie stabilnego rządu, który nie tylko dotrwa do końca kadencji, ale też w dobrej kondycji przekona wyborców do tego, żeby mu przedłużyli mandat.

**Co będzie robił Andrzej Duda? Będzie współpracował z rządem, jak zapowiadał Donald Tusk? A może będzie twardo wetował wszystko jak leci? Albo – to scenariusz pośredni – będzie kluczył?**

Dotychczasowa postawa prezydenta każe włożyć między bajki ten pierwszy scenariusz, optymistyczny – że Duda się nagle wybił na niezależność. Realne są scenariusze drugi i trzeci, a prawda będzie gdzieś pośrodku: między pełnym podporządkowaniem się Nowogrodzkiej a jakimś kluczeniem i negocjowaniem z nowym rządem.

**A jak rząd będzie działał przez dwa lata z zapewne wrogim prezydentem? Dużo można zrobić bez ustaw: wymienić pisowskie kadry w instytucjach i odbudowywać kompetentną służbę cywilną, podobnie w spółkach, służbach specjalnych, wojsku czy policji. A także w mediach publicznych czy prokuraturze.**

Tylko że to będzie trwało: wypowiedzenia, trzeba zrobić nową rekrutację, rzeczywiście wyłonić fachowców, dać im czas, żeby przejęli obowiązki. PiS szykuje się na scenariusz, w którym nie podważy początkowo wyniku wyborów, ale potem odpali narrację o skradzionych wyborach. Już to obserwowaliśmy wiele razy, np. w kwestii strategii wobec katastrofy smoleńskiej. Po tych wyborach nie skończy się w Polsce populizm, chociaż tego chcielibyśmy.

**Koalicja Obywatelska lekko przekroczyła oczekiwany wynik, a jednocześnie pozostała liderem opozycji, co dwa lata temu nie było przesądzone. Tusk wykonał swoją robotę.**

Wykonał, nawet jeśli dostał zadyszki na ostatniej prostej w tzw. debacie zorganizowanej przez telewizję rządową. Ale nic złego się nie stało, to nawet dało przestrzeń przedstawicielom ▶



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ



► pozostałych opozycyjnych komitetów, żeby powalczyć o swój wynik. Szymon Hołownia zrobił to znakomicie, część nadspodziewanie dobrego wyniku Trzeciej Drogi to może być efekt debaty.

Jednak to postawa Tuska przez cały ten długi czas od jego powrotu do krajowej polityki, ten brak wahania w przyjęciu pozycji lidera, jego charyzma, doświadczenie, często jego intuicja, ale i głos doradców, pozwoliły doprowadzić Koalicję Obywatelską i całą demokratyczną opozycję do zwycięstwa. Były oczywiście potknięcia, ale zwycięzców się nie sądzi. Na dziś wyszło to Polsce na dobre.

**Trzecia Droga osiągnęła wynik lepszy od oczekiwań. To efekt dobrej postawy Hołowni w debacie, ale też głosowania taktycznego części wyborców opozycji, którzy obawiali się o to, czy ta koalicja przeskoczy 8-proc. próg?**

Gratuluję Trzeciej Drodze. Gdyby to było kilka punktów procentowych mniej, to do ostatniej chwili byłyby obawy i wątpliwości. Przy okazji, gdy mówimy o taktycznym głosowaniu, to trzeba docenić postawę społeczeństwa, elektoratu opozycji. To nie była tylko moda na turystykę wyborczą, wyborcy od jakiegoś czasu kalkulują, są dobrze poinformowani. A przynajmniej mamy sporą grupę, która wiedziała o tym, że ich decyzja ma znaczenie: gdzie się zgłasza i na kogo. Ważna była też solidarność partii opozycyjnych, przynajmniej na ostatniej prostej. Nie doszło do tego, czego się obawialiśmy: bezwzględnej rywalizacji o opozycyjnego wyborcę, bo nie można było liczyć na znaczące przepływy między społeczeństwem PiS i opozycji demokratycznej. Przykro tylko, że wynik Lewicy nie jest tak korzystny.

**No właśnie. Lewica z jednej strony będzie zapewne współpracować, ale z drugiej od 2019 r. utraciła jedną trzecią wyborców.**

Lewicę czeka duża i poważna wewnętrzna dyskusja i refleksja. Powinny ją też czekać zmiany liderów, zmiany dotyczące strategii na nadchodzące wybory i tworzenie wizji tego, jak wykorzystać te cztery lata współzależności. Nie chciałbym się teraz zajmować kopaniem leżącego, tym bardziej że nie jest tak, iż Lewica leży. Stoi, jest osłabiona, nie tylko nie zyskała, ale straciła w stosunku do poprzednich wyborów, ale bez niej nie mielibyśmy szans na odebranie władzy PiS.

Jednocześnie ten wynik jest czymś więcej niż żółtą kartką dla dotychczasowych liderów i sposobu mobilizowania wyborców, a przede wszystkim wyborczyń. Brak odwagi w podjęciu decyzji, że wpływ na lewicę należy oddać młodym polityczkom, to część wyjaśnienia tego słabszego wyniku.

**Największą niespodzianką jest chyba Konfederacja, która na ostatniej prostej prawie spadła pod próg.**

Szkoda, że tylko prawie. Konfederacja wiedziała, że Janusza Korwin-Mikkego trzeba trzymać w piwnicy, ale nie sprawdziła, czy on do tej piwnicy nie przemyca kamery.

Wyborcy zorientowali się, że Konfederacja to nie tylko obietnica niższych podatków, ale też inne rzeczy, które tym młodym ludziom nie mieściły się w głowach. Konfederacja zaniepokojona spadkiem w sondażach dopaliła te swoje stałe elementy programu i wystraszyła do reszty nowy potencjalny elektorat. Zostali z tymi, którzy na nich i tak zawsze głosują.

To rewelacyjna wiadomość, ale na dłuższą metę część polityków obecnej Konfederacji policzy sobie ten wynik wyborczy, porówna go z najlepszym momentem w sondażach i zmieni agendę. Spodziewam się, że w tym miejscu może wyrosnąć bardzo niebezpieczna partia ponowoczesnego populizmu. Oparta na hasłach darwinizmu społecznego,

ale bardziej dopasowanego do kwestii światopoglądowych ważnych dla młodych.

**A skąd ta rekordowa frekwencja? Jeszcze półtora tygodnia temu sondaże zapowiadały dużo niższą.**

Spodziewaliśmy się wysokiej frekwencji, ale skala tego rekordu to coś zastanawiającego. To pokazuje, że jesteśmy wciąż w tym samym trendzie, który notujemy od 2005 r., kiedy frekwencja była rekordowo niska. To był moment, kiedy skończył się pierwszy okres transformacji oparty na konsensie elit politycznych, trochę ponad głowami obywateli.

Politycy zdecydowali się wtedy na wprowadzenie coraz silniejszych emocji, negatywnych, postawiono na polaryzację. Ten charakter coraz bardziej emocjonalnej walki, manichejskich podziałów, moralnych narracji walki dobra ze złem, zaczął rządzić w polityce i rządzi do tej pory. Rozgrzane do czerwoności emocje wyciągnęły ludzi z domów, niektórych po raz kolejny, a innych po raz pierwszy. Zobaczmy, jak ten trend przełoży się na jakość demokracji. Do tej pory niska frekwencja była wskazywana przez wielu jako jeden z głównych problemów polskiej demokracji. Jeśli do wyborów szło 40 proc. obywateli, to większość uważała, że nie ma wpływu. Ale przez ostatnią dekadę nie widzimy, żeby ten przyrost frekwencji wpłynął na jakość polskiej demokracji.

**Zmobilizowali się młodzi oraz szczególnie pokolenie 50-latków. Za to generacja 60+, popierająca mocno PiS, tym razem wypadła słabiej.**

Dobra wiadomością jest to, że o wyniku wyborów przesądziła m.in. mobilizacja młodych. Frekwencja wśród wyborców przed 30. rokiem życia była wyższa niż w elektoracie 60+, a do tego młodzi kompletnie odwrócili się od PiS. Z wzajemnością zresztą. PiS tym razem nawet nie próbował udawać, że ma coś do zaproponowania młodym.

Ostatnie cztery lata to pandemia i lockdowny, które uderzyły w styl życia młodych. To wyrok Trybunału Konstytucyjnego i protesty Strajku Kobiet, które wyprowadziły na ulice setki tysięcy młodych ludzi. Hasło \*\*\*\*\* stało się wyrazem emocji tego pokolenia. Chociaż zwycięstwo opozycji to liczbowo bardziej efekt mobilizacji 40- i 50-latków niż młodszych pokoleń, to sam fakt, że młodzi nie zostali w domach, zdecydowali się warunkowo zaufać opozycji, jest bardzo ważne jako prognostyk. Niezależnie od sytuacji gospodarczej nowy rząd musi pamiętać nie tylko o prawach kobiet, ale także o potrzebach młodszych pokoleń.

**Czy te wybory przyniosą nam mentalny przełom, zmianę nastroju, do jakiej może doprowadzić sama zmiana władzy? Czy nowy rząd może liczyć na miesiąc miodowy?**

Nie ma mowy, nie ma takiej możliwości. Bardzo bym chciał ogłosić, że 15 października 2023 r. skończył się w Polsce populizm, ale byłyby to gest populistyczny właśnie. Zdajemy sobie sprawę, że populizm co najwyżej wkroczy w nowy etap. Mobilizacja populistyczna po stronie nowej opozycji, czyli dotychczasowego obozu rządzącego, będzie jeszcze silniejsza niż dotąd.

Co więcej, dzisiejsza opozycja demokratyczna wygrała te wybory m.in. dzięki zmianie strategii prowadzenia kampanii i założeniu populistycznego kostiumu. Teraz powinna niektóre obietnice wyborcze spełniać, żeby nie stracić poparcia, a jednocześnie musi stopniowo ten kostium z siebie zdejmować. Bo inaczej za parę lat okaże się, że nie zmieniło się tak dużo, ile byśmy chcieli.



Prof. UW dr hab. **Przemysław Sadura**, szef Katedry Socjologii Polityki na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, kurator instytutu badawczego „Krytyki Politycznej”, autor licznych publikacji naukowych i raportów, a ostatnio ze Sławomirem Sierakowskim książkę „Społeczeństwo populistów”.

© LESZEK ZYCH

ROZMAWIAŁ ŁUKASZ LIPIŃSKI



© WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Od lewej: szef Sztabu Generalnego gen. Rajmund Andrzejczak oraz dowódca operacyjny Rodzajów Sił Zbrojnych gen. Tomasz Piotrowski.

# Weto generalne

Najwyżsi rangą wojskowi powiedzieli „dość” stylowi zarządzania wojskiem przez Mariusza Błaszczaka. Na finiszu kampanii wymierzyli cios w narrację PiS o wysokim bezpieczeństwie Polaków.

# N

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

agle, tuż przed wyborami i na wiele miesięcy przed upływem ich kadencji, polska armia straciła dwóch z trzech najważniejszych dowódców. Tego najwyższego, szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, gen. Rajmunda Andrzejczaka i tego „od wojny”, dowódcę operacyjnego, gen. Tomasza Piotrowskiego.

Stanowiska opuścili w solidarnym geście i w proteście przeciwko ministrowi obrony Mariuszowi Błaszczakowi i jego polityce. Takiej demonstracji jeszcze nie było, konflikt wokół wojska wszedł na nowy poziom. Przedwyborczy kontekst dodał siły temu wotum nieufności, bo tym razem to generałowie wykonali atak wyprzedzający i zaskoczyli polityków. Jak przy wcześniejszych sytuacjach naruszenia poczucia bezpieczeństwa, władza najpierw kilka godzin milczała, potem przyjęła taktykę „Polacy, nic

się nie stało”. Wrażenie normalności i rutyny miało przywrócić mianowanie następców tego samego dnia.

Ale normalne i rutynowe nie było. Andrzej Duda nawet nie podziękował generałom, których wcześniej dwukrotnie wyznaczał na stanowiska i jeszcze niedawno bronił w konflikcie z MON. Nie zachekał aż odwoływany szef sztabu wróci z zagranicy. Wyraźnie urażony, szydził, że widocznie nie wszyscy są gotowi udźwignąć historyczną modernizację wojska. Komentarz Błaszczaka był przewidywalny: to odchodzący oficerowie próbowali upolitycznić wojsko i wprowadzali w jego szeregach chaos. W zaledwie kilka godzin polska armia straciła w wielu wymiarach, a relacje polityczno-wojskowe osunęły się kilka piętér w dół, choć wydawało się, że gorzej być już nie może.

Odchodzący generałowie dawali Polsce w ostatnich miesiącach i latach poczucie profesjonalizmu, rozwagi i stabilności wobec mnożących się kryzysów, chaosu politycznego i wojennego zagrożenia. Oficerowie doceniani w NATO, cieszący się zaufaniem i wciąż mający wśród sojusznicznych generałów wielu towarzyszy broni z misji w Afganistanie i Iraku. Co ważne, opowiadali ►

► nam i światu polskie ambicje obronne bez politycznego zadęcia, i nie omijając oczywistych trudności demograficznych czy finansowych.

Zwłaszcza Andrzejczak, który ma naturę „zwierzęcia medialnego”, od wybuchu wojny był rozchwytywany przez zachodnią prasę i think tanki. Kontakty ułatwiała mu swoboda wypowiedzi po angielsku, wciąż nie tak powszechna w naszej generalicji. NBC, CNN, BBC – w opiniotwórczych stacjach zachodni szef sztabu wiele razy ratował sztywnego i unikającego wolnych mediów Błaszczaka. Gdy ostatni raz publicznie pokazał się na konferencji Warsaw Security Forum, jak zwykle brylował w panelach, ścisnął się z kolegami w natowskich mundurach, udzielał błyskotliwych wywiadów. Lekko zdziwił publiczność, gdy na jednej kolacji pojawił się w garniturze i zaczął coś opowiadać o emeryturze. – *Śluchało się tego dziwnie, ale nikomu nie zapaliła się czerwona lampka* – wspomina uczestnik spotkania, z transatlantyckiego think tanku.

Na WSF był i gen. Piotrowski. Choć nazywany bliźniakiem, charakterologicznie jest przeciwieństwem Andrzejczaka – flegmatyczny, powściągliwy, kostyczny. Nie tak sprawny medialnie, zjednywał słuchaczy konkretnym, jasnym językiem, bez upiększeń. Też nie dał poznać, że planuje odejść. Od czasu złożenia rezygnacji żaden nie zabrał głosu. Ponoć obiecali zwierzchnikom politycznym i sobie nawzajem dyskrecję do czasu zakończenia czynnej służby, czyli do końca stycznia. Na razie wciąż pozostają generalami Wojska Polskiego, chwilowo zajęci, jeszcze bardziej niż do tej pory, przekazywaniem obowiązków.

## Radość Błaszczaka

Dlaczego odeszli i dlaczego teraz? Początkowy szok wśród komentujących sprawę obronne byłych wojskowych zastąpiła refleksja, że dymisje były kwestią czasu. O tym, że iskrzy między MON a szefem sztabu i dowódcą operacyjnym, wiadomo było od dawna, nawet przed incydentem z rosyjskim pociskiem odnalezionym pod Bydgoszczą. Ale w maju Błaszczak zdecydował się publicznie zaatakować gen. broni Tomasza Piotrowskiego, na co ten odpowiedział własnym – dziwnym – oświadczeniem, a szef sztabu gen. Rajmund Andrzejczak przyszedł podwładnemu i przyjacielowi z odsieczą, zapewniając, że przełożeni zostali poinformowani o incydencie zaraz, gdy się wydarzył. Do dziś nie wiemy wszystkiego o tamtych zdarzeniach ani o przepływie informacji. Śledztwo prokuratury jest utajnione, a to daje MON wymówkę, by o nim nie mówić. Postępowanie NIK też nie wyświetliło detali.

Zostaliśmy ze świadomością konfliktu, choć bez rozwiązania. Od tego czasu jednak były sygnały o normalizacji, spór o „ruską rakietę” wydawał się załagodzony. Piotrowski miał na głowie wielkie, wieloetapowe ćwiczenia Anakonda, Andrzejczak reprezentowanie Polski na szczycie powiększonego NATO. Jeśli myśleli o rezygnacji, nie skorzystali z okazji, by odejść bez dramaturgii i nieuchronnych spekulacji, że ich gest ma bezpośredni związek z wyborami. W końcówce kampanii ich milczące weto zagłuszyło paplaninę MON o Abramsach, HIMARS-ach i Apaczach.

W internecie zaroilo się od oskarżeń o jakiś spisek z opozycją, a także od domysłów, że generałowie próbowali powstrzymać plan PiS, by „wyprowadzić wojsko na ulice”. Atmosferę podgrzał Donald Tusk, informując w skierowanym do żołnierzy orędziu o odejściu dziesięciu oficerów z dowództwa generalnego. Przez chwilę zrobiło się naprawdę nerwowo. Ale rzut oka w przepisy i na kalendarz pozwala ochłonać: czas wypowiedzenia zawodowej służby wojskowej skrócono z sześciu do trzech miesięcy i by najkorzystniej na tym wyjść, papiery składa się w październiku, a mundur zdejmuje z końcem stycznia. Najwyżsi rangą generałowie, których odprawy liczą setki tysięcy złotych, nie muszą tak kalkulować, ale

zwykli oficerowie to robią. Warto pamiętać, że w ubiegłym roku z armią pożegnało się kilkanaście tysięcy żołnierzy.

Zdaniem byłego szefa BBN gen. brygady prof. Stanisława Kozieja rozżalenie i wściekłość powróciły, gdy Błaszczak i PiS zdecydowali się ujawnić i zdeprecjonować w ramach wyborczej walki plany obronne sprzed dekady, w których przygotowaniu uczestniczyli oficerowie z obu dowództw. Wskazywana w dokumentach jako ostatnia rubież samotnej obrony manewrowej linia Wisły stała się w partyjnej propagandzie „linią Tuska” i przypisanej mu zdrady. Tyle że za tym najgorszym scenariuszem, na który wojsko ma obowiązek się przygotowywać, stały analizy i rozwiązania opracowywane przez planistów wojskowych, a nie polityków opozycji. Według Kozieja użycie dla politycznego zysku pracy oficerów Sztabu Generalnego i innych dowództw Andrzejczak uznał za zniewagę nie tyle osobistą, co wobec instytucji ze stuletnią tradycją.

Bliski niegdyś generałowi ekspert uważa, że impulsem mogła być inna sytuacja z ostatnich dni. Chodzi o ewakuację Polaków z Izraela, zarządzoną przez Błaszczaka i sprawnie przeprowadzoną rękami dowództwa generalnego, a nie operacyjnego, mimo że to ono do tej pory odpowiadało za zagraniczne kontyngenty i operacje. Umiejące czytać niuanse procedur wojsko dostrzegło pominięcie dowódcy operacyjnego i szefa sztabu. – *Na pewno doszło do despektu, a mogło dojść do złamania przepisów. Wobec tego Andrzejczak powiedział „basta”, a Piotrowski podążył za nim, jak robił to wiele razy* – ocenia długoletni rozmówca i znajomy generała.

Zagrać też miała osobowość. Apodyktyczność, wybuchowość i generalnie trudny charakter Andrzejczaka potwierdzają niemal wszyscy jego byli współpracownicy. Przychylni mu widzą w tym wodzowską charyzmę, dominację „samca alfa”, przewodnika wojskowego stada. Ale inni żartują, a nawet wykpiwają jego zamiłowanie do cygar i przedwojennej kawalerii (w gabinecie przy Rakowieckiej trzyma siodło, a na ścianie ma mapę ułańskich pułków II RP). Tak, w wojsku i w MON nie brakuje takich, którzy na wieść o odejściu Andrzejczaka trochę odetchnęli, a trochę się ucieszyli. Najbardziej ucieszył się minister Błaszczak.

## Generał lata

Sytuacja powszechnie oceniana jako kryzys relacji polityczno-wojskowych, stała się nieoczekiwanym sukcesem Błaszczaka. Od miesięcy bezskutecznie próbował wysiadać niewygodnych i niepokornych generałów, aż w końcu ich rezygnację dostał w prezencie. Urażony brakiem uprzedzenia i zaskoczony chwilą ich odejścia prezydent Andrzej Duda nie walczył o żadnych nowych „swoich”. Zresztą nikt nie próbował nikogo zatrzymać.

W sytuacji przedłużającego się konfliktu między MON a Sztabem Generalnym i dowództwem operacyjnym żadna instytucja nie okazała się zdolna do jego rozwiązania. Ani KPRM, ani MON, ani Sztab Generalny, ani BBN, ani sejmowa komisja obrony nie podjęły na serio mediacji. Bardzo źle świadczy to o ich politycznej woli, praktycznych możliwościach i o całym instytucjonalnym systemie, od którego ma niby zależeć strategiczna stabilność Polski. A że bezpieczeństwo nie znosi pustki, gdy tylko powstały wakaty, do gry wkroczył Mariusz Błaszczak i zgarnął całą pulę.

Na najwyższe stanowiska minister wypromował oficerów, którzy zawdzięczają mu niemal wszystko i na których lojalność może liczyć. Generał broni Wiesław Kukuła to przykład najbardziej spektakularnej kariery wojskowej ostatnich ośmiu lat. Pewnie nie byłaby taka, gdyby nie decyzje polityczne, w które oficer ten się doskonale wpassował i które wykorzystał tak dla siebie, jak i dla swoich projektów. Drogę do generalskiego wężyka otworzył niezbyt wcześniej znanemu pułkownikowi z wojsk specjalnych Antoni Macierewicz, powierzając mu utworzenie Wojsk Obrony



© FILIP NAJMIENKO/REPORTER

Od lewej: gen. Wiesław Kukula, który zastąpi gen. Andrzejczaka, oraz gen. Maciej Klisz, który przejmie stanowisko po gen. Piotrowskim.

Terytorialnej, niezależnych wówczas (i do tej pory) od reszty armii i podległych bezpośrednio MON. Projekt okazał się propagandowym sukcesem, pierwszym mitem założycielskim nowej armii według PiS. Z osiągnięciem celów liczebnych i szkoleniowych było co prawda gorzej, ale WOT okazał się bardzo przydatnym narzędziem w czasie rozmaitych kryzysów: powodzi, pandemii, migracyjnej presji na granicę.

Na tej fali Kukula od Błaszczaka dostał dwa kolejne awanse i już jako generał broni od tego roku został jednym z trzech najważniejszych ludzi w armii, dowódcą generalnym. Ale awans na szefa Sztabu Generalnego przyszedł dla niego samego nieoczekiwanie. „A już zaczynało mi się podobać w DGRSZ.” – napisał mi wieczorem po nominacji. Dzień później u boku Błaszczaka na poligonie kreślił piramidę dziejowej transformacji wojska: „Na wierzchołku znajdują się ludzie i struktury, które tworzymy, w dolnej krawędzi znajduje się wyposażenie i system szkolenia. Wszystko spajamy budowaniem zdolności i kultury do zwyciężania – przeznaczeniem naszych żołnierzy nie jest bohaterska śmierć, lecz zwyciężanie”. Kukula niewątpliwie „ma gadane”. W przemówieniach i wywiadach sprawnie ubiera cenione przez PiS wartości patriotyczne i narodowe w język nowoczesnego dowódcy, nie stroniąc od amerykańskich zapożyczeń. Wobec podwładnych skraca dystans, lubi być blisko. Brat łąta nawet dla szeregowca, mimo że generał. Nie wszyscy jednak to kupują.

– Kukula nie dowodził niczym poza batalionem wojsk specjalnych i nie ma kwalifikacji na najwyższe stanowiska – surowo podsumowuje karierę generała jeden z wysokiej rangi oficerów. Od innego generała z obiecującą karierą wyszłą kategoryczną deklarację, że nie obejmie żadnego stanowiska bezpośrednio podlegającego Kukule. Nieufność kolegów w mundurach wynika nie tylko z zawiści o ekspresowe awanse i bliskość ucha ministra czy prezydenta.

## Na głębokiej wodzie

Kukula nie wszedł na szczyt armii po drabianie stanowisk dowódczych i sztabowych w kraju i za granicą, uznawanej do tej pory za obowiązkową przepustkę do sztabu przy Rakowieckiej. Do MON i do WOT trafił wprost z Lublińca, gdzie wykształcenie łącznościowca łączył z doświadczeniem komandosa. Nie dowodził brygadą ani dywizją, nie był na zagranicznych studiach ani na eksponowanym stanowisku w NATO. Kurs generalski w Akademii Sztuki Wojennej odbył zaocznie, bo tak kazał Macierewicz. Z dużymi strukturami zetknął się dopiero, gdy stanął na czele WOT, w dowództwie generalnym był krótko. Ale na przykład gen. Mieczysław Gocuł też nie był dowódcą dużych jednostek, a jako szef sztabu się sprawdził. To jedno z tych stanowisk, które w dużym stopniu kształtują człowieka, nie na odwrót.

Kukula dał się poznać jako sprawny organizator, szybki w działaniu dowódca, otwarty na innowacje i sam ich szukający. W WOT otaczał się młodszy pracownikami i wprowadzał

wiele rozwiązań rodem z cyfrowej rzeczywistości. Zanim odszedł z DGRSZ, zainicjował projekt Awangarda, mający w założeniu „kruszyć wojskowy beton”. Akcja zyskała tyleż aplauzu co krytyki.

Nowy dowódca operacyjny generał dywizji Maciej Klisz nie ma statusu wojskowego celebryty jak Kukula, choć ma lepsze od niego wojskowe wykształcenie, na koncie więcej misji i zagraniczne stanowiska. Naszywka Rangera na rękawie świadczy, że to żołnierz z krwi i kości. Ale dowództwo operacyjne to dla niego nowość i przyspieszona nauka. Na szczęście zdjęci ze stanowisk generałowie nie trzasnęli drzwiami ani się nie rozchorowali. Piotrowski służy radą Kliszowi na Bemowie, Andrzejczak wyklada Kukule szefowanie na Mokotowie. Chcą pokazać klasę, ale czy komitetywa na zdjęciach zatrze złe wrażenie?

## Kadrowe karuzele

Główna obawa przed nowymi porządkami dotyczy dominacji WOT i wojsk specjalnych na szczytach armii oraz właściwego tym formacjom podejścia, które niekoniecznie pasuje do realiów tradycyjnej wojny lądowo-powietrznej. To, że dowódcy ściągają zaufanych ludzi, jest normą. Była w wojsku dominacja 11. „Czarnej” Dywizji z Żagania (charakterystyczne czarne naramienniki), z generałami Andrzejczakiem i Piotrowskim nastąpił desant ze szczecińskiej dwunastki, a Błaszczak bardzo promował oficerów 16. Dywizji z Mazur i powołanej przez siebie Żelaznej z Siedlec. Teraz nadejdzie pora na Lubliniec i Zegrze, gdzie najdłuższą służbę obaj nowi dowódcy.

Druga obawa dotyczy styku wojska i polityki. W sytuacji, gdy awansowani zostali ludzie bliżsi Błaszczakowi, między MON a sztabami spadnie napięcie. Ale może to być ulga chwilowa, bo powstaje pytanie, jak nowo powołani dowódcy odnajdą się w sytuacji zmiany władzy i co z nimi zrobi rząd wyłoniony przez dotychczasową opozycję. Czytelnicy POLITYKI mają tę przewagę nad autorem tego tekstu, że znają już oficjalny wynik wyborów, ale przewaga demokratycznej opozycji, jaką uwidoczniły exit polle, stwarza perspektywę zmiany w MON najdalej w grudniu.

Nowy minister z nowym premierem będą koegzystować z dotychczasowym prezydentem, a bez jego zgody zmiany w wojsku będą utrudnione. Kartą przetargową w negocjacjach może być ustawa likwidująca dowództwo operacyjne i generalne, na której zależy Andrzejowi Dudzie. Powołanie w ich miejsce dowództwa sił połączonych i odtworzonych dowództw poszczególnych rodzajów wojsk będzie okazją do głębokiej wymiany kadr, bo chodzi o kilkuset pułkowników i generałów. W skrajnym przypadku PiS może próbować to zrobić w okresie oddawania władzy.

Wyrażany na finiszu kampanii brak zaufania do decyzji kadrowych Błaszczaka i Dudy był zrozumiały, ale perspektywa kolejnej wymiany dowódców to co innego. Kadrowy odwet wzbudziłyby furię PiS – a to będzie na serio totalna opozycja – i byłby źle odebrany w NATO, jako kolejny przewrót po niespodziewanym odejściu cenionych generałów. Gdzieś w korytarzach opozycji słychać więc opcję przywracania odwołanych na stanowiska. Mówi się nawet o powrocie do służby generałów zmuszonych do odejścia we wcześniejszych latach rządów prawicy. Takie decyzje będą musiały poczekać na ustabilizowanie się nowego układu władzy i wyłonienie kierownictwa MON, podczas gdy armia musi być dowdzona, bo Polska innej nie ma. Nawet jeśli PiS utrzyma rząd, nowy układ personalny może nie być trwały. Prezydentowi zależy na przeforsowaniu ustawy likwidującej dowództwo operacyjne i generalne, a zastąpieniu ich dowództwem sił połączonych i odtworzonymi dowództwami poszczególnych rodzajów wojsk. Dla PiS będzie to okazją do kolejnej głębokiej wymiany kadr, bo chodzi o kilkuset pułkowników i generałów.

MARK ŚWIERCZYŃSKI



Na Wschodnią dociera „medibus”, którym organizacje ewakuują z Ukrainy najczęściej chorych. Na fot. od lewej: Rastislau Permiakou, pacjentka z Charkowa, i Jacek Ostaś. Poniżej: uchodźcy jadą do Danii. Na fot. Kajetan Wróblewski (z podniesioną ręką), koordynator z Asymetrystów.

# Słońce zachodzi na Wschodniej

Jak się pomaga uchodźcom z Ukrainy, gdy mało kto już im pomaga. A rządzący wręcz ostentacyjnie od takiej pomocy się odcinają. Padają kolejne miejsca pomocy Ukraińcom.

MARTA MAZUŚ

**N**

ic nie jest dane na stałe, tylko na okres trwającego konfliktu zbrojnego i przepisy po prostu wygasną na początku przyszłego roku – powiedział rzecznik rządu Piotr Müller, zapytany 18 września w wieczornym programie telewizyjnym o wsparcie dla obywateli Ukrainy w Polsce.

Dokładnie w tym samym czasie, w dwóch białych namiotach przy Dworcu Wschodnim w Warszawie, grupa wolontariuszy czekała na autokar z 49 ukraińskimi uchodźcami z terenów przyfrontowych, którzy około południa wyjechali ze Lwowa i już za kilka godzin pojawią się na peronie 5. To oni jeszcze tu docierają? – pytają często wolontariuszy zdziwieni Polacy. Bo skąd niby mają wiedzieć? Już nie ma komitetów powitalnych na granicach, brak relacji na żywo w telewizji. Już mało tego obchodzi, już



nie ma pieniędzy. Ale uchodźcy z Ukrainy, w tym ci uciekający spod rosyjskiej okupacji, na Dworzec Wschodni w Warszawie cały czas przyjeżdżają.



Ucieczka zaczyna się od zgłoszenia przez internet i dalej też wszystko odbywa się zdalnie. Wypełnia się wniosek, przychodzą instrukcje – gdzie się przedostać, gdzie trzeba czekać. Na terenach tuż przy froncie albo terenach okupowanych nie ma innego sposobu. Trzeba zachować czujność. Uważać muszą wolontariusze rosyjscy, którzy przejmują uchodźców po rosyjskiej stronie granicy i dalej, przez Rosję, prowadzą ich w dwóch kierunkach – na Łotwę albo na Białoruś. Uważać muszą wolontariusze białoruscy, którzy dalej kierują ich do granicy z Polską, czasem muszą komuś załatwić wizę humanitarną, a czasem – tak też się zdarza – kogoś przez kilka dni przechować.

Aż w końcu wszyscy spotykają się w Warszawie. Samotni, chorzy, starszokwie, rodziny z dziećmi albo ci, których po prostu nie stać na samodzielny wyjazd. Pomagają im Rubikus – międzynarodowa sieć wolontariuszy, oficjalnie zarejestrowana w Niemczech, oraz Helping to Leave, organizacja ukraińska zarejestrowana w Czechach, które organizują i finansują z darowizn i zrzutek relokację ukraińskich uchodźców do europejskich krajów, przede wszystkim Norwegii, Danii, Finlandii, Niemiec i Holandii. W Polsce Rubikus i Helping to Leave też mają swoich wolontariuszy. A Warszawa to najdogodniejszy w regionie punkt tranzytowy – są tu dwa lotniska, pociągi i autobusy rejsowe w niemal każdym kierunku.

I to właśnie tu, do dwóch białych namiotów koło Dworca Wschodniego, niemal codziennie spływają te trzy potoki ludzi – ze szlaku białoruskiego, ze szlaku łotewskiego, ale też ci, którzy przedostają się z różnych części Ukrainy i tak jak dziś wieczorem, już za kilka godzin, przyjadą autokarem ze Lwowa.



– *Crossed the Polish border right now* – czyta na głos wiadomość z internetowego czatu, Kajetan Wróblewski, dziennikarz i aktywista, koordynator programu relokacji w fundacji Asymetriści. Bo to oni – czyli w sumie kilkanaście osób, które od początku wojny spędzają na dworcu więcej czasu niż we własnym domu – pomagają Rubikusowi oraz Helping to Leave w relokacjach uchodźców na Dworcu Wschodnim.

Trzeba się spieszyć. Dwóch chłopaków właśnie pojechało na foodsharing. Z zaprzyjaźnionych piekarni i kawiarni w różnych punktach Warszawy odbiorą za darmo to, co się nie sprzedało.

Trzeba przejrzeć listy pasażerów – kto jest do odwiezienia na lotnisko, kto kilka najbliższych nocy spędzi w pobliskim hostelu, a kto jutro o 4.27 wsiada w pociąg do Berlina. Tym zajmie się Piotr Grabowski – inny członek Asymetrystów. Przyjechał na Wschodnią od razu po pracy, zmienić swoją żonę Justynę (prezeskę fundacji), która tu była od rana. Razem z Kajetanem oraz Jackiem Ostasim, byłym menedżerem w korporacjach, przez cały dzień załatwiali, wozili, kupowali, kombinowali, uspokajali i tłumaczyli zdezorientowanym, szarym ze stresu twarzom, jakie są dla nich możliwości życia w różnych europejskich krajach. A w Polsce? Do pozostania w Polsce aktywiści z Dworca Wschodniego raczej uchodźców nie namawiają.



Wróblewski pokazuje dwa białe namioty przy dworcu, ogrodzone siatką, z budką ochroniarzy przy wejściu: – *To tylko jeden z przykładów, jak wygląda system przyjmowania i relokowania uchodźców ukraińskich przez Polskę. Tego systemu nie ma.*

*Wszystko oparte jest na grupach wolontariuszy i pojedynczych osobach, które jeszcze chcą tę sprawę wspierać.*

Namioty przy Dworcu Wschodnim to oficjalny, miejski punkt informacyjno-tranzytowy dla uchodźców z Ukrainy. Ostatni taki w Warszawie. Stworzony przez miasto (które udostępnia teren i płaci rachunki za media) oraz międzynarodową organizację humanitarną Norwegian Refugee Council. Jest tu niemal od początku wojny, od marca 2022 r. Jeszcze na początku lipca 2023 r. był tu również trzeci namiot, a w nim duża kantyna, gdzie uchodźcy mogli przyjść i zjeść coś ciepłego. Był punkt medyczny i kilkadziesiąt łóżek polowych, na których mogli spać, nawet przez kilka dni, przed wyruszeniem w dalszą drogę na Zachód.

Tego wszystkiego już nie ma. Nie ma prysznic, nie ma lodówki. Łóżka polowe schowano w magazynie. – *Statystyki przyjazdów spadają, pieniędzy brakuje* – tłumaczy Neil Brighton, przedstawiciel NRC w Polsce. Dla przyjeżdżających zostały darmowe przekąski w formie batona i musu owocowego, porady psychologiczne, kąpek z zabawkami dla dzieci, no i do odpoczynku po podróży 30 leżaków ogrodowych i 50 bankietowych krzesłek.

Dla Ludmiły to będzie już czwarta noc w namiocie przy dworcu. Ludmiła to 74-latką z Żytomierza, dumna posiadaczka Karty Polaka, w lekko przybrudzonych, domowych kapciach z puszkami, i ze źle zrośniętą w nadgarstku ręką. Już raz była w Polsce – 28 lutego 2022 r. przeszła pieszo przez polsko-ukraińską granicę. A potem na trzy miesiące trafiła do Kutna, do polskiej rodziny. Wróciła do siebie, bo wiadomo – nie ma jak u siebie. Chyba że brakuje ogrzewania i światła, a zaraz będzie zima. Ludmiła niby ma dwóch synów, ale nie wie dokładnie, gdzie oni teraz są. Więc znów jest w Polsce, sama. I dalej jedzie... – *Do jakiego miasta ja chcę?* – pyta pracownika z namiotu. – *Do Dębeego nad Zalewem Zegrzyńskim* – odpowiada pracownik. Ale tam miejsce dla niej zwolni się dopiero jutro. Na razie więc Ludmiła rozgląda się, czy nie znalazłoby się dla niej coś do jedzenia. Przez cały dzień nic nie jadła.



Teoretycznie Ludmiła mogłaby te cztery noce, zamiast na leżaku, spędzić w pobliskim hostelu, w pokoju z łóżkiem i łazienką, gdzie Rubikus we współpracy z organizacją Habitat for Humanity oraz UNHCR opłacają w sumie 98 miejsc dla uchodźców przejeżdżających przez Warszawę. Ale formalnie nie ma takiej możliwości – bo to są noclegi dla osób przyjeżdżających do Polski po raz pierwszy, a Ludmiła jest tu już po raz drugi. Asymetryści zaciskają zęby, ale nic nie mogą zrobić – takie są zasady. Oni są tu jedynie małą organizacją do pomocy, utrzymującą się z internetowej zrzutki i okazjonalnych grantów.

Zresztą przyjazdów na Wschodnią nadal jest tyle, że w hostelu i tak nie sposób wszystkich pomieścić. Jak podaje Agata Malec, koordynatorka Rubikusa w Polsce, ich transportami trafia do Polski średnio 2,5 tys. osób miesięcznie, ale np. w lipcu i sierpniu było to prawie 3 tys. osób, w związku z uciezkami z zalanych terenów po wysadzeniu przez Rosjan tamy w Nowej Kachowce.

A możliwości tymczasowych noclegów dla uchodźców nigdzie nie przybywa – wszędzie tylko się kurczą. Od czerwca 2023 r. nie działa już zarządzany przez wojewodę ośrodek recepcyjny na warszawskiej Białołęce, a pod koniec sierpnia 2023 r. zamknął się ten w Ptak Expo w Nadarzynie, również w wyniku decyzji wojewody. Z kolei pozostałe siedem mniejszych, prowadzonych przez samorząd, działających wciąż na terenie Warszawy, nie przyjmuje już nikogo nowego.

Są jeszcze rozsiane po całej Polsce tzw. ośrodki 40+, gdzie za pobyt osoby z Ukrainy właściciel dostaje 40 zł dziennie, ale wypłaty trwają tylko do 120 dni (z możliwością przedłużenia ▶

► dla osób niepełnosprawnych, kobiet w ciąży, emerytów i dzieci). Potem Ukrainiec 50 proc. kosztów opłaca już z własnej kieszeni (przepisy obowiązujące od 1 marca 2023 r., jak przekonywał rząd – mają sprzyjać usamodzielnianiu się uchodźców). No i jest jeszcze dodatkowa trudność – każdy ukraiński mieszkaniec musi mieć wyrobiony polski PESEL, żeby zostać przyjęty.

– *Ale skoro ktoś tu przyjeżdża najwyżej na kilka dni, a potem rusza dalej na Zachód, to po co mu polski PESEL?* – pytają Asymetryści.

Nie mówiąc o tym, że wielu uchodźców nie chce nawet słyszeć o wyrobieniu PESEL-u, bo boją się, że będą mieli z tego powodu trudności z wjazdem do innego kraju. Wtedy opcją dla nich są już tylko miejsca w zaprzyjaźnionym hostelu koło dworca. No ale znów – tam miejsc jest, ile jest, łóżek polowych ani wyżywienia pod namiotami na Wschodniej już nie ma, więc ośrodkami 40+ po prostu trzeba się wspomagać.

Dla Asymetrystów to dodatkowa robota, bo taką staruszkę czy wielodzietną rodzinę trzeba podwieźć do urzędu dzielnicy, zrobić zdjęcia (najlepiej za darmo, ale nie wszędzie się da), zawieźć do ośrodka, a potem, gdy już wyjadą, trzeba znów poinformować urząd, który wydał PESEL, żeby odhaczyli w systemie, że dana osoba nie korzysta już z ochrony czasowej w Polsce. Asymetryści zwracali się do warszawskiego ratusza z prośbą o stworzenie punktu szybkiego wyrabiania PESEL-u na Dworcu Wschodnim, ale ratusz nie wyraził zgody.

– *Na każdą osobę relokowaną mamy ściśle wyliczony budżet. Nigdy nie wiadomo, ile dokładnie dni taka osoba będzie musiała spędzić w Polsce, bo to zależy od wielu czynników – decyzji tych ludzi, które się zmieniają, miejsc w ośrodkach na Zachodzie, cen biletów lotniczych, promocji. Jeśli wydamy więcej na pobyt w Polsce, to potem mamy mniej na dalszą relokację* – tłumaczy Agata Malec z Rubikusa. I koło się zamyka.



Tymczasem na Wschodnią wracają chłopaki z jedzeniem z foodsharingu. Dzisiaj było dość słabo – tylko 24 kg kanapek, bułek, chlebów i sałatek. A bywały dni, że przywozili nawet 80 kilo. Na jedzenie rzuca się od razu romska rodzina, rzuca się głodna pani Ludmiła w kapciach z puszkiem. Justyna z Asymetrystów też się rzuca, bo musi odłożyć coś dla tych, co jeszcze dzisiaj przyjadą. Na szczęście darczyńca przysłał im do namiotów kurierem 80 papierowych kubków z makaronem błyskawicznym, więc jest się czym dzielić. Dwóch nastolatków z Krymu, którzy przed chwilą przyszedli na dworzec z hostelu, też chętnie zgarnia, co się da. Są tu sami, bo czekają na wyrobienie paszportu. Ich ciotka pojechała do Kijowa po dokumenty i wróci dopiero za parę dni.

– *Nie wiemy, czy uda nam się przebłągać konsulat ukraiński, żeby wydał paszporty. Są trudności z potwierdzeniem ich tożsamości w bazie danych, bo są z terenów okupowanych* – mruczy Wróblewski znad telefonu, bo co chwilę ktoś do niego dzwoni.

– *A gdzie właściwie jest Jacek?* – pyta nagle Kajetan. Był tu przez cały czas, a teraz zniknął, a przecież zaraz przyjedzie autokar. Jacek Ostas, były menedżer w korporacjach, po wybuchu wojny tak się wciągnął w pomoc Ukraincom, że teraz już nie pracuje, tylko jest wolontariuszem. Dawne przyzwyczajenia jednak mu pozostały – Asymetryści śmieją się, że funkcjonuje w trybach 36-godzinnych. Przez półtorej doby nie śpi, tylko jeździ, dzwoni, załatwia, a potem pada jak nieżywy.



Tymczasem Jacek niepostrzeżenie wymknął się do hostelu i jest u cioci Wali, w pokoju 208. Zaniósł jej jedzenie, bo ciocia Wala sama nie przyjdzie. Gdyby nie on, nikt by do niej nie zajrzał.

Bo ciocia Wala nie ma już nikogo. Ma 72 lata, jest ze Słowiańska i ledwo porusza się z balkonikiem. Pod stołem obok łóżka stoją trzy torby z ceraty z całym jej dotychczasowym życiem.

Jacek martwi się o ciocię Walę, bo w hostelu mieszka już 7 dni, a pobyt dla relokowanych ograniczony jest tu tylko do dwóch tygodni. Ale ciocię Walę ciężko jest relokować. Podobnie zresztą jak wszystkich chorych, rannych czy niepełnosprawnych, którzy jadą medbusem trasą Dniepropietrowsk – Charków – Kijów – Warszawa, i regularnie trafiają do nich na Wschodnią.

W niewielu krajach w Europie są ośrodki z odpowiednimi warunkami, przyjmujące niepełnosprawnych uchodźców. W Polsce nie ma obecnie żadnego. Najłatwiej jest w Danii, ale zaprzyjaźniony bus, który mógłby tam ciocię Walę dowieźć, akurat się zepsuł. Jacek próbował też załatwić jej coś w domu opieki w Hanowerze, ale trzy dni temu dostał wiadomość, że nikogo już nie przyjmują, skończyły się miejsca.

Ciocia Wala nie wygląda jednak na zmartwioną. Wszędzie będzie jej lepiej niż w ośrodku dla wewnętrznych przesiedleńców w Chmielnickim w Ukrainie. Gdy tam trafiła, nie mogła wyjść na zewnątrz przez prawie rok. – *To był dur dom!* – opowiada ciocia Wala, krzycząc. – *I psychicznie chorzy, i inwalidzi wojenni, i inwalidzi od urodzenia, i starcy!* Dopiero znajomi z ośrodka, którzy wyjeżdżali do Niemiec, poradzili jej, żeby też stamtąd uciekała. Zgłosiła ją do relokacji i tak trafiła tutaj. I właściwie tutaj, w tym pokoju 208, już mogłaby zostać. Jest czyściutko, cicho, już się przyzwyczaiła. – *Nie dałoby się?* – pyta z nadzieją Jacka.



Jest godzina 22. Na peron 5. przy Dworcu Wschodnim w końcu przyjeżdża autokar ze Lwowa. Niby normalny, oznaczony jako turystyczny, jakby przyjechała wielka wycieczka. Ze środka wychodzą zaspane, płaczące dzieci, staruszkowie w dresach, rodziny z 10 walizkami, plecakami, tobołkami. Uchodźcy w ciszy przechodzą do namiotów po drugiej stronie ulicy. Ci, którzy mają, wyciągają paszporty, rejestrują się. Wolontariusze uspokajają: – *Idźcie. My się zajmujemy waszymi bagażami. Zaraz pojedziecie przespać się do hostelu.*

Wśród wolontariuszy niespodziewanie pojawiają się nowe twarze. To dwie dziewczyny, Katia i Marina. Za chwilę, razem z uchodźcami, wsiądą do busa i będą im pomagać rozłokować się w pokojach. W Polsce są od roku. Katia jest dziennikarką i do Polski przyjechała dzięki wizie humanitarnej, więc sama też jest uchodźczynią. A Marina to lekarka, neurolog dziecięca. Ma wizę turystyczną i nienostyfikowany dyplom, więc na razie nie może pracować w swoim zawodzie. Katia i Marina to Rosjanki, uciekinierki z Moskwy. Na Wschodnią przyjeżdżają pomagać dwa razy w tygodniu, jako wolontariuszki Rubikusa. Mówią, że dzięki temu nie czują się aż tak fatalnie jako Rosjanki w Europie.



Tymczasem plac z namiotami przy Wschodniej pustoszeje. Rozwożeni partiami do hostelu uchodźcy (służy do tego jeden 9-osobowy bus, który Asymetryści opłacają z internetowej zrzutki) mijają pracującego tam ochroniarza. O jego nogi leniwie ociera się kot. Przepiękny, z rudą sierścią i rudymi oczami. Na Wschodniej zamieszkał mniej więcej rok temu, zgubił się jednej z uchodźczyń, która pojechała do Norwegii. Przez wiele miesięcy nie dawał się oswoić, ale w końcu zaczął podchodzić coraz bliżej.

Asymetryści wrzucili do internetu ogłoszenie ze zdjęciami, że kot uchodźca szuka nowego domu. Na razie jednak nikt chętny się nie zgłosił.

MARTA MAZUŚ



Część turystów korzysta z podwózki z położonej na wysokości 990 m n.p.m. Palenicy Białczańskiej (na fot.) na Polanę Włosienicką (1315 m n.p.m.).

# Konie z wozu

Właśnie ruszyła Europejska Inicjatywa Obywatelska w sprawie zakazu uboju koni na mięso. To także polski problem: dwie trzecie koni wycofywanych ze szlaku do Morskiego Oka trafia do rzeźni.

AGNIESZKA SOWA

**G**niady Ali Baba pracował na trasie Palenica Białczańska–Morskie Oko od początku 2012 r. Po trzech latach wozak doszedł do wniosku, że koń był „narowisty i nie nadawał się do pracy w zaprzęgu”. Według oświadczenia fiakra Ali Baba został sprzedany „na gospodarstwo w Bukowinie Tatrzańskiej”. 15 dni po sprzedaży Ali Baba został ubity na mięso. Miał zaledwie 9 lat. Morceek, kiedy trafił do rzeźni, był jeszcze młodszy (7 lat). Na trasie pracował niecały rok. Ubity następnego dnia po sprzedaży. 10-letni Baccardo miał być „agresywny w obejściu” i po 5 miesiącach pracy na trasie fiakier deklarował, że konia sprzedał do użytku w okolicy Nowego Sącza. Jednak Baccardo trafił do rzeźni dokładnie w dniu, w którym został sprzedany przez fiakra.

Losy tych i wielu innych koni, wykonujących pracę ponad siły na trasie do Morskiego Oka, przedstawia raport Fundacji Międzynarodowy Ruch na rzecz Zwierząt Viva!, który podsumowuje 10 lat walki aktywistów fundacji o likwidację tego transportu. W ciągu 10 lat (od 2012 do 2022 r.) 712 koni zostało wycofanych z pracy na trasie do Morskiego Oka. Pracowały na niej średnio tylko 36 miesięcy. Z tych, które już nie mogły podołać, 433 (61 proc.) trafiło na rzeźnicze haki. 23 konie zmarły i zostały poddane utylizacji. Nie żyje zatem 456 koni, czyli 64 proc. z tych, które zostały wycofane z pracy. 17 koni wykupiły od fiaków organizacje społeczne, ratując je przed ubojem. – *Był kiedyś w regulaminie TPN taki punkt, że jak wozak chce sprzedać konia do rzeźni, to organizacje mają prawo pierwokupu* – mówi Anna Plaszczyk z Vivy!, która od 10 lat zajmuje

się końmi z Morskiego Oka, jedna z głównych autorek raportu. – *Ale górale nie przyznawali się, że sprzedają konie na mięso, korzystali z pośredników.*

## Galopem do sądu

Raport Vivy! dokumentuje nie tylko historie koni, pokazuje historię protestów, manifestacji, akcji propagandowych, zaangażowania w akcję 104 polskich organizacji ochrony zwierząt, zebrania ponad 100 tys. podpisów pod petycją o zatrzymanie transportu konnego do Morskiego Oka, setki pism urzędowych i publikacji, komisyjne ważenie wozów, pomiary sił oporu, aby ustalić, jakim przeciążeniem podlegają konie, kilkanaście naukowych ekspertyz, procesy sądowe, postępowania prokuratorskie. Wszystko to na razie nie przyniosło rezultatu. Niewykluczone jednak, że wkrótce nastąpi przełom. ►

► Dziewięć lat temu Fundacja Viva! powiadomiła prokuraturę o systemowym znęcaniu się nad zwierzętami przez dyrektora TPN i starostę powiatowego w Zakopanem. Po dwukrotnym umorzeniu sprawy przez prokuraturę złożyli subsydiarny akt oskarżenia. To przewidziana w Kodeksie postępowania karnego instytucja, która umożliwia pokrzywdzonym włączyć się do postępowania sądowego i przyjęcie na siebie roli oskarżyciela.

Sąd Rejonowy w Olkuszku właśnie umorzył sprawę, co Viva! będzie zaskarżać. Sprawą zajmuje się sąd w Olkuszku, bo po wpłynięciu do sądu w Zakopanem subsydiarnego aktu oskarżenia z orzekania w tej sprawie wyłączili się wszyscy sędziowie wydziału karnego. Z uwagi na znajomość z osobami, którym Viva! stawia zarzuty znęcania się nad końmi z Morskiego Oka. Są to były i obecny dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego, poprzedni starosta tatrzański, były prezes Stowarzyszenia Fiaków oraz ekspert dr hab. Ryszard Kolstrung z Katedry Hodowli i Użytkowania Koni Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie, którego opinia (błędna, jak dowodzą inni biegli) stała się podstawą regulaminu przewozów TPN na trasie Palenica Białczańska–Morskie Oko. Zakopiański sąd wystąpił do Sądu Najwyższego z wnioskiem o przekazanie sprawy do innego równorzędnego sądu. I tak sprawa trafiła do Olkusza. – *Sąd podjął taką decyzję ze względów formalnych, proceduralnych, nie zajął stanowiska w kwestii znęcania* – mówi Anna Plaszczyk.

### Kwestia serca

Od wielu lat spór toczy się o to, czy konie ciągnące wyładowane ceprami fiaszki na trasie do Morskiego Oka pracują na miarę swoich możliwości, jak twierdzą wozacy, czy jednak ponad siły, o czym mógłby świadczyć nie tylko przerażające krótki czas eksploatacji zwierząt, ale i przypadki padnięć koni na trasie.

Cała Polska widziała, jak umierał młody, 6-letni Jordek. Przewrócił się 14 lipca 2009 r., w szczyście sezonu turystycznego, na górnym postoju wozów konnych na Włosienicy, po wyciągnięciu na górę wozu pełnego turystów. Jeden z turystów nagrał scenę, jak furman, Tadeusz S., próbuje go bezskutecznie podnieść. – *Gdy koń zdechł, miałem tży w oczach, bo kochałem go jak członka rodziny* – mówił furman lokalnej prasie. – *Nie jest prawdą, że był wyczerpany czy źle przeze mnie traktowany. Dbałem o niego jak najlepiej.*

Sprawą znęcania się przez Tadeusza S. nad koniem Jordkiem poprzez zmuszanie zwierzęcia do ciężkiej, ponadnormatywnej

pracy, w wyniku czego koń zmarł, zajęła się zakopiańska prokuratura. Śledztwo zostało umorzone, bo, zdaniem prokuratora, z materiału dowodowego wynikało, że przyczyną śmierci konia był nie zawał, lecz kolka. Nie zasięgnięto opinii biegłego. Nie przeprowadzono sekcji zwłok zwierzęcia, postępowanie opierało się tylko na domniemaniach lekarza weterynarii, który badał Jordka.

„Zwracam się głównie do dyrektora TPN i tych, którzy wydają zezwolenia i licencje wozakom – pisał 20 lat temu Jan Gąsienica Roj, ratownik TOPR i przewodnik wysokogórski. – Na Palenicy Białczańskiej od wielu lat konie padają ze zmęczenia na drodze. (...) Jest to chyba jedyny park narodowy na świecie, gdzie zwierzęta są zamedowane pracą na śmierć”.

Jednak to, czy konie pracują ponad siły, postanowiono rozstrzygnąć na bazie dowodów naukowych. Pierwszą ekspertyzę jeszcze w 2009 r. sporządził dr inż. Maciej Jackowski z Katedry Gospodarki Turystycznej Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie na zlecenie TPN. Wyszło mu, że na wozie mogą być nawet 22 osoby. Dr Jackowski nie uwzględnił jednak ciężaru samego konia, a w związku z tym wysiłku, jakie zwierzę musi wykonać przy tzw. samoprzenoszeniu. Potem okazało się, że ciężar wozów jest inny od tego, jaki podawali fiakrzy. Zarządowo komisyjne ważenie trzech fiaszków i do poprzedniej wagi trzeba było dorzucić prawie ćwierć tony.

Poza wagą wozów, koni i turystów trzeba było wziąć pod uwagę kąt nachylenia trasy oraz zakręty. Początkowo próbowano posługiwać się GPS i jednemu ekspertowi wyszło nawet, że trasa do Morskiego Oka przebiega po płaskim terenie. Tę pomyłkę szybko skorygowano i nikt już nie kwestionuje, że droga jednak prowadzi pod górę. A powrotna w dół. I wbrew powszechnemu mniemaniu, zgodnie ze wszystkimi ekspertyzami, ta właśnie wymaga od koni większego wysiłku, bo wóz napiera na konie. Górale przy zjazdach powinni hamować, ale nie wiadomo, czy to robią. I jak sprawne mają hamulce.

Gdy przewrócił się Jawor, podczas wykonywania kursu w dół z wozem pełnym turystów, wóz trzymali turyści, by nie najechał na leżące konie. – *To może dowodzić nieskuteczności działania hamulców* – mówi Anna Plaszczyk. – *Konie z tego zaprzęgu prawdopodobnie musiały własnym ciałem wyhamowywać cały pęd wozu podczas biegu kłusem na bardzo stromej trasie z Morskiego Oka. I najwidoczniej był to tak ogromny wysiłek, że Jawor nie dał rady utrzymać się na nogach.*

Jawor był badany rok przed wypadkiem i lekarz weterynarii Paweł Golonka stwierdził u niego arytmie. 29 lipca 2014 r., już po wypadku, wykrył blok serca i nie dopuścił do poddania go próbie wysiłkowej. Jawora wycofano z pracy nad Morskim Okiem. Pytanie, czy koń z arytmia powinien przez rok ciągnąć ciężki wóz? Jawor po wypadku został wykupiony przez Przystań Ocalenie. Kilka miesięcy później zmarł.

Po tym wypadku przeprowadzono specjalne badania za pomocą zamontowanego do wozu siłomierza tensometrycznego, żeby określić, z jaką siłą ciągną konie. – *Firma Eldex, która wykonywała pomiar, przyznała, że wynik obarczony jest co najmniej 30-proc. błędem* – mówi Anna Plaszczyk.

Stało się tak z dwóch powodów: po pierwsze, czujnik był przeznaczony do mierzenia sił znacznie wyższych niż te, które generują konie. A po drugie, powinien być zamontowany między końmi a wozem. Górale wzięli dwa duże konie i mały wóz z krótkim dyszlem. Czujnik się nie zmieścił i został zamocowany przy tylnej osi wozu na elastycznej linie.

– *Firma zaproponowała powtórzenie pomiarów, ale przekazała wynik dyrekcji TPN, a ta ekspertowi i na podstawie tego błędnego wyniku dr hab. Ryszard Kolstrung zrobił obliczenia* – mówi Anna Plaszczyk. – *Wyszło mu, że konie nie pracują ponad siły. Na tych wynikach opiera się regulamin przewozów konnych TPN. I stąd nasze oskarżenie o systemowe znęcanie się nad końmi.*

W tym samym czasie Beata Czerska, prezes Tatrzańskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami i mgr inż. elektryk o specjalności automatyka i metrologia, dokonała obliczeń według schematu wcześniejszych, zaakceptowanych przez TPN ekspertyz, biorąc pod uwagę poprawną wagę wozu i wagę pasażerów, również sprawdzoną w dniu pomiarów. Okazało się, że zwierzęta ciągną na górę ładunek cięższy o prawie tonę od tego, który powinny były ciągnąć. Co oznacza, że są zmuszane do pracy ponad siły.

### I można?

Publikacja raportu Viva! zbiegła się ze startem Europejskiej Inicjatywy Obywatelskiej „End The Horse Slaughter Age”, „STOP ubojowi koni”, mającej na celu wprowadzenie zakazu zabijania koni na mięso w Unii Europejskiej. W ciągu roku trzeba zebrać milion podpisów w całej Europie. Jeśli się uda, Komisja Europejska będzie musiała zająć się postulatem zakazu zabijania koni na mięso.



Protest przeciwko wykorzystywaniu koni w transporcie na Morskie Oko, Polana Palenicka.

Pierwszym i na razie jedynym krajem Unii, który wprowadził już trzy lata temu zakaz hodowli i zabijania koni na mięso i skóry oraz używania tych zwierząt do doświadczeń laboratoryjnych, była Grecja. – *Nieprzypadkowo to pierwsze europejskie państwo, które przyznało koniom takie same prawa, jak innym zwierzętom towarzyszącym, psom i kotom* – mówi mec. Katarzyna Topczewska. – *Pierwszymi dwoma słowami najstarszego języka greckiego, jakie kiedykolwiek udało się rozszyfrować, były „człowiek” i „koń”.*

Wprowadzenie zakazu zabijania koni na mięso w Grecji dowodzi, że taki przepis jest nie tylko etyczny i możliwy do wprowadzenia, ale także zgodny z prawodawstwem unijnym.

Polacy tradycyjnie nie jedzą koniny i nigdy nie mieli zwyczaju jej spożywania. Konie w naszej kulturze były od zawsze towarzyszami broni, współpracownikami w gospodarstwach i życia codziennego, a ich mięso – tak zwanym tabu pokarmowym, objętym kulturowym zakazem spożywania. Inaczej niż np. we Włoszech.

– *Naukowcy uważają, że tabu dotyczące mięsa koni ma swoje źródło w papieskim edyktie z 732 r., kiedy to papież Grzegorz III zakazał chrześcijanom spożywania koni* – mówi Anna Plaszczyk z Fundacji Viva! – *Dodatkowo konie były wówczas zbyt drogie, żeby zabijać je na mięso. W procesie zmian społecznych nastąpił też w Polsce rozwój wartości szlacheckich i militarnych, które stopniowo wykształciły w ludziach szacunek do koni jako zwierząt niezbędnych do prowadzenia wojen.*

Nawet w czasach kartek na mięso Polacy nie zaczęli jeść koniny. Dziś 69 proc. społeczeństwa jest za zakazem zabijania koni na mięso.

– *Koniem „rzeźnym” może stać się każdy koń, który latami pracował dla człowieka* – mówi Cezary Wyżyński, prezes Fundacji Viva! – *Może być nim koń ze szkółki jeździeckiej, słynnej hodowli, startujący w renomowanych zawodach sportowych. Ale też oderwany od matki osesek, źrebna klacz, spracowany 30-letni koń gospodarski, koń kontuzjowany, ze złamaną nogą. Tu nie ma znaczenia, jak pracował przez całe życie i ile dla człowieka zarobił. Liczy się to, by po raz ostatni zapewnił właścicielowi zysk.*

Wyjątkiem są konie, które w paszporcie mają wpis „Nie do uboju”. Najczęściej chodzi po prostu o to, że nie nadają się do spożycia z uwagi na leki, które zwierzęta przyjmowały. Ale każdy właściciel konia może wystąpić o wpisanie takiej adnotacji do paszportu z powodów etycznych. W ten sposób coraz więcej prywatnych właścicieli koni rekreacyjnych zabezpiecza los swoich zwierząt. By w razie sprzedaży nie trafiły do rzeźni. Nie robią tego fiakrzy zarabiający krocie na wozniu pseudoturystów do Morskiego Oka. Na koniach zarabia też Tatrzański Park Narodowy: milion złotych rocznie – takie wpływy do budżetu deklaruje TPN z tytułu usług transportowych wozami konnymi na trasie do Morskiego Oka.

### Na emerytury!

Przez lata wozacy przekonywali opinię publiczną, jak bardzo są związani ze swoimi końmi. Fakty ujawnione w raporcie Viva! nie pozostawiają złudzeń. Wozacy wykorzystują zwierzęta, a gdy te są wyeksploatowane albo zachorują, sprzedają je do rzeźni.

Maks pracował na trasie od 2013 r. Zimą 2016 r. miał 7 lat. Jedna z turystek zgłosiła do Tatrzańskiego Parku Narodowego, że na trasie do Morskiego Oka pracuje koń

z piękny kopytem. Furman Jan W. tłumaczył, że nie wiedział, że taki uraz jest dla konia bolesny. Tatrzański Park Narodowy jeszcze tego samego dnia potwierdził uraz u konia i nakazał wycofać go z pracy oraz rozpocząć leczenie. Dwa dni później w stajni pojawili się funkcjonariusze Straży Parku TPN i lekarz weterynarii. Okazało się, że koń nie był leczony. Rana nie była opatrzona, a zwierzę cierpiało. Tatrzański Park Narodowy zawiesił furmanowi licencję na wykonywanie transportu na sześć miesięcy i odsunął konia od pracy na pół roku, ale nie powiadomił organów ścigania o podejrzeniu popełnienia przestępstwa znęcania się nad zwierzętami. Furman sprzedał Maksa we wrześniu 2016 r. Cztery dni po sprzedaży koń został zabity w rzeźni.

– *Zarówno my, jak i inne organizacje odkupilibyśmy Maksa oraz inne konie i zapewnilibyśmy im dożywotnią opiekę* – mówi Anna Plaszczyk. – *Ale fiakrzy wolą sprzedać konia do rzeźni niż fundacjom, bo fundacje zwierzęta drobiazgowo badają. I w tych badaniach wychodzi cała ta praca ponad siły i nieetyczna eksploatacja koni z Morskiego Oka.*

Konie i psy pracujące w Policji, Straży Granicznej, Straży Pożarnej i Służbie Ochrony Państwa mają emerytury. Ich opiekunowie dostają na ich utrzymanie specjalny ryczałt. Konie z Morskiego Oka szans na dobrą starość nie mają. Chyba że sąd stwierdzi, że przewoźnicy turystów w takiej formie są równoznaczne ze znęcaniem się nad końmi. – *Już w 2014 r. obiecaliśmy, że po likwidacji tego anachronicznego transportu przyjmujemy pod opiekę wszystkie konie, które w wyniku utraty pracy miałyby trafić do rzeźni* – mówi Anna Plaszczyk. – *I decyzję tę podtrzymujemy.*

AGNIESZKA SOWA



# Setka

Grzegorz Krychowiak ogłosił gry był dla polskiego futbolu

MARCIN PIĄTEK

**Z**rezygnował z gry w reprezentacji tuż po tym, jak stuknęło mu w niej sto meczów. Ale internetowa społeczność nie uszanowała jubileuszu, wyzłośliwiająca się w memach. Mnożyły się przez pączkowanie i królowała w nich szydera, raczej niskich lotów, najczęściej nawiązująca do „jezusopodobnej” aparycji piłkarza. Ale jeden udał się wyjątkowo: siwiuteńki pomocnik z piłką przy nodze, a niżej napis: „Rok 2070, 80-letni Krychowiak dalej w reprezentacji”.

To bez wątplenia prztyczek do notorycznego u „Krychy” deficytu trzeźwej samooceny. Gołym okiem było widać, że na boisku jest za wolny, wiecznie spóźniony, podminowany własną nieporadnością, co nieustannie osłabiało drużynę. Nie wywołało to jednak u niego refleksji, że to może już najwyższy czas podziękować za grę w reprezentacji. Wręcz przeciwnie: za wszelką cenę starał się znaleźć w elitarnym i wąskim gronie piłkarzy (jest szóstym), którzy koszulkę reprezentacji Polski zakładali co najmniej sto razy.

## Drużyna niewykorzystanych szans

Jego grę, nastawienie i reakcje kibiców można czytać jako metaforę kiepskiej kondycji całego polskiego futbolu. Bo najwyraźniej kolejni trenerzy reprezentacji nie byli w stanie wskazać na pozycji defensywnego pomocnika nikogo lepszego od Krychowiaka. Mimo że od dłuższego czasu znajdował się na futbolowej równi pochyłej, aż wreszcie obrał kurs na egzotyczną ligę saudyjską. Być może ze strony kompletujących narodową drużynę selekcjonerów wybór Krychy był poddyktowany lenistwem, a może wynikał ze szczerego i uzasadnionego merytorycznie przekonania, że lepszych na tej pozycji po prostu nie ma.

Jeśli karierę Grzegorza Krychowiaka można by uznać za symboliczną dla losów przeciętnego polskiego piłkarza,

# Krychy z dychą

koniec gry w narodowych barwach. Pod względem stylu symboliczny. Ale osobowość miał raczej niepolską.

to głównie z jednego powodu: niewykzystanej szansy. I to akurat wtedy, gdy wydawało się, że sięga futbolowych szczytów. Latem 2016 r. trafił bowiem do finansowanego z katarskich petrodolarów gwiazdzbioru w Paris Saint-Germain. Transfer był zwieńczeniem dwóch świetnych sezonów w Seville – Krychowiak miał tam niepodważalną pozycję, eksperci rozplływali się w zachwytach nad tym, że jest zaporą nie do przejścia, znalazł się w najlepszej jedenastce jednego z sezonów (obok np. Messiego, Ronaldo i Griezmann). Dwukrotnie zdobył z klubem puchar Ligi Europy, a w jednym z finałów – zresztą na warszawskim Stadionie Narodowym – strzelił nawet gola.

Można było odnieść wrażenie, że wreszcie doczekaliśmy się w topowym europejskim klubie piłkarza, który – choć przypisano do mało efektywnej roli specja od czarnej roboty – jest niezastąpiony i robi furorę na miarę Roberta Lewandowskiego. Krychowiak miał 26 lat, był w życiowej formie, PSG zapłaciło za niego niemal 30 mln euro (rzadko widywany wydatek na defensywnego pomocnika), a oprócz tego znalazł się w Paryżu w przyjaznym otoczeniu swojego dawnego

trenera z Seville Unaia Emery'ego oraz świetnego znajomego z czasów pobytu w Reims, Oliviera Letanga, którego szejkwowie zrobili dyrektorem sportowym paryskiego klubu.

O dziwo, wszystko z punktu widzenia Krychowiaka, poszło nie tak. Grał rzadko, a jeśli dostawał szansę, wypadał co najwyżej przeciętnie. Przede wszystkim dlatego, że dały o sobie znać jego poważne szkoleniowe deficyty. Już przy okazji transferu do Seville wielu przekonywało, że to dla Krychy za wysokie progi, bo w lidze hiszpańskiej gra się szybko i finezyjnie, więc po prostu nie nadaży za piłką nawet wzrokiem, nie wspominając o skutecznych interwencjach. Tam swoje braki nadrabiał jednak przygotowaniem atletycznym, umiejętnością czytania gry. W PSG okazało się, że piłka krąży jeszcze szybciej – za szybko. Wyrwał rok i potem lądował w o wiele gorszych klubach, wyzutych z artystów, preferujących futbol twardy, fizyczny, nierzadko w myśl zasady: słabsza kość pęka. Krychowiak czuł się tam jak ryba w wodzie.

Nieudany paryski epizod Krychowiaka sprawił, że łatwo wpisać go w smutną, ale i uniwersalną opowieść o piłkarzach,

którzy okazali się nieodporni na nagłe bogactwo i szybko spoczęli na laurach. Co prawda transfer do Seville – w którym pośredniczył Cezary Kucharski, wówczas menedżer Lewandowskiego – zrobił z Krychy milionera w euro, ale dopiero w Paryżu rozbił bank. Zarabiał tam niemal 5 mln euro rocznie, co precyzyjnie i nieco zazdrośnie przełożono w polskiej prasie na 60 tys. zł dziennie.

## Będzie brzydko

Ale w przypadku Krychowiaka taka ocena – że rozleniwiły go pieniądze – jest niesprawiedliwa. Gdyby tak faktycznie było, tkwiłby w Paryżu do końca pięcioletniego kontraktu, inkasując swoją złotą dolę w myśl dość powszechnej zasady: czy się stoi, czy się leży... Tymczasem zgadzał się na wypożyczenia, aż wreszcie na transfery. A to, zwłaszcza w przypadku gry w Lokomotiwie Moskwa, wiązało się z istotnym spadkiem zarobków. Choć oczywiście nadal były one siedmiocyfrowe.

Ratowanie kariery, a więc udział w podtrzymującej formę, przynajmniej fizyczną, klubowej prozie, stał się wystarczającym argumentem do niepodważalnej obecności w reprezentacji, prezentującej na co dzień futbol brzydki, toporny oraz nudny. Krychowiak ze swoim stylem zabijaki stał się niepostrzeżenie jej najwyraźniejszym symbolem. W dodatku dosyć otwarcie twierdził przed kamerami, żeby kibice nie narzekali na taki styl, nie oczekiwali od reprezentacji porywającej gry, bo ewentualne zwycięstwa przyjdą w trudzie i znoju. Będą po prostu brzydkie. ▶

REKLAMA

## LECZENIE I REHABILITACJA

**POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.**

**Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu**

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna\*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie\*

\*możliwa dopłata

*Pobyty w terminach: 20.10 – 20.12.2023*

 Turnus Świąteczny 20.12 - 27.12.2023, Turnus Noworoczny 27.12.2023 - 03.01.2024 

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrawiskowa „Pod Tęźniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelnińska 7, 87-720 Ciechocinek



► Sam zresztą na boisku starzał się brzydko. Coraz gorszą formę musiał rekompensować faulami. Gdy trener Paulo Sousa z uporem maniaka próbował zaszcześcić polskiej reprezentacji bardziej ofensywny i miły dla oka sposób gry, Krychowiak z trudem się w nim odnajdywał. Pierwszy mecz na Euro 2020, ze Słowacją, skończył po godzinie, z powodu dwóch żółtych kartek. Obie dostał za spóźnione interwencje, Polacy przegrali mecz, co w dużym stopniu przyczyniło się do tego, że nie wyszli z grupy. Do dziś pokutuje przekonanie, że to również „wina Krychy”.

## Futro Krychy

W sensie swojego boiskowego stylu Krychowiak był więc do bólu polski. Ale z drugiej strony jego losy typowo polskie nie były. Wypatrzony na turnieju dziecięcym przez skautów Girondins Bordeaux, wyjechał do Francji jako nastolatek. Bez znajomości języka, oderwany od rodziny i przyjaciół, mógł na początku liczyć tylko i aż na wsparcie zadamowionego we Francji od lat i trzymającego się blisko klubu Andrzeja Szarmacha. Chłopaków pokroju młodego Grzeska przewijało się przez tego rodzaju akademie mnóstwo; każdy z marzeniami o poważnym futbolu.

Selekcja była więc ostra, ale Krychowiak utrzymał się na powierzchni, co w polskiej futbolowej rzeczywistości jest wyjątkiem. Większość młodych zawodników zderzających się z zachodnimi realiami nie daje rady, odpuszcza i wraca na tarczy, poczytując sobie za sukces zahaczenie się w jakimś klubie Ekstraklasy. Grzesiek szybko opanował język francuski, zdał tam maturę (taki wymóg stawiał przed trzema synami ojciec Edward, zawodowy wojskowy), a nawet – grając już na pełnych obrotach we francuskiej Ligue 1 – ukończył studia (ma dyplom z organizacji klubów sportowych). Do rodzinnego domu w Mrzeżynie dzwonił regularnie, ale ponoć zawsze trzymał fason, nie skarżył się, nie narzekał, nawet gdy został zesłany do drugoligowego Reims. Uznał, że trzeba zrobić ten krok wstecz, by potem pójść naprzód.

To wśród młodych futbolistów rzadka dojrzałość. Francja stała się dla Krychowiaka szkołą cierpliwości i charakteru. Jeśli polskim piłkarzom często, i słusznie, zarzuca się na boisku ucieczkę od odpowiedzialności, tzw. grę na alibi i chowanie się za plecy rywala, Krycha zawsze emanował pewnością siebie. Nie odmawiają mu tego nawet jego krytycy, dostrzegano to w klubach – w Reims, już grającym w Ligue 1, wyznaczono go do strzelania karnych. Ówczesny trener chwalił 23-letniego

Krychowiaka za zdolności przywódcze, niezbędne w roli defensywnego pomocnika, który jest jednym z filarów drużyny. Jeśli chodzi o dorobek bramkowy, Krycha nie ma wielkich dokonań, ale jednego z najładniejszych goli w karierze zdobył na mistrzostwach świata U-20, w wygranym meczu przeciwko Brazylii. Miał wówczas 17 lat, był najmłodszy w drużynie, zniecierpliwiał się, widząc starszych kolegów niekwapiących się do strzału z rzutu wolnego.

O jego dobrym samopoczuciu świadczy fakt, że gdy w reprezentacji Polski rozdzielano numery na koszulkach, wziął tę z dziesiątką, zwyczajowo przeznaczoną dla piłkarzy niebanalnych, kreatywnych, bramkostrzelnych; kiedyś nosili ją w drużynie narodowej Lubański, Deyna, Dziekanowski. Do gry Krychowiaka ta dziesiątka

Krychowiak z książką  
to ponoć był  
nierzadki widok  
podczas zgrupowań.  
I raczej nie robił tego  
na pokaz, podobnie  
jak nie dla lansu kreuje  
się na znawcę mody,  
samodzielnie  
projektuje stroje.



pasowała jak pięść do oka, pojawiały się nawet głosy, że ją „profanuje”, ale on nic sobie z tego nie robił. Podobnie jak z towarzyszącymi mu nieustannie kpin i przytyków z powodu zamiłowania do wyszukanej elegancji („Męskich nie było???” – wypalił kiedyś w mediach społecznościowych Zbigniew Boniek, komentując wrzucone tam przez Krychowiaka zdjęcie w płaszczu z rozłożystym futrzanym kołnierzem).

Tymczasem piłkarz nie poprzestawał na zakupach w drogich butikach (najchętniej oczywiście w Paryżu), ale otworzył własne w Warszawie i w Poznaniu. Ponoć jednym z jego pierwszych klientów był właśnie Boniek, ale Krychowiak nie ukrywał, że w towarzystwie futbolowym jego wysiłki edukacyjne w przedmiocie męskiej elegancji nie przynoszą wielkich efektów.

## Celebryta z książką

Paradoks Krychowiaka polega na tym, że boiskowa funkcja, jaką przyjął – człowieka od destrukcji, wykidajły nieprzebiegającego czasem w środkach – nie pasuje

do jego niebanalnej osobowości. Czuje się obywatelem świata, zna cztery języki obce (francuski, hiszpański, angielski i rosyjski) i nieraz podkreślał, że ich opanowanie było jego zawodowym obowiązkiem oraz wyrazem szacunku dla kraju, w którym gra. Na studia poszedł, bo od zawsze drażnił go stereotyp piłkarza-głupka (zdziwił się, że równie mocno jak w Polsce zakorzeniony jest też we Francji). Krychowiak z książką – to ponoć był nierzadki widok podczas zgrupowań.

I raczej nie robił tego na pokaz, podobnie jak nie dla lansu kreuje się na znawcę mody, samodzielnie bowiem projektuje stroje. Do miana celebryty nie wyniosło go parcie na szkło, a raczej zawodowa pozycja oraz związek z francuską modelką Celią Jaunat, która wielkiej kariery na wybiegach nie zrobiła, ale polskim portalom plotkarskim wystarczyło śledzenie jej poczyniń w mediach społecznościowych.

Ludzie związani z reprezentacją od lat twierdzą, że gdyby kapitańską opaskę w drużynie narodowej nadawano z racji zdolności przywódczych, nosiłby ją właśnie Krychowiak, a nie Robert Lewandowski. Ze wskazaniem dokonany przed laty przez selekcjonera Adama Nawałkę nie dyskutował, ale wybór koszulki z numerem 10 był też w jakiejś mierze wyrazem aspiracji Krychy, jeśli chodzi o hierarchię w reprezentacji. To właśnie Lewandowski jest dziś punktem odniesienia i wzorem do naśladowania. Ale Krychowiak powinien być nie mniejszym. Talentu do piłki nie miał, a jego jedynymi predyspozycjami do zawodowego sportu były końskie zdrowie i twardy charakter. W 38-milionowej Polsce takich czerstwych dzieciaków było i jest na pęczki i za CV Krychowiaka daliby się pewnie pokroić.

Sto meczów w reprezentacji zobowiązuje do zorganizowania stosownego benefisu i pewnie do niego dojdzie, gdy tylko zakończy się misja ratowania awansu drużyny narodowej na przyszłoroczne mistrzostwa Europy. 33-letni Krychowiak pogra zapewne na saudyjskich piaskach jeszcze kilka lat, a potem nie wyklucza pozostania przy futbolu w innej roli, być może trenera. Z jednej strony warto byłoby skorzystać z jego wiedzy nabytej podczas długoletniego funkcjonowania w najwyższych futbolowych kulturach. Ale z drugiej, jeśli faktycznie miałby jako potencjalny trener praktykować osławioną polską szkołę kontrataku, bo brzydka gra jest niejako wpisana w naszą narodową mentalność, to niech lepiej projektuje stroje. Jeśli też będą brzydkie, najwyżej nikt ich nie kupi.

MARCIN PIĄTEK



SPONSOR GŁÓWNY  
POLSKIEGO STOWARZYSZENIA WINDSURFINGU



[WWW.PSW.ORG.PL](http://WWW.PSW.ORG.PL)



Baltica sp. z o.o.

# Szczególne okrucieństwo

Magda. Studentka psychologii. Wolontariuszka pomagająca osobom wykluczonym społecznie. Znajomi mówią: empatyczna, zaangażowana. A zabiła 3-letnią córkę Zuzię.

KATARZYNA KACZOROWSKA



**D**wa lata później sąd skazał ją na dożywocie z możliwością ubiegania się o warunkowe zwolnienie po upływie... 50 lat. To jedyny taki wyrok dotyczący kobiety wydany w Polsce po 1989 r. Podobny – też z półwiecznym zastrzeżeniem – wydano w 2002 r. wobec Krzysztofa Gawlika, seryjnego zabójcy, który zamordował pięć przypadkowych osób.

## Zbrodnia bez tajemnic

Iwona (imię zmienione) bierze do ręki telefon i pokazuje filmiki, na których jej ukochana wnuczka Zuzia bawi się z mamą. Niektóre nagrane niedługo przed tragedią, której nic nie zapowiadało. Są wybuchy śmiechu, podskoki, oklaski, w tle słychać piosenki z bajek dla dzieci.

– Czy tak wygląda morderczyni, która z zimną krwią zaplanowała śmierć swojego dziecka? Która znęcała się nad nim, by cierpiało? – pyta. – Na początku chciałam utajnienia procesu, żeby zaprzestano nagonki na moją rodzinę. Teraz nie mogę nic powiedzieć, niczego zdementować, a prokurator może opowiadać, że Magda pochodzi z rodziny przemocowej, co oznacza, że my jako rodzice jesteśmy przestępcami. I to właśnie usłyszała cała Polska.

4 maja 2021 r. opinię elektryzuje informacja o dramacie w Poznaniu. Do szpitala trafia 3-letnia dziewczynka z ranami kłutymi. Dziecko umiera na stole operacyjnym. Media podają prawie dokładne miejsce zdarzenia. Na zdjęciach pokazano budynek, klatkę schodową, zaplombowane drzwi mieszkania.

Iwona: – Byłam pierwszy dzień w pracy po zwolnieniu. Zadzwoił telefon, że mam przyjechać na policję. Pomyślałam, że może coś się stało z chłopakiem Magdy, ojcem Zuzi. To był trudny związek. Michał miał zakaz zbliżania się do córki. Ale zadzwonił do mnie syn. Też miał się stawić na komisariat.

Iwona pojechała najpierw pod dom. Zobaczyła policyjne radiowozy i ludzi w ochronnych kombinezonach. Był covid. Sama niedawno go przeszła. Tak jak jej Zuzia. Do końca kwietnia siedziała z córką i wnuczką na kwarantannie. Dziewczyny od kilku miesięcy mieszkały u niej. Iwona urządziła mieszkanie dla Magdy i Zuzi. Tego dnia miała po pracy dokupić kilka rzeczy. Pod domem wjechała na podjazd. I trafiła na mundurowych.

– Na komisariacie nie powiedzieli mi, co się dzieje. Dopiero po jakimś czasie uszliśmy z synem, że Zuzia jest w szpitalu raniona nożem przez matkę. Rozdzielili nas. Poszliśmy na osobne przesłuchania. Pisałam esemesy do znajomych, żeby ratowali Zuzię. Kiedy powiedziałam policjantowi, że jadę do wnuczki, dopiero wtedy powiedział, że Zuzia nie żyje. I nikt w szpitalu mnie nie przyjmie, bo prokuratorowi musieli wezwać do Iwony karetkę. Ratownicy zbadali ją pod kątem zawału serca, zawieźli do szpitala, lekarz stwierdził, że nie ma zagrożenia życia, ale jej nie wypuści, jest za bardzo rozbita, musi jechać na psychiatrię. No to znowu karetka. W szpitalu psychiatrycznym usłyszała, że nie ma miejsc, ale może jakieś dla niej znaleźć. Wtedy Iwona zadzwoniła po przyjaciółkę.

– Mieszkanie było zaplombowane. Nie miałam przy sobie nic. Nawet majątek na zmianę. Tak jak wyszłam rano do pracy, tak zostałam. Przyjaciółka, odbierając mnie ze szpitala, poświadczyła, że się mną zaopiekuje i robi wszystko, żebym nie popełniła samobójstwa. Przyjaciele zabrali mnie do siebie, pilnowali dzień i noc na zmianę. Kiedy szli do pracy, przyjeżdżała druga przyjaciółka. Wiele zauważę u bratu, bratowej, synowi, przyjacielom, sąsiadom i współpracownikom. Dziękuję wszystkim dobrym ludziom, którzy mnie wspierają – opowiada Iwona.

## Nagonka

Magda została aresztowana 6 maja, dwa dni po zabójstwie. Przyznała się. „Tumańczyła, że wcześniej sama się okaleczała, miała problemy emocjonalne po rozwodzie rodziców. Bała się, że nie będzie mogła dokładać się matce do finansów i nie da rady utrzymać siebie i dziecka” – mówił dziennikarzom prokurator Łukasz Wawrzyniak z Prokuratury Okręgowej w Poznaniu i dodawał, że kobieta przyznała się do samobójstwa rozszerzone. Chciała odebrać sobie życie, ale nie chciała zostawić córki samej, dlatego najpierw zabiła ją, ale potem nie umiała już zabić siebie.

– Nie znałam szczegółów. Byłam w takim stanie, że niewiele do mnie docierało. A niecałe 10 dni po śmierci Zuzi minister Ziobro wszystko opisał na Twitterze – mówi Iwona.

To były dwa wpisy. 13 maja Zbigniew Ziobro napisał: „Matka, która w Poznaniu zabiła 3-letnią córkę, zbrodnię zaplanowała z zimną krwią. Potem w okrutny sposób ją zrealizowała. Poleciłem zmianę postawionego jej zarzutu na surowszy – zabójstwo popełnione ze szczególnym

okrucieństwem. Matka wybrała bardzo ostry nóż i powoli zabijała małą Zuzię, uderzając ją kilkakrotnie ostrzem w okolicę serca i w plecy. Potem dusiła ją rękoma, gdy ta płakała i błagała, by mama przestała”.

Iwona: – Nie wiem, jak byłam w stanie przeżyć te kilka miesięcy po śmierci Zuzi. Bez leków byłoby bardzo trudno. Wszystko do mnie wróciło w listopadzie. We Wszystkich Świętych stałam nad grobem taty i wnuczki. 4 listopada minęło pół roku od jej śmierci. A cztery dni później prokurator Wawrzyniak udzielił wywiadu poznajskiemu portalowi. Autor tekstu podał fragment opinii biegłych o stanie zdrowia Magdy. I przytoczył wpis ministra Ziobry z Twittera. Jakby mi się drugi raz świat zwałił na głowę.

20 listopada Iwona wysłała list do Marcina Wiącka, rzecznika praw obywatelskich. Napisała w nim: „Zostało popełnione zabójstwo, oskarżona przyznała się do winy, powinien się odbyć uczciwy proces uwzględniający wszystkie ustalone fakty. W mediach podburza się opinię publiczną drastycznymi opisami śmierci ukochanego dziecka. To rozdrapywanie niezagojonych ran wszystkich, którzy znali Zuzankę. Ja i moja rodzina chcemy w spokoju przeżyć żałobę i pragniemy chronić pamięć naszej księżniczki”. W tym liście matka Magdy napisała też, że w internecie, prasie i telewizji pokazuje się jej dom, samochód z rejestracją, podaje jej imię i nazwisko, miejsce pracy, zajmowane stanowisko. Że na teren posesji weszła raz ekipa telewizyjna, twierdząc, że filmuje kota, pod jej domem obcy ludzie wyzywali ją, syna, jej brata i bratową od morderców i patologii. „To zbyt wiele jak na jednego człowieka, a przecież to nie ja zasiądem na ławie oskarżonych” – napisała do RPO Iwona, podpisując swój list „babcia Zuzinki”.

– Żerowali na nas jak hieny. Któregoś dnia do kamienicy wszedł jakiś człowiek, twierdził, że jest dziennikarzem. Brat wszedł z mieszkania, prosił go, żeby uszanował naszą tragedię. Stał na półpiętrze, kilka metrów od tego człowieka, który krzyczał „Nie bij mnie! Nie bij!”, prowokował i nagrywał to zdarzenie. Nie obyło się bez interwencji policji. Jak można ludziom robić takie rzeczy? – pyta Iwona i sięga po pismo z biura RPO. Dostała je szybko, 9 dni po wysłaniu swojego do Warszawy. Rzecznik wyjaśnia w nim, że „ustawa z 1987 r. nie pozwala mu ingerować w czynności i decyzje podejmowane przez organa prokuratury i sądy w toku prowadzonych przez nie postępowań, ponieważ mogłoby to stanowić naruszenie gwarantowanych

ustawowo zasad – niezależności prokuratorów oraz niezawisłości sędziowskiej”.

– Rzecznik praw obywatelskich może ocenić proces dopiero po jego zakończeniu, wyroku i jego uprawomocnieniu. Czyli wtedy, kiedy człowiek jest już w więzieniu. Jaki to ma sens, jeśli życie tego człowieka i jego bliskich jest już zniszczone? – Iwona po chwili odczytuje jeszcze jedno zdanie z listu: „ze swej strony pragnę wyrazić szczerą i głęboką współczucie z powodu dramatycznych oraz tragicznych zdarzeń, które dotknęły panią, a w tym zwłaszcza z powodu zdecydowanie przedwczesnej śmierci pani wnuczki”.

## Szczególne wątpliwości

1 października 2023 r. zaczęło obowiązywać znowelizowane prawo karne, w którym głosami prawicy zaostrzono przepisy dotyczące zbrodni popełnionych ze „szczególnym okrucieństwem”. Prof. Monika Całkiewicz, karnistka z Akademii Leona Koźmińskiego: – Początkowo kategoria „szczególnego okrucieństwa” funkcjonowała jedynie w odniesieniu do zwałceń. Później rozszerzała się na kolejne kategorie przestępstw, w tym znęcanie się i zabójstwo. Tyle tylko, że kodeks nie definiuje, czym to „szczególne okrucieństwo” jest. Zadanie to przejąć musiały doktryna i orzecznictwo sądowe, co oznacza, że tak naprawdę jest to bardzo ocenne, a więc zależy od indywidualnej oceny prokuratora, sędziego, a ostatnio nawet – jak się okazuje – osobiście ministra sprawiedliwości.

Prof. Całkiewicz wyjaśnia, że w polskim prawie ukształtowało się nawet pięć różnych kierunków wykładni, zgodnie z którymi o szczególnym okrucieństwie czynu mogą decydować szczególne cechy ofiary (np. jej wiek, stan zdrowia czy pokrewieństwo ze sprawcą), wyjątkowo poważne konsekwencje czynu, dysproporcja między natężeniem przemocy sprawcy a stopniem oporu ofiary, szczególnie zły zamiar sprawcy, wykraczający poza osiągnięcie zasadniczego celu danego typu przestępstwa, oraz szczególny sposób działania sprawcy.

– Ten konkretny proces był prowadzony z wyłączeniem jawności. Nie wiemy więc, co przesądziło o tym, że to zabójstwo uznano za szczególnie okrutne – zastrzega prof. Monika Całkiewicz, dodając, że kobiety popełniające zbrodnie zabójstwa oceniane są przez wymiar sprawiedliwości i opinię społeczną surowiej. – W tym konkretnym przypadku ofiarą było trzyletnie dziecko i być może bezbronność ofiary oraz jej najbliższe pokrewieństwo z domniemaną sprawczynią spowodowały, że to zabójstwo uznano za szczególnie okrutne. ►

► Karnistka przypomina też, że nowy Kodeks karny wprowadza także bezwzględne dożywotnie pozbawienie wolności bez możliwości ubiegania się o warunkowe zwolnienie. – *To kara niehumanitarna, bo pozbawia skazanego nadziei, że kiedykolwiek wyjdzie na wolność, nawet jeśli za kilkadziesiąt lat stanie się innym, lepszym człowiekiem. To także kara, która z naszego, społecznego, punktu widzenia jest karą niebezpieczną, bo człowiek skazany na bezwzględne pozbawienie wolności nie ma już nic do stracenia. Może de facto bezkarnie zabić współwięźnia, psychologa, strażnika więziennego, bo przecież nic gorszego już go nie spotka* – tłumaczy prof. Całkiewicz.

29 marca 2023 r. sędzia Michał Ziemiński w Sądzie Okręgowym w Poznaniu odczytał wyrok skazujący Magdalenę C. na dożywocie, 10 lat pozbawienia praw publicznych, z możliwością ubiegania się o wcześniejsze warunkowe zwolnienie po 50 latach. Przewodniczący składu sędziowskiego wyjaśniał, że 28-latka działała w sposób przemyślany, przygotowany oraz rozciągnięty w czasie. „Do zabójstwa wykorzystała najdłuższy nóż znajdujący się w miejscu zamieszkania, obserwując bawiące się dziecko oraz oczekując dogodnego momentu do zadania ciosu i przenosząc dziecko po pomieszczeniach mieszkania dusiła, a następnie zadała nie mniej niż trzy uderzenia nożem w okolice klatki piersiowej oraz pleców” – czytał Michał Ziemiński, jednocześnie informując, że uzasadnienie wyroku jest niejawnie.

### Tajne, ale jawne

Mecenas Jarosław Brzozowski, adwokat Magdy: – *Sprawa jest na etapie apelacji, więc ze względu na dobro mojej klientki nie mogę się do szczegółowych okoliczności odnosić, także ze względu na wyłączenie jawności rozprawy. Oczywiście z wyrokiem nie można się zgodzić. I to nie tylko z uwagi na rozstrzygnięcie co do wysokości kary czy zastrzeżenia ograniczenia w prawie do ubiegania się o warunkowe przedterminowe zwolnienie, ale także w pozostałych aspektach z uwagi na okoliczności, o których nie mogę mówić.*

Brzozowski nie ma wątpliwości, że kara bezwzględnego dożywotniego pozbawienia wolności wprowadzona w życie 1 października 2023 r., a więc po wydaniu wyroku skazującego Magdalenę C., jest sprzeczna z zasadami Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. – *Orzeczenia*

*Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu wprost wyłączają możliwość orzekania w krajach, które są członkami konwencji, kary dożywotniego pozbawienia wolności, która jest karą bezwzględną, także jeżeli chodzi o praktyczne pozbawienie prawa do warunkowego przedterminowego zwolnienia, mimo pozostawienia jej teoretycznie prawa do takiego zwolnienia. A w tym konkretnym przypadku wyrok pozbawia moją klientkę praktycznego prawa do warunkowego przedterminowego*



*zwolnienia, mimo teoretycznego pozostawienia jej takiej możliwości. Doświadczenie życiowe podpowiada, że jej szanse dożycia do momentu, w jakim mogłaby ubiegać się o warunkowe zwolnienie w więzieniu, nie są duże* – mówi mecenas Brzozowski i dodaje, że prokuratura jest gospodarzem postępowania i może ujawniać pewne informacje ze śledztwa, ale prawo do informowania społeczeństwa nie może być wykorzystywane do stigmatyzowania osoby posiadającej status podejrzanego, a nie skazanej ani tym bardziej jej bliskich, którzy w sprawie mają status świadków.

– *Polskie przepisy nie dają szczególnych praw bliskim osoby oskarżonej, poza tym, że mogą odmówić składania zeznań. W tak trudnej sytuacji, gdy rodzina oskarżonej to jednocześnie osoby bliskie poszkodowanej, na pewno można mówić jednak o pewnej bezradności systemu, bo rodzina dotknięta ogromną traumą i w gruncie rzeczy będąca również ofiarą, powinna dostać wsparcie* – przyznaje mecenas Jarosław Brzozowski.

Iwona: – *Systemowe wsparcie? Bałam się pójść do psychologa, bo nie wiedziałam,*

*co mogę mu powiedzieć, przecież całe nasze życie stało się tajne, jednocześnie stając się własnością obcych ludzi.*

### Bez okoliczności?

Henryk Gawrecki ze Stowarzyszenia Inicjatywa Obywatelska PRO CIVIUM (stopstygmatyzacji.pl), w którym Magda C. była przez chwilę wolontariuszką: – *Popełniła czyn straszny, ale otrzymała za to karę najwyższą w historii polskiego orzecznictwa po wykonanych wyrokach kary śmierci.*

*Prokuratura najpierw stawiała zarzut racjonalnie, potem minister Ziobro się włączył i wyszła końcowo kara dożywocia z możliwością starania się o warunkowe zwolnienie po 50 latach, czyli niewykluczone, że po biologicznej śmierci. Żaden podwójny, potrójny morderca nie otrzymał w Polsce takiego wyroku, żaden terrorysta w Unii Europejskiej, żadna matka, która zabiła swoje dziecko.*

Gawrecki przypomina, że w Polsce karę za zabójstwo odsiaduje wiele kobiet będących jednocześnie matkami i wobec żadnej z nich nie zastosowano tak surowego wyroku. Katarzyna Waśniewska z Sosnowca, która zabiła córkę, utrudniała prowadzenie postępowania i dopuszczała się ukrywania dowodów, została do 2013 r. skazana na 25 lat więzienia. Jeśli dostanie

zgodę na warunkowe zwolnienie, wyjdzie w 2032 r. Będzie miała wtedy 42 lata.

– *Magda w tym koszmarze, jaki się rozegrał 4 maja, zadzwoniła jednak po pomoc i sama starała się pomóc zranionemu przez siebie dziecku. Przynała się do popełnionego czynu i współpracowała z organami ścigania, choćby nie utrudniając postępowania. Wcześniej angażowała się społecznie na rzecz innych ludzi. To nie zdejmuje z niej odpowiedzialności za śmierć córki, ale wyrok powinien wziąć te okoliczności pod uwagę. A jeśli założymy, że wziął – to bez nich wyrok byłby jeszcze surowszy? To już futurystyka, a nie racjonalne orzekanie. Można więc przyjąć, że sąd nie wziął pod uwagę żadnych okoliczności łagodzących, co rzeczywiście zastanawia i... niepokoi* – mówi Henryk Gawrecki.

Nieoficjalnie POLITYKA udąło się ustalić, że Magdalena C. uznana została za poczytalną, ale sąd dysponuje wynikami badań potwierdzających, że kobieta cierpi na poważne problemy neurologiczne. Czy wpływają one na jej zachowanie? Może na to pytanie odpowie sąd w apelacji. Jej terminu nie wyznaczono.

KATARZYNA KACZOROWSKA

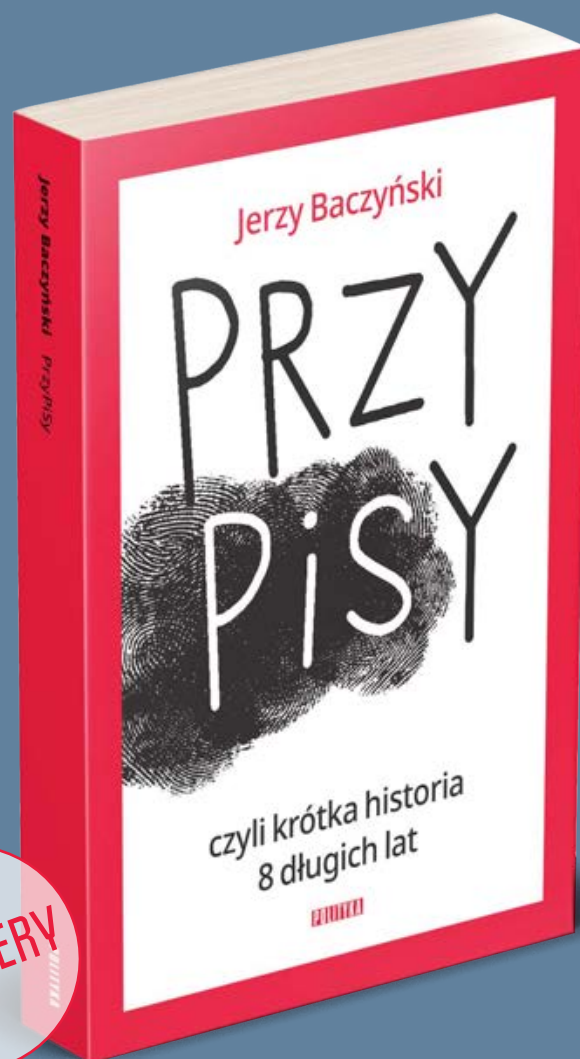
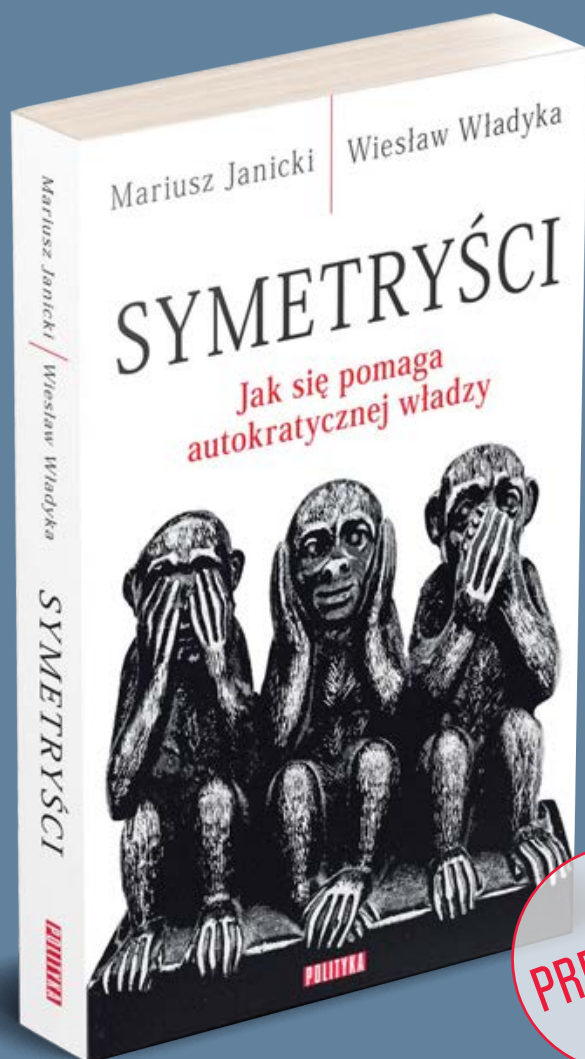
# POLITYKA poleca

Książka  
**MARIUSZA JANICKIEGO  
i WIESŁAWA WŁADYKI**

Analiza zjawiska symetryzmu  
dokonana przez autorów  
tego pojęcia.

Książka  
**JERZEGO BACZYŃSKIEGO**

Osobisty dziennik podróży  
przez Polskę pod rządami PiS  
i przenikliwa krytyka  
populistycznej władzy.



PREMIERY

Do kupienia w księgarniach i na [sklep.polityka.pl](http://sklep.polityka.pl)

6 LAT | GWARANCJA  
MAZDY

# HYBRYDOWA MAZDA CX-60



CRAFTED IN JAPAN

6<sup>lat</sup> | GWARANCJA  
MAZDY

# HYBRYDOWA MAZDA CX-60

Stworzona rękoma japońskich mistrzów rzemiosła Takumi, Mazda CX-60 Plug-in Hybrid łączy wyrafinowaną elegancję języka stylistycznego KODO z wytrzymałością SUV-a. Starannie wyselekcjonowane materiały, moc 327 KM, wyjątkowa dynamika i przyspieszenie 5,8 sekundy do setki, łączą się w idealnej harmonii w samochodzie zaprojektowanym ze szczególną myślą o kierowcy. Jeżeli z taką perfekcją dopracowujemy każdy detal – wyobraź sobie, z jaką przyjemnością będziesz prowadzić hybrydową Mazdę CX-60.



W zależności od wersji samochodu średnie zużycie paliwa, energii oraz emisja CO<sub>2</sub> (na podstawie WLTP) wynoszą odpowiednio: 1,5-5,3 l/100 km, 23 kWh/100 km oraz 33-139 g/km. Samochody Mazda są wyposażone w układ klimatyzacji zawierający fluorowany gaz cieplarniany o współczynniku ocieplenia globalnego powyżej 150. Informacje dotyczące odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji znajdują się na [mazda.pl](http://mazda.pl)

[mazda.pl](http://mazda.pl)

CRAFTED IN JAPAN





# Szus szosą

Jeżdżenie na szosie to nie moda, to religia. Taka z rytuałem niedzielnej ustawki, obietnicą wyzwolenia z korporacji oraz życia wiecznego w zdrowym ciele. Amen.

1

JULIUSZ ĆWIELUCH, FOTOGRAFIE MAGA ĆWIELUCH

**W** pierwszy październikowy weekend czuć już było koniec sezonu. Zaledwie tydzień wcześniej z warszawskiego Wilanowa w kierunku Góry Kalwarii wyruszyła jedna kolarska ustawka za drugą. Jechali. Szczupli, po kolarSKU odpicowani. Pewni siebie, bo szosa dodaje plus sto do ego. Pędzili na złamanie karku wykręcić ostatnie kilometry na Stravie, żeby koledzy z korpo mieli czego pozazdrościć. Inni pedałowali, żeby dobić brakujące kilometry, a czasem samego siebie, bo w kolarstwie ból jest podobno częścią przyjemności. Jednak im więcej jesieni, tym mniej kolarzy na drogach. Kierowcy się cieszą. Ludzie z podwarszawskich wsi również, bo już im ci kolarze zbrzydli. Tyle że za rok będzie ich jeszcze więcej, bo szosa to nie moda. Szosa to nowa religia.

## Zdrowy od/ruch

Nazwisko Leszek Śledziński większości kolarzy pewnie niewiele mówi. Ale Leszek Prawie.PRO to co innego. Na samym YouTube ma ponad 50 tys. subskrybentów. Kolejne 25 tys. osób obserwuje go na FB. Mówi, że jak wstrzeli się z tematem, potrafi przebić 100 tys. unikalnych użytkowników. Na tyle mniej więcej ocenia społeczność kolarską w Polsce. Tę zaangażowaną. Kolejne 100 tys. to jego zdaniem ci, którzy rower szosowy mają, ale jeżdżą rzadziej. Liczby mogą imponować do czasu, kiedy zestawia się je z danymi z Francji. 3,5 mln Francuzów deklaruje, że regularnie trenuje na rowerze. W samej FFC (Francuskiej Federacji Rowerowej) zarejestrowanych jest 109 tys. zawodników. Polski Związek Kolarski, który podnosi się z kolan po głębokiej zapaści, cieszy się, że ma 5 tys. zawodników.

Leszek twierdzi, że z czasem i w Polsce będzie gęsto od kolarzy. Tylko trzeba robić podglebie. I robi. Nagrywa odcinki, jak zmieniać przerzutki albo jak ustawić siodełko. Cierpliwie tłumaczy, jakich błędów unikać. Wie, o czym mówi, bo jak twierdzi, udało mu się

popęnić chyba wszystkie możliwe. Poza jednym – nie zraził się. A co do Leszka Śledzińskiego i Leszka Prawie.PRO to nic dziwnego, że mało kto kojarzy związek, bo w pewnym sensie to dwie różne osoby. Ten pierwszy jeszcze kilka lat temu ważył 113 kg. Jeśli chodzi o uprawianie sportu, to wyczynowo zajadał stres. – *Teraz wiem, że moje problemy ciągnęły się za mną jeszcze od dzieciństwa, które nie było modelowe. Miałem potworne kompleksy, że jestem z biednej rodziny, że nie miałem komputera, a na wulę nie wybierają mnie do drużyny. A jak już, to od razu stawiali na bramce* – wspomina Śledziński. Sukcesy w życiu zawodowym też nie załatwiały sprawy. Kompleksów przybywało wraz z kilogramami. – *Zaczęłam chodzić na siłownię. Przykładałem się, ale spektakularnych efektów nie było. Trener powiedział, że potrzebuję intensywniejszego i dłuższego wysiłku. Przy mojej wadze bieganie odpadało, bo zniszczyłbym kolana. Kupiłem więc rower* – wspomina. Było to 7 lat i 36 kg temu. Czyli w czasach, kiedy kolarz to był rzadki gatunek w polskim ekosystemie. Zresztą w pewnych częściach Polski dalej tak jest. – *Barier jest wiele. Pierwsza jest cenowa, bo to drogi sport. Ale w mniejszych miejscowościach dochodzą jeszcze kwestie związane z mentalnością. Ludzie wstydzą się ubierać w obcisłe stroje. Jedni, bo mają za dużo ciała, którego w lycrze nie da się ukryć. Inni, bo sąsiedzi będą się śmiali, że wychodzą z domu w rajtuzach, podkoszulku i na dodatek z pieluchą między nogami* – opowiada Leszek Śledziński. Ta pielucha to żelowa wkładka, która pozwala wysiedzieć na twardym siodełku trzy, cztery godziny kolarskiego treningu. Bez niej przyjemność z jazdy szybko przyska. Bez obcisłej, oddychającej odzieży też trudno sobie wyobrazić jeżdżenie na dużych dystansach.

W ten sposób narodził się MAMIL (Middle Age Man in Lycra – mężczyzna w średnim wieku w lycrze). Osobnik równie wyszydany, co po cichu podziwiany. – *Ludziom jednak imponuje, że ktoś siada na rower i przejeżdża 100 czy 200 km za jednym zamachem* – mówi Leszek Prawie.PRO. On robi trasy po 350 km, bo, jak sam twierdzi, na punkcie roweru całkiem mu odbiło.



**1** Do Góry Kalwarii kiedyś pielgrzymowało się do sanktuarium, dziś kolarze pielgrzymują do Góry Kawiarnii.  
**2** Selfie z murem Szurkowskiego ma albo będzie miał każdy przyjeżdżający do Góry Kalwarii. Po to powstało.  
**3** Maciej Grubiak (w środku), właściciel Góry Kawiarni, wrócił do ścigania się na szosie.



– Właściwie to jestem od niego uzależniony. To wspaniały nałóg. Daje kopa jak najlepsze narkotyki, ale nie ma żadnych negatywnych skutków ubocznych – mówi.

I chyba nieco mijają się z prawdą, bo sam zna ludzi, którzy dla roweru rzucili pracę, zaniedbali rodzinę, popadli w długi, a nawet stracili zdrowie, bezsensownie zarzynając się na treningach.

### Wieloślad

Gdyby próbować wskazać ojca boomu polskiego kolarstwa amatorskiego, to byłby nim covid. Pandemia najpierw zamknęła ludzi w domach, a następnie odczarowała z banału hasło „sport

to zdrowie”. Od 2020 r. w sklepach rowerowych trwa zakupowa gorączka. Ludzie szybko połapali się, że rower to sport na świeżym powietrzu, czyli z mniejszym ryzykiem zarażenia się. Przy okazji to też turystyka i w sumie najtańsza forma spędzania wolnego czasu. Dużo tańsza niż rodzinny wypad do kina, nie mówiąc o wyjściu do restauracji. Z badań marketingowych producentów rowerów wynikało, że statystyczny Polak przed wybuchem pandemii gotowy był zapłacić za rower niewiele ponad tysiąc złotych. Po pierwszym roku pandemii średnia cena kupowanego roweru oscyłała już wokół 2 tys. Przy czym dane te nie dotyczą kolarstwa.

Kolarstwo już przed pandemią było drogie. A po pandemii stało się ekstremalnie drogie. Kolarze, którzy obrażają się, kiedy mówi się o nich rowerzyści – za swoją pasję gotowi byli płacić dużo więcej niż statystyczny Polak. Po pierwsze, bo ich stać. Po drugie, żeby pokazać, że ich stać. Powyżej pewnej kwoty rower przestaje być jednośladem, a staje się wielośladem statusu i pozycji społecznej. – Kupiłem rower za ponad 30 tys., a pewnie starczyłby mi taki za 15 tys. zł. W środowisku była i jest spora presja na prestiż, której sam uległem. Sporo podróżuję po Europie z rowerem i tam ludzie nie jeżdżą na takich drogich sprzętach jak w Warszawie – mówi Marcin Iwanowski, kolarz amator i bankier w jednej osobie.

W kolarstwie wszystko jest drogie. Nawet lampka może kosztować pięć razy więcej niż zwykła rowerowa. – Część kosztów to realne potrzeby. Jeździ się po drogach. Kolarze muszą być widoczni również w dzień i to z dużej odległości. Ale są i tacy, którzy kupują z najwyższej półki, żeby z daleka było widać, że ich stać – mówi Rafał Makowski, prezes PZKOL. Kwestia, na co stać Polaków, jest w tej historii kluczowa. – Moim zdaniem wielu Polaków już wcześniej było stać na kolarstwo. Ale dopiero covid zmienił ludziom priorytety. Zamiast trzeciego samochodu postanowili kupić pierwszy rower szosowy. U wielu osób mniej więcej tak się to zaczęło – tłumaczy prezes Makowski. ▶

► Branża szybko nauczyła się, że w kolarstwie sprawdza się zasada „dobre, bo drogie”. W efekcie w Polsce zaczęły schodzić rowery po 50, a nawet 80 tys. zł. – *Kiedy z mężem siedem lat temu wprowadzaliśmy na polski rynek firmę EKOI, mieliśmy 20 zamówień w pierwszym roku działalności. Dziś zamówienia idą w tysiące. Polska jest już piątym rynkiem w Europie dla marki – mówi Kamilla Walczak. O polski rynek biją się już największy i najdrożsi producenci. – Tu jest trochę jak w Rosji. Facet w życiu nie siedział na szosie i od razu idzie w full carbon i osprzęt z najwyższej półki. Szaleństwo, ale pod nazwiskiem tego nie powiem – zastrzega jeden ze sprzedawców.*

## Bałykiem pod górę

Z mapy zakupów wynika, że kolarze występują wyspowo. Epicentrum to Miasteczko Wilanów, Warszawa i jej bliskie okolice. Spora reprezentacja jest na Śląsku i w Trójmieście. Mniejsza we Wrocławiu i Poznaniu. Z kolei ściana wschodnia jest dla branży ścianą płaczu, bo tam ledwo co się sprzedaje. Bardziej szczegółowo peregrynując po mapie, można nawet wskazać kolarską mekkę. To Góra Kalwaria, ze świątynią w postaci lokalu Góra Kawiarnia. – *Kiedy zacząłem szukać miejsca na kawiarnię, przeglądałem na Stravie, gdzie krzyżuje się najwięcej tras. Lokalizację kawiarni wskazali mi właściwie sami kolarze – mówi Maciej Grubiak, właściciel Góry Kawiarni. Droga Grubiaka do własnego biznesu była długa i kręta jak górskie etapy Tour de France. W młodości sam był kolarzem amatorem. I to nawet z sukcesami. Widocznie dla niego samego nie na tyle spektakularnymi, żeby dalej się ścigać. Po podstawówce zamienił rower na aparat fotograficzny. – Przez 15 lat nie tylko nie jeździłem, ale nawet nie oglądałem wyścigów. Wydawało mi się, że temat szosy jest dla mnie zamkniętym rozdziałem. Zostałem operatorem filmowym – wspomina.*

Tyle że operatorka okazała się być ciężką pracą fizyczną i jeszcze cięższą psychiczną. Pomiędzy jednym planem zdjęciowym a drugim rozumiał, że zawód nie jest ciężki, ale wyniszczający. Wzorem większości wypalonych ludzi z show-biznesu postanowił otworzyć kawiarnię. Tyle że on zrobił to z pomysłem. Pierwszy pomysł był taki, żeby nie otwierać się tam gdzie wszyscy, czyli w Warszawie, gdzie konkurencja jest mordercza. Drugi – żeby jednak zarabiać na warszawiakach, bo mają najgrubsze portfele. A trzeci to, żeby to miejsce było jakieś. Wyszło mu, że najlepiej, żeby było przyjazne dla kolarzy. Kolarz to klient idealny. Zawsze chętnie zje ciastko, bo i tak je zaraz spali. Raczej kupi drogą kawę niż tanią wodę. Wodę z reguły wozi ze sobą. No i nie przesiaduje na miejscu godzinami nad otwartym laptopem.

Początki były trudne, ale i barwne. Paradoksalnie okazało się, że biznesu o mało nie wykończył sukces. – *Pierwszy lokal był mikroskopijny. Nie było nawet gdzie trzymać zapasów. Zdarzało się, że mieliśmy długą kolejkę klientów, którym nie mieliśmy co sprzedać. Ale i tak się u nas zatrzymywali – opowiada. Kawiarnia stała się miejscem odpoczynku, ale też spotkań. Można pogadać o rowerach, ale też o biznesach. Zdarzało się, że w weekend przewija się 2 tys. klientów. – W weekendy przestałem już przyjeżdżać, bo jak dla mnie zrobiło się za bardzo snobistycznie – mówi Jan Raszewski, lat 68. Jego Koga to wspaniały rower. Premier Holandii jeździ na rowerze marki Koga. Jednak na tle karbonowych wypasów rower Raszewskiego prezentuje się skromnie. Skromność nie jest mocną stroną kolarzy.*

Raszewski w rowerach zatracił się od szóstego roku życia. Pamięta wszystkie, jakie miał. Pierwsza kolarzówka była marki Bałtyk. Przed Kogą był Trek, na którym w 2015 r. spotkał się z maską samochodu i do dziś chodzi zgięty w pół. Śmieje się, że na stałe ma pozycję kolarską. Ale kiedy lekarze powiedzieli mu po wypadku, że z jeżdżeniem koniec, nie było mu do śmiechu. – *W ogóle*



*nie przyjmowałem tego do wiadomości. Jak tylko wstałem z łóżka, przystawiałem sobie stołeczek i sprawdzałem, czy dam radę dosięgnąć do kierownicy, czy jeszcze nie – opowiada. W tym roku razem z kolegami pojechał na Mount Ventoux. Miejscowi mówią na ten szczyt Lysa Góra. Dla kolarzy to Wietrzna Góra, bo wieje tam jak cholera. A wiatr to największy wróg kolarza. Raszewski mówi, że i tak warto. Widoki zapierają dech w piersi. Podjazd jeszcze bardziej. Jechali, dopóki im tego tchu starczyło.*

Emerytura kolarza wygląda inaczej niż innych ludzi. – *Co się zmieniło od lat 70., kiedy zaczął jeździć na szosie? Rowery na lepsze. Stosunek kierowców do kolarzy na gorsze. No i kilka lat temu zaczęły jeździć też dziewczyny, co osobiście uważam za zmianę największą i najmilszą – dodaje.*

## Ustaw się

O jeżdżeniu kobiet sporo może powiedzieć Ewa Kołodziej, znana w środowisku jako Ministra Kolarstwa. Samozwańca ministra. W poprzednim wcieleniu była dziennikarką „Popcornu” i „Dziewczyny”. Tam nauczyła się skrać dystans, ale też większego dystansu do siebie. – *Na rowerze ścigałam się od 20. roku życia. Zaczynałam od MTB. Kiedyś było łatwiej o sukces. W pierwszych wyścigach brały udział trzy dziewczyny, więc zawsze byłam na pudle. Zmieniałyśmy się tylko miejscami – żartuje, ale też trochę nie.*

Prasa młodzieżowa jako pierwsza zderzyła się z potęgą internetu i zanikiem nawyku czytania gazet wśród młodych. Kołodziej już w 2012 r. straciła pracę w mediach. Później zaliczyła burzliwy trzyletni flirt z gastronomią. Następnie ponownie próbowała wrócić do mediów, ale okazało się, że już nie bardzo jest do czego. Powrót do roweru był łatwiejszy. Tylko że dalej nie było tam dziewczyn. Skoro ich nie było, to postanowiła je zaprosić. W 2019 r. zaczęła robić pierwsze ustawki, czyli wspólne wypadki rowerowe, tylko dla dziewczyn.

Początki były z kategorii romantyczno-zawstydzających. – *Przyjeżdżały na tyle jakich rowerach, bo dziewczyny tak nie szpanują sprzętem jak faceci. Zdarzało się, że w dzinsach i bluzie z kapturem. Były singielki, ale i matki wychowujące czwórki dzieci. Przedział wiekowy 25–50. Ale jeździła też 67-latka. Społecznie cały przekrój – wylicza Ministra Kolarstwa. Motywacje też przekrojowe. – Jedne szukają aktywności w grupie, inne chcą zrzucić kilogramy. Są i takie, dla których to dodatkowy sport i sposób na podniesienie wydolności. Dla niektórych to bardziej ludzka*



- 1 Jan Raszewski twierdzi, że w jeździe na rowerze zakochał się 62 lata temu. Miłość trwa do dziś.
- 2 Ewa Kołodziej, Ministra Kolarstwa, i jej tymczasowy rząd, czyli kobieca ustawka pod Syrenką.
- 3 Tomasz Powsiński w swoim pokoju chwali. Rowery zdominowały nie tylko jego życie, ale i mieszkanie.



forma Tindera – wlicza Ministra. Dla niej rower to życie, ale i zawód. Wzięła się za szkolenia, bo coraz więcej osób szuka profesjonalnej wiedzy i opieki trenera. Została ambasadorką jednego z rowerowych brandów. – *Dla mnie to jednak rodzaj misji, żeby na szosie było coraz więcej dziewczyn* – mówi. I kończy, bo w ramach babskiej środy rusza z kolejną grupą dziewczyn w trasę.

### Zarabiać, żeby żyć

– *Covid jednych zabijał, a mnie chyba uratował życie. Przed pandemią byłem totalnie wkręcony w nurkowanie ekstremalne. Dziś większość tych, z którymi kiedyś schodziłem pod wodę, już nie żyje, bo to był sport na krawędzi* – mówi Powsiński, który w czasie pandemii kupił swoją pierwszą szosę. – *Kolarze to inna liga. Kolorowi, uśmiechnięci, fit. Patrzysz na nich i też chcesz taki być* – mówi Powsiński. Ale nie dlatego wsiadł na szosę. – *U mnie musi być ekstremalnie. A na szosie potrafi być bardzo ekstremalnie* – tłumaczy. On z tego słowa wyciągnął, ile się da. W pierwszym roku przejechał 11 tys. km. Rok później 31 tys. km. – *Potrafiłem wstać o trzeciej nad ranem i pojechać z Warszawy do Świnoujścia na jeden raz* – opowiada. Jeździ non stop. Nawet w domu, bo w pokoju chwali, jak go nazywa, wstawił sobie kolarski trenera.

Sam porwany przez rower szosowy porwał za sobą innych. Powsiński stworzył jedną z najbardziej rozpoznawalnych grup kolarzy amatorów – Tiramisu. Mają własne koszulki, własne zasady i na wiele spraw po prostu wywalone. Na przykład na to, że na socialach uchodzą za bandę wariatów i straceńców, która gna na złamanie karku i ludzie się przed nimi wręcz ostrzegają. – *Owszem, jeździmy dynamicznie, ale bezpiecznie. Zresztą grupa jest zamknięta. Bierzymy tylko tych, którzy potrafią jeździć tak jak my* – mówi. W tym roku zwolnił obroty. Ale po swojemu, czyli nie 31 tys. km, ale zaledwie 17 tys. Za to, jak twierdzi, z głową. Zatrudnił trenera. Zmienił dietę. Mocno się suplementuje. Tylko to kosztuje go jakieś 2 tys. zł miesięcznie. – *Przecież zarabiam, żeby żyć, a nie żeby zarabiać. Po covidzie wiele osób to zrozumiało. Może to jest klucz do tego, że nagle w Polsce jest taki wysyp kolarzy* – rzuca.

JULIUSZ ĆWIELUCH, FOTOGRAFIE MAGA ĆWIELUCH



Jeden z wcześniejszych prototypów Izery.

ADAM GRZESZAK

# Chińczycy trzymają nas mocno

Izera, narodowy samochód elektryczny, będzie chińskim e-autem z polską marką. Kiedy Europa szykuje się do obrony przed inwazją chińskiego przemysłu motoryzacyjnego, Polska za publiczne pieniądze chce wybudować Chińczykom fabrykę.

**P**rzygotowania do budowy zakładu trwają od wielu miesięcy. Właściwie to od lat, bo decyzja o tym, że państwo zajmie się produkcją aut elektrycznych, zapadła w 2016 r., w czasach kiedy rząd Beaty Szydło obiecywał reindustrializować Polskę, a wszyscy emocjonowali się wizjami zapomnianego już planu Morawieckiego. Długo też nie było wiadomo, kto, co i gdzie będzie produkował. Wreszcie stanęło na tym, że fabryka będzie na Śląsku, tam gdzie już ulokowana jest duża część polskiego przemysłu motoryzacyjnego. W ostatnich tygodniach państwowa spółka ElectroMobility Poland (EMP) za 128 mln zł (netto) kupiła w Jaworznie działkę o powierzchni 117 ha na terenie Jaworznickiego Obszaru Gospodarczego. Założenie jest takie, że budowa ruszy w 2024 r., a na początku 2026 r. zjadą z taśmy pierwsze Izery. Trudno się na razie do tego przywiązywać, bo pierwsze obietnice mówiły, że produkcja ruszy już w 2021 r.

Zakład według obecnych szacunków ma kosztować ok. 6 mld zł, ale wraz z inflacją i słabnięciem złotego koszty będą rosły. Państwo na razie zainwestowało w ten projekt 0,5 mld zł, ale co dalej, nie wiadomo. Szefowie EMP zapowiadali przed wyborami, że do końca roku przedstawią finansowy model inwestycji.

*– Rozmawiamy z różnymi inwestorami, ale także z ponad 20 międzynarodowymi instytucjami finansowymi. Część przedsięwzięcia będzie finansowana w formie dłużnej. Dopóki jednak te rozmowy się nie zakończą, nie ujawniamy szczegółów – wyjaśnia Paweł Tomaszek, rzecznik EMP.*

## Tureckim tropem

Nie wiadomo także, jak będzie wyglądał sam narodowy e-samochód, bo demonstrowane kilka lat temu makiety nadwozi, stworzone przez włoskich projektantów z pracowni Torino Design, zestarzały się na tyle, że zamówiono nowe. Tym razem w innym turyńskim biurze projektowym, Pininfarina, dziś należącym do indyjskiego producenta samochodów Mahindra. To w tym studiu powstał projekt narodowego tureckiego eauta TOGG, wymarzonego dziecka prezydenta Erdoğan. To wypisz wymaluj kopia idei przyświecającej naszej Izere – polityczny projekt, którym Turcy chcą pokazać światu, że i oni zasłużyli na własną markę samochodów. Różnica jest tylko ta, że tam za realizację wzięło się konsorcjum firm prywatnych, a nie państwo. I być może dlatego, choć zaczęli rok później, TOGG jest już w sprzedaży.

Stworzenie atrakcyjnego nadwozia Izery nadążającego za trendami stylistycznymi to najmniejszy problem. Największym



TOGG – polityczne auto Erdoğan. W odróżnieniu od Izery – można nim już jeździć.

okazała się platforma, czyli auto właściwe: podwozie z silnikiem, bateriami, zawieszeniem, układem kierowniczym, elektroniką itd. W sumie to ok. 1700 układów i podzespołów. Turcy sami zbudowali platformę, u nas uznano, że bezpieczniej będzie kupić gotową. Poszukiwania trwały długo i zaprowadziły Izera do Chin. EMP podpisała z chińskim koncernem Geely Holding umowę o partnerstwie technologicznym. Izera będzie e-autem na chińskiej licencji, budowanym na elektrycznej platformie SEA (Sustainable Experience Architecture) stworzonej przez chińskich inżynierów. Polska spółka planuje wykorzystanie chińskich platform do całej gamy samochodów elektrycznych z segmentu C. Pierwszym będzie SUV, potem ma się pojawić kombi oraz hatchback.

### Made in China 2025

Geely to wielki koncern, którego właścicielem jest biznesmen Li Shufu, w świecie znany jako Eric Li, jeden z najbogatszych Chińczyków (15,9 mld dol. – 84. miejsce w świecie bogaczy). Pan Li jest członkiem Komitetu Narodowego Chińskiej Ludowej Politycznej Konferencji Konsultatywnej (odpowiednik peerelowskiego Frontu Jedności Narodu) i delegatem na Ogólnochińskie Zgromadzenie Przedstawicieli Ludowych.

W 1997 r. zajął się produkcją samochodów z takim sukcesem, że w 2010 r. rozpoczął ekspansję w Europie, kupując 80 proc. szwedzkiego producenta aut osobowych Volvo Cars, a także mniejszościowy pakiet w Volvo AB (ciężarówki i autobusy) oraz Polestar, związaną z Volvo szwedzką markę. Potem skierował się na Wyspy Brytyjskie, gdzie odkupił od Malejczyków Lotusa, kupił też producenta elektrycznych taksówek London Electric Vehicle Company. W 2019 r. pan Li uratował przed likwidacją Smarta, wyciągając do Mercedesa pomocną dłoń. Smart Automobile jest teraz niemiecko-chińską firmą z siedzibą w Ningbo w Chinach, wytwarzającą elektryczne mikroauta. Obecnie Geely Holding to konglomerat wielu marek, takich jak Geely Auto, Lynk&Co, ZEEKR, Geometry, Farizon Auto i Cao Cao Mobility. W 2022 r. koncern Geely sprzedał 1,4 mln aut, z czego 328,7 tys. elektrycznych. Jest siódmym producentem aut w Chinach.

Europejczykom nazwy chińskich aut mówią na razie niewiele, ale to się zmieni, kiedy wszyscy będziemy nimi jeździć. Władze Państwa Środka postawiły bowiem na elektromobilność

i ekspansję swojego przemysłu motoryzacyjnego na całym świecie. To zadanie, jakie partia wyznaczyła w strategii Made in China 2025. Ta ekspansja jest tym bardziej konieczna, że dziś Chiny duszą się od nadmiaru mocy produkcyjnych w motoryzacji.

Kraj ten od dawna konsekwentnie budował swój przemysł motoryzacyjny, najpierw ściągając zachodnie firmy, tworząc z nimi wspólne fabryki, w których Chińczycy uczyli się nowoczesnych technologii i organizacji produkcji. Naśladowali w tym drogę, jaką pokonały firmy japońskie, a potem koreańskie. – *Wiedzieli, że rywalizowanie z największymi zachodnimi koncernami w produkcji samochodów spalinowych im się nie uda, dlatego postawili na auta elektryczne. Państwo wspierało ten rozwój na rozmaite sposoby. Według niektórych szacunków wydano na ten cel nawet 200 mld dol. A ponieważ poza ogromnymi pieniędzmi mają też zasoby surowców niezbędnych do produkcji e-aut, Chiny stały się kluczowym graczem w dziedzinie elektromobilności* – wyjaśnia Jakub Faryś, prezes Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego.

Dziś Geely staje przed szansą zdobycia kolejnego przyczółku w Europie. Chińczycy zdają sobie sprawę, że Izera jest fundowana na ruchomych piaskach polityki i nie wiadomo, czy powstanie, ale oni wiele nie ryzykują. Jeśli jednak w Jaworznie za dwa lata ruszy fabryka, Chińczycy zyskają w środku Europy zakład zbudowany od zera pod ich potrzeby, wykorzystujący ich technologię, ich produkty i zapewne też ich maszyny. Zresztą już rozmawiają o współdzieleniu mocy produkcyjnych fabryki. W Jaworznie będą więc powstawać nie tylko Izery, ale także własne modele Geely, wykorzystujące tę samą platformę SEA.

### Nasz pomysł, nasza Izera

Część ekspertów jest zdania, że Chińczycy będą zainteresowani wejściem kapitałowym i przejęciem polskiej fabryki. – *Potencjalnie możliwe jest większe zaangażowanie kapitałowe Geely w Polsce, co mogłoby zaowocować dodatkowymi inwestycjami. Pozwoliłoby to ograniczyć ryzyka biznesowe, z którymi dziś musi się zmagać EMP. Rynek motoryzacyjny jest konkurencyjny, a nowo powstałe marki nie mają na nim łatwo. Dziś nie jest sztuką zbudować zero-emisyjny samochód, tylko sprzedawać go z zyskiem* – ocenia Maciej Mazur, dyrektor zarządzający Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych i prezydent europejskiej organizacji AVERE. ►

► Podobnego zdania byli kontrolerzy NIK, którzy sprawdzali sposób finansowania przez rząd projektu Izery (znaleziono szereg nieprawidłowości), a także sposób, w jaki EMP wykorzystuje publiczne pieniądze. Choć w raporcie pokontrolnym stwierdzono, że ocena racjonalności gospodarczej samego przedsięwzięcia nie podlega ocenie NIK, to kontrolerzy nie mogli powstrzymać się od uwagi: „Przedłużający się proces realizacji projektu może spowodować, że potencjalna upatrywana szansa rynkowa ulegnie dezaktualizacji, a produkt nie znajdzie oczekiwanego przez Spółkę w planach popytu rynkowego”.

W ElectroMobility Poland sugestie, że Izera może stać się firmą chińską, budzą protest. – *Izera jest i będzie polską marką. Tutaj narodził się pomysł, podejmowane są decyzje, sprawowana jest kontrola nad procesami i tutaj również będzie odbywać się cała produkcja. EMP nie bierze pod uwagę przejęcia marki handlowej przez zewnętrzny podmiot* – zapewnia Paweł Tomaszek.

EMP ma dziś z chińskim partnerem pewien problem. Konzern Geely został uznany przez Ukrainę za sponsora wojny, bo podobnie jak inne tamtejsze koncerny motoryzacyjne wykorzystał agresję Rosji na Ukrainę do podboju rynku rosyjskiego. To także element chińskiej ekspansji na zachód. Kiedy zachodnie koncerny wycofały się z Rosji, powstała próżnia, którą Chińczycy zajmują bez walki.

W 2022 r. obroty dystrybutora aut grupy Geely w Rosji wzrosły o 82 proc. – do 800 mln dol., zysk netto wzrósł o 5105 proc. – do 201 mln dol., a do rosyjskiego budżetu wpłynęło ponad 51,4 mln dol. podatków. W Europie na Geely posypały się za to gromy, zwłaszcza w Szwecji, gdzie instytucje państwowe, w tym armia, chcą bojkotować auta Volvo. Jakie to ma znaczenie dla projektu Izery? – *Sprawę traktujemy bardzo poważnie i analizowaliśmy ją również od strony formalnej. Już w pierwszych godzinach po tym, jak informacja się pojawiła w obiegu publicznym, rozmawialiśmy na ten temat z Geely. Wierzymy, że temat zostanie wyjaśniony* – zapewnia Tomaszek. Na jakie wyjaśnienie czeka EMP, nie wiadomo.

## Oddech na karku

Kiedy polska państwowa spółka szykuje się do budowy fabryki polsko-chińskich e-samochodów, Komisja Europejska wszczęła dochodzenie w sprawie subsydiowanych samochodów elektrycznych z Chin. „Sektor pojazdów elektrycznych ma ogromny potencjał, jeśli chodzi o przyszłą konkurencyjność Europy i wiodącą pozycję w przemyśle ekologicznym. Unijni producenci samochodów i sektory pokrewne już inwestują i dokonują innowacji, by w pełni wykorzystać ten potencjał. Wszędzie tam, gdzie znajdziemy dowody na to, że ich wysiłki są hamowane przez zakłócenia na rynku i nieuczciwą konkurencję, będziemy podejmować zdecydowane działania” – zapowiedziała przewodnicząca KE Ursula von der Leyen. W ElectroMobility Poland nie obawiają się skutków antychińskich działań Komisji. – *Zapowiedź wszczęcia dochodzenia przez KE dotyczącego subsydiowania chińskich samochodów elektrycznych nie dotyczy projektu, jaki prowadzi ElectroMobility Poland i nie wpłynie na jego realizację* – przekonuje Tomaszek.

Komisja zapewnia, że zajmuje się sprawą z własnej inicjatywy, choć tak naprawdę inicjatywa wyszła od niektórych firm europejskich, zwłaszcza koncernu Stellantis (m.in. Fiat, Opel, Peugeot). Europejscy producenci czują oddech chińskich firm na karku, a widzą, że konkurenci korzystają z środków dopingujących.

Skończyły się czasy tanich byle jakich chińskich samochodów, a jeśli chodzi o e-auta, to konkurowanie z Chińczykami może okazać się niezwykle trudne. Unia w 2035 r. zamierza zakończyć erę aut spalinowych, czasu zostało niewiele, a na naszym kontynencie brakuje kluczowych elementów nowego ekosystemu motoryzacji, zwłaszcza fabryk wytwarzających baterie litowo-jonowe.

## Strefa zgniotu

Wszyscy wiedzą, że Chiny subsydują swoich producentów, że rozmaitymi sposobami utrudniają dostęp do swego rynku. Już choćby sama asymetria cel o tym świadczy: chińskie auta w Europie obłożone są 10-proc. cłem, europejskie w Chinach 15–25-proc. Mimo to producenci niemieccy walczyli, żeby Bruksela nie zajmowała się niedozwolonymi praktykami. Chiny to dla niemieckiego przemysłu gigantyczny rynek eksportowy, na którym mają mocną pozycję. Mają tam fabryki, prawda, że kierowane przez chińskich menedżerów, ale wytwarzające ich samochody, mają współpracę technologiczną, dostawców części. Chińczycy chętnie kupują niemieckie auta spalinowe klasy premium. Dlatego kalkulacja niemiecka oparta jest na założeniu, że straty spowodowane inwazją chińskich e-aut na Europę będą niższe od zysków, które jeszcze długo będą ciągnąć z tamtejszego rynku. Boją się retorsji, przed którymi Komisję Europejską Chiny już ostrzegły.

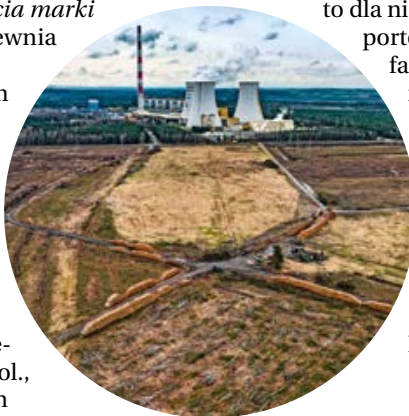
Europejska motoryzacja – fundament unijnej gospodarki – znalazła się w strefie zgniotu pomiędzy napierającymi Chinami z jednej strony i Ameryką z drugiej. USA już za Trumpa zaczęły blokować chińskim firmom dostęp do swego rynku i technologii, prezydent Biden politykę

kontynuuje, aplikując amerykańskim firmom motoryzacyjnym potężny zastrzyk subsydiów w ramach Ustawy o ograniczeniu inflacji (Inflation Reduction Act – IRA). „Ustawa jeszcze bardziej skieruje ekspansję chińskich wytwórców samochodów elektrycznych w stronę UE, co zagrozi konkurencyjności europejskich koncernów, a zwłaszcza ich poddostawców. Mają oni niewielkie szanse, aby w chińskich łańcuchach wartości zająć pozycję tak silną jak obecnie, gdyż ChRL rozbudowała cały łańcuch krajowych podmiotów dostarczających rozwiązania z dziedziny elektromobilności. Europa Środkowa i Chiny są dla siebie konkurentami w walce o produkcję komponentów i aut na potrzeby rynku unijnego” – twierdzi dr Konrad Popławski, ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich. Polska może ucierpieć szczególnie, bo mamy licznych producentów silników spalinowych i części do europejskich aut, a motoryzacja jest naszą główną branżą eksportową.

Tymczasem szefowie EMP żyją w przekonaniu, że Geely da się łatwo namówić do przekazania swojej technologii w ręce lokalnych kooperantów. – *Izera to marka samochodów elektrycznych, które będą produkowane w Polsce w oparciu o łańcuch dostaw budowany według standardów obowiązujących w branży automotive, uwzględniających jakość, cenę i bezpieczeństwo dostaw. Zakładamy również znaczący udział dostawców lokalnych* – przekonuje Tomaszek.

Dr Popławski rozwiewa te złudzenia: „Chińskie władze centralne i lokalne będą dążyły do maksymalnego skoncentrowania produkcji o wysokiej wartości dodanej u siebie, a następnie eksportowania jej do Europy w postaci komponentów lub gotowych produktów”. A to oznacza, że jaworzniacka Izera będzie jednak montownią chińskich aut.

ADAM GRZESZAK



Jaworzno: tutaj stanie polska fabryka chińskich samochodów elektrycznych.

Polski biznes w Ukrainie trzyma się nieźle mimo wojennej grozy. Ale rosną obawy o udział naszych firm w odbudowie zniszczeń. Głównie z powodu podgrzewania antyukraińskich nastrojów przez rząd PiS.

# Ruskie rakiety i polskie miny

MARCIN PIĄTEK

**T**elefon nad ranem zwykle zwiastuje złe wieści. Prezes Fakro Ryszard Florek usłyszał: rakiety spadły na fabrykę pod Lwowem, płonie magazyn z towarami i materiałami oraz część hali produkcyjnej. Straż pożarna nie jedzie, bo wciąż obowiązuje alarm przeciwlotniczy. Więc ogień bezkarnie się rozprzestrzenia.

– *Cudem nikt nie zginął, pracownicy ochrony znajdowali się w sąsiednim budynku. Ale portier z sąsiedniej hali, również ostrzelanej, już nie miał tyle szczęścia. Zginął pod zawaloną ścianą* – relacjonuje prezes Florek.

Na cel wzięto zakładowe magazyny, w których zgromadzone były setki ton pomocy humanitarnej Caritasu. Przy okazji niszcząc majątek Fakro. Prezes Florek ocenia straty na 25–30 mln zł. Na ubezpieczenie nie ma co liczyć, nie obejmuje tego typu wojennych zdarzeń. – *Rząd, w osobie minister Jadwigi Emilewicz, wstępnie zadeklarował, że sfinansuje nam do 50 proc. kosztów odbudowy. Ale wiążące decyzje wciąż nie zapadły. Jeśli nie otrzymamy wsparcia, poczekamy z budową do końca wojny* – dodaje. Na razie produkcja jest kontynuowana w ocalałej części zakładu. Na obecne potrzeby rynku ukraińskiego wystarczy; w porównaniu z okresem sprzed wojny sprzedaż okien dachowych i schodów strychowych spadła, według obliczeń prezesa Florka, o dwie trzecie.

## Biznesowe dylematy

Kilka tygodni wcześniej rakiety spadły na znajdujący się w Łucku zakład szwedzkiego producenta łożysk tocznych SKF – zginęły trzy osoby, zniszczona została cała linia produkcyjna. A po sąsiedzku znajduje się duża polska fabryka, widoczna doskonale na mapach satelitarnych (ma ponad 75 tys. m kw. powierzchni) i ulokowana na terenie, który pod koniec lat 80. został przeznaczony na fabrykę układów sterowania rakiet. ►



Płonąca hala produkcyjna i magazyny fabryki Fakro pod Lwowem.

► Budowę przerwał rozpad ZSRR, ale gdzieś w obiegu mogą być jeszcze mapy albo dokumenty, na których łucki zakład figuruje jako zbrojeniówka. A groźna ukraińska codzienność to też kolaboracja; zdarza się, że pracownicy znajdowali na dachach swoich zakładów świeżo namalowane znaki – wielkie koła z „iksami” w środku – naprowadzające na cel bombowego wroga.

W bombardowaniu fabryk, nawet tych daleko od frontu, nie ma przypadku – to kolejna odsłona rosyjskiego terro-ru. Inną formą nękania przemysłu było niszczenie infrastruktury energetycznej – udało się je przetrwać dzięki heroicznym wysiłkom ekip remontowych oraz wyposażeniu zakładów w alternatywne źródła zasilania. Wystarczająco nawet na kilka dni, choć z reguły pozwalają działać w ograniczonej skali. Dylematy – zamykać, przenosić produkcję, kontynuować działalność? – rozwiązuje nastawienie załogi. Bezrobocie w Ukrainie rośnie w zastraszającym tempie, stabilnie zatrudnienie u wyjątkowego pracodawcy jest na wagę złota. Szybka i sprawna ewakuacja do przyzakładowych schronów pracownicy przeżyli już wiele razy, więc czują się względnie bezpiecznie.

Ospokój wśród pracowników – zwłaszcza mężczyzn – jednak trudno, gdyż przeciągająca się wojna przybliżyła widmo poboru. Prezes Florek mówi, że załoga jego lwowskiego zakładu się wykruszyła: część poszła do armii, część uciekła przed poborem za granicę, część się zwolniła w obawie przed odwiedzinami fabryki przez pracowników komisji poborowych. Między armią a pracodawcami obowiązują wprawdzie ustalenia, których istota sprowadza się do tego, by konieczność obrony ojczyzny na froncie nie sparaliżowała działalności firm, ale nie ma gwarancji, że bez końca będą respektowane.

### Zamknięte okno na wschód

Wraz z nadejściem okresu jesienno-zimowego wzrasta się obawa przed kolejną falą ataków rakietowych na infrastrukturę energetyczną. Oraz nieuchronności powrotu do harmonogramu pracy uzależnionego od przerywanych dostaw prądu. To oczywiście destabilizuje produkcję, ale motywacja, by dotrzymać terminów zamówień, jest silna. – *Od wybuchu wojny mieliśmy tylko 6 dni przestoju. Jeśli trzeba, ludzie pracują nocami albo w weekendy* – mówi Bogdan Łukasik, prezes firmy Modern Expo produkującej wyposażenie sklepów. Rozkręcił firmę do obecnych

rozmiarów – 2 tys. pracowników w łuckim zakładzie, eksport produktów do ponad 70 krajów świata – wraz ze swym ukraińskim współnikiem Petrem Pylypiukiem.

Sensowność działalności w Ukrainie to dla prezesów wciąż żywy temat. Jest uzależniona przede wszystkim od zbytu. Prezes Łukasik mówi, że miał bardzo duże obawy o utratę kontrahentów, którzy mogli uznać, że ryzyko dotrzymania terminów przez Modern Expo jest zbyt duże. – *Tymczasem nikt się nie wycofał, przedłużano nam terminy realizacji, pobłażliwie podchodzono do gwarancji bankowych. Podczas obecności na branżowych targach zauważyliśmy, że polsko-ukraiński rodowód firmy pomaga przełamać barierę pierwszego kontaktu. Duży francuski koncern wybrał nas jako dostawców, rezygnując z porównania innych ofert. Nie spodziewałem się takiej solidarności* – opowiada.

Ale zdarzają się też mniej krzepiące doświadczenia. Paweł Wuttke, prezes zarządu firmy informatycznej Future Processing Ukraina, mówi, że niektórzy klienci się wycofali. – *Oni traktują znajdujący się pod ostrzałem Chersoń tak samo jak niektóry do tej pory Tarnopol, gdzie mamy siedzibę*.

Dla wielu polskich firm Ukraina była również przyczółkiem i oknem na wschód, przede wszystkim na rynek rosyjski. Prezes Ryszard Florek nie ukrywa, że za obecny spadek sprzedaży Fakro odpowiada również zamknięcie tego kierunku. I brak widoków na zmianę tego stanu rzeczy.

Dariusz Szymczycha, wiceprezes Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej (PUIG), nie ukrywa, że za sprawą ostatnich zniszczeń ucierpiał również producent materiałów budowlanych Bolix; odłamki rakiet strąconych pod Kijowem zniszczyły firmowe samochody i część zapasów w tamtejszym oddziale firmy – strach może zniechęcać do inwestowania w Ukrainie. – *A przy tym nie mówię o pociskach, które nie wybuchły. Niedawno od prezesa firmy eksportującej ukraiński miód do Stanów Zjednoczonych dostaliśmy zdjęcie rakiety, która spadła do beczki z miodem i nie eksplodowała*.

Gospodarczej współpracy obu państw źle robią także ostatnie polityczne napięcia. We wzajemnych stosunkach powiało lodowatym chłodem od czasu utrzymania przez Polskę embarga na ukraińskie produkty rolne. W końcu premier Morawiecki wypalił, że Polska nie przekazuje już broni do Ukrainy, bo teraz sama zaopatruje się w „najnowocześniejszy sprzęt”. Polska Grupa

Zbrojeniowa nie wzięła udziału w targach militarnych w Kijowie, a szef polskiego MSZ Zbigniew Rau ogłosił, że „w relacjach z Ukrainą wchodzimy w okres dekonjunkury”.

– *Embargo to populistyczny zwrot, na użytek polskiej kampanii wyborczej. Rząd nagle postanowił bronić polskiego rolnictwa, a wcześniej nie potrafił wprowadzić prostego mechanizmu inkasowania kaucji za zboże przewożone przez Polskę tranzytem. Inna sprawa, że Taras Kaczka [wiceminister gospodarki Ukrainy, w związku z embargiem złożył na Polskę skargę do Światowej Organizacji Handlu, obecnie ma ona status „zawieszonyj”] to typ fightera. Bezkompromisowy, ale również bardzo kompetentny obrońca interesów Ukrainy. Dziś podstawowe towary eksportowe Ukrainy to płody rolne i usługi informatyczne. A dla budżetu liczy się każda hrywna. Jak pokazują najbardziej pesymistyczne wyliczenia, każdy miesiąc wojny oznacza deficyt w wysokości nawet 5 mld dol. –* dodaje Szymczycha.

### Bez sentymentów

Według opublikowanych niedawno danych GUS w pierwszych siedmiu miesiącach tego roku wartość towarów wyeksportowanych z Polski do Ukrainy wzrosła o 33 proc., ale w odwrotnym kierunku odnotowano spadek o 16 proc. Wojna dotkliwie odbiła się na PKB Ukrainy, który spadł o 35 proc. Są olbrzymie trudności z odbudową firm, ich relokacją do mniej zagrożonych obszarów, utrzymaniem zdolności eksportowych, a bezrobocie sięga 25 proc.

W tej sytuacji Ukraińcy zrobili się bardzo wyczuleni na punkcie ochrony rodzimych interesów gospodarczych. Dariusz Szymczycha opowiada, że ukraińscy celnicy coraz częściej kwestionują wartość wwożonych do ich kraju towarów, walczą tym samym o wyższe wpływy podatkowe. – *Zdarza się więc, że kierowcy okazują zdjęcie cen obowiązujących w polskich sklepach. Albo zwracają się do Izby z prośbą o wystawienie dokumentów poświadczających faktyczną cenę towaru* – dodaje Szymczycha.

Jednak mówienie o początku wojny handlowej jest mocno na wyrost. Zwłaszcza biorąc pod uwagę nikomy udział ukraińskich płodów rolnych w eksportowym bilansie do Polski. Ale na niedawnym kongresie odbudowy Ukrainy, zorganizowanym w Poznaniu z inicjatywy PUIG, dużo większym echem niż zbombardowanie fabryki Fakro odbiło się właśnie to polityczne ochłodzenie. Zapanowała

obawa, że może się ono niekorzystnie odbić na udziale polskich firm w przyszłej odbudowie Ukrainy.

Z niepokojem odnotowano, że gospodarzem przyszłorocznej, międzynarodowej konferencji poświęconej odbudowie został ponownie Berlin, i że biorąc pod uwagę potencjał finansowy niemieckich firm, ich know-how, zaplecze kredytowe i wreszcie siłę przebicia, Ukraina może postawić właśnie na Niemcy. Mimo że na początku wojny nie kwapili się oni do pomocy.

w odbudowie Ukrainy. Tymczasem, jeśli chodzi o plan podnoszenia kraju z wojennych gruzów, konkretów wciąż jest niewiele. Przed tygodniem komisja Parlamentu Europejskiego zatwierdziła wart 50 mld euro program odbudowy, rozpisany na lata 2024–27. Ukraiński rząd wciąż klasyfikuje priorytety odbudowy i dyskutuje nad nowelizacją ukraińskiego prawa o zamówieniach publicznych. – *Niby niewielka rzecz: zniesienie warunku uprzedniej rejestracji firmy w Ukrainie oraz posiadania tam*

ale rodzimy biznes zarabia przede wszystkim na eksporcie do Ukrainy materiałów pierwszej potrzeby.

## Gry o rynek

Kiedy ruszy szeroko zakrojona odbudowa? Najbezpieczniej odpowiedź: gdy skończy się wojna. Ale Ukraińcy już, na międzynarodowych konferencjach i spotkaniach, chwalą się zdjęciami ukończonych w imponującym tempie realizacji, często z dużym udziałem lokalnej społeczności. W polskiej branży budowlanej da się odczuć pewien niepokój związany z faktem, że skoro Ukraińcy naciskają, by ruszać, a polskie firmy przecież nie wysłały tam swoich pracowników, w lukę zaraz wciśnie się inny gracz. Najprędzej Turcja.

Prezes Jan Styliński wysondował temat niedawno podczas dużej międzynarodowej konferencji branży budownictwa w Seulu. – *Wieści o obecności w Ukrainie tureckich deweloperów nie potwierdziły się. Nie ukrywali co prawda, że są bardzo zainteresowani kontraktami, podoba im się, że Ukraina nie jest w Unii, bo dostrzegają w tym szansę na „pokonanie formalnych ograniczeń”. Ale narzekali też, że przeszkadza im polityka Erdoğan, który utrzymuje oficjalne relacje z Putinem. Co się oczywiście Ukraińcom nie podoba – opowiada prezes Styliński.*

Bardzo zainteresowani udziałem w ukraińskiej odbudowie są też Koreańscy. – *Deklarowali też chęć pozyskania polskich partnerów: jako podwykonawców, członków spółek joint venture albo co najmniej dostawców. Chcą w ten sposób podzielić się ryzykiem, ale przede wszystkim wykorzystać naszą znajomość poruszania się w ukraińskiej rzeczywistości – dodaje Styliński.*

Jak na razie Koreańczycy starają się zrobić dobre wrażenie i zdobyć gospodarcze przyczółki, przeznaczając na pomoc charytatywną 200 mln euro.

A Polacy? Ubiegłego lata premier Ukrainy Denys Szmyhal zaproponował, by najbardziej zaangażowane w pomoc dla jego ojczyzny kraje zostały wynagrodzone poprzez przyznanie stref odbudowy, z grubsza pokrywających się z granicami dzisiejszych obwodów. Polsce miał przypaść obwód doniecki, co przyjęto u nas z konsternacją, bo w dalszym ciągu trwały tam działania wojenne – trwają zresztą do dziś i końca nie widać. To już nieaktualne, ale wydaje się, że tzw. duże kontrakty na odbudowę będą zawierane na szczeblu rządowym. Wiele będzie zależeć od klimatu stosunków polsko-ukraińskich, a to z kolei od tego, jaki będzie w Polsce rząd po wyborach.

MARCIN PIĄTEK



Polska fabryka Modern Expo, producent wyposażenia sklepów oraz paczkomatów.

Przedstawiciele polskiego rządu uważają, że właśnie z racji mocnego wsparcia udzielonego Ukrainie od początku agresji, w tym przyjęcia milionów uchodźców, polskim firmom należy się preferencyjne traktowanie. A minister rozwoju i technologii Waldemar Buda zadeklarował wręcz publicznie, że osobiście podpisał ze stroną ukraińską porozumienie, z którego wynika, że „będziemy preferowani w przetargach”. Szymczycha: – *O ile pamiętam, mamy do czynienia tylko ze zobowiązaniem do informowania polskiej strony o przetargach, projektach i zmianach prawnych. W biznesie nie ma sentymentów.*

## Mała odbudowa

Bank Światowy ocenia koszty odbudowy na ponad 400 mld dol. – i to tylko na wyzwolonych terenach. Firmy już stoją w blokach: Polska Agencja Inwestycji i Handlu doliczyła się 1750 polskich podmiotów chętnych do udziału

pracowników, ale trudno ją przeforsować – zauważa Szymczycha.

Zachodni kapitał – zanim zaangażuje się w Ukrainie – oczekuje przede wszystkim transparentności w wydatkowaniu środków oraz zmian systemowych. – *W sądownictwie, przepisach celnych, poza tym zmniejszenia biurokracji i autentycznej walki z korupcją. Tymczasem Ukraińcy powtarzają: dajcie nam pieniądze, a my sobie ze wszystkim poradzimy. To naiwne podejście. Jeśli strona ukraińska nie spełni tych warunków, będzie skazana wyłącznie na pomoc humanitarną, która jest kroplą w morzu potrzeb – uważa Jan Styliński, prezes Polskiego Związku Pracodawców Budownictwa.*

Na razie realizowana jest więc tzw. mała odbudowa. Najpilniejsze potrzeby: tu szkoła, tam szpital, drogi, mosty, pojedyncze budynki mieszkalne. Zdarzają się nawet polskie firmy biorące w tym udział,

# Strategiczna odpowiedzialność

PRAWIE 4 TYS. POLSKICH FIRM BĘDZIE MUSIAŁO ROZSZERZYĆ I ZMIENIĆ ZAKRES INFORMOWANIA NA TEMAT PODEJMOWANYCH DZIAŁAŃ W OBSZARZE ZRÓWNOWAŻONEGO ROZWOJU, WŁĄCZAJĄC DO SWOICH RAPORTÓW I STRATEGII CZYNNIKI ESG ZWIĄZANE Z OCHRONĄ ŚRODOWISKA, ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ ZA PRACOWNIKÓW, ETYKĄ CZY POSZANOWANIEM PRAW CZŁOWIEKA W RAMACH ŁADU KORPORACYJNEGO.



© SHUTTERSTOCK

**T**o efekt postanowień Unii Europejskiej, która opracowała Dyrektywę CSRD (*Corporate Sustainability Reporting Directive*), o sprawozdawczości w zakresie zrównoważonego rozwoju, która nałożyła na duże firmy oraz małe i średnie notowane na giełdzie, nowe obowiązki w sprawie raportowania kwestii zrównoważonego rozwoju. Unia chce w ten sposób uregulować kwestie dotyczące dostępności i jakości danych ESG. Generalnie chodzi o to, aby producenci, ale też konsumenci mieli świadomość, jaki wpływ na środowisko i klimat wywiera firma. Wyniki

badania firmy doradczej EY „Future Consumer Index” wskazują, że Polacy coraz większą uwagę przywiązują do tego, jak na środowisko naturalne wpływają kupowane przez nich produkty. 83 proc. respondentów deklaruowało, że zrównoważony rozwój ma znaczenie przy podejmowaniu przez nich decyzji zakupowych. Ale jedynie nieco ponad 40 proc. było gotowych płacić więcej za produkty, o których wiedzą, że są produkowane w sposób zrównoważony. Prawie tyle samo badanych miało duży problem z określeniem swojego stanowiska w tej kwestii.

## Wpływ na środowisko

Ale jak zmierzyć wpływ firmy i jej produktów na otoczenie, i jak zidentyfikować istotne dla danej firmy tematy ESG? Unijne regulacje i standardy raportowania kwestii zrównoważonego rozwoju wprowadzają wymagania dotyczące definiowania tematów istotnych i doboru odpowiednich narzędzi i wskaźników w ich ocenie.

To trudne zadanie, bo te istotne tematy trzeba rozpatrywać w całym łańcuchu wartości. Należy identyfikować zarówno pozytywne, jak i ne-

gatywne wymiary oraz ich wpływ zarówno obecnie, jak też w krótkiej, średniej i długiej perspektywie czasowej. W tak niestabilnych warunkach gospodarczych i społecznych tego typu identyfikacja uniemożliwia tworzenie realnych scenariuszy. W kwestiach środowiskowych, klimatycznych firmy są coraz lepiej przygotowane do takiej oceny. W przypadku ryzyk społecznych, wydaje się, że wciąż jeszcze są one niedoszacowywane, zwłaszcza w kontekście nowych lub nadchodzących wymagań regulacyjnych.

W praktyce okazuje się, że największy wpływ, jaki fir-

## Odpowiedzialny łańcuch dostaw



OLGA ZŁOTNICKA,  
DYREKTORKA  
WYKONAWCZA  
DS. TRANSFORMACJI  
I EFEKTYWNOŚCI  
ORANGE POLSKA

**A**by lepiej sprostać najwyższemu standardowi zarządzania ESG, w Orange Polska coraz większą wagę przykładamy do naszego łańcucha dostaw. Dbamy, aby nasi dostawcy spełniali wysokie standardy w zakresie przestrzegania praw pracowniczych, ochrony środowiska i klimatu czy respektowania praw człowieka. Temu służą obowiązkowe klauzule CSR w umowach, w których zobowiązujemy partnerów do przestrzegania Kodeksu dla dostawców Orange Polska. W dokumencie tym odwołujemy się do krajowych i międzynarodowych przepisów dotyczących standardów etycznych i odpowiedzialnego zachowania, w tym m.in. przepisów dotyczących praw człowieka, ochrony środowiska, zdrowia i bezpieczeństwa osób oraz zrównoważo-

nego rozwoju. Ponadto nasi kontrahenci są zobowiązani wymagać od swoich pracowników, dostawców i podwykonawców powstrzymywania się od zatrudniania dzieci, wykorzystywania pracy przymusowej oraz zwalczania wszelkich przejawów dyskryminacji.

Dodatkowo dla dostawców z obszarów największego ryzyka w zakresie naruszenia praw człowieka wdrażamy obecnie ocenę przeprowadzaną przez EcoVadis, międzynarodową firmę specjalizującą się od wielu lat w ocenie przedsiębiorstw pod względem CSR/ESG. Wyniki oceny będą uwzględniane w procesie rozpatrywania ofert w prowadzonych przez Orange Polska postępowaniach zakupowych.

Firmy, które nie uzyskają wymaganej liczby punktów, nie będą mogły z nami współpracować. Obecnie w wielu postępowaniach zakupowych przy wyborze ofert dostawców już stosujemy kryteria Green, takie jak poziom zużycia energii czy ecodesign produktu. Na poziomie globalnym Grupa Orange jest członkiem założycielem stowarzyszenia Joint Alliance for CSR (JAC), które zrzesza 27 operatorów telekomunikacyjnych. Do tej pory przeprowadzono już 910 audytów w fabrykach na całym świecie.

Ponadto w ramach procedury staranności w zakresie przestrzegania praw

człowieka (Duty of Vigilance) opracowaliśmy „Politykę praw człowieka”, zidentyfikowaliśmy największe ryzyka wynikające z naszej działalności oraz realizujemy działania mitygujące.

**K**olejnym ważnym aspektem współpracy z dostawcami jest kwestia raportowania. Zależy nam na tym, aby dostawcy dostarczali nam wiarygodnych i rzetelnych danych, których potrzebujemy do zarządzania naszym wpływem na otoczenie i klimat.

Chodzi m.in. o monitorowanie przez Orange Polska podejścia dostawców i podwykonawców do redukcji emisji gazów cieplarnianych. W Grupie Orange zobowiązaliśmy się do redukcji emisji o 45 proc. do 2030 r. To duże wyzwanie. Dlatego do dostawców kierujemy ankiety, w których pytamy o to, jakie stawiają sobie cele dotyczące redukcji emisji CO<sub>2</sub> oraz jakie działania podejmują w tym kierunku, a ich dobry wynik zwiększa punktację danego dostawcy w procesach zakupowych, i w rezultacie prawdopodobieństwo współpracy z Orange Polska.



ma wywiera na otoczenie, nie dotyczy tylko etapu produkcji czy łańcucha dostaw, ale jest znacznie szerszy. Począwszy od pochodzenia surowca, sposobu jego pozyskania, przez samą produkcję towaru, jego magazynowanie, sposób dostarczenia na rynek, a następnie jego użytkowanie przez konsumentów i ewentualny recykling.

Ocena takiego wpływu na środowisko od strony łańcucha wartości wciąż jeszcze jest dużym wyzwaniem właściwie dla wszystkich firm. Wymaga gromadzenia, analizowania i liczenia szeregu danych, które obecnie nie są dostępne. Wciąż nie wiadomo, w jakim zakresie poszczególne dane zbierać. Nie istnieją bazy danych ani systemy umożliwiające pełne śledzenie produktów i monitorowanie

określonych parametrów społecznych i środowiskowych.

To ogromne wyzwanie, aby sprostać strategicznemu podejściu do ESG. Dyrektywa CSRD wymusza bowiem nie tyle raportowanie określonych danych, ile włączanie czynników ESG w zarządzanie organizacją, zarządzanie wpływem, ryzykiem i szansami, jakie daje prowadzenie działalności w zgodzie ze zrównoważonym rozwojem.

Na tym tle warto zwrócić uwagę, że firmy coraz lepiej sobie radzą z identyfikacją, oceną i zarządzaniem swoim wpływem w łańcuchu dostaw, jednym z kluczowych elementów łańcucha wartości. Istotnym czynnikiem wspierającym te działania jest Dyrektywa CSDD (*Corporate Sustainability Due Dilligence Directive*), która będzie wymagała od określonych

firm, zarówno z Unii Europejskiej, jak też z innych krajów wdrożenia odpowiednich procesów, należytej staranności w kwestiach społecznych i środowiskowych. Oznacza to nie tylko konieczność ułożenia odpowiednich zasad i wprowadzenia procedur w ramach organizacji, ale też w łańcuchach dostaw w ramach współpracy z kontrahentami. Co może okazać się nie lada wyzwaniem szczególnie dla małych i średnich firm, które są ważnymi elementami w łańcuchach dostaw dużych korporacji. Takie przedsiębiorstwa nie zostaną objęte Dyrektywą CSRD. Nie będą też musiały publikować raportów zrównoważonego rozwoju, ani nie będą obliczać niezbędnych wskaźników taksonomicznych. Dla wielu z nich tematyka związana ze zrównoważonym rozwojem

i zagadnienia, które kryją się pod literami ESG (*Environmental, Social, Governance*), może nie są odległe, ale nie są też kluczowym elementem do podejmowania strategicznych decyzji i działań.

## Konieczna edukacja

To może mieć przykre konsekwencje. Z jednej strony duże przedsiębiorstwa będą zmuszane do tego, by przestrzegać unijnych dyrektyw i stawiać swoim partnerom biznesowym określone wymagania zgodnie ze standardami ESG. Z drugiej, mniejsze przedsiębiorstwa, które chciałyby utrzymać się w łańcuchach dostaw, nie będą wiedziały, w jaki sposób spełnić wymagania ESG stawiane im przez duże korporacje.

Oczywiście duże firmy mogą postawić sprawę zero-jedynkowo i wydać oświadczenie, że przedsiębiorstwa, które nie będą zarządzały swoim wpływem na otoczenie i nie będą dostarczały odpowiednich danych ESG, nie będą z nimi współpracować. Należy jednak pamiętać, że nie zawsze będzie można tak zrobić. Nie każdego dostawcę można w łatwy sposób zastąpić, czasami też nie opłaca się to ze względów finansowo-biznesowych. Poza tym podobne działania nie mają nic wspólnego ze zrównoważonym rozwojem – ani klienta, ani dostawcy. Aby osiągnąć własne cele ESG, takim postępowaniem firma sama sobie może zaszkodzić, wywierając negatywny wpływ na swoich interesariuszy – nie

tylko dostawców. Wyłączenie małego podmiotu z łańcucha dostaw może oznaczać negatywne skutki społeczne i gospodarcze, w tym konieczność zwalniania pracowników, być może utratę płynności i zatory płatnicze.

Dlatego też, zamiast zrywać jakąś współpracę, warto wesprzeć dostawców w działaniach na rzecz zrównoważonego rozwoju. W jaki sposób to zrobić? Przede wszystkim komunikować i edukować.

Celem komunikacji powinno być informowanie dostawców o tym, czym jest zrównoważony rozwój oraz że temat ten jest dla kluczowego klienta ważny i będzie miał coraz większe znaczenie przy ocenie i wyborze partnerów biznesowych.

Celem edukacji powinno być wsparcie dostawców w dostosowaniu się do wymagań w zakresie ESG. Zagadnienie jest nowe, a biorąc pod uwagę, jak bardzo brakuje na jego temat wiedzy w największych organizacjach, można się spodziewać, jakim wyzwaniem będzie dostosowanie się dla wszystkich mniejszych firm, które nie mają odpowiednich zasobów, zarówno ludzkich, finansowych, jak i kompetencyjnych, żeby tę wiedzę uzupełnić. Bez wsparcia ze strony swoich dużych partnerów biznesowych wiele z nich nie będzie w stanie samodzielnie tego zrobić.

Odpowiedzialność za łańcuch dostaw i edukacja dostawców jest też elementem zarządzania ryzykiem orga-

nizacji. Niezależnie, czy dostawca jest łatwo zastępowalny czy nie, nagła zmiana dostawcy zawsze może generować ryzyko przerwania ciągłości dostaw.

Z drugiej strony wyższa świadomość dostawców na temat ESG może skutkować nie tylko dostarczaniem produktu o mniejszym śladzie środowiskowym czy społecznym, ale też tworzyć przeszkody dla rozwoju nowych rozwiązań. Tym samym może być elementem zarządzania rynkowym ryzykiem przejścia, związanym z rosnącymi oczekiwaniami konsumentów w zakresie zrównoważonego rozwoju i coraz częściej uwzględnianiem przez nich kryteriów ESG w decyzjach zakupowych.

## Warząc piwo, tworzymy więzi, które mają znaczenie



IWONA JACASZEK-PRUS,  
DYREKTORKA  
DS. KORPORACYJNYCH  
W KOMPANII  
PIWOWARSKIEJ

**R**edukcja śladu węglowego, jak najniższe zużycie wody, recykling opakowań oraz promowanie odpowiedzialnego spożycia alkoholu – to przykłady działań będących wyrazem nadrzędnego celu Kompanii Piwowarskiej, tj. „Tworzenia więzi, które mają znaczenie”. Dzięki tym i innym inicjatywom sukcesywnie wypełniamy ambicje zrównoważonego rozwoju stanowiące część strategii firmy, czyli „Lepsza Przyszłość 2030”.

**J**edną z naszych ambicji jest kierowanie się dobrem planety i społeczeństwa we wszystkich działaniach. Priorytetem w tej dziedzinie jest osiągnięcie neutralności pod względem emisji CO<sub>2</sub> w naszych browarach. Od 2021 r. browary i ich magazyny są zasilane energią elektryczną pochodzącą w 100 proc. ze źródeł odnawialnych. Dążymy też do redukcji o 30 proc. śladu węglowego w całym łańcuchu wartości

do 2030 r. Temu celowi pomagają nam m.in. projekt „Single Source” polegający na reorganizacji transportu ciężarowego pomiędzy browarami a magazynami odbiorców, prowadzony od dwóch lat we współpracy z Grupą Eurocash i 15 klientami. Dzięki tej współpracy ograniczyliśmy emisję CO<sub>2</sub> do atmosfery o 290 ton, w stosunku do okresu sprzed wdrożenia planu. Sukcesywnie zmniejszamy również zużycie wody na litr uwarzonego piwa, obniżając je o ponad 40 proc. w stosunku do 2003 r. Jako lider branży do wyprodukowania jednego litra produktu potrzebujemy obecnie 2,72 l, podczas gdy średnia rynkowa to ponad 3 l. Zmierzamy do wyłącznego korzystania z opakowań realizujących założenia gospodarki o obiegu zamkniętym. Do tego przyczynia się znaczący wolumen opakowań wielorazowego użytku w strukturze sprzedaży (41 proc. w 2022 r.) oraz recykling surowców.

**P**rzez szereg projektów wolontariackich oraz programów edukacyjnych zwiększamy w Kompanii Piwowarskiej wiedzę i zaangażowanie pracowników w ochronę środowiska. To do nich kierowane są także programy budujące postawy ambasadorskie i szkolenia dotyczące odpowiedzialnej konsumpcji alkoholu. Tego rodzaju informacje od wielu lat upowszechniamy także wśród konsumentów. Strona ABCalkoholu.pl, strefy Sprawdź Promile podczas festiwalu muzycznych i aplikacja

mobilna to tylko wybrane narzędzia, które pomagają nam w zwiększaniu świadomości dotyczącej prowadzenia pojazdów po spożyciu alkoholu. W 2022 r. wystartowaliśmy z kampanią edukacyjną „Alkohol i samochód – to się nie rymuje”, której bohaterami byli raper Pih i aktor Piotr Fronczewski, a partnerem – Stowarzyszenie Partnerstwo dla Bezpieczeństwa Drogowego. Kompania Piwowarska w ramach Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego w Polsce pomaga dorosłym, w tym sprzedawcom, w przeciwdziałaniu konsumpcji przez nieletnich i edukuje na temat ryzyka spożywania alkoholu przez kobiety w ciąży poprzez wspieranie programu edukacyjnego FASOFF, zainicjowanego przez Fundację Dom w Łodzi.

**W** ubiegłym roku wsparliśmy również ofiary wojny w Ukrainie, powołując własny fundusz w wysokości 1 mln zł, a także pomagając poprzez współpracę z wyspecjalizowanymi organizacjami pomocowymi. Wieloletnią współpracą (od 2016 r.) ze Stowarzyszeniem WIOSNA i Fundacją Nasza Ziemia zaowocowała zbudowaniem trwałych relacji oraz wieloma akcjami na rzecz środowiska i pomocą tysiącom osób w ramach projektów Szlachetna Paczka.

## Szerokie działania



PAULINA KACZMAREK,  
KIEROWNICZKA DZIAŁU  
ZRÓWNOWAŻONEGO  
ROZWOJU  
W FIRMIE DANONE

**S**kutki zmian klimatu stają się coraz bardziej namacalne dla Polaków. Świadomość rośnie również w biznesie, choć transformacja sposobu myślenia

o własnej roli postępuje w różnym tempie. Efekt przyspieszenia mogą spowodować kolejne rozwiązania legislacyjne Unii Europejskiej, jak np. dyrektywa CSDD, która kodyfikuje należyłą staranność firm w zakresie zrównoważonego rozwoju. Takie podejście realizujemy w DANONE od lat, a obecna strategia firmy – Droga Pozytywnego Wpływu – zakłada, że zarządzanie ESG to nieustanny proces doskonalenia oparty o mierzalne wskaźniki. Z dużą starannością podchodzimy do pozyskiwania składników naszych produktów. Razem z polskimi gospodarstwami dostarczającymi mleko wprowadzamy rolnictwo regeneratywne, by zwiększać bioróżnorodność, magazynowanie CO<sub>2</sub> i wody w glebie, a w konsekwencji

uzyskać wyższą jej jakość i większą odporność na suszę. Gospodarstwa te obejmujemy specjalnym audytem (100 proc. do końca 2023 r.) i programem edukacyjnym. Jako pierwsza firma w branży spożywczej ogłosiliśmy globalne zobowiązanie o redukcji emisji metanu o 30 proc. do 2030 r. w porównaniu z rokiem 2020.

Tak samo dużą wagę przykładamy do pozyskiwania nasion, orzechów czy zbóż wykorzystywanych w produkcji produktów Alpro. Korzystamy z soi uprawianej w kulturze płodozmianu, co pozwala zatrzymać azot w glebie i ogranicza potrzebę stosowania ewentualnego nawożenia. Soję pozyskujemy od dostawców tylko z Europy i Kanady, a nie od podmiotów z Ameryki Południowej, by nie przyczynić się do wylesiania tego regionu. Nasze ziarna soi nie są modyfikowane genetycznie – posiadają certyfikat ProTerra. Zaś nasze migdały pochodzą w 100 proc. z plantacji w regionie Morza Śródziemnego i do ich uprawy zużywa się 8 razy mniej wody niż na terenach USA, gdzie są sztucznie nawadniane.

Poza tym 2/3 naszych upraw migdałów otrzymuje potrzebną im wodę z opadów deszczu. To bardzo istotne w kontekście wyzwań związanych z dostępem do wody. Wprowadziliśmy też procedury doboru dostawców w oparciu o kryteria

środowiskowe, a także Kodeks Etyczny i Kodeks Etyki Zakupowej.

**O**dpowiedzialnie podchodzimy również do opakowań wprowadzanych na rynek. W 2023 r. wraz z partnerami – DP Recycling i Organizacją Odzysku REKOPOL – uruchomiliśmy pionierski program recyklingu kubków po jogurtach zrobionych z polistyrenu. Wykorzystaliśmy technologię będącą nagrodzoną innowacją zespołu naukowców z Politechniki Śląskiej. Angażujemy się w prace branżowe nad uruchomieniem w Polsce systemu kaucyjnego na opakowania napojowe. A w ramach partnerstwa z AGH poszukujemy innowacji dla obiegu zamkniętego w fabryce serków i jogurtów w Bieruniu. To tylko wybrane działania, jakie podejmuje DANONE, a dobrymi praktykami dzielimy się z biznesem w ramach m.in. takich inicjatyw, jak Akademia Pozytywnego Wpływu Danone, realizowana wspólnie z Koźminski Business Hub. Wspieramy start-upy w certyfikacji B Corp, wskazując ścieżki zarządzania wpływem, zgodne z duchem dyrektywy CSDD i idące dalej.

### Materiał płatny na zlecenie



## Czynniki społeczne

Od kilku lat na rynku bardzo intensywnie toczy się dyskusja dotycząca wpływu środowiskowego, zwłaszcza śladu węglowego i konieczności jego mierzenia w ramach łańcucha wartości. Warto jednak zwrócić uwagę, że ślad węglowy odnosi się tylko do części wpływu środowiskowego. Nie uwzględnia bezpośrednio wpływu na wodę, bioróżnorodność czy generowanych zanieczyszczeń.

Nadal też zdecydowanie za rzadko mówi się o identyfikacji i ocenie wpływu spo-

łecznego w ramach całego łańcucha wartości. Podczas gdy istnieją branże, takie jak choćby budowlana czy odzieżowa, w których jest on istotny. Często można spotkać się z przekonaniem firm, że mając kluczowe elementy łańcucha wartości w Polsce lub krajach UE, nie muszą oceniać swojego wpływu społecznego, ponieważ zagadnienia, takie jak prawa pracowników, praca dzieci, korupcja czy dyskryminacja, są uregulowane prawnie.

A jednocześnie wśród organizacji, które mają długie łań-

cuchy dostaw i współpracują z firmami spoza UE, nie ma jeszcze świadomości tego, jak duży mogą mieć wpływ na łańcuch dostaw. Oba te podejścia mogą generować ryzyko, nie tylko dla podmiotów w łańcuchu dostaw, ale też dla klienta. Naruszenia praw człowieka, praca przymusowa, dyskryminacja i wszelkie inne podobne zachowania niezależnie od wymagań prawnych i samoświadomości, w przypadku ich wystąpienia, mogą generować znaczące ryzyka wizerunkowe nie tylko dla podmiotu, który prawa te narusza.

Nic więc dziwnego, że kwestie te budzą ostatnio szereg emocji i dyskusji. Dotyczą bowiem wielu zmian, których skutkiem powinno być myślenie o wpływie na otoczenie, ale też na możliwych szansach i ryzykach ESG. Nie tylko przez pryzmat własnej organizacji, ale też całego łańcucha wartości. Tylko takie podejście jest szansą na faktyczną i skuteczną transformację gospodarki na rzecz zrównoważonego rozwoju.

ALEKSANDRA STANEK-KOWALCZYK  
(PARTNERKA EY)  
ZOFIA LEŚNIEWSKA

Materiał powstał we współpracy komercyjnej z:





Rakiety Hamasu lecą na Izrael.

# Zemsta za zemstę

Bestialski atak Hamasu na Izrael był zaskoczeniem, którego można się było spodziewać. I wywołał już sekwencję zdarzeń, które przyniosą jeszcze większe tragedie.

MARIUSZ ZAWADZKI

**P**

onad tysiąc Izraelczyków zostało rozstrzelanych w biały dzień we własnym kraju. 7 października o świcie bojownicy Hamasu przedarli się – w ok. 20 miejscach – przez supernowoczesną, naszpikowaną elektroniką barierę wokół Strefy Gazy. Strzelali do przypadkowych osób; włamywali się do domów i zabijali całe rodziny z dziećmi; wymordowali prawie 300 uczestników całonocnej imprezy tanecznej na pustyni, w tym wielu



obcokrajowców; opanowali izraelskie bazy wojskowe, pozabijali zaspanych żołnierzy. Schwytali ok. 150 zakładników – żołnierzy, dzieci, kobiet, emerytów – których porwali do Strefy Gazy.

Sprawność operacyjna i okrucieństwo terrorystów przeszły najsmielsze oczekiwania i obawy. Z drugiej strony ich atak nie powinien być zaskoczeniem. Strefa Gazy to mała enklawa wielkości Krakowa, w której mieszka ponad 2 mln ludzi. Od 16 lat jest niemal całkowicie odcięta od świata, dlatego bywa

nazywana „więzieniem pod gołym niebem”. Dwie trzecie populacji żyje w nędzy i jest regularnie dożywiana przez ONZ. Bezrobocie wynosi 47 proc., jeszcze więcej wśród młodych. Telefony służą tylko do rozmów i esemesów, bo Izrael zezwolił jedynie na sieć 2G (którą w Polsce mieliśmy pod koniec ubiegłego stulecia). Izrael nie zgodził się również na lotnisko, dlatego jedyne samoloty, jakie widzieli mieszkańcy enklawy, to te izraelskie, które ich bombardują.

Ponure statystyki, zaczerpnięte z raportów ONZ i Banku Światowego, szokują jeszcze bardziej, kiedy porównać je z realiami po drugiej stronie drutu kolczastego. Tam rozciąga się jedno z najbogatszych państw świata, z dochodem narodowym na mieszkańca wyższym niż Niemcy (w Izraelu 52 tys. dol., w Niemczech tysiąc mniej).

Pradziadowie ludzi zamkniętych w Gazie mieszkali kiedyś na terenach dzisiejszego Izraela, ale w 1948 r., kiedy wybuchła wojna, uciekli. Ich domy zostały skonfiskowane przez nowo powstałe państwo żydowskie jako „opuszczone”, dlatego mieszkańcy enklawy nazywają siebie uchodźcami, a Żydów – złodziejami.

Wziąwszy pod uwagę powyższe okoliczności, trudno spodziewać się, że wszyscy mieszkańcy Strefy Gazy będą cierpliwie i pokojowo oczekiwać na poprawę ich losu. Oczywiście nic nie usprawiedliwia bestialstwa. Ale też nie jest wielką niespodzianką, że wśród 2 mln ludzi od lat zamkniętych w klatce znalazło się kilkuset takich, którzy – wyrwawszy się na kilka godzin na wolność – zamienili się w dzikie bestie.

## Cena Netanjahu

Ogromnym zaskoczeniem jest dopiero to, co zrobiła izraelska armia. A ściślej mówiąc – czego nie zrobiła. Akurat wtedy, kiedy była najbardziej potrzebna, zupełnie jej nie było. Podkreślają to zgodnie wszyscy, którzy jakimś cudem przeżyli koszmarny atak Hamasu – cały czas liczyli, że ktoś przyjedzie i ich uratuje, że zaraz przylecą helikoptery. Na próżno.

Bariera, którą ukończono dwa lata temu kosztem ponad miliarda dolarów, jest wyposażona w sensory, kamery, noktowizory i zdalnie sterowane karabiny maszynowe. Ale mimo wszystkich tych gadżetów pozostaje siedmiometrową siatką z drutu kolczastego. Kiedy przyjedzie wystarczająco duży buldożer, przerwie ją bez trudu (co też się stało). W takim przypadku sensory powinny zaalarmować najbliższą bazę wojskową, która powinna wysłać helikoptery i czołgi, żeby powstrzymać inkursję. Dlaczego nie było reakcji?

Tamtej nocy był szabat i koniec Święta Szałasów, czyli Sukot, kiedy Żydzi wspominają wyjście z egipskiej niewoli i odrywają się od codzienności, żeby być bliżej Boga. Ale dla armii nie jest to żadne usprawiedliwienie. Dlatego, mimo narodowej traumy, już dzień po masakrze rozpoczęło się wskazywanie winnych.

Pierwszy odezwał się lewicowy dziennik „Haarec”: „Za tragedię, która spadła na Izrael, odpowiada jeden człowiek – Benjamin Netanjahu. Premier, który przechwała się doświadczeniem i mądrością w kwestiach bezpieczeństwa, całkowicie zlekceważył niebezpieczeństwo, na które sam naraził cały kraj – kiedy stworzył rząd z programem aneksji (terytoriów palestyńskich) i konfiskat ziemi (palestyńskiej); kiedy powołał na ministrów radykalnych osadników Becalela Smotricza i Itamara Ben-Gwira; kiedy prowadził politykę międzynarodową, która zupełnie ignoruje istnienie Palestyńczyków i ich prawa”.

Niewykluczone, że Netanjahu może być odpowiedzialny nie tylko politycznie, ale również militarnie. W jego rządzie kluczową rolę odgrywają żydowscy osadnicy. Coraz śmielej mówią oni o aneksji kolejnych części Zachodniego Brzegu, okupowanego przez Izrael od 1967 r. Ich osiedla rozbudowują się w rekordowym

tempie, a każdy nowy dom zmniejsza szanse, że kiedyś na Zachodnim Brzegu powstanie niepodległe państwo dla żyjących tam 3 mln Palestyńczyków – zgodnie z porozumieniem, które Izrael podpisał w 1993 r.

Polityczny tryumf osadników wywołał na Zachodnim Brzegu napięcie, jakiego nie było od lat. Palestyńczycy ostrzeliwiają samochody Żydów, osadnicy urządzają pogromy palestyńskich wiosek, w dużych palestyńskich miastach jak Nablus czy Dżenin powstają, radykalne grupy zbrojne, które trzeba pacyfikować. Żeby nad tym wszystkim zapanować, Izrael musi posyłać coraz więcej żołnierzy na Zachodni Brzeg. Siłą rzeczy coraz mniej zostaje ich wokół Strefy Gazy.

Wygląda na to, że obecny rząd tak bardzo skupił się na ochronie pół miliona osadników, że zaniedbał bezpieczeństwo pozostałych 9 mln Izraelczyków. Oto cena, jaką Netanjahu zapłacił skrajnej prawicy za to, żeby wrócić do władzy.

## Burza Al-Aksy

Osadnicy wypychają się już nawet na słynne, święte dla islamu i judaizmu, wzgórze w Jerozolimie. Kiedyś stała tam świątynia króla Salomona, a teraz meczet Al-Aksa, trzeci najważniejszy obiekt kultu w islamie (po Mekce i Medynie). Kiedy w 1967 r. w wojnie sześciodniowej Izraelczycy zdobyli wzgórze, zaakceptowali dotychczasowe status quo: każdy ma prawo odwiedzić meczet Al-Aksa, ale jedynie jako „turysta”. Modlić się mogą tam tylko muzułmanie. Dla Żydów miejsce modlitwy to Ściana Płaczu, czyli pozostałość muru świątyni na zboczu wzgórza.

Pierwszym poważnym naruszeniem tego status quo była dopiero wizyta premiera Ariela Szarona na wzgórzu w 2000 r. – po niej Palestyńczycy ogłosili intifadę, czyli narodowe powstanie przeciwko Izraelowi.

Ben-Gwir, minister policji i bodaj największy radykał w obecnym rządzie, przelicytował Szarona. Wzgórze świątynne odwiedził już dwukrotnie w obstawie ochroniarzy, ewidentnie szepcząc modlitwy. Hamas przestrzegał, że „nie będzie się temu przyglądać beczynnianie”. W kwietniu, podczas muzułmańskiego miesiąca postu (ramadanu), izraelska policja wtargnęła do meczetu Al-Aksa i wygnała stamtąd muzułmanów, którzy zabarykadowali się w środku, bo uwierzyli w plotki, że jacyś osadnicy zamierzają odprawić w meczecie żydowskie rytuały. Ben-Gwir twierdził, że „groźby Hamasu są bez znaczenia, bo to my jesteśmy panami w Jerozolimie i w całej ziemi Izraela”.

Wizyty Ben-Gwira ośmieliły osadników, którzy coraz częściej odwiedzają wzgórze w dużych, zorganizowanych grupach. Ostatni taki incydent miał miejsce 4 października. Kilkuset osadników zebrało się przed meczetem z okazji Święta Namiotów i – według relacji muzułmańskich strażników – zaczęło tam odprawiać „tal-mudyczne rytuały”. Trzy dni później bojownicy Hamasu ruszyli do ataku. Swojej operacji nadali kryptonim „Burza Al-Aksy”, a jako przyczynę podali „coraz częstsze akty profanacji świętego meczetu w Jerozolimie”.

To naturalnie nie jedyny, ani nie najważniejszy, motyw ataku Hamasu. W ostatnich latach Palestyńczycy zostali zapomniani. Świat miał inne zmartwienia: covid, wojna w Ukrainie, globalne ocieplenie, nielegalni imigranci itd. Amerykanie w zasadzie odpuścili „bliskowschodni proces pokojowy”, który sami wymusili 30 lat temu. Kolejne kraje arabskie nawiązują oficjalnie stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Zakulisowe negocjacje w tej sprawie – pod patronatem Waszyngtonu – toczą się nawet z Arabią Saudyjską.

7 października Hamas przerwał tę „marginalizację” Palestyńczyków. Krwią zabitych po obu stronach granicy wykupił ►

► miejsce reklamowe w mediach na całej kuli ziemskiej. Na wiele tygodni, bo wcześniej wojna się raczej nie skończy. Cena, jaką mieszkańcy enklawy zapłacą za tę reklamę, będzie ogromna. Ale z punktu widzenia Hamasu, im więcej męczenników, tym lepiej dla sprawy, tym bliżej zwycięstwa.

Problem w tym, że poza Bliskim Wschodem nie jest to zwycięstwo ani reklama, tylko antyreklama. Szczególnie na Zachodzie filmiki z masakry, jak też eksplozja radości na ulicach Gazy, wywołały oburzenie, zniesmaczenie i deklaracje solidarności z Izraelem. Palestyńczycy, jako naród, stracili wiele sympatii.

## Całujemy czoła

Być może plany Hamasu są jeszcze ambitniejsze. Jego celem jest zniszczenie Izraela jako państwa. I to celem autentycznym, a nie retorycznym. Kiedyś w Gazie przekonywałem pewnego komendanta Hamasu, że nie mają szans, bo przewaga militarna przeciwnika jest ogromna. Odpowiedział: „Myślisz kategoriami niecierpliwego człowieka z Zachodu. My mamy czas. Jeśli nie pokonamy Izraela w tym pokoleniu, to w następnym, albo jeszcze w następnym...”

Pierwszym krokiem do celu byłoby wywołanie wielkiej wojny na Bliskim Wschodzie. „Wall Street Journal” donosił po masakrze, że Hamas realizuje plan swoich sponsorów z Iranu, którzy chcą storpedować porozumienie Izraela z Arabią Saudyjską (oba te kraje są wrogami irańskich ajatollahów). Gazeta dowiedziała się tego od „wysokich rangą przedstawicieli Hamasu i Hezbollahu”. Podobno narady w sprawie ataku trwały od sierpnia w Bejrucie, a na początku października Iran rzekomo „dał Hamasowi zielone światło”.

Tylko czemu Hamas i Hezbollah ujawniają spis akurat dziennikarzom „Wall Street Journal”? Chcą zapewne, żeby Izrael w ramach odwetu odpalił teraz rakiety na Teheran. A dalej już wszystko potoczy się według wymarzonego przez Hamas scenariusza: Iran odpowie salwą raketową na Izrael; proirański Hezbollah zaatakuje wspólnego wroga z Libanu; na Zachodnim Brzegu wybuchnie palestyńskie powstanie zbrojne; arabscy obywatele Izraela wyjdą na ulice, żeby wstawić się za palestyńskimi braćmi.

Fantastyka? Nie do końca. Amerykanie wysłali ku wybrzeżom Izraela lotniskowiec i ogłosili, że to wcale nie z powodu Hamasu, tylko „ku przestrodze dla wszystkich, którzy chcieliby włączyć się do konfliktu”.

Naturalnie, ślad irański nie jest całkowicie fałszywy. Teheran otwarcie finansuje Hamas, dostarcza mu również części do rakiet (do czego już się nie przyznaje). Ale hamasowcy nie są marionetkami Iranu. „Nie sądzę, żeby Hamas wypełniał rozkazy Iranu, ale myślę, że jedni i drudzy mają wspólne interesy i koordynują działania” – ocenia Martin Indyk, były ambasador USA w Izraelu, w rozmowie z portalem Foreign Policy.

Najwyższy przywódca Iranu ajatollah Ali Chamenei skomentował doniesienia „Wall Street Journal” następująco: „Czule całujemy czoła i dłonie zręcznych i mądrych strategów, którzy operację zaplanowali, oraz palestyńską młodzież, która ją przeprowadziła. Jednakże w błędzie pozostają wszyscy, którzy głoszą, że owo epickie zwycięstwo jest skutkiem jakichś działań czy decyzji poza Palestyną”.

Niektórzy Izraelczycy nazywają masakrę „naszym 11 września”. I to jest dobry trop – szkoda, że nie podążają nim wystarczająco daleko. Amerykańska „wojna z terroryzmem”, która była odwetem za 11 września, skończyła się kompromitującą klęską. Po 20 latach amerykańskiej okupacji do władzy w Afganistanie wrócili talibowie.

Osama ben Laden i jego adiutanci, którzy odpowiadali za nowojorską masakrę, mogli zostać ukarani bez całej tej wojny

i okupacji, bez 2,5 tys. zabitych amerykańskich żołnierzy, bez dziesiątek tysięcy zabitych Afgańczyków, bez miliardów utopionych dolarów. Wystarczyłaby sprawna akcja komandosów, którą zresztą Amerykanie przeprowadzili, ale dopiero po 10 latach.

Niestety, w 2001 r. powściągliwość i trzeźwe myślenie były emocjonalnie i politycznie niemożliwe. Amerykanie domagali się odwetu i ukarania terrorystów natychmiast. Nie tylko prawica, ale nawet wyważeni redaktorzy „New York Timesa”. W efekcie przez następne dwie dekady żołnierze USA walczyli z afgańskimi wieśniakami, którzy zapewne nie potrafią wskazać Nowego Jorku na mapie, ale kiedy w ich wiosce pojawił się okupant, chwytali za broń.

Wszystko wskazuje, że ten scenariusz powtarza się w Izraelu. Zmasowane bombardowania Gazy nie ustają. Jej mieszkańcom odcięto prąd, wodę i dostawy żywności. Bomby zabiły już ponad 1,5 tys. ludzi. Czołgi stały na granicy, być może, kiedy ten numer POLITYKI trafił do drukarni, już ruszyły. Powołano 300 tys. rezerwistów, czyli najwięcej w historii Izraela (dla porównania – 20 lat temu cały Irak został zajęty przez 150 tys. żołnierzy).

## Doładowani nienawiścią

Emocje są zbyt duże, żeby Netanjahu odstąpił od planu „całkowitego zniszczenia terrorystów”. W jego przypadku dochodzą jeszcze kalkulacje osobiste; być może liczy, że miażdżące zwycięstwo uratuje mu stanowisko. Należy się zatem spodziewać totalnej wojny, zacieklej walk o każdą ulicę, żmudnego zdobywania domu po domu, a na koniec – całkowitego zniszczenia Gazy i wielu tysięcy zabitych.

Szkopuł w tym, że „miażdżące zwycięstwo” nie jest możliwe z wielu powodów. Dwa są najważniejsze. Po pierwsze, ponad połowa mieszkańców Gazy to ludzie poniżej 18 lat. Jeśli zginą ich ojcowie i starsi bracia (a często też matki i siostry), to kolejne pokolenie zostanie doładowane nienawiścią i żądzą zemsty na całe życie. Cykl przemocy nie zostanie przerwany, tylko wydłużony i wzmocniony.

Po drugie, Hamasu nie da się chirurgicznie wyciąć z Gazy. To nie jest tylko grupa zbrojna, ale również partia i oddolny ruch religijny, który stworzył sieć meczetów, szkół, szpitali, organizacji młodzieżowych i humanitarnych. Przenika wszystkie aspekty życia w enklawie i ma realne poparcie społeczne. Nawet gdyby Izrael dokonał niemożliwego, czyli fizycznie unicestwił dziesiątki tysięcy bojowników i działaczy Hamasu, nie miałby komu oddać władzy.

Na pewno nie byłby w stanie rządzić w Gazie 87-letni Mahmud Abbas, skrajnie niepopularny prezydent Autonomii Palestyńskiej. Nie panuje on już nawet nad sytuacją na „spokojniejszym” Zachodnim Brzegu. Od 14 lat przekłada wybory, ale międzynarodowi obrońcy demokracji go nie popędzają, bo wszyscy wiedzą, że wybory wygrałby... Hamas.

•••

Totalna wojna w Gazie będzie bezsensowną jatką. Ale obie strony zmierzają ku niej jak w greckiej tragedii. Izraelczycy nie zniszczą Hamasu i zawsze będzie nad nimi wisiała groźba powtórki masakry z 7 października. Niektórzy zakładnicy zginą, inni zostaną po kilku latach wymienieni za tysiące schwytanych palestyńskich więźniów w zamian za jednego żołnierza porwanego pięć lat wcześniej przez Hamas). Mieszkańcy enklawy pozostaną w klatce; jedynie drut kolczasty zostanie zastąpiony czymś solidniejszym – już nie za miliard, ale choćby za 10 mld dol.

Szansę na pozytywne scenariusze zostały zaprzepaszczone jakieś 20 lat temu. Od tamtego czasu żydowscy osadnicy zbudowali zbyt wiele domów, a hamasowcy zabili zbyt wielu Żydów.

MARIUSZ ZAWADZKI

# Uścisk Hamasu

ŁUKASZ WÓJCIK

Łądowa inwazja na Strefę Gazy da Izraelowi niewiele. Niemal na pewno skorzysta na tym Hamas. Najwięcej stracą Palestyńczycy.



Bojownicy Brygad Al-Kassam, zbrojnego ramienia Hamasu, na wiecu w Gazie.

Tylko 24 godziny – tyle czasu, licząc od piątkowego poranka – armia izraelska dała Palestyńczykom z północnej Strefy Gazy na ewakuację. Chodzi o grubo ponad 1,1 mln osób, czyli prawie 46 tys. na godzinę, 760 na minutę; i to w zasadzie dwiema drogami, z których jedna, ta nadmorska, często przypomina polną dróżkę. A to wszystko w krajobrazie istnie księżycowym – bo 6 tys. bomb, które według Izraela spadły już na Gazę, zrobiły swoje. Bajt Hanun, na północno-wschodnim skraju Strefy, stało się miastem duchów. W półmilionowym Gaza City izraelskie lotnictwo niszczy kwartał po kwartale.

Jeszcze w piątek Izrael twierdził, że ewakuacja przyczyni się do „bezpieczeństwa i ochrony” mieszkańców Strefy – choć według szacunków ONZ w wyniku izraelskich bombardowań zginęło już prawie 2 tys. Palestyńczyków – bo Izraelowi chodzi wyłącznie o to, aby dopaść członków Hamasu i odbić izraelskich zakładników. ONZ, która wciąż działa w Gazie, przekonywała,

że w obecnych warunkach ewakuacja grozi „katastrofalnymi konsekwencjami humanitarnymi”. Do końca ubiegłego tygodnia dach nad głową straciło już prawie pół miliona mieszkańców Gazy. Ponad 300 tys. z nich mieszkało już w zarządzanych przez ONZ budynkach, głównie szkołach. Ci z północy po prostu nie mają dokąd się ewakuować.

Tego samego dnia, 13 października, „ministerstwo spraw wewnętrznych” Hamasu wydało mieszkańcom Strefy rozkaz: „ani kroku wstecz”. Kierownictwo tej 30-tysięcznej organizacji terrorystycznej, która odpowiada za masakrę co najmniej 1100 Izraelczyków podczas dwudniowego rajdu na terytorium Izraela 7–8 października, przekonywało Palestyńczyków, że ultimatum ewakuacyjne to izraelski błąd, element „wojny psychologicznej”. I groziło „uciekiniom” konsekwencjami.

Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, do końca izraelskiego ultimatum pozostało jeszcze kilka godzin. Czyli mniej więcej tyle samo, ile do zupełnego blackoutu Gazy i wyschnięcia ►

► magazynów z paliwem. W „normalnych” czasach ponad 80 proc. prądu w Strefie – dostępnego i tak przez kilka godzin dziennie – pochodziło z Izraela. Całkowite odcięcie może oznaczać brak nie tylko napięcia w gniazdkach, ale również brak wody, sprawnie działającej kanalizacji i podstawowej opieki zdrowotnej.

Strefa ma kilka instalacji odsalających wodę morską, ale one bez prądu nie działają. Tak samo zresztą jak kanalizacja – podczas poprzednich izraelskich interwencji, gdy nie było napięcia, szalały epidemie, a ścieki zatruwały ziemię uprawną, raz nawet „przeciekły” do Izraela. Problem blokady dotyczy też wszystkich szpitali w Gazie – swoją drogą również bombardowanych. Mają one własne awaryjne generatory prądu, ale potrzebują paliwa. W ubiegłą środę palestyńskie władze poinformowały, że z braku diesla przestała działać jedyna elektrownia w Strefie.

Mimo groźby katastrofy humanitarnej w piątek Hamas wciąż strzelał raketami w kierunku Izraela. Druga strona też nie pozostawał dłużna. „Żadnego prądu, żadnego jedzenia, żadnego paliwa. Walczymy ze zwierzętami i działamy adekwatnie” – zapowiedział izraelski minister obrony Jo’aw Galant, który ogłosił, że jeśli Hamas nie wyda natychmiast ponad 150 izraelskich zakładników, jego kilkuset tysięczna armia ruszy do lądowej inwazji na Strefę Gazy.

Pomiędzy tymi dwoma ogniami jest jednak znacznie więcej zakładników. To 2,3 mln palestyńskich mieszkańców Strefy Gazy.

**1** Ten długi na ok. 41 km i szeroki na kilkanaście skrawek ziemi nad Morzem Śródziemnym, wciśnięty między Izrael i Egipt, nie miał łatwej historii. Do 1967 r. był administrowany przez Egipt, który zajął go w reakcji na powstanie Izraela. Później, po wojnie sześciodniowej, okupowany przez Izrael, stał się obszarem intensywnej kolonizacji i jednocześnie – odcięty od świata – radykalizacji społecznej i politycznej.

W dodatku przez lata Izrael prowadził wobec Palestyńczyków politykę separacji. Polegała ona na próbie rozerwania więzi między Zachodnim Brzegiem i Gazą. Ten związek – językowy, kulturowy, ekonomiczny czy w końcu rodzinny – był bardzo bliski. Miał się stać zalążkiem przyszłego państwa palestyńskiego. Dlatego, z perspektywy kolejnych izraelskich rządów, trzeba go było rozerwać, przede wszystkim utrudniając kontakty między dwiema Palestynami.

Od 2021 r. izraelski rząd próbował jeszcze łagodzić nastroje w Strefie, m.in. wydając jej mieszkańcom ponad 17 tys. pozwoleń na pracę w Izraelu. Dodatkowo pozwalał, aby m.in. Katar wspierał finansowo Palestyńczyków – ten zobowiązał się przekazywać do Gazy 30 mln dol. miesięcznie w ramach „utrzymania spokoju społecznego”: na utrzymanie tamtejszej administracji oraz zakup paliw i prądu (w ostatnich miesiącach zredukował tę sumę do 10 mld dol.). Krwawy rajd Hamasu na Izrael sprzed tygodnia był ostateczną klęską tej izraelskiej polityki kupowania spokoju.

Sama nazwa „Hamas” wzięła się od inicjałów Islamskiego Ruchu Oporu w języku arabskim – HMS. Stworzony w 1987 r., niepodzielnie rządzący Strefą Gazy i uznawany za organizację terrorystyczną, nie zawsze przedkładał walkę zbrojną nad polityczną. Gdy w latach 70. powstała protoplastka Hamasu – palestyńska odnoga najstarszej islamskiej organizacji, Braci Muzułmanów – jej liderzy nie mieli w głowie walki. Była to grupa muzułmańskich teologów, na czele z przytwierdzonym do wózka (tetraplegia) szejkiem Ahmedem Jasinem.

Reprezentowali oni nurt politycznego islamu, który od dwóch dekad rósł w siłę jako alternatywa dla arabskiego nacjonalizmu. Izrael z początku patrzył na nich przychylnie – widział pobożną i charytatywną organizację, która może konkurować o dusze

mieszkańców Strefy z nacjonalistami z Organizacji Wyzwolenia Palestyny i partii Fatah Jasira Arafata, a to właśnie OWP była wówczas śmiertelnym wrogiem, którego trzeba było wyeliminować.

Wszystko zmieniło się wraz ze zwycięstwem rewolucji islamskiej w Iranie w 1979 r. Już po kilku latach w Gazie doszła do głosu ekspozytura Teheranu – Palestyński Islamski Dżihad, który tak jak jego patroni, próbował łączyć islamizm z nacjonalizmem. W tym akurat przypadku oznaczało to tzw. terytorializację islamu, czyli przeświadczenie, że obszary raz zdobyte przez muzułmańskich władców (w tym przypadku: Palestyna) pozostają muzułmańskie na zawsze i niemuzułmanie nie mają do nich prawa.

Islamski Dżihad, jako organizacja szyicka, nigdy jednak nie miał większych wpływów w sunnickiej Gazie. Zupełnie inaczej niż miejscowi Bracia Muzułmanie, którzy zapożyczyli od niego nową ideologię.

Taka oferta – już nie narodowowyzwoleńcza tylko „religio-wyzwoleńcza”, w dodatku okraszona chwałą islamskiej rewolucji, okazała się bardzo atrakcyjna dla mieszkańców Strefy. Gdy więc w 1987 r. wybuchła tzw. pierwsza intifada – początkowo jako samorzutny bunt ludowy przeciwko izraelskiej okupacji – wkrótce znalazła ona „usystematyzowanie” w Hamasie, który obiecał mieszkańcom Strefy „odwet na Żydach” i powrót do domów zagarniętych przez Izrael.

**2** Od tamtego czasu Hamas już tylko się radykalizował, dokonując wielu krwawych zamachów na Izraelczyków, porywając izraelskich żołnierzy oraz cywilów jako zakładników i wznecając cztery regularne wojny z Izraelem.

Przełomowy okazał się 2005 r., gdy premier Izraela Ariel Szaron uznał, że skuteczna ochrona izraelskich obywateli w Strefie stała się niemożliwa, i zarządził pełną ewakuację znajdujących się tam osiedli. Izrael wycofał się, ale utrzymał kontrolę nad przepływem ludzi i towarów z i do Gazy – z wyjątkiem jednego przejścia na granicy z Egiptem. Gdy dwa lata później, po walkach z Fatahem i wyborach, pełnię władzy w Strefie przejął Hamas, Izrael dołożył jeszcze blokady morską i powietrzną.

Hamas w ciągu kilku miesięcy wprowadził w Strefie skorumpowany i brutalny reżim monopartyjny. Jednocześnie, zgodnie z oczekiwaniami krytyków Szarona, uznał izraelską ewakuację za ostateczny dowód na to, że z Izraelem trzeba się bić, a nie rozmawiać. To było apogeum jego potęg.

W ostatnich latach Hamas jednak znów zszedł do podziemi – w przenośni i dosłownie – przygotowując się najwyraźniej do krwawego rajdu na Izrael sprzed tygodnia. Polityczny szef organizacji Ismail Hanija jest w Katarze, który od lat sponsoruje Hamas. Jego bezpośredni zastępcy operują z Bejrutu, gdzie są pod opieką Hezbollahu, od którego przed laty nauczyli się terroru. Rzadko odwiedzają Gazę w obawie przed izraelskimi zamachami. Ale jeśli już to robią, po Strefie poruszają się tunelami.

Zazwyczaj ich stosunek do Izraela jest bardzo „osobisty”. Szef Hamasu na Gazę Jahija Sinuar przesiedział w izraelskich więzieniach ponad dwie dekady za zabicie dwóch izraelskich żołnierzy – wyszedł w 2011 r. w ramach wymiany więźniów. Z kolei dowódca militarnego skrzydła organizacji Muhammad Deif, uważany za mózg ataku z 7 października, w jednym z izraelskich zamachów stracił prawdopodobnie oko, w drugim – żonę i dwuletniego synka.

Izrael już zapowiedział, że wkrótce wszystkich ich dopadnie, co biorąc pod uwagę historię Państwa Izrael, trzeba traktować zupełnie poważnie. Tyle że – jak twierdzi Tareq Baconi, autor książki „Hamas Contained” (Powstrzymanie Hamasu), który niedawno wrócił z Gazy – to niewiele zmieni. – *Hamas to nie jest po prostu organizacja militarna* – przekonuje Baconi. – *W Gazie*

*prowadzi wiele instytucji charytatywnych, meczetów i szkół. Wyłuskanie go z tamtejszej tkanki społecznej wydaje się więc niemożliwe – nawet przy użyciu najbardziej precyzyjnej broni. Chyba że celem jest zniszczenie całej tej tkanki.*

Według Baconiego problem polega na tym, że Izrael wciąż walczy z ideologią, której nie da się tak po prostu rozbroić. I bez względu na to, ilu członków Hamasu jeszcze schwytają lub zabiją, pławiąc się w zemście, wkrótce pojawią się następni. A mają się skąd brać – ponad połowa mieszkańców Gazy nie skończyła 19 lat. Wielu z nich w swoim krótkim życiu widziało już albo właśnie widzi teraz rzeczy, których nie da się ani zapomnieć, ani wybaczyć.

**3** A może da się to wszystko zostawić za sobą? No właśnie, tu pojawia się dość oczywiste pytanie: dlaczego Palestyńczycy po prostu nie wyjadą z Gazy? Izraelskie bombardowania, ponoć wycelowane w kryjówki Hamasu, właśnie zamieniają ich domy w gruzy. Oczywiście warto tu pamiętać o taktyce Hamasu polegającej na umieszczaniu swoich stanowisk i magazynów w gęsto zaludnionych miejscach, co oznacza traktowanie mieszkających tam Palestyńczyków jak żywe tarcze, w które Izraelczycy coraz częściej trafiają. Tyle że dla cywilów, którzy przy okazji tracą dach nad głową albo i życie, to w sumie bez znaczenia.

W normalnych okolicznościach większość z nich już dawno wyjechałaby ze Strefy Gazy. Dlaczego tego nie robią? Bo nie mogą? Bo nie chcą? Tu ważne jest porównanie Strefy do „największego więzienia na świecie” (piszemy o Strefie także na s. 54), co jest nie tyle chwytem retorycznym, ile faktem. Nie da się więc wykluczyć, że wielu Palestyńczyków chciałoby z Gazy wyjechać. Choćby przez przejście graniczne w Rafah do Egiptu. Tu jednak jest kilka problemów. Po pierwsze, Rafah przynajmniej w zeszłym tygodniu było mocno bombardowane przez Izraelczyków. Ponadto takim wyjazdom otwarcie sprzeciwia się Hamas, widząc w tym osłabienie swojej pozycji. I choć pięć lat temu Hamas przekazał kontrolę nad tym przejściem Autonomii Palestyńskiej, to ponoć strzelcy wyborowi mają je na oku i systematycznie karzą uciekinierów.

Po drugie, pod koniec zeszłego tygodnia nie było wciąż wiadomo, jak zachowa się Egipt. Zachodnia prasa pisała, że prezydent Joe Biden przekonuje prezydenta Abd al-Fattaha as-Sisiego, aby utworzył korytarze humanitarne dla uciekinierów z Gazy. Ale to nic pewnego. Dotychczasowa polityka Kairu opierała się na blokadzie Strefy. As-Sisi przekonuje od lat, że biednego Egiptu nie stać na przyjęcie palestyńskich uchodźców. Nie wspomina, jakie to mogłoby mu przynieść problemy w relacjach z Izraelem.

Pozostaje jeszcze fundamentalne pytanie, czy Palestyńczycy w ogóle chcą wyjechać ze Strefy Gazy? Wyraźna większość jej mieszkańców (ok. 80 proc.) to potomkowie Palestyńczyków, którzy w 1948 i 1949 r. uciekli lub zostali wygnani z terenów, które do dziś zajmuje Izrael. Oczywiście wielu z nich już dawno pogodziło się z tym, że nie mają szans na powrót. Ale jednocześnie – jak twierdzi Kim Ghattas, znana libańska dziennikarka, autorka głośnej ostatnio książki o Bliskim Wschodzie „Black Wave” (Czarna Fala) – uważają, że Gaza to jedyne miejsce, gdzie mogą pozostać Palestyńczykami. Obawiają się, że gdy opuszczą ten ostatni skrawek ojczyzny – zostają podwójnymi uchodźcami – już nigdy do niej nie wrócą. Są więc w 41-kilometrowej pułapce.

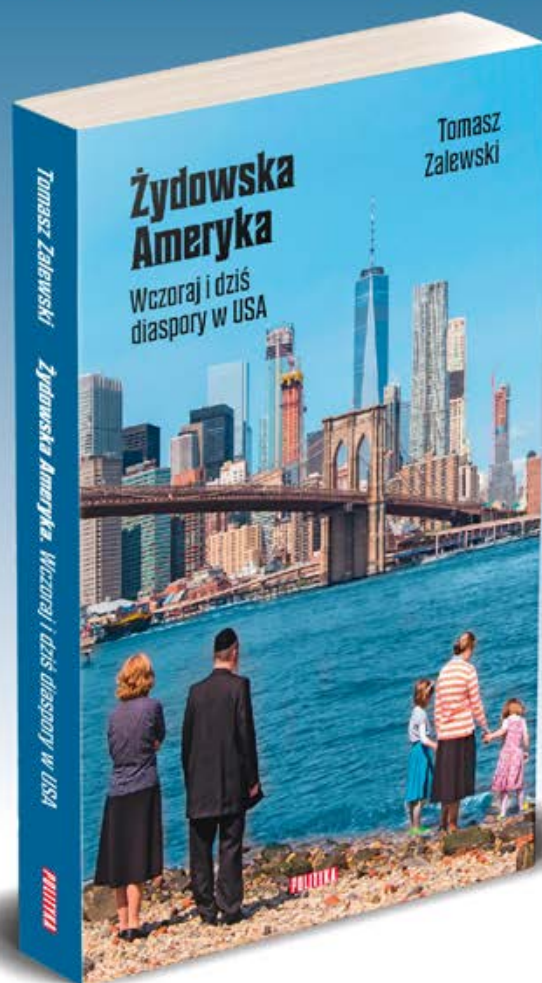
Wkrótce izraelska armia, po tym, jak już zrówna z ziemią sporą część Strefy Gazy, zapewne uratuje część żydowskich zakładników przetrzymywanych dziś przez Hamas, część „przetarguje” za zwolnienie wielu hamasowców. Niestety, nie widać nikogo, kto by chciał odbić czy wykupić Palestyńczyków.

ŁUKASZ WÓJCIK

# Poznajmy amerykańskich Żydów

Zbiorowy portret diaspory, opowiadający o najistotniejszych aspektach życia i problemach Żydów w Ameryce.

Nowa książka Tomasza Zalewskiego, wieloletniego korespondenta prasy polskiej w Waszyngtonie od 25 października z tygodnikiem **POLITYKA** w salonach prasowych



Dostępna będzie także w księgarniach oraz jako e-book  
Już teraz w przedsprzedaży na [sklep.polityka.pl](https://sklep.polityka.pl)

Stany Zjednoczone mają najwięcej powodów,  
aby z przerażeniem śledzić wojnę Hamasu z Izraelem.

# Salwy słyhać za oceanem

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Ofiarą agresji padł ich kluczowy sojusznik na Bliskim Wschodzie. Wielu z co najmniej tysiąca zabitych izraelskich cywilów oplakują rodziny w Ameryce, miejsca największego, ok. 7-milionowego, skupiska globalnej żydowskiej diaspory. Z rąk islamskich ekstremistów zginęło 25 Amerykanów, kilkudziesięciu jest wśród ponad stu porwanych przez Hamas zakładników. Wojna tocząca się w Gazie i na południu Izraela grozi eskalacją, a akcje odwetowe przeciw Hamasowi mogą skłonić terrorystów do ataków na wojska amerykańskie w Iraku, Syrii i Zatoce Perskiej. Największy od wojny Jom Kippur przed 50 laty kryzys bliskowschodni dokłada się do innych dramatycznych wyzwań dla USA na światowej arenie, z napaścią Rosji na Ukrainę i asertywnością sprzymierzonych z Putinem Chin na czele. Jak sobie z tym poradzi wewnętrznie skłócona Ameryka?

Wojna udaremnia próby stabilizacji podejmowane przez Waszyngton na dwóch kierunkach: relacji z Iranem i Arabią Saudyjską. Iran to główny protektor i sponsor Hamasu, a także Islamskiego Dżihadu i Hezbollahu, terrorystycznych organizacji opętanych żądzą zniszczenia żydowskiego państwa. Wywiad amerykański, jak twierdzi Biały Dom, nie znalazł dowodów bezpośredniego udziału Teheranu w inwazji Hamasu na Izrael, ale odpowiedzialność reżimu ajatollahów, który od lat zbroi, szkoli i logistycznie wspiera sunnickich islamistów w Gazie, nie podlega kwestii.

Republikanie krytykują ekipę Bidena za zgodę na odmrożenie 6 mld dol. aktywów w amerykańskich bankach w zamian za zwolnienie sześciu Amerykanów przetrzymywanych w irańskich więzieniach za „szpiegostwo”, które to fundusze miałyby teraz pomóc sfinansować wojnę. Krytycy przypominają również, że Biden usiłował dogadywać się z Irańczykami, aby skłonić ich do ponownego zawarcia, przynajmniej w ograniczonej wersji, umowy nuklearnej wynegocjowanej w 2015 r. przez Obamę i wrzuconej do kosza przez



Trumpa. Były wiceprezydent Mike Pence i czołowy republikański kandydat do nominacji prezydenckiej Ron DeSantis potępili politykę Bidena jako „haniebne korzenie się przed mułłami”, a niektórzy Republikanie mówią nawet o domniemanej proirańskiej „siatce szpiegowskiej” w Departamencie Stanu. Retoryka taka, jakkolwiek przesadna i kłamliwa, przemawia do opinii na rok przed wyborami.

**Drugim sposobem zapobiegania burzom w regionie miała być planowana umowa z Arabią Saudyjską**, że nawiąże normalne stosunki z Izraelem, otrzymując w nagrodę amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa, pomoc w rozwoju energetyki atomowej dla pokojowych celów i inne korzyści. Byłoby to rozszerzenie Porozumień Abrahamowych (czyli normalizacji stosunków Izraela z Bahrajnem, Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i Marokiem) o kluczowe mocarstwo świata arabskiego. Jego przywódca Mohamed bin Salman uchodzi za dość obojętnego na los Palestyńczyków, ale po inwazji z Gazy poczuł się w obowiązku wyrazić z nimi solidarność i obwinic za nią Izrael. Atak Hamasu wydaje się motywowany m.in. zamiarem storpedowania planu pojednania Izraela z Rijadem, skąd też płynęły pieniądze dla

islamskich terrorystów, i wygląda na to, że to się powiodło. Pokojowa inicjatywa Bidena, mająca m.in. na celu neutralizowanie wpływów w regionie Rosji i Chin, legła w gruzach, przynajmniej na dłuższy czas.

W obliczu okrucieństw bojówkarzy z Hamasu Biden i sekretarz stanu Antony Blinken nie wzywają Jerozolimy do „powściągliwości”, jak to bywało przy okazji izraelskich akcji odwetowych po poprzednich atakach z Gazy. Rutynowe zakłęcia o konieczności „przestrzegania prawa międzynarodowego”, praw człowieka itp. pozostawiono ONZ, innym organizacjom międzynarodowym, Unii Europejskiej i dziennikowi „New York Times”. Choć nie wiadomo jeszcze, jak administracja USA będzie komentować działania Izraela, kiedy jego wojska lądowe, jak się powszechnie sądzi, wkroczą do Gazy i zacznie się rzeź, ofiarami której padną tysiące cywilów. Inaczej niż Trump, Biden liczy się z opinią świata, a w każdym razie europejskich sojuszników Ameryki, gdzie pojawiły się już manifestacje solidarności z ludnością Gazy.

USA skierowały w pobliże Izraela lotniskowic i inne okręty wojenne. To demonstracja siły, ostrzeżenie dla państw arabskich, aby nie odważyły się włączyć

zbrojnie do walk albo spuścić ze smyczy bojówkarzy Hezbollahu i innych ugrupowań. Pierwszą potrzebą jest jednak pilne zwiększenie dostaw broni i sprzętu dla Izraelczyków. Ameryka corocznie dostarcza Izraelowi pomocy wojskowej o wartości 3,8 mld dol., ale wobec obecnego zagrożenia to nie wystarczy. Chodzi przede wszystkim o uzupełnienie „żelaznej kopuły”, czyli słynnego izraelskiego systemu obrony antyrakietowej, o nowe pociski przechwytyjące, których w tej wojnie używa się w niespotykanych ilościach.

O dodatkowych funduszach pomocowych musi jednak zdecydować Kongres, gdzie akurat trwa wewnętrzna kłótnia o przywództwo. Po odwołaniu republikańskiego przewodniczącego Izby Reprezentantów Kevina McCarthy'ego, za sprawą frondy kilku kongresmenów z jego własnej partii, Republikanie mianowali nowego kandydata na ten trzeci w amerykańskiej hierarchii władzy urząd. Ale Steven Scalise już nazajutrz wycofał swą kandydaturę, kiedy okazało się, że nie uzyska poparcia w Izbie, gdzie republikańska większość jest minimalna. Kiedy te słowa dotrą do czytelników, sprawa przywództwa na Kapitolu będzie już może rozstrzygnięta i nowa pomoc dla Izraela uchwalona, tym niemniej amerykański Kongres okazuje się w kryzysowej sytuacji organem podobnie dysfunkcyjnym, jak krytykowany za przegapienie sygnałów zbliżającej się katastrofy rząd Beniamina Netanjahu.

**Dwie ostatnie wizyty w Moskwie przywódców Hamasu: Ismaila Haniji i jego zastępcy Saleha Al-Arouiego, wywołały spekulacje**, czy Rosja nie zachęciła islamistów do ataku na Izrael. Putin przez wiele lat utrzymywał dobre stosunki z państwem żydowskim, ale ze psuły się one, kiedy religijni liderzy diaspory w Rosji odmówili poparcia inwazji na Ukrainę. Reakcja Kremla na akcje Hamasu – brak wyrazów współczucia dla ofiar napaści – potwierdzałyby, że nie miał przeciw niej zastrzeżeń. O ile trudno przypuścić, by Rosja bezpośrednio pomagała terrorystom w przygotowaniach do ataku, o tyle nie ulega wątpliwości, że wojna spadła dla niej jak z nieba, bo odwraca uwagę od rosyjskich zbrodni w Ukrainie i może dodatkowo utrudnić dalszą amerykańską pomoc dla Kijowa.

Kłopoty z nią pojawiły się już wcześniej, kiedy Kongres nie uchwalił kolejnej transzy pomocy w budżecie Pentagonu wskutek oporu części Republikanów. Obecnie finansowanie dostaw dla Izraela może konkurować z dostawami dla Ukraińców,

choć nie chodzi o ten sam rodzaj broni i sprzętu. Biały Dom planuje teraz doczepienie funduszy dla Kijowa do ustawy o pilnej pomocy dla Izraela. Administracja Bidena zapewnia, że Amerykę stać na wspomnienie obu jej przyjaciół. W Senacie widoki na powodzenie tego planu są, ale Republikanie z izolacjonistycznej i ultrakonserwatywnej frakcji fanów Trumpa w Izbie Reprezentantów stoją okoniem, mając za sobą poparcie coraz bardziej obojętnego wobec Ukrainy elektoratu.

W pierwszych dniach wojny Biden wyraził stuprocentowe poparcie dla rządu w Jerozolimie, a przybyły tam z wizytą Blinken uściślał się z Bibi Netanjahu. Jeszcze niedawno panował dystans. Stosunki USA z Izraelem nie były tak chłodne jak za rządów Obamy, któremu Żydzi, także amerykańscy, nie wybaczyli układu nuklearnego z Iranem, ale polityka Netanjahu, który sformował najbardziej prawicowy gabinet w historii kraju, z takimi ultrasami jak Itamar Ben-Gwir i Bezael Smotrich, rzecznikami najtwardszego kursu wobec Palestyńczyków, nie mogła się podobać w Waszyngtonie Bidena. A plan pozbawienia izraelskiego Sądu Najwyższego prawa kwestionowania decyzji rządu – cios w zasadę równowagi władz, filar liberalnej demokracji – stał się kroplą, która przepełniła czarę. Przemówienie izraelskiego prezydenta Itzaka Herzoga w Kongresie USA zobjakotowało kilkoro jego demokratycznych członków, a Biden odmawiał zaproszenia Netanjahu do Białego Domu.

Wojna z Hamasem rzecz jasna usunęła w cień tę kłótnię przyjaciół, geopolityka zepchnęła na dalszy plan niesnaski na tle naruszania standardów demokracji. Podobnie jak w wypadku napięcia między administracją Bidena a Polską na tle polityki Zjednoczonej Prawicy, które znikło po napaści Rosji na Ukrainę. Ale najnowszą wojna na Bliskim Wschodzie kiedyś się skończy, a problem relacji Izraela z USA nie wygaśnie. Państwo żydowskie ewoluuje na prawo od dłuższego czasu, z wielu powodów, nie tylko konfliktu z Palestyńczykami, a w Ameryce z kolei rosną nastroje propalestyńskie. W sondażu Gallupa, corocznie badającego postawy Amerykanów wobec konfliktu bliskowschodniego, w tym roku po raz pierwszy więcej wyborców Partii Demokratycznej (49 proc.) okazało sympatią dla Palestyńczyków niż dla Izraela. A liderka klubu Demokratów progresywnistów w Kongresie Pramila Dżayapal nazwała go „państwem rasistowskim”.

Inaczej mówiąc, Izrael i Ameryka – w tym nawet społeczność amerykańskich Żydów, w większości lewicowych

– powoli duchowo oddalają się od siebie. Nasilają się w związku z tym głosy niepokoju, że w USA będzie słabnąć społeczne poparcie dla wojskowej pomocy dla kluczowego sojusznika na Bliskim Wschodzie. Już dziś niektórzy lewicowi Demokraci domagają się uzależnienia jej od spełnienia pewnych warunków, na przykład nieprzeznaczania funduszy pomocowych na wzmocnienie policji tłumiącej uliczne protesty Palestyńczyków albo na ochronę osiedli żydowskich na ziemiach okupowanych. Na razie to nie grozi – proizraelska większość w Kongresie ciągle trzyma się mocno.

### **Komentatorzy ostrzegają, że w miarę wzrostu liczby ofiar w Gazie sympatia świata obróci się ku Palestyńczykom.**

Publicysta „New York Timesa” Nicholas Kristof wzywa Izrael, żeby na „swoje 9/11” odpowiedział mądrzej niż Ameryka, która katastrofalną inwazją na Irak roztrwoniła kapitał współczucia po ataku Al-Kaidy. Nie rozstrzygając, czy porównanie jest słuszne, można zaryzykować prognozę, że Jerozolima go nie usłucha. Trudniej przewidzieć, czy dojdzie do eskalacji wojny na północy, to znaczy, czy Hezbollah, jeszcze liczniejszy i lepiej uzbrojony niż Hamas, nie przestraszy się amerykańskiej floty i samolotów i otworzy drugi front na granicy z Libanem, co byłoby już scenariuszem upiornym.

Zdaniem prof. Charlesa Kupchana, byłego doradcy Clintona i Obamy, USA razem z Egiptem i innymi krajami Bliskiego Wschodu za jakiś czas pomogą wynegocjować zakończenie obecnej wojny. W przeszłości, przez kilka dziesięcioleci, Waszyngton starał się odgrywać rolę mediatora w konfliktach Izraela z Arabami. Niekiedy z sukcesem, jak w 1979 r., gdy udało się pogodzić Izrael z Egiptem, ale częściej bez powodzenia, bo Palestyńczycy odrzucali kolejne propozycje utworzenia własnego państwa jako niewystarczające. Zniechęcona tym Ameryka zaczęła się powoli wycofywać z dyplomacji w izraelsko-palestyńskim zwarcu, stawiając na ugodę Jerozolimy z arabskimi państwami regionu.

Wojna z Hamasem, pisze w „Foreign Affairs” Suzanne Maloney, rozproszyła złudzenie Ameryki, że będzie się mogła wycofać z Bliskiego Wschodu bez rozwiązania konfliktu Izraela z Palestyńczykami. Tylko czy problem ten w ogóle da się rozwiązać?

Tomasz Zalewski jest autorem książki „Żydowska Ameryka. Wczoraj i dziś diaspory w USA”, którą będzie można kupić wraz z następnym numerem POLITYKI. Więcej informacji na s. 59.

# Operator piły



ARTUR DOMOSŁAWSKI

**Javier Milei** za pośrednictwem medium łączy się z duchem swojego zmarłego psa, którego uważa za najlepszego doradcę. Wkrótce ten pies może zostać doradcą prezydenta Argentyny.

**J**avier Milei kocha psy. A w szczególności mastify angielskie. Ma ich cztery lub pięć (są różne wersje). Ale najukochańszy – Conan – zmarł w 2017 r. Conan nigdy swojego pana nie zdradził; był przy Mileim – podobnie jak jego siostra Karina

– w czasie „najokropniejszych zdarzeń” życiowych. Conan jest – jak mówi Milei – jego najlepszym doradcą.

Źródła milczą o tym, czy to Conan w czasie telepatycznych seansów podsunął swemu panu polityczne pomysły. Zlikwidować bank centralny – bo tylko

to pozwoli zwalczyć inflację, która pożera płace i oszczędności Argentyńczyków. Handel ludzkimi organami? Czemu nie, to przecież tylko jeszcze jeden rynek jeszcze jednego z dóbr. A w ogóle to politykom trzeba „skopać tyłki” itd., itp.

Milei mówi o sobie: anarchokapitalista. Przeciwnicy o nim: że śpi z pięcioma psami i własną siostrą, która – notabene – jeśli Milei, jak wskazują sondaże, wygra wybory prezydenckie w najbliższą niedzielę (lub II turę 19 listopada), ma zostać pierwszą damą.

## Lew i stado

52-letni Milei jest synem kierowcy autobusu i gospodyni domowej. W jednym z wywiadów powiedział, że rodzice są dla



niego martwi, mimo że żyją – nie rozmawia z nimi od ponad dekady. W dzieciństwie doświadczał z ich strony przemocy fizycznej i słownej. Oparciem były babcia i wspomniana siostra. W czasach szkolnych grał na pozycji bramkarza w drużynie Chacaritas Juniors i rockowej kapeli imitującej Rolling Stonesów. Ale – według biografy – słynął przede wszystkim z wzbuchów złości.

Przeniósł je teraz na ekrany telewizyj i wiece wyborcze. Agresja, prowokacja – to narzędzia Mileiego przyciągające uwagę mediów i wyborców. A oto próbka jego języka: „Wiesz co, Larreta? (chodzi o szefa władz miejskich w Buenos Aires – przyp. red.) Pieprzony lewaku, nie umiałbyś nawet, durniu,

wyczyścić butów liberałom. Mógłbym cię zmiażdżyć (siedząc) nawet na wózku inwalidzkim. Jesteś obrzydliwym, rozgniewionym robakiem. Zdolnym zrobić wszystko, żeby wygrać wybory. Obrzydliwy gnoju...”

Mówi o sobie, że jest lwem, który nadchodzi, by przebudzić uśpione stado. I że nie jest politykiem – polityka go nie interesuje; politycy to złodziejska kasta. Po co więc idzie do wyborów? Żeby kastę zniszczyć, odegrać się na winnych argentyńskiej zapaści gospodarczej.

Istotnie, gospodarka Argentyny po dwóch dekadach względnej prosperity znowu szoruje po dnie. Inflacja wynosi ponad 120 proc., ludzie są wściekli – a Milei tę wściekłość kapitalizuje. Przy okazji uderza w mesjańskie tony. Porównuje się do biblijnych postaci Mojżesza i Aarona, opisuje siebie jako białego mężczyznę, blondyna o błękitnych oczach. I zapowiada, że zostanie prezydentem Latynoameryki.

Z ostatniego kryzysu 2001–02 Argentynę wyprowadziło małżeństwo Kirchnerów – Nestor i Cristina, lewicujący peroniści – najpierw prezydentem był on, a po jego nagłej śmierci ona. Kirchnerowie spłacili długi zaciągnięte w Międzynarodowym Funduszu Walutowym i przyjęli jako nienaruszalną zasadę: żadnych nowych kredytów.

Prowadzili egalitarną politykę i stali się częścią lewicującej fali w regionie – obok Luli w Brazylii, Evo Moralesa w Boliwii, Hugo Chaveza w Wenezueli, Rafaela Correi w Ekwadorze i Pepe Mujiki w sąsiednim Urugwaju. Kirchnerowie wprowadzili m.in. gotówkowe programy dla najuboższych, budowali tanie mieszkania, tworzyli nowe miejsca pracy. Doprowadzili do osądzenia ponad tysiąca zbrodniarzy z czasów dyktatury wojskowej 1976–83. Zrenacjonalizowali też kilka ważnych przedsiębiorstw – naftowe, główną linię lotniczą, pocztę, a także upaństwowili fundusze emerytalne.

Jednak ze spirali zadłużenia Argentyna nigdy na dobre nie wyszła. Wierzycciele – głównie zagraniczne fundusze – nie zgodzili się na odroczone spłaty, więc spłacenie innych kredytów na czas okazało się niemożliwe, odsetki błyskawicznie rosły. Powstała śmiertelna pętla dusząca gospodarkę kraju. Neoliberalny następcą Kirchnerów, Mauricio Macri (2015–19), zaciągnął w MFW nowe pożyczki.

W ostatnich latach władzę w kraju odzyskali lewicujący peroniści i w ograniczonym stopniu wrócili do egalitarnej polityki Kirchnerów (Cristina była

wiceprezydentką u boku kończącego teraz kadencję Alberta Fernandez). Pandemia zadała cios gospodarce i zubożyła społeczeństwo. Błędy peronistów, w tym akty arogancji – osławione przyjęcie z udziałem czołowych peronistów w czasach kwarantanny, a ostatnio fotografie ważnego polityka obozu władzy żeglującego na luksusowym jachcie – zwróciły wyborców przeciw rządzącym.

Ten zwrot najchętniej wyczuł Milei. Jeszcze w czasie pandemii wykorzystał nakazy izolacji, by głosić hasła walki o „wolność indywidualną przeciw państwowym nakazom”. Hasło to zyskało spory rezonans.

## Między Trumpem i Bolsonaro

Milei, z wykształcenia ekonomista, pracował przez lata dla koncernu Corporacion America, którego głównym udziałowcem jest jeden z najbogatszych Argentyńczyków, Eduardo Eurnekian. Do polityki wszedł zaledwie kilka lat temu. Został wybrany do kongresu, lecz zbytnio się w nim nie udziela. Ten dystans i brak odpowiedzialności za jakiegokolwiek decyzje pozwala mu atakować klasę polityczną jako kastę – grać rolę antysystemowca.

Platformą budowania sławy, wpływów i poparcia stał się dla niego nie parlament, lecz telewizja i media społecznościowe. Tam Milei umie się sprzedawać, tj. przyciągnąć uwagę widzów. Gospodarze telewizyjnych programów uwielbiają jego prowokacyjne wypowiedzi i ekscentryczne zachowania, bo te podbijają oglądalność. Do niedawna miał własny program radiowy, w którym wściekle i nieustająco atakował „polityczną kastę”.

Potrafi nazwać nieprzyjazną mu dziennikarkę oślicą (i notorycznie odmawiać przeprosin); atakować największą argentyńską uczelnię jako centrum marksistowskiej indoktrynacji czy wskazać ultraliberała Dominga Cavalla, współwinnego krachu 2001 r., jako najlepszego z ekonomistów.

Oburzenie duchownych i wiernych z ubogich dzielnic wzbudził obelgami wobec papieża Franciszka. To „dureń”, „przerażający lewak” i „przedstawiciel Zła na Ziemi”, który „promuje komunizm” – powiedział o sławnym rodaku z Watykanu. Podziwiał z kolei Donalda Trumpa i Jaira Bolsonaro, byłego skrajnie prawicowego prezydenta Brazylii. Powtarzał nieraz spiskowe teorie sugerujące zмовę establishmentu i kradzież części zdobytych przez niego głosów w prawyborach. ▶

► Podobnie jak Trump i Bolsonaro, Milei jest klimatycznym negacjonistą. „Globalne ocieplenie to kolejne kłamstwo socjalizmu. 10, 15 lat temu dyskutowano, że planeta zamarnie. Teraz twierdzą, że robi się coraz cieplej. Jednak ci, którzy wiedzą, w jaki sposób przeprowadza się te symulacje, potrafią dostrzec, że celowo przesyca się je pewnymi parametrami, aby wywołać strach”.

Liberalizm Mileiego jest selektywny: np. nie obejmuje wolności wyboru kobiety, czy chce urodzić dziecko. Argentyna ma od zaledwie dwóch lat ustawę przyznającą kobiecie prawo takiego wyboru, a Milei zapowiada, że jeśli wygra, będzie dążył do jego cofnięcia. Jest „przeciw zabijaniu”? Niekoniecznie, bo równocześnie chce złagodzić przepisy o posiadaniu broni palnej, żeby ludzie sami mogli bronić się przed złodziejami.

Jego niewyparzony język już teraz szkodzi interesom Argentyny. Milei atakuje przywódców najważniejszych partnerów handlowych Argentyny – tj. Brazylii i Chin. Jego dyskurs jest pełen sprzeczności: z jednej strony mówi o otwarciu Argentyny na wolny handel, z drugiej – sugeruje wycofanie się z Mercosur, czyli sojuszu handlowego, do którego należą Brazylia, Argentyna, Urugwaj i Paragwaj i który wkrótce ma podpisać umowę o wolnym handlu z Unią Europejską.

### Walka z komunizmem

Ideologiczną obsesją Mileiego jest walka z państwem. Jakąkolwiek politykę społeczną czy jakiegokolwiek odwoływanie się do solidarności lub kolektywnych wysiłków nazywa komunizmem. I w ramach walki z nim Milei zapowiada m.in. likwidację ministerstw: edukacji, zdrowia, nauki, pracy i kobiet.

Z komunizmem walczyła – według Mileiego – wojskowa junta rządząca krajem w latach 1976–83, odpowiedzialna za „zniknięcie” 30 tys. przeciwników politycznych, wymyślne tortury i kradzież kilkuset nowo narodzonych dzieci (zostały sekretnie i nielegalnie oddane rodzinom wojskowych). „Toczyła się wtedy wojna pomiędzy grupą wywrotowców, którzy chcieli narzucić komunistyczną dyktaturę, a siłami bezpieczeństwa, które w pewnych swoich działaniach przekroczyły granice”. Kandydatką Mileiego na wiceprezydentkę jest Victoria Villarruel, była adwokatka żołnierzy sądzonych za okrucieństwa czasów dyktatury.

W ramach „walki z komunizmem” Milei podpisał również tzw. kartę madrycką,

powstałą z inicjatywy skrajnie prawicowej hiszpańskiej partii Vox. „To inicjatywa na rzecz wolności i państwa prawa, przeciw komunizmowi, który zadaje nam cios w Argentynie, jak i reszcie krajów Iberosfery”. Zarówno karta, jak i poglądy Mileiego łączą różne nurty prawicy – tak ultraliberalistów, jak i faszystujące koterie związane z armią.

W trzygodzinnym wywiadzie dla tygodnika „The Economist” Milei zapowiedział prywatyzację „sklerotycznych firm państwowych”, dolaryzację gospodarki i redukcję deficytu do zera w pierwszym roku swoich rządów. Powiedział również, że wzorami dla niego są takie kraje, jak Australia, Izrael, Nowa Zelandia i Irlandia.

„The Economist”, który promuje neoliberalne podejście, sugeruje, że Milei u władzy mógłby zrobić z Argentyny „laboratorium ekscytujących i promujących dynamizm (gospodarczy) idei”. Ale to czysta spekulacja. W praktyce, jak zauważa ten sam tygodnik, pomysły Mileiego są nieprzemyślane. Żeby prowadzić radykalną politykę, niezależnie od jej wektora, potrzebna jest szeroka zgoda różnych sił politycznych. Tymczasem Milei polaryzuje polityków i wyborców.

Budowanie politycznych mostów to nie jego – jak mówią Anglicy – *cup of tea*. Będzie musiał zabiegać o głosy w kongresie, żeby móc w miarę skutecznie rządzić, a obrzucanie rywali wyzwiskami to droga w przeciwną stronę. „The Economist” przestrzega, że niezdolność Mileiego do rządzenia może się skończyć autorytarnym zwrotem.

Dramatyczny w tonie artykuł o możliwej wygranej Mileiego ogłosił w zeszłym tygodniu znany argentyński pisarz i reporter Martin Caparrós. I nie chodzi mu nawet o samego Mileiego, ale o jedną trzecią obywateli, 8–10 mln ludzi, którzy są gotowi oddać kraj w jego ręce.

„Nie rozumiem ani kim są, ani jacy są” – pisze Caparrós. „Rozumiem, że są zasadnie zdesperowani, pozbawieni nadziei z powodu biedy i niesprawiedliwości. Nie rozumiem jednak, dlaczego nie umieją sobie wyobrazić lepszego sposobu na ich rozwiązanie. Rozumiem, że politycy i ich wykolejona demokracja całkowicie ich rozczarowali. Nie rozumiem jednak, że można uwierzyć, że najlepszym kandydatem jest ktoś, kto rozmawia ze swoim zmarłym psem i obraża każdego, kto się z nim nie zgadza; kto chce sprzedawać organy ludzkie i broń, bo rządzi rynek; kto wychodzi na ulice z piłą łańcuchową” (pojawił się z nią podczas jednego z wieców – przyp. red.).

Politolodzy i socjologowie szukają wyjaśnienia we frustracjach klasy średniej. Ariel Goldstein w książce „Reconquista autoritarna” (Autorytarny podbój) twierdzi, że Milei kanalizuje jej wściekłość i urazy. Język „walki z komunizmem” i państwem, które wspiera najbardziej potrzebujących, obudził wśród średniaków demony.

### Autorytarny podbój

Wielu ludzi obwinia peronistów. Przede wszystkim za to, że ich rządy wspierały najuboższych, a nie klasę średnią (choć w czasach prosperity rządów Kirchnerów to właśnie klasa średnia zyskiwała najwięcej). To z kolei obudziło upióry rasizmu i klasizmu: całe zło to wina biednych i ciemnoskórych. Drobnymi handlarzami chętnie idą za hasłami „wolnej przedsiębiorczości”, niskich podatków i „odpepowienia” od państwa, wierząc, że to pomoc finansowa dla najuboższych jest winna obecnego kryzysu.

Caparrós czuje się zawstydzony. Odrzuca twierdzenie, że „wszystko jest winą marginalizacji, upadku edukacji, wściekłości tych, którzy nie widzą rozwiązań ani przyszłości”. Żaden z powyższych motywów nie uzasadnia, jego zdaniem, wyboru tak „błażeńskiej i podrzędnej osoby” na prezydenta kraju.

Możliwy sukces wyborczy Mileiego przypomniał pisarzowi referendum w sprawie pokoju w Kolumbii w 2016 r. Umęczeni trwającą pół wieku wojną partyzancką Kolumbijczycy mieli wypowiedzieć się, czy przystają na warunki pokoju zawartego przez rząd z największą armią partyzancką kraju. Wynik wydawał się oczywisty: ktoś nie chciałby pokoju? A jednak okazało się, że większość powiedziała pokojowi „nie”.

Przeciwnikom pokoju chodziło – literalnie – o zbyt korzystne warunki powrotu do życia cywilnego dla byłych partyzantów. W istocie szło raczej o eliminację bojowników – fizyczną lub zamknięcie ich na zawsze w więzieniach. Ponad połowa nie była w stanie uznać, że w wojnie domowej racje bywają podzielone i trzeba z czegoś zrezygnować, jeśli kraj ma mieć lepszą przyszłość. Postawienie na kandydata rozmawiającego ze zmarłym psem wydaje się absurdem podobnego gatunku.

Wiele wskazuje zatem, że Argentyna będzie musiała zapewne przejść swój polityczny Covid-19 z Mileim na czele. Trump i Bolsonaro zostali odsunięci od władzy po jednej kadencji rządów. Chwilowo jednak to jedyne światło w tym ciemnym tunelu.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

# Wybrane tytuły



Pobierz  
**kameleon**  
jeden program, wiele korzyści

Oferta obowiązuje do: 23.10.2023 r.

inmedio

RELAY



So coffee

aelia  DUTYFREE



Przy okazji zamieszania po meczu Legii Warszawa z AZ Alkmaar znów rozbłysła gwiazda **Dilan Yeşilgöz-Zegerius**, być może przyszłej premier Holandii.

# Utracona przytulność

MAREK ORZECZOWSKI Z AMSTERDAMU

**C**o dokładnie się wydarzyło 5 października w holenderskim Alkmaar po meczu Legii z miejscową drużyną? Wersje są rozbieżne. Polski zespół twierdzi, że został sponiewierany przez ochronę stadionu, a jego kibice byli prowokowani. Z kolei miejscowe władze, policja i prokuratura od samego początku opowiadają zupełnie inną historię – że to polscy kibice, a nawet piłkarze (dwóch z nich spędziło noc na komisariacie) zachowywali się agresywnie.

Na boisku warszawska drużyna przegrała 0:1. W sądzie może być podobnie, biorąc pod uwagę sposób działania holenderskiej policji – w zasadzie nie zdarza się, aby postępowała tak bezkompromisowo, gdy nie jest pewna swego. Podobnie jak holenderscy politycy, o czym przekonał się premier Mateusz Morawiecki, który na marginesie nieformalnego szczytu Unii Europejskiej w Grenadzie próbował interweniować w sprawie alkmaarskiego

incydentu u odchodzącego premiera Holandii Marka Rutte. Usłyszał od niego, że w państwie prawa sprawy te nie należą do kompetencji szefa rządu, tylko miejscowej władzy, policji i prokuratury, które zrobią to, co do nich należy.

**O krok dalej poszła wschodząca gwiazda holenderskiej polityki**, minister sprawiedliwości Dilan Yeşilgöz-Zegerius: chuligańskie zachowania pod stadionem nazwała zawstydzającymi i poradziła polskiemu premierowi, aby zamiast krytykować policję w Alkmaar zajął się swoimi sprawami. A ona sama jest skupiona na stanie zdrowia policjanta, który odniósł obrażenia. „Reszta jest sprawą odpowiednich urzędów”.

Polska w odpowiedzi tradycyjnie uderzyła w wysokie tony, zarzucając Holendrom prowokacyjne działanie i rasizm. Ci więc zapewne tym dokładniej przeanalizują teraz zeznania świadków, zapisy i nagrania, a także towarzyszące meczowi

zdarzenia i okoliczności. Również w samym mieście i przed meczem. Szczególnie że – jak podawały holenderskie media – atmosfera przedmeczowa była napięta. I to niekoniecznie za sprawą samych kibiców Legii.

W Alkmaar nie byli oni sami. W regionie nie brakuje Polaków, głównie robotników z plantacji, szklarni, gospodarstw rolnych, często nieznających niderlandzkiego. Wśród tubylców zazwyczaj nie cieszą się, delikatnie rzecz ujmując, dobrą opinią. W dniu meczu w centrum miasta jednych i drugich identyfikowano po języku i zachowaniu, co jeszcze podniosło temperaturę – która i tak już była wysoka, bo miasto szykowało się do swojego święta.

100-tysięczne Alkmaar leży w prowincji Nord Holland, na północ od Amsterdamu. Od 1622 r. wpisane jest w historię Niderlandów jedynym w kraju copiatkowym targiem serów *Alkmaarse Kaasmarkt* (od Wielkiejnocy do jesieni). To wielobarwne widowisko z biegającymi między

wagami tragarzami okrągłych serów w historycznych białych fartuchach przyciąga w roku ponad 300 tys. turystów z całego świata. W ich opinii Alkmaar jest gościnny, a atmosfera w mieście, jak to w Holandii – *gezellig*.

*Gezellig*, czyli przytulna, nastrojowa, przyjazna. *Gezellig* to przejściowy stan odciążenia się od trosk zewnętrznego świata. I bodaj najważniejszy element holenderskiej tolerancji. To ona kształtuje opinie o kraju i jego mieszkańcach, czyni go intrygującym. Łatwo ten przytulny nastrój jednak skaleczyć, zniekształcić, grubiańską nieobyczajnością obrócić w niechęć.

I właśnie teraz, po incydencie z Legią, wygląda, że w odpowiedzi na reakcję polskich władz Alkmaar i Holandia jakby utraciły przytulność. Yeşilgöz-Zegerius już nie chce być *gezellig*, nie chce być tolerancyjna, nie dla każdego. Podobnie myśli coraz więcej Holendrów.

Zmieniła się również ogólna atmosfera stosunków między Polską i Holandią, ostro reagującą na łamanie praworządności w Polsce. I wzrosło napięcie, które od dłuższego czasu towarzyszy obecności Polski w Unii Europejskiej. Jednym z najważniejszych jej członków jest Holandia, współfundatorka Wspólnoty i jeden z największych płatników netto. Z nieukrywaniem zażenowaniem odniesiono się tu do wezwania holenderskiej ambasador od polskiego MSZ w sprawie pomocowej burdy. W podobnym tonie media odnotowały eksplozję antyholenderskich komentarzy.

**Yeşilgöz-Zegerius poczuła się wywołana do tablicy.** Bo akurat na uliczne chamstwo, chuligaństwo, szarpaninę i bijatyki jest uczulona: przez lata prowadziła w Amsterdamie kampanię przeciw ulicznej przemocy. Jej niełatwe nazwisko warto jednak zapamiętać, bo 46-letnia minister być może już po wyborach 22 listopada przejmie w spadku po Rutte fotel premiera. W historii kraju byłaby pierwszą kobietą na tym stanowisku.

Od Rutte już przejęła kierowanie partią – liberalną VVD. Po tym jak w lipcu, po 13 latach premierostwa, Rutte ogłosił wycofanie się z polityki, Yeşilgöz-Zegerius została kandydatką partii na stanowisko szefa rządu. Wcześniej kierowała wielomiesięcznymi rokowaniami na temat reformy (zastrzeżenia) polityki migracyjnej, która ostatecznie doprowadziła do upadku gabinetu Rutte. I teraz, po spodziewanym zwycięstwie, zapowiada, że będzie chciała wprowadzić ją w życie.

Wielu Holendrom podoba się jej droga życiowa. I jej bezkompromisowa

polityka w odniesieniu do imigrantów, chuligaństwa, ochrony kobiet i ich bezpieczeństwa. Urodziła się w 1977 r. w Ankarze, jest kurdyjskiego pochodzenia, miała osiem lat, kiedy wraz z rodzicami przedostała się z Bodrum na wyspę Kos i dalej do Holandii. Sama doświadczyła losu pozbawionej domu i przeszła niełatwą drogę awansu w obcym kraju, który stał się jej nową ojczyzną.

Wcześniej poświęciła się lokalnej polityce. W amsterdamskim magistracie zajmowała się bodaj najtrudniejszymi obszarami – bezpieczeństwem, zdrowiem, uliczną przemocą, prostytucją, przestępczością, narkotykowymi uzależnieniami, bezdomnością, domową przemocą – tym, co milionom turystów burzyłoby kolorowy ogład pięknego miasta, gdyby zechcieli poświęcić mu więcej uwagi. Poznała Holandię „od dołu”: świat dramatu, zerowych szans, cierpień i ludzi pozbawionych przyszłości.

Forsowana przez nią reforma polityki migracyjnej opiera się na jej osobistych przeżyciach i doświadczeniach. Chce zaostreżenia reguł przyznawania politycznego azylu, które – jej zdaniem – są często nadużywane. I przede wszystkim – drastycznego ograniczenia programów łączenia rodzin, w wielu przypadkach przyjmujących karykaturalne rozmiary. Nie tylko w Holandii.

Od początku 2023 r. o azyl wystąpiło w krajach Unii Europejskiej 800 tys. osób. W pozostałych dwóch miesiącach tego roku eksperci unijnej agencji do spraw azyl EUAA liczą się z kolejnymi 200 tys.; w sumie w 2023 r. spodziewają się ponad miliona aplikantów. Przy czym chętni do pozostania w Europie nie pukają do wszystkich drzwi – najwięcej z nich wybiera Niemcy. Podczas gdy w zeszłym roku na Węgrzech o azyl poprosiło 46 osób (przyznano 10), w Niemczech wniosków było 217 774 (jedna trzecia w całej UE).

Jednym z powodów nikłego zainteresowania Węgrami, o czym dużo dyskutuje się dziś w Holandii, jest niski poziom świadczeń socjalnych dla azylantów. Według danych służb naukowo-badawczych Bundestagu otrzymują oni na Węgrzech miesięcznie jedynie 60 euro. W Niemczech – ponad 400. Ponadto mają prawo do dachu nad głową, podstawki, odzieży, kosmetyków, różnych przedmiotów codziennego użytku. Po 18 miesiącach regularnego pobytu w Niemczech, także bez decyzji azylowej, uchodźca ma prawo do 50 proc. zasiłku socjalnego, a jeśli ma dzieci – już po sześciu miesiącach, oraz takiego

samego zakresu opieki zdrowotnej jak każdy ubezpieczony Niemiec.

Yeşilgöz-Zegerius wielokrotnie zwracała uwagę na ten niemiecki przypadek. Ostatnio na tapecie w Holandii jest jednak przypadek sąsiedniej Belgii (w 2023 r. 36 tys. wniosków o azyl), gdzie nieustający napływ nowych uchodźców już wielokrotnie doprowadził do drastycznych sytuacji, zwłaszcza w Brukseli. Niedaleko od siedzib Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego przed budynkiem urzędu azylowego ludzie dzień i noc koczują na ulicach. Szanse na przejściowe łóżko mają jedynie kobiety i dzieci, mężczyźni, zwłaszcza samotni, odchodzą z kwitkiem i lądują na peronach dworca południowego. W całym kraju do dyspozycji uchodźców jest 33 tys. łóżek – jak na małą Belgię to spory wysiłek. Być może wystarczyłoby to, aby rozwiązać, przynajmniej przejściowo, problem, ale od 2022 r. z „normalnymi” nielegalnymi migrantami konkurują uchodźcy z Ukrainy (63 tys.), którzy zajmują kwatery, a których nie obowiązują żadne regulacje typowe dla azylowych procedur.

**W Holandii sytuacja z imigrantami nie wygląda lepiej.** Ale tu wkrótce może rządzić Dilan Yeşilgöz-Zegerius. Krytycy zarzucają jej brak wrażliwości, demontaż rodzinnych więzi i brak humanizmu. Ona widzi jednak problem zupełnie inaczej. W społeczeństwie, które ma przecież ograniczone możliwości adaptacyjne, łączenie rodzin, za którym często kryje się napływ dziesiątków kuzynów, musi być drastycznie ograniczone, ponieważ – jak argumentuje pani minister – w kraju z coraz większą liczbą uchodźców nie mają oni równych szans rozwoju podobnych do tych, jakie miała ona. No i opowiada się za unijnymi rozwiązaniami problemu nielegalnej migracji, inaczej żaden kraj członkowski nie poradzi sobie sam z napływem kolejnych uchodźców.

Żeby zrealizować swoje pomysły, Yeşilgöz-Zegerius gotowa jest, w odróżnieniu do Ruttego, wejść w koalicję nawet z Geertem Wildersem, ikoną niderlandzkiej skrajnej prawicy. Szczególnie że np. w sprawie Legii oboje mówią jednym głosem – trzeba skończyć z automatyczną gościnnością, jeśli przybysze nie potrafią jej uszanować. „Rodzice nauczyli mnie dbać o wolność i bronić tych, których wolność jest zagrożona – mówi Yeşilgöz-Zegerius – Ale naszym problemem jest to, że tej wolności, tego tlenu zaczyna nam brakować”. *Gezellig* było wczoraj. ■

# Trzeba nam trzech wolności

Współczesne społeczeństwa stały się niezdolne do wymyślania siebie na nowo – mówi prof. David Wengrow, współautor książki „Narodziny wszystkiego. Nowa historia ludzkości”.



**AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: – Pomysł napisania książki, która już stała się światowym bestsellerem, przełożonym na ponad 30 języków, wyszedł od pana czy Davida Graebera?**

DAVID WENGROW: – Narodził się w trakcie rozmów w nowojorskim domu Davida w 2009 r. Stale krążyliśmy wokół kluczowych pytań dotyczących natury ludzkiej i historii i coraz lepiej zdawaliśmy sobie sprawę, że obaj lubimy nieco staromodne badania porównawcze. Zachodziliśmy w głowę, dlaczego na arcyważne tematy powiązane z dziejami ludzkości odpowiadają nie antropolodzy czy archeolodzy, tylko psychologowie, ekonomiści, biolodzy czy politolodzy, którzy zupełnie ignorują znaleziska archeologiczne i antropologiczne ostatnich lat. Najlepszym przykładem jest „Historia ładu politycznego. Od czasów przedludzkich do rewolucji francuskiej” Francisa Fukuyamy. Gdy opowiadałem Davidowi o olbrzymich, pozbawionych struktur hierarchicznych osadach protomiejskich z neolitu na terenie dzisiejszej Ukrainy

czy o „pochówkach książęcych” z paleolitu, wykrzykiwał: „Serio, to dlaczego ja nic na ten temat nie wiem?”. Postanowiliśmy więc poinformować ludzi o tym, co świat naukowy wiedział od dawna.

Początkowo chcieliśmy to zrobić w małych broszurach, pod roboczymi tytułami „Dlaczego wszystko, co wiemy o łowcach-zbieraczach, jest błędne” i „Dlaczego musimy zapomnieć wszystko, co wiemy na temat genezy miast”. Ale gdy zaczęliśmy je pisać, zdaliśmy sobie sprawę, że sformułowanie naszych myśli w przekonujący sposób wymaga zebrania wielu dowodów. Bo nikt dotąd nie napisał wypracowania o wczesnych egalitarnych ośrodkach miejskich czy systemów demokracji spoza tradycji europejskiej. Musieliśmy sami gromadzić rozproszone dane i wyciągać wnioski, co skończyło się powstaniem 700-stronicowej cegły z 140 stronami bibliografii i przypisów.

**Powstała praca, która wchodzi w dyskusję z przyjętymi już wizjami przeszłości stworzonymi przez Jareda Diamonda,**



ILUSTRACJA MIROŚLAW GRYŃ

**Stevena Pinkera, Yuvala Harariego czy wspomnianego Francisa Fukuyamę. Nic dziwnego, że wzbudziła zachwyty, ale spotkała się z poważnymi zarzutami, w tym o antyświeceniowość i uwikłanie polityczne. Czy wśród tych krytycznych uwag znalazły się jakieś, które przyjmujecie?**

Bardzo mnie cieszy, że „Narodziny wszystkiego” wywołały taką dyskusję, ale przyznam, że nie byłem w stanie przeczytać wszystkich krytycznych listów. Negatywne recenzje, z którymi się zapoznałem, dotyczyły głównie drobnych pomyłek, które przy tak szeroko zakrojonym temacie książki były nie do uniknięcia. Żadna nie wykazała przekonująco, że w naszym rozumowaniu i argumentacji jest jakaś potężna luka.

Dotychczasowa powszechna wizja organizowania się ludzkich społeczeństw oparta była na dwóch poglądach – Thomasa Hobbesa, który widział naszych przodków jako z natury brutalnych

i rywalizujących ze sobą, oraz Jeana-Jacques’a Rousseau, który postrzegał ich jako osoby pokojowe, niewinne i naiwne. Upieranie się przy jednej albo drugiej opcji stanowi zarzewie kłótni, my zaś pokazujemy, że ani jedna, ani druga nie jest do końca prawdziwa, bo istniała cała gama różnych systemów społecznych, które wykluczają jednowymiarowy obraz historii ludzkości.

**Niektórzy zarzucali wam jednak nadinterpretację i dawali przykład wspomnianych już megaosad kultury Cucuteni-Trypolie, budowanych w V tys. p.n.e. na terenie dzisiejszej Ukrainy, Bułgarii, Rumunii i Mołdawii. Wy nazywacie je egalitarnymi protomiastami, podczas gdy nawet ich badacze nie mają pewności, czy były one stale zamieszkałe.**

Niedawno brałem udział w eksperymencie, który próbował to wyjaśnić. Po przeczytaniu naszej książki tymi osadami neolitycznymi zainteresował się architekt Eyal Weizman z Goldsmiths University of London, założyciel Forensic Architecture. Zaczęliśmy dyskutować, jak interpretować te ogromne osady, i w rezultacie zespół Eyala przygotował na tegoroczne Biennale Architektury w Wenecji rekonstrukcję Nebelivki – osady, którą przed rosyjską inwazją badał zespół archeologów z Ukrainy, Wielkiej Brytanii i Bułgarii. Jego członkowie doszli wówczas do zupełnie innych wniosków – Mykhaïło Widejko widział Nebelivkę jako osadę zorganizowaną wokół jakiegoś centrum władzy, którego usilnie szukał, a John Chapman oraz Bisserek Gaydarsk byli przekonani, że miała ona charakter egalitarny.

**I kto miał rację?**

Nie opowiadamy się po żadnej ze stron. Przedstawiamy obie opinie, by ludzie mogli zapoznać się z danymi i dojść do własnych wniosków. Celem wizualizacji, którą do listopada można oglądać w Wenecji, jest wywołanie refleksji nad pojęciem „miasta” i wytłumaczenie, dlaczego niektórzy badacze są niechętni do nazywania w ten sposób tych neolitycznych osad.

Nebelivka okazała się dla Forensic Architecture ciekawym studium przypadku, bo nawet jeśli badaniami nie da się udowodnić jej egalitaryzmu, to można wykazać, że standardowa interpretacja o powstawaniu ośrodków miejskich za sprawą jakiejś centralnej władzy jest błędna. A to dowodzi istnienia alternatywnych okoliczności, w jakich ją zbudowano i w jakich funkcjonowała przez 800 lat.

Oczywiście to niejedyny trudny do wyjaśnienia przykład. Innym jest Teotihuacán w Meksyku, w którym ok. 300 r., po stuleciach budowania piramid i składania ofiar z ludzi, cała energia liczącej 200 tys. osób wieloetnicznej populacji została przekierowana na budowę wygodnych domów z kanalizacją i ścianami dekorowanymi malowidłami.

**Piszecie, że „Teotihuacán zmienił kurs z monarchii i arystokracji, stając się miastem dla ludu bez królów i władców”.**

Tak to wygląda. Oczywiście w bardzo wielu przypadkach jest tak, że rzeczywiście istniał jakiś rodzaj centralnego zarządzania i władzy. Są jednak wyjątki, z których istnienia musimy sobie zdawać sprawę, by móc inaczej spojrzeć na zachodzące w przeszłości procesy społeczno-polityczne.

**Dla mnie największym szokiem było odkrycie kamiennego kręgu sprzed 12 tys. lat w Göbekli Tepe w Turcji. Ono obaliło teorię o liniowej ewolucji dziejów od prymitywnych form do bardziej zaawansowanych.**

Też musiałem je przetrwać, bo gdy pojawiła się publikacja Göbekli Tepe, właśnie kończyłem doktorat i po jej lekturze chciałem krzyknąć, że to jest niemożliwe, że rujnuje całą moją dotychczasową pracę. Choć gdy później zacząłem się nad tym zastanawiać, doszedłem do wniosku, że nie powinno być mnie to aż tak zdziwić. Przecież od dawna znamy gargantuiczne konstrukcje ▶

► ziemne w Poverty Point w Luizjanie, też wzniesione przez łowców-zbieraczy ponad 3,5 tys. lat temu. Jest też stanowisko Sannai-Maruyama w Japonii, z ogromnymi magazynami i długimi domami sprzed niemal 6 tys. lat. Göbekli Tepe może być kamienną repliką tych drewniano-ziemnych konstrukcji, najwyraźniej dość popularnych na całym świecie przed pojawieniem się rolnictwa.

**Innym problemem przez was poruszonym jest kwestia narodzin nierówności. Przyjęło się uważać, że takie budowle, jak kręgi z drewna czy kamieni, były wznoszone przez społeczności egalitarne, ale już megalityczne grobowce to dowód na pojawienie się władzy. Tyle że często w tych wielkich mogiłach nie leżą osoby bogato wyposażone na drogę w zaświaty – jakby nie chodziło o nie, tylko o idee, którą ucieleśniają.**

Jeśli przy interpretacji tych struktur będziemy polegać na naszej zachodnioeuropejskiej wyobraźni – poniesiemy porażkę. Dowodem na to są badania Davida na Madagaskarze. Tam megalityczne groby przodków nabierają mocy tylko podczas rytuałów i pogrzebów, które sprawiają, że zmarli stają się kimś ważnym dopiero po śmierci. To, jak się wydaje, dość powszechny schemat, po raz pierwszy zauważony przez antropologa Arthura Hocarta, który stwierdził, że „pierwsi królowie byli martwymi królami”.

Starożytni Sumerowie mieli podobny pomysł. Z ich powstałej 4,5 tys. lat temu listy królów wynika, że pierwsi rządzący z nieba, dopiero później władza zstąpiła na ziemię. Są społeczności, które nie mają biurokracji, ale uważają, że istnieje ona w świecie duchów, i raz na jakiś czas toczą dyskusje, co by było, gdyby ją sprowadzić na ziemię. To brzmi zabawnie, ale jednocześnie pokazuje, że ludzie budowali i nadal budują struktury władzy w wyobraźni, zanim zamieniają je w ziemskie instytucje. A bywa, że w ogóle z nich rezygnują.

**Tych zdziewień jest więcej, na przykład lud Nabikwara w Brazylii, który zmienił system społeczno-polityczny i gospodarkę w zależności od pory roku. Choć i to dla nas, archeologów, nie jest specjalnym zaskoczeniem. Paleolityczni łowcy-zbieracze też działali według innych zasad, gdy mieszkali w stałych osadach, jak Dolní Věstonice na Morawach, a innych, gdy wyprawiali się polować na mamuty w okolicy Krakowa.**

Niestety, nie jest to wiedza powszechna, a takie sezonowe zmiany struktur społecznych i politycznych to zjawiska dla większości nie do wyobrażenia. Dlatego, aby pokazać i zrozumieć cały wachlarz możliwości kultur ludzkich, trzeba łączyć historię z antropologią i archeologią. Kryje się za tym zresztą coś głębszego, o czym pisałem niedawno dla magazynu „The Nation” w kontekście serialu „Starożytna Apokalipsa”.

**Autor dostępnej na Netflixie serii, brytyjski dziennikarz i pisarz Graham Hancock, sugeruje istnienie tajemniczych zaawansowanych cywilizacji, które po kosmicznej katastrofie pokazały ludziom, jak mogą wspiąć się na wyższy poziom rozwoju (POLITYKA 39). Jego wizję przeszłości wielu ludzi traktuje jak rodzaj mitologii.**

Właśnie, a ja mam teorię, która tłumaczy, dlaczego jest ona tak bardzo pociągająca i przekonująca. Według mnie pomysł Hancocka jest nieco dziwną wersją bardzo standardowej narracji zakładającej, że nasi przodkowie byli idiotami i nie powinniśmy od nich oczekiwać zbyt wiele pod względem kreatywności. Dopiero narodziny rolnictwa, miast, państw, pisma i hierarchii sprawiły, że pojawili się eksperci, rzemieślnicy, filozofowie, naukowcy. A zatem nasi przodkowie z paleolitu nie mogli sami wnieść kręgów w Göbekli Tepe. Ktoś musiał im pomóc. Takie teorie udają radykalne i sprzeczne z „ortodoksją”, a w rzeczywistości ją wzmacniają, podtrzymując przekonanie, że nasi przodkowie byli za głupi na to, by rozwijać zaawansowane technologie.



**Odkrycie w 1994 r. kręgi na wzgórzu Göbekli Tepe koło Şanlıurfy wywróciło do góry nogami przekonanie, że wznoszenie wielkich budowli z kamienia wymaga istnienia silnej władzy. Wzniesli je łowcy-zbieracze 12 tys. lat temu.**

**Tylko czy ci, którzy w nie wierzą, sięgną po waszą książkę i dadzą się przekonać?**

Nie wiem, ale w Wielkiej Brytanii książki Hancocka sprzedają się gorzej niż nasza.

**W „Narodzinach wszystkiego” bardzo ucieszyło mnie przywrócenie kobiecie miejsca w dziejach. Dotychczas robili to tylko badacze, często zresztą wyśmiewane.**

To dobry przykład współpracy z Davidem. Gdy studiowałem archeologię w latach 90., w Kalifornii zmarła pochodząca z Litwy Maria Gimbutas, jedna z niewielu osób, które próbowały napisać rodzaj generalnej syntezy prehistorii. Jednak mimo że kulturę materialną Europy Środkowo-Wschodniej znała znacznie lepiej niż jakikolwiek inny archeolog na Zachodzie, uczono nas, że nie należy traktować jej prac poważnie. Nie kwestionowałem tego do momentu, w którym zaczęliśmy pracować nad rozdziałami książki o początkach rolnictwa i David zapytał o teorie Gimbutas. Po lekturze jej prac stwierdziłem, że pod wieloma względami miała rację. Na pewno nie jest w porządku, że była potępiana z taką agresją, podczas gdy autorów płci męskiej, którzy mieli podobne do niej pomysły, nikt tak wściekle nie atakował. Na pewno jej podstawowe pytanie o to, czy w neolicie były jakieś alternatywy dla patriarchy, było w pełni uzasadnione.

**Gimbutas zarzucano, że obstawała przy matriarchacie, tymczasem ona raczej mówiła o równości społecznej między płciami?**

Z tym że równość kobiet wobec mężczyzn nie oznacza bycie jak oni, tylko niezależność od nich, wolność, autonomię. Zajęliśmy się tym, omawiając termin „równość”, który może oznaczać bardzo różne rzeczy. Często, gdy się temu głębiej przyjrzeć, chodzi właśnie o wolność.

**Podoba mi się, że zwracacie uwagę, że kobiety musiały mieć swój wkład w rozwój cywilizacji, chociaż rozumiecie ją trochę inaczej, niż się to przyjęło.**

W świecie anglojęzycznym pojęcie „cywilizacji” odnosi się do imperiów starożytnych, jak Egipt, Rzym, państwo Majów, Chiny. Tymczasem to przewrotny sposób użycia łacińskiego terminu „civitas”, czyli ludzi tworzących wspólnotę opartą na kolicjach i dobrowolnych porozumieniach, do opisanie systemów



**David Wengrow** (ur. 1972) jest profesorem archeologii porównawczej z University College w Londynie. Prowadził wykopaliska w Afryce i na Bliskim Wschodzie, zajmując się badaniem początków pisma, sztuką starożytną i powstaniem pierwszych miast i państw. W 2023 r. otrzymał tytuł profesora Albertus Magnus Universität zu Köln, jak m.in. Michael Tomasello czy Bruno Latour. Jest autorem trzech monografii, wielu artykułów oraz esejów. „The Dawn of Everything: A New History of Humanity” (2021) napisał razem z Davidem Graeberem, amerykańskim antropologiem, badaczem teorii społecznych oraz aktywnym działaczem anarchistycznym, który odegrał ważną rolę m.in. w ruchu „Occupy Wall Street”. Graeber zmarł 2 września 2020 r.

Jedną z największych osad neolitycznej kultury Cucuteni-Trypolie jest licząca 300 ha Nebelivka, w której mogło żyć nawet 19 tys. osób (zrekonstruowany model 3D). Brak wyróżniających się domostw sugeruje, że mieszkająca w niej społeczność była egalitarna, co podważa założenie, że wzniesienie i zarządzanie tak rozległymi osadami musiało być nadzorowane przez jakiegoś władcę.



opartych na przemocy – daninach, trybutach i podatkach. David i ja zgodziliśmy się z francuskim antropologiem Marcelem Mausem, który twierdził, że powinniśmy zarezerwować termin „cywilizacja” dla wielkich stref gościnności – choć przywykliśmy myśleć o „cywilizacji” jak tylko o czymś, co narodziło się w miastach.

Zwłaszcza w obliczu wojny w Ukrainie, która zdaje się potwierdzać wzorzec Thomasa Hobbesa, należałoby ponownie rozważyć alternatywne rozumienie cywilizacji, inne niż jako organizację relacji między społeczeństwami opartą jedynie na przemocy. Dlatego właśnie próbujemy analizować historyczne systemy, w których tworzono porządek społeczny na dużą skalę bez przemocy i nierówności. Tuż przed śmiercią Davida zaczęliśmy się przyglądać praktykowanemu przez aborygenów ze wschodniego Kimberley systemowi Wunan, który oparty jest na gościnności i bardzo powiązany z naszą koncepcją trzech uniwersalnych wolności społecznych.

**Przypomnijmy, że chodzi o wolność przemieszczania się, nieposłuszeństwa wobec arbitralnej władzy i zmiany, czyli organizowania porządków społecznych na nowo.**

Tak jest, a Wunan pozwala każdej osobie oddalić się od swojej społeczności na olbrzymi dystans, nawet poza obszar językowy, zakładając, że nawet tam w ramach systemu gościnności znajdzie azyl. Pismo zastępuje w nim złożony system obrazów namalowanych na powierzchni skał, które pomagają poruszać się w przestrzeni i rozszerzają prawa do opieki daleko od domu. Pomyśleliśmy, że tak jak pierwsi antropododzy zapożyczyli od innych cywilizacji takie koncepcje jak totem, tabu, fetysz, co sprawiło, że stały się częścią naszego słownictwa, my powinniśmy zapożyczyć też ten typ zachowania.

**Czy to nie za bardzo idealistyczne, gdy cały świat podzielony jest granicami państw?**

Pamiętajmy, że państwa narodowe nie rozprzestrzeniły się w naturalnym procesie ewolucyjnym. Zostały narzucone

reszcie świata przez Europejczyków, którzy w epoce kolonialnej zastosowali przemoc na niebywałą skalę. Chętnie o tym zapominamy, ignorując użycie siły przez naszych przodków, i skupiamy się na przemocy w epoce brązu czy żelaza.

**Istnieje teoria, że przemoc i wyścig zbrojeń jest kołem napędowym rozwoju technologicznego, a przez to i cywilizacyjnego. W końcu mówimy o epokach kamienia, brązu i żelaza, nazywając je tak od materiałów, z których wykonywano także broń.**

To prawda, że odkąd Duńczyk Christian Jürgensen Thomsen w XIX w. wprowadził ten podział, ma się on doskonale. Ale powinniśmy stworzyć nowe kategorie, według których zorganizujemy nie tylko nasze życie, ale i postrzeganie historii.

**Dlaczego przemoc, nierówności, a przez to ograniczenie wolności, stały się normą? Czy przypadkiem nie mają racji ci, według których do ich utrwalenia przyczyniło się pismo?**

Gdy zajmowałem się badaniem wczesnych systemów pisma w Mezopotamii i Egipcie, zauważyłem, że choć pojawiły się one nad Nilem oraz Tygrysem i Eufratem mniej więcej w tym samym czasie, miały inne funkcje. Sumerowie wykorzystywali je w księgowości, a w Egipcie najstarsze zapisy dotyczyły króla. Jeszcze inaczej było w Chinach, gdzie pierwsze znaki dotyczą wyroczni i wróżb. To pokazuje, że w przypadku wczesnych systemów pism trudno wyciągnąć jednoznaczne wnioski na temat jego wpływu na kształt społeczeństw ludzkich.

**Czy utracone trzy wolności warto próbować odzyskać?**

Między innymi i temu zagadnieniu zamierzaliśmy z Davidem poświęcić kolejne książki. Bo łatwo mówić, że trzy wolności sprawdzają się w małych populacjach aborygenów z Australii, ale dziś na Ziemi żyje 8 mld ludzi w większości przyzwyczajonych do ich braku. Są jednak przykłady pozytywne. W końcu Polska od wybuchu wojny w Ukrainie przyjęła 2 mln uchodźców, co jest w pewnym sensie dowodem, że mobilność jest możliwa i tak naprawdę nie chodzi o demografię, tylko wartości i to, jak myślimy o innych ludziach. Niektórzy mówią o kryzysie imigracyjnym. Ja bym to nazwał kryzysem gościnności.

Współczesne społeczeństwa stały się niezdolne do wymyślenia siebie na nowo, utknęliśmy w jednym systemie i stale słyszymy, że jest on jedynym dobrym rozwiązaniem. Według mnie zagrożeniem jest raczej kurczowe trzymanie się go. Odzyskanie trzech wolności będzie możliwe, jeśli sięgniemy do niektórych alternatywnych ścieżek znanych z historii, które polegały w zasadzie na elastyczności porządków społecznych.

**Czytając waszą książkę, miałam poczucie uczestniczenia w rozmowie. Czasami łapałam się na tym, że chcę coś dodać albo o coś dopytać. Niestety David Graeber zmarł nagle dwa tygodnie po oddaniu maszynopisu „Narodzin wszystkiego”. Czy znalazł już pan jego godnego zastępcę? Kogoś, z kim mógłby pan to wszystko, o czym rozmawiamy, obgadać?**

David nie był zwykłym antropologiem, tylko myślicielem, którego nie da się łatwo zastąpić. Muszę wymyślić, jak pisać kolejne książki z nim, ale bez niego. Na szczęście pozostawił po sobie dużą spuściznę i mnóstwo pomysłów. Pisanie pozwoli mi kontynuować nasze rozmowy i w jakiś sposób utrzymać Davida w ich centrum. Nie wiem jeszcze, jak to zrobić, ale będę próbował.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA



© SHUTTERSTOCK

# Te przyjemności, duże i małe

MARTA ALICJA TRZECIAK

W przyrodzie to zjawisko powszechne. Zwierzęta masturbują się i zaspokajają oralnie oraz uprawiają jedнопłciowy seks. Czemu służą te zachowania?

**D**laczego naczelne się onanizują? Odpowiedzi na to pytanie szukali autorzy pracy opublikowanej w czerwcu w „Proceedings of the Royal Society B”. Przebadali powiązania masturbacji z najróżniejszymi czynnikami środowiskowymi, społecznymi, zdrowotnymi. I doszli do wniosku, że samozaspokojenie zwiększone orgazmem oczyszcza cewkę moczową, a tym samym zmniejsza ryzyko i dokuczliwość chorób przenoszonych drogą płciową. Tylko po co ewolucja miałaby utrzymywać zachowanie, które nie prowadzi do zapłodnienia? Nad tym pytaniem głowią się autorzy i tej, i wielu innych podobnych prac. Przecież seks zużywa czas i energię, a w takiej formie jest bezproduktywny.

Rozważania przedstawiające masturbację jako biologiczny „pusty przebieg”, bywają jednak nietrafione. Uczeni z Imperial College London opublikowali w lipcu na łamach „Nature Ecology and Evolution” pracę burzącą tok rozumowania, zgodnie z którym tylko heteroseksualny seks z penetracją waginalną jest korzystny dla rozrodu. Przez 3 lata analizowali żyjącą półdziko populację rebusów. Zanotowali, że samce, które angażowały się w zachowania seksualne z innymi przedstawicielami swojej płci (przy czym nie każde takie zdarzenie wiązało się z penetracją), nie tylko nie miały mniej potomstwa od innych osobników, ale wręcz odnosiły korzyści reprodukcyjne. Wzrastała bowiem ich szansa na kopulację reprodukcyjną z samicami. Zyskiwały też wyższą pozycję społeczną oraz prowadziły bogatsze życie w grupie. I co ważne, nie każdy badany akt seksualny zakończony był ejakulacją. Argument dotyczący oczyszczania cewki moczowej nie miał tu zatem racji bytu.

## Możliwość

Doszukiwanie się jedynie mechanicznych konsekwencji niereprodukcyjnego seksu to przejaw braku zrozumienia złożonych interakcji i związków przyczynowo-skutkowych, jakie kierują zachowaniem zwierząt. Nie samo połączenie plemnika i oocytu oznacza udany rozród. I nie tylko przekazanie potomkowi genów powiązanych ze zdrowiem czy siłą prowadzi do sukcesu ewolucyjnego. Z kolei przeżywalność i sukces młodych zależą od tego, jakiego wsparcia udzieli mu członkowie grupy, z którymi wcześniej rodzic nawiązał relacje. A jak to się ma do czynności podejmowanych indywidualnie?

Najprostsza odpowiedź na pytanie, dlaczego przedstawiciele wielu gatunków zajmują się swoimi genitaliami, brzmi: bo mogą.

Naczelnie często używają do tego celu przednich kończyn, psowate zwykle ocierają się o jakąś powierzchnię. U każdego z tych zwierząt, a także np. u jeleniowatych, opisywano również lizanie swoich genitaliów. Oralną stymulację własnego penisa notowano też u afrowiórek namibijskich. Badaczką, która zaobserwowała to zachowanie, była Jane Waterman z University of Central Florida. W 2010 r. na łamach „PLOS ONE” opublikowała jego omówienie. Biolożka uznała, że afrykańskie gryzonie traktowały autostymulację jako formę „genitalnej pielęgnacji”. W czasie rui, gdy samice tego gatunku są płodne – rozumowała Waterman – dochodzi do wielu kopulacji. Dlatego pomiędzy seksem reprodukcyjnym samce odbywają dodatkowe, indywidualne „sesje” ejakulacji, prawdopodobnie po to, by pozbyć się ewentualnych patogenów z dróg płciowych.

Ruja u samic afrowiórek trwa średnio 3 godziny. To znaczy, że przedstawicielki tego gatunku są skłonne uprawiać seks z samcami tylko przez tak krótki okres. Zazwyczaj kopulacje te są bardzo liczne i łączy wiele osobników. Jeśli więc samce potrafią utrzymać duże zainteresowanie seksem i wysoką sprawność kopulacyjną, to ich szansa na rozród jest większa. A kiedy już to pobudzenie zaistnieje, to nie jest niczym dziwnym, że zwierzę dąży do jego rozładowania i do zaspokojenia potrzeby, której istnienie utrwaliła ewolucja.

Odwrócenie perspektywy – zadanie pytania nie o to, w jakim celu zwierzę uprawia niereprodukcyjny seks, ale co je do niego skłoniło – pozwala uniknąć wielu nietrafionych hipotez.

## Doznanie

Niezależnie od przynależności taksonomicznej „najważniejsze” obszary ciała są najlepiej unerwione. Okolice otworu gębowego mają wiele zakończeń nerwowych nawet u najprostszych zwierząt. Podobnie jest z genitaliami: powinny z łatwością odbierać bodźce dotykowe, bo to sprzyja udanemu seksowi (przewodnictwo nerwowe pozwala dostosować siłę nacisku, przeprowadzić skuteczną kopulację czy doprowadzić do ejakulacji). Muszą też być wysoce responsywne, ponieważ przyjemne doznanie zwiększa zainteresowanie kopulacją. Genitalia są ponadto bardzo delikatne, dlatego precyzyjne ich unerwienie pozwala dostroić intensywność doznań tak, by pogłębić pobudzenie, ale nie doprowadzić do uszkodzenia tkanek. Skoro więc natura wyposażyla obszar genitaliów w sieć misternego unerwienia, nie dziwi, że zwierzęta korzystają z oferowanych przezeń doznań.

Na tej samej zasadzie pieszczota każdej innej części ciała jest wartością samą w sobie, a nie tylko dążeniem do jakiegoś celu. Na przykład wzajemne pielęgnowanie sierści w stadach naczelnych nie służy wyłącznie oczyszczaniu ciała z pasożytów, ale też nawiązaniu pozytywnej relacji, dostarczeniu sobie przyjemności. Dotyk, który jest chciany i akceptowany, poprawia dobrostan zwierzęcia. Nawet jeśli jego pierwotne podłoże biologiczne ma znaczenie typowo fizjologiczne, to wtórne dążenie do doznania już nie musi takowego mieć. Kotka wylizuje młode m.in. po to, aby oczyścić ich sierść i pobudzić krążenie. Jednocześnie dostarcza im tym przyjemnych bodźców. Dlatego dorosły kot, który ociera się o zaprzyjaźnionego osobnika, może i bazuje na tym samym mechanizmie ewolucyjnym, ale to nie znaczy, że w kontakcie z bliskim zwierzęciem szuka wyłącznie higieny.

## Nietolerancja

Autoerotyzm i inne formy niereprodukcyjnego seksu są tabuizowane w społeczności ludzkiej. Wydzielamy masturbację i inne podobne aktywności z ogółu zachowań zwierzęcia i nadajemy im status czegoś wyjątkowego. Robiąc to, oceniamy te praktyki w oparciu o własne kryteria, a nie o perspektywę zwierzęcia.

Przykład? W 2018 r. w oregońskim ogrodzie zoologicznym zmarł Eddie, samiec wydry morskiej (nazywanej również kałanem). Dożył sędziwego wieku i zasłynął z dwóch rzeczy. Po pierwsze, bardzo lubił się bawić gumową miniaturą piłki do koszykówki. Po drugie, często się masturbował. Kiedy odszedł, w lokalnych mediach zamieszczono informację: „Wydra z zoo w Oregonie znana ze wsadów do kosza i samozadowalania, zmarła w wieku 20 lat”. Tekst ten udostępniono również na Twitterze, gdzie spotkał się z ogromnym zainteresowaniem (ponad 15,7 tys. polubień, niemal 4,8 tys. cytowań) oraz bardzo entuzjastycznym odzewem. Masturbujące się zwierzę bawiło użytkowników mediów społecznościowych, którzy prześcigali się w ripostach i prośbach, by podobny „nekrolog” umieścić na ich własnych grobach.

Samozadowalająca się wydra została oceniona pozytywnie, ale masturbacja zwierząt domowych spotyka się zwykle z bardziej negatywnym przyjęciem. Zdąrza się, że onanizm kota, psa czy papugi jest konsekwencją stanów patologicznych, np. nowotworu jądra, chorób hormonalnych, zaburzeń behawioralnych lub nieodpowiednią ilością bodźców. W takich przypadkach potrzebna jest

interwencja. Jednak w wielu sytuacjach jest to po prostu zachowanie naturalne. Mimo to w weterynaryjnej literaturze specjalistycznej opisywane są przypadki zwierząt, których poziom hormonów płciowych był prawidłowy, a jednak stosowano u nich farmakoterapię, ponieważ opiekun nie życzył sobie, żeby zwierzę praktykowało masturbację.

## Bezcelowość

To podejście przekłada się również na nasz stosunek do badania ewolucyjnych podstaw praktyk autoerotycznych, kopulacji homoseksualnej i wszystkich innych niereprodukcyjnych form seksu. Na mapie ciała zwierząt wyznaczaliśmy obszary neutralne oraz wydzieliłymi jeden, mały, który w naszym przekonaniu powinien być wykorzystywany tylko do rozrodu. A jeśli powiązanie pomiędzy zabawą genitaliami a prokreacją jest dla nas nieoczywiste, znajdujemy bardzo naciągane wyjaśnienia.

A przecież praktyki zwierząt są czasem trudne do zaklasyfikowania. Na przykład w artykule opublikowanym w 2009 r. w „PLOS ONE” powołano się na obserwację dotyczącą kopulacji dwóch orangutanów. Była to penetracja waginalna, którą jednak samica co jakiś czas przerywała, by chwycić penisa partnera i pocierać go, a także lizać oraz wkładać do ust. Uczni omawiający to zdarzenie, napisali w artykule: „Jest prawdopodobne, że zachowanie samicy zwiększało podniecenie samca”. W tym wypadku uznali, że takie uzasadnienie jest wystarczające.

Wszystkie zachowania seksualne zwierząt, w tym te niezwiązane bezpośrednio z reprodukcją, mają podłoże ewolucyjne. Nie zawsze jednak na tak bezpośrednim poziomie, na jakim doszukują się ich niektórzy badacze. Ewolucja bowiem nie dąży do niczego. Adaptacje to zmiany, które najpierw się pojawiają, a później życie weryfikuje, czy są przydatne. Nie są też one celem ewolucji, lecz jej konsekwencją.

Możliwe, że u niektórych gatunków masturbacja zmniejsza ryzyko chorób przenoszonych drogą płciową. Albo że poprawia skuteczność kopulacji reprodukcyjnej, przyczyniając się do produkcji zdrowszych, bo młodszych plemników. Niemniej onanizm i inne formy nierozrodczego seksu mogą też pełnić wiele innych funkcji. Absorbują energię pędu seksualnego w tych okolicznościach, w których kopulacja z partnerem jest nieosiągalna, stanowią „reklamę” sprawności dla rywali i zachętę dla partnerek lub partnerów, zmniejszają poziom agresji w grupie. I wreszcie – po prostu dostarczają przyjemności. ■

# Wygrać z rakiem

NAUKOWCY Z MIĘDZYNARODOWEGO CENTRUM BADAŃ NAD SZCZEPIONKAMI PRZECIWNOWOTWOROWYMI UNIWERSYTETU GDAŃSKIEGO (ICCVS) POD OKIEM PROF. DR HAB. NATALII MAREK-TRZONKOWSKIEJ PROWADZĄ BADANIA, KTÓRE MOGĄ POMÓC W WALCE Z RAKIEM. CENTRUM POWSTAŁO W RAMACH PROGRAMU MIĘDZYNARODOWE AGENDY BADAWCZE FUNDACJI NA RZECZ NAUKI POLSKIEJ FINANSOWANEGO ZE ŚRODKÓW POCZĄTKOWYCH Z FUNDUSZY EUROPEJSKICH Z PROGRAMU INTELIGENTNY ROZWÓJ (POIR).



© ARCHIWUM PRYWATNE

## Dlaczego rak jest tak trudnym przeciwnikiem?

Jest bardziej zmienny niż kameleon. Konkretny typ nowotworu może wyglądać całkiem inaczej u różnych pacjentów, ponieważ u każdego mogą pojawiać się inne mutacje. W dodatku każdy nowotwór zmienia się z upływem czasu – nawet jeśli opracujemy terapię dla wcześniej rozpoznanego nowotworu, to nie znaczy, że będzie ona równie skuteczna w dalszych fazach rozwoju choroby.

## Czy jest w takim razie nadzieja, że uda się wygrać z rakiem?

Myszę, że to możliwe. Istnieją już pierwsze szczepionki przeciwnowotworowe. Na przykład szczepionka przeciw wirusowi HPV, która w Wielkiej Brytanii praktycznie wyeliminowała raka szyjki macicy w szczepionej populacji. W przypadku nowotworów, których nie wywołują wirusy, będzie to trudniejsze. Sądzę jednak, że to osiągalny cel. Możliwe, że należy się skupić na wczesnych stadiach rozwoju choroby, kiedy układ immunologiczny jeszcze dobrze funkcjonuje.

## W waszej pracy chodzi o to, by sam układ odpornościowy likwidował zagrożenie. Dlaczego system

Prof. dr hab. **Natalia**

**Marek-Trzonkowska,**

immunolożka, prowadzi badania dotyczące terapeutycznego zastosowania komórek układu immunologicznego.

Jej prace koncentrują się na zagadnieniu immunomodulacji, tolerancji immunologicznej oraz interakcjach międzykomórkowych. Jest współtwórczynią pierwszej terapii cukrzycy typu 1, w której wykorzystano limfocyty T regulatorowe (Tregs). Opracowała wraz ze swoim zespołem personalizowaną terapię niedrobnokomórkowego raka płuca (NSCLC), gdzie narzędziem terapeutycznym są antygenowo specyficzne limfocyty T pacjenta.

## immunologiczny ma z nowotworami aż tak poważny problem?

Po pierwsze, sami często sprawiamy, że nasz układ odpornościowy działa słabiej. Nie wysypiamy się, palimy papierosy, prowadzimy siedzący tryb życia, stresujemy się. Każdego dnia w naszych komórkach mogą pojawiać się mutacje i chociaż mamy różne mechanizmy korekcji błędów lub uśmiercania nieprawidłowych komórek, to organizm po jakimś czasie po prostu nie daje rady naprawiać wszystkiego.

Po drugie, nowotwory są w stanie oszukiwać układ odpornościowy czy wręcz wykorzystywać go do własnych celów. Przykładem jest to, w jaki sposób wpływają na limfocyty T regulatorowe. Prawidłowym zadaniem komórek regulatorowych jest utrzymanie tolerancji własnych tkanek i niedopuszczenie do ich uszkodzenia przez komórki autoreaktywne, które mogą pojawić się w naszym organizmie. Limfocyty T regulatorowe chronią nas więc przed chorobami autoimmunologicznymi, na przykład przed cukrzycą typu 1, stwardnieniem rozsianym czy chorobą Hashimoto. Z tego względu nowotwory często wykorzystują właśnie te właściwości limfocytów T regulatorowych, żeby doszło do rozwoju tolerancji zmutowanych komórek i aby układ immunologiczny ignorował raka.

Nowotwory produkują też tak zwane pęcherzyki zewnątrzkomórkowe. Za ich pośrednictwem wysyłają do odległych miejsc naszego organizmu substancje, które jeszcze bardziej upośledzają odpowiedź układu immunologicznego i przygotowują tkanki do przyjęcia przerzutów. Te pęcherzyki oraz opracowanie obrony przed nimi są także przedmiotem badań naszego zespołu.

## W jaki sposób można wesprzeć układ odpornościowy w tej walce?

Nasz zespół na początku sprawdza, jakie unikatowe cechy ma dany nowotwór oraz które komórki układu immunologicznego go rozpoznają. Kiedy już je zidentyfikujemy, staramy się ustalić, w jaki sposób nowotwór je unieszkodliwia. Kolejnym etapem będzie genetyczna modyfikacja tych komórek w taki sposób, aby były niewrażliwe na działania raka. W bardziej zaawansowanych stadiach choroby może pojawić się tu jednak problem. Czasem okazuje się, że komórki układu immunologicznego pacjenta, które potrafią rozpoznać nowotwór, zostały przez niego już unieszkodliwione do takiego stopnia, że nie nadają się do terapii. Jednym z rozwiązań, jakie bierzemy pod uwagę, jest więc pobieranie komórek od osób zdrowych i zmodyfikowanie ich w celu wykorzystania w procesie leczenia.

Chciałabym tutaj podkreślić, że to nie jest science fiction. To wszystko da się zrobić. Jest to po prostu inżynieria na poziomie molekularnym, taka bardziej precyzyjna przebudowa. Najważniejsze, żeby dokładnie ustalić, gdzie znajdują się słabe punkty naszego układu immunologicznego oraz słabe punkty nowotworu.

**Wspominała pani, że każdy nowotwór jest nieco inny. To zapewne utrudnia tworzenie takich terapii.**

To prawda, ale w przypadku naszej metody sposób postępowania za każdym razem jest taki sam. To znaczy wybieramy inny zestaw komórek dla danego pacjenta, ale procedura tego wyboru, sposób hodowli komórek czy ich podania są stałe.

**To oznacza, że szczepionki na konkretny rodzaj nowotworów nie będzie można po prostu kupić w aptece. Każdorazowo będzie musiała być przygotowywana dla konkretnego pacjenta.**

Na razie jeszcze tak. Jestem jednak przekonana, że jeśli zbierzemy wystarczająco dużo informacji, to pewnego dnia okaże się, że możliwe będzie też stworzenie bardziej uniwersalnej szczepionki. Choć może stanie się to już nie za mojego życia.

**To oznacza, że szczepionki na konkretny rodzaj nowotworów nie będzie można po prostu kupić w aptece. Każdorazowo będzie musiała być przygotowywana dla konkretnego pacjenta.**

Na razie jeszcze tak. Jestem jednak przekonana, że jeśli zbierzemy wystarczająco dużo informacji, to pewnego dnia okaże się, że możliwe będzie też stworzenie bardziej uniwersalnej szczepionki. Choć może stanie się to już nie za mojego życia.

**Na czym konkretnie skupia się więc teraz praca ICCVS? Co udało się wam osiągnąć, a czym będziecie się zajmować w najbliższej przyszłości?**

W ciągu ostatnich trzech lat złożyliśmy już dziewięć wniosków patentowych dotyczących ochrony opracowanych przez nas sposobów identyfikacji unikatowych cech nowotworu, monitorowania stanu zdrowia pacjentów czy prowadzenia hodowli komórkowych. W najbliższej przyszłości będziemy optymalizować te metody i sprawdzać ich bezpieczeństwo, aby rozpocząć badanie kliniczne. Ważny kierunek naszych badań rozwinął się na bazie wiedzy, że wszystkie komórki jądrzaste, w tym komórki nowotworowe, prezentują antygeny. Tzn. mają na swojej powierzchni receptory (tzw. receptory głównego układu zgodności tkankowej, MHC), które pokazują układowi immunologicznemu fragmenty białek (peptydy). Komórki układu odpornościowego rozpoznają je i wiedzą, czy taki zestaw peptydów charakteryzuje komórkę swoją czy obcą lub nieprawidłową.

**To taki dowód osobisty komórki?**

Tak. To ich identyfikator. Na jego podstawie komórki układu immunologicznego tolerują bądź niszczą napotkane tkanki. Nowotwory są w stanie oszukać układ odpornościowy, ale my w laboratorium umiemy to oszustwo wykryć. Upraszczając, odczepiamy wszystkie te identyfikatory z usuniętego podczas operacji guza oraz zdrowej tkanki i porównujemy je ze sobą.

Na tej podstawie wiemy, jakie mutacje zaszły w danym nowotworze i który identyfikator (peptyd) jest nieprawidłowy. Następnie przy pomocy tych zmutowanych identyfikatorów możemy wyszukać i wysortować z krwi pacjenta komórki, które je rozpoznają i dzięki temu mogą zostać użyte do walki z rakiem. Fakt, że jesteśmy w stanie odczepić te znaczniki i rozpoznać potencjalne cele dla układu odpornościowego, to już bardzo ważny krok. Warto tu wspomnieć, że nasza metoda nie jest równoznaczna z analizą genomu. W genomie może zająć wiele mutacji, ale nie wszystkie będą widoczne dla układu immunologicznego. My koncentrujemy się na tych, które mają wpływ na strukturę identyfikatorów, które później komórki będą prezentowały układowi immunologicznemu.

W kolejnym etapie planujemy pomóc tym wybranym komórkom, które potrafią rozpoznać nowotwór, chodzi o to, żeby one były w stanie zniszczyć raka i stały się niewrażliwe na jego hamujące działanie. Myślimy też o tym, żeby zmodyfikować środowisko guza. Warto pamiętać, że nowotwór modyfikuje to, co go otacza. Tzn. np. skłania sąsiednie, normalne komórki do współpracy. W takim środowisku komórki układu immunologicznego czują się źle. Nie mają np. odpowiedniej ilości substancji odżywczych, zmienia się ich metabolizm, sposób zachowania i giną albo po prostu nie robią niczego, co mogłoby zaszkodzić guzowi. Próbuje więc to środowisko zmieniać w taki sposób, by sprzyjało komórkom, które mają zabić nowotwór.

**Jak ważne jest zatem to, że wasz ośrodek działa w ramach programu Międzynarodowe Agendy Badawczej?**

To kluczowe. Ogromną przewagą centrów takich jak nasze jest multidyscyplinarność i międzynarodowość. Spotykają się tu naukowcy z różnych dziedzin, różnych kultur i z różnym kapitałem doświadczeń. Dzięki temu bardzo wiele możemy zrobić u siebie, co skraca czas i ułatwia pracę. Oczywiście prowadzimy także współpracę międzynarodową.

Kontakty ze specjalistami spoza własnego ośrodka są niezwykle ważne i rozwijają zarówno badania, jak i potencjał zespołu. Chcemy się uczyć od najlepszych w danej dziedzinie, ale wielokrotnie i my uczymy innych. Współpraca naukowa opiera się na wzajemności. Nie jest też pewnie zaskoczeniem, że kiedy badacze z różnych dziedzin łączą swoje siły, to powstają wyjątkowe rozwiązania. Potrzebujemy jeszcze trochę czasu, by nasze idee przekuły w badanie kliniczne, ale jesteśmy na najlepszej drodze ku temu. Warto też zaznaczyć, że 60 proc. naszych pracowników to osoby z zagranicy. To istotne nie tylko w kontekście naszego Centrum, ale ma też duże znaczenie dla uniwersytetu.

Na polskich uczelniach wciąż jeszcze bardzo mało jest zagranicznych wykładowców. Dzięki międzynarodowym agendum badawczym uczelnie mają ich w swoich strukturach, a oni wnoszą nową jakość do całego systemu. Uniwersytet Gdański bardzo dobrze rozumie potrzebę umiędzynarodowienia i aktywnie prowadzi ten proces, m.in. poprzez liczne programy wymiany kadry naukowej i administracyjnej. Bardzo kibicuję tym zmianom. Jestem przekonana, że one są nieuniknione, ale jednocześnie uważam, że to właśnie umiędzynarodowe agendy badawcze były katalizatorem tego trendu. UG ma w swojej strukturze aż dwa takie centra – Międzynarodowe Centrum Badań nad Szczepionkami Przeciwnowotworowymi oraz Międzynarodowe Centrum Teorii Technologii Kwantowych. To sprawiło, że uczelnia miała możliwość dobrze poznać złożoną sytuację zagranicznych naukowców i zaczęła wdrażać rozwiązania, które pomagają im zaadaptować się w pracy, zintegrować się i poznać polską kulturę. To jest początek zmian na polskich uczelniach, które realnie otwierają je na świat. To ważne, bo nauka nie zna granic, jest międzynarodowa i multidyscyplinarna. Inaczej tworzyć się jej nie da. Dzięki MABom, jak to się mówi, ziarno zostało zasiane.

**Wygramy kiedyś z rakiem?**

Cały czas w to wierzę. Inaczej nie poświęcałabym na takie badania nocy czy świąt. Myślę, że wygramy. Nie za rok, nie za dwa, ale mam poczucie, że to, co tu robimy, jest ważne, bo coraz lepiej poznajemy przeciwnika. Uczestniczę w tej walce i mam nadzieję, że uda mi się coś zmienić na lepsze.

Więcej o wynikach badań z polskich laboratoriów w raporcie pt. „Nauka w czasach przemian. Jak badania finansowane z Funduszy Europejskich pomagają chronić nas przed globalnymi zagrożeniami i wykorzystywać historyczne szanse”: [www.fnp.org.pl](http://www.fnp.org.pl)





OSPA I PÓŁPASIEC TO CHOROBY WYWOŁYWANE PRZEZ JEDEN WIRUS: **VARICELLA ZOSTER**.  
DLACZEGO NIE ZABEZPIECZA SIĘ PRZED NIM UNIWERSALNĄ SZCZEPIONKĄ?

## Dwie na jednego

**U**kład odpornościowy – podobnie jak całe ciało – słabnie z wiekiem. Dlatego starsi ludzie łapią więcej infekcji i są bardziej narażeni m.in. na choroby nowotworowe. Są także bardziej podatni na półpasiec – bolesną wysypkę spowodowaną reaktywacją wirusa ospy wietrznej, który ukrył się w zwojach nerwów czuciowych. – *Nie trzeba jednak dożyć sędziwego wieku, aby na własnej skórze przekonać się, jak dolegliwe może być ponowne uaktywnienie tego zarazka* – prostuje obiegową opinię dr Grażyna Cholewińska, konsultantka ds. chorób zakaźnych na Mazowszu.

Groźne może być także załamanie naturalnej

odporności: po oparzeniach słonecznych, przemęczeniu, przy chorobach. Spory udział w przyroście zachorowań ma także Covid-19. Półpasiec nie podlega rejestracji tak jak ospa wietrzna i większość chorób zakaźnych (nie grozi wybuchem epidemii), więc trudno przytoczyć konkretne liczby. Szacunkowe dane (w minionych latach do 170 tys. przypadków rocznie) wynikają z uśrednionej zapadalności dla Europy: ok. 340 na 100 tys. osób do 50 lat i 614 na 100 tys. po 50. roku życia.

Lekarze przyznają jednak, że mają teraz więcej pacjentów, w dodatku coraz młodszych. – *To potwierdza nasze przypuszczenia, że koronawirus długotrwale osłabia*

*odporność i zwiększa podatność na choroby, które pojawiają się pod wpływem kryzysu immunologicznego* – mówi dr Paweł Grzesiowski, ekspert w dziedzinie immunologii, profilaktyki i terapii zakażeń.

### JAKIE ZAKAŻENIA?

Przywołuje ze swojej pediatrycznej praktyki 6-latkę z półpaścem, w którego poza zachorowaniem Covid-19 nie wykryto żadnej innej przyczyny załamania odporności. Czy te przypadki są cięższe niż przed pandemią? – *Nie ma jeszcze na ten temat obiektywnych badań* – przyznaje medyk. Ale wedle wielu tak właśnie jest.

Dr Cholewińska, podobnie jak inni specjaliści chorób

zakaźnych na co dzień zajmujący się w szpitalach najczęściej chorymi, nie kryje irytacji, gdy słyszy, jak bagatelizuje się półpasiec. – *Nie zawsze ta choroba mija lekko i każdy powinien liczyć się z powikłaniami* – ostrzega. Najbardziej przykrym jest neuralgia i ból neuropatyczny – przewlekły, silny, trwający nawet kilka miesięcy. Innym groźnym następstwem mogą być uszkodzenia rogówki po półpaścu ocznym, który dotyka kilkunastu procent pacjentów. Albo powikłania neurologiczne – na ich długiej liście są m.in. zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych lub wręcz samego mózgu.

Istotą tej choroby jest wysypka, ale ma ona wiele wspólnego z układem nerwowym.

Najpierw wirus – ten sam, który zakażył chorego wcześniej ospą wietrzną – ukrywa się w neuronach czuciowych zwojów rdzeniowych, wychodzących najczęściej od kręgosłupa, lub w zwojach nerwów czaszkowych (stąd półpasiec oczny albo uszny). Kiedy pod wpływem spadku odporności dochodzi do jego uaktywnienia, wędruje drogą neuronów czuciowych do skóry, wywołując na niej charakterystyczne wykwity i ból. Pęcherzyki wypełnione są podobnie jak przy ospie mętnym płynem, który z czasem zasycha w strupki. Układają się one na skórze wzdłuż przebiegu któregoś z nerwów, nie przekraczając linii środkowej ciała.

Tak nietypowo zlokalizowana wysypka bardzo ułatwia rozpoznanie półpaśca, choć pojawia się nieraz kilka dni później niż ból w jej okolicy. Czy jest zakaźna? Przy kontaktach domowych ryzyko wynosi 20–40 proc., czyli dużo mniej niż przy ospie wietrznej (jej zakaźność sięga 90 proc.). Niebezpieczny jest tylko bezpośredni kontakt z płynem znajdującym się w pęcherzykach, a w przypadku ospy transmisja wirusa jest zarówno kontakto- wa, jak i kropelkowa. Co ważne, wirusem *Varicella zoster* mogą zakażać się od chorego z aktywnym półpaszczem tylko te osoby, które wcześniej nie chorowały na ospę wietrzną. Tyle że one zapadną właśnie na ospę, a nie na półpasiec.

Przechorowanie ospy wietrznej uodpornia na nią na resztę życia. Z półpaszczem bywa różnie. Wskaźnik nawrotów wynosi zaledwie ok. 6 proc. U osób z obniżoną odpornością jest jednak dwukrotnie wyższy. – *Nawrotowy półpasiec należy traktować jako sygnał, że coś złego dzieje się z układem odpornościowym* – przestrzega dr Grzesiowski. I zachęca, by go wtedy wnikliwie zbadać, aby wykluczyć np. immunosupresję związaną z początkiem niewykrotłej jeszcze choroby nowotworowej. Na ponowne ryzyko nawrotu narażone są również te osoby, u których pierwszy epizod przebiegał z ciężkim bólem

utrzymującym się powyżej 30 dni.

Przebieg zakażenia łagodzą przede wszystkim leki przeciwwirusowe (najczęściej acyklowir), które najlepiej wdrożyć w pierwszych dwóch dobach od pojawienia się wysypki. Nie niwelują jednak bólu ani nie zmniejszają ryzyka rozwoju neuralgii popółpaścowej. Wskazane jest więc dodatkowo podawanie leków przeciwbólowych, ale jeśli przeczulica skóry nie ustąpi po miesiącu, warto zasięgnąć pomocy w specjalistycznej poradni leczenia bólu. Chodzi o to, by nie dopuścić do trwałego uszkodzenia nerwów czuciowych i przewlekłej neuropatii, z którą najtrudniej sobie poradzić.

### DLA KOGO SZCZEPIENIA?

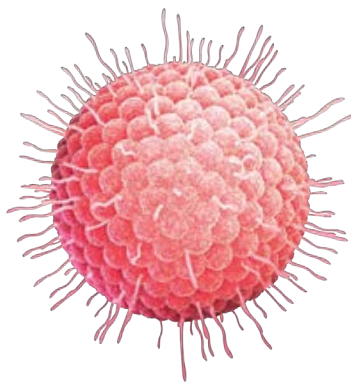
Przez wiele lat krążyła hipoteza, że rzadziej na półpasiec zapadają te starsze osoby, które częściej obcują z małymi dziećmi, ponieważ chroni je dostatecznie wysoki poziom przeciwciał zapewniony przez stały kontakt z wirusem ospy wietrznej krążącym wśród dzieci. Tyle że odkąd w 1999 r. zaczęto szczepić przeciwko ospie wietrznej, liczba zachorowań na nią spada i trudniej nabyć odporność.

Wiosną tego roku przedstawiono w czasopiśmie „PLOS Public Global Health” prognozy zachorowań na ospę wietrzną i półpasiec w Danii. Potwierdziły, że dzięki szczepionce śmiertelność na ospę wietrzną i potrzeba leczenia szpitalnego spada o 90 proc. Przy zastosowaniu modeli matematycznych wyliczono też, że w ciągu pięciu dekad liczba przypadków półpaśca zostanie dzięki temu zredukowana o 10 proc.

Na razie dzieciom i młodzieży zaszczepionej w ostatnim 20-leciu przeciwko ospie wietrznej nie można dać gwarancji, że półpasiec nigdy im się nie przytrafi. – *Szczepionka daje najpełniejszą ochronę na 10 lat, a w dłuższej perspektywie jedynie niweluje najgroźniejsze powikłania* – mówi dr Cholewińska.

Z ospą wietrzną jest niestety tak, że im później ktoś na nią zachoruje, tym ciężiej ją przechodzi. – *Przyjmujemy nieraz do szpitala osoby, które zaszczepiono w dzieciństwie, ale wskutek silnego załamania odporności, choćby z powodu choroby nowotworowej, uległy zakażeniu. Dlatego mimo zaszczepienia przeciwko ospie im też w przyszłości będzie groził półpasiec.*

Przeciwko samemu półpaszczowi też zresztą można się zaszczepić. W miejsce starszego preparatu, który zawierał kilkakrotnie zwiększoną dawkę



żywego wirusa ospy wietrznej, mamy obecnie na rynku szczepionkę wytworzoną w oparciu o samo białko powierzchniowe tego zarazka, które jest antygenem i pobudza odporność przed reaktywacją zakażenia. Jest dużo skuteczniejsza i mogą z niej korzystać osoby po 50. roku życia, ale również młodsze, z trwałymi deficytami immunologicznymi z powodu chorób przewlekłych lub po przeszczepach czy w trakcie kuracji onkologicznej.

Szczepionka jest dwudawkowa – podaje się ją domięśniowo w odstępie 2–6 miesięcy. Niestety, za jedną dawkę trzeba zapłacić ok. 700–900 zł (być może zostanie choć w połowie zrefundowana dla osób 65+, które warto chronić przed najcięższymi powikłaniami – ale nawet kilkaset złotych to wciąż spora suma). Inna kontrowersja dotyczy tego, czy jest sens szczepić w ciemno każdą starszą osobę bez wcześniejszej kontroli, czy ma przeciwciała przeciwko wirusowi (bo jeśli nie ma, to nie

ma też ukrytego wirusa i nie zachoruje na półpasiec).

### PO CO BADANIA?

We wspólnym stanowisku grupy ekspertów reprezentujących kilka krajowych towarzystw lekarskich – wakcynologii, medycyny rodzinnej, dermatologii, badania bólu i neurologii – powołano się na szacunki, że ponad 99 proc. osób po ukończeniu 40. roku życia jest podatnych na zachorowanie na półpasiec. Jeśli bowiem nie pamiętają, czy przebyły ospę wietrzną, to ze względu na jej masowe rozpowszechnienie musiały mieć z nią jakiś kontakt. A zatem – jak piszą autorzy zaleceń – nie mają sensu dodatkowe badania serologiczne, by potwierdzać obecność przeciwciał świadczących o obecności ukrytego wirusa. Ale dr Grzesiowski patrzy na to inaczej: – *Na miejscu tych, którzy nie są pewni, czy chorowali na ospę wietrzną, ja bym to jednak sprawdził. Przelotny kontakt z *Varicella zoster* niekoniecznie kończy się wytworzeniem przeciwciał. A jeśli ich nie ma, właściwszym wyborem jest zaszczepienie przeciwko ospie wietrznej niż przeciw półpaszczowi.*

Jeden wirus – dwie choroby. Szkoda, że potrzeba na nie osobnych szczepionek, ale wynika to ze specyficznych cech odróżniających młody układ immunologiczny (kiedy warto się uodpornić przeciwko ospie wietrznej) i układ osób dorosłych (którym częściej grozi półpasiec). W pierwszej szczepionce mamy osłabiony żywy wirus, pełniący rolę znacznika identyfikacyjnego, który pomoże układowi odpornościowemu rozpoznać napotkane w przyszłości wirusy ospy wietrznej. W drugiej – posługujemy się samym białkiem, aby zapobiec ich reaktywacji ze zwojów nerwowych. I nie służy ono do zapobiegania pierwotnej infekcji *Varicella zoster*. Dotąd nie sprawdzono w badaniach klinicznych, czy to w ogóle możliwe. Mamy zatem dwie szczepionki i trzeba niezależnie korzystać z obu.

PAWEŁ WALEWSKI

# Ostatnia bitwa księcia Józefa

SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI



Książę Józef Poniatowski na chwilę przed śmiercią, obraz nieznanego malarza z 2 poł. XIX w.

**P**przed 210 laty pod Lipskiem doszło do krwawej batalii przekreślającej nadzieje Napoleona na odzyskanie panowania nad Europą.

óżną jesienią 1812 r. resztki Wielkiej Armii Napoleona wycofywały się z Rosji. Wyprawa na wschód kończyła się zagładą zebranych z całej Europy wojsk i krachem planów cesarza Francuzów obliczonych na podbój państwa carów – ostatniej obok Anglii przeszkody na drodze do pełnej dominacji nad kontynentem. Rosyjska kampania odwróciła dotychczasowy układ sił. Napoleon w oczach zdumionej jego kłeską Europą nagle skarłał. Zwycięscy Rosjanie wkroczyli na teren Księstwa Warszawskiego – wschodniego bastionu cesarstwa.

Jednocześnie z Półwyspu Iberyjskiego dochodziły wieści o kolejnych kłeskach napoleońskich wodzów w bitwach z Anglikami pod wodzą generała Arthura Wellesleya, lorda Wellington. Zbudowane przez Bonapartego imperium zaczynało walić się w gruzy. Już w końcu grudnia generał Hans von Yorck, zaś w lutym generał Wilhelm von Bülow przeszli na stronę Rosjan, a Prusacy, od czasu straszliwej klęski w 1806 r. wypatrujący sposobności do wzięcia odwetu, już wkrótce mieli się stać „narodem pod

bronią”. Na podobną okazję czekali Austriacy, pamiętający porażki doznane z rąk Napoleona. Ich cesarz Franciszek I (ostatni cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego jako Franciszek II Habsburg) był teściem Bonapartego, ale względy rodzinne nie miały w tym przypadku większego znaczenia. Również pomniejsi jego sojusznicy sposobili się do przejścia na stronę antynapoleońskiej koalicji. Jedyнным liczącym się aliantem cesarza Francuzów, który trwał wiernie u jego boku, byli Polacy. I ich wódz książę Józef Poniatowski.

O tym, czy Europa pozostanie napoleońska, miała zadecydować kampania niemiecka 1813 r.

## Sam przeciwko Europie

W końcu zimy i wczesną wiosną 1813 r. stała się rzecz niesłychana. Napoleonowi udało się w błyskawicznym tempie odbudować armię – już nie tak liczną, równie dobrze wyszkoloną i skuteczną jak poprzednia, ale ożywioną duchem walki i dzielącą wiarę cesarza w zwycięstwo. Napoleon był przekonany, że uda

mu się powstrzymać nieprzyjacielską ofensywę i w ciągu kilku miesięcy powrócić najpierw nad Odrę i Wisłę, a potem znów zepchnąć Rosjan za Niemen. Początek kampanii pokazał, że ta wizja może się sprawdzić. Po morderczej bitwie pod Lützen Francuzi wkroczyli do Drezna, a krótko później odnieśli zwycięstwa pod Bautzen (Budziszynem) i Würschen.

W czerwcu Napoleon przyjął jednak mediację teścia i zgodził się na kilkutygodniowy rozejm, licząc na znaczne wzmocnienie armii i dalsze zwycięstwa nad aliantami. Stało się inaczej. Kiedy w sierpniu wznowiono działania, koalicję zasilili Austria i Szwecja, której armią dowodził następca tronu, były marszałek Francji i zawzięty wróg Bonapartego Jean Bernadotte. Sprzymierzeni zaczęli działać wedle zaleconego im przez francuskich renegatów schematu – nie atakować Napoleona, lecz wyłącznie jego marszałków. Oni zaś w zadziwiający sposób zaprzepaścili jego wielki triumf pod Dreznem, gdzie Bonaparte rozbił Rosjan i Austriaków i wzięty do niewoli 20 tys. jeńców.

Cesarz miał się niczym lew w klatce, nie mogąc dopaść schodzącego mu z drogi wroga. Ten zaś coraz mocniej zaciskał wokół jego wojsk mordercze kleszcze. W końcu września i w pierwszej połowie października Wielka Armia została zewsząd otoczona i jej sytuacja stała się niezwykle trudna. „Bóg wojny” wciąż jednak budził strach i alianci przed decydującą batalią nie byli pewni swego.

## Bitwa narodów

Losy kampanii niemieckiej miały się rozstrzygnąć na terenie Saksonii, w czterodniowej bitwie pod Lipskiem i w jego okolicach. Ta największa i najbardziej krwawa batalia epoki napoleońskiej przeszła do historii pod nazwą bitwy narodów. Ów obrazowy termin dobrze oddawał rzeczywistość. Naprzeciw cesarzowi Francuzów i jego armii złożonej z Francuzów, Polaków i początkowo również Hesów, Badeńczyków i Sasów stanęli Rosjanie, Austriacy, Prusacy, Szwedzi, kontyngenty państw niemieckich.

Napoleon, który najczęściej potrafił zadbać o przewagę liczebną na polu walki, tym razem dysponował o wiele mniejszymi siłami niż sojusznicy, ale był ufny w swój geniusz militarny. Postanowił uczynić z przedmieść miasta centralny punkt dla swojej armii i działając w położeniu środkowym – była to jedna z podstawowych zasad jego genialnej taktyki – rozbić wroga na wybranych przez siebie kierunkach, nim zdoła skoncentrować przeciwko jego armii, wszystkie swoje wojska. Na samym początku trwającej od 16 października bitwy mógł rzucić do boju ok. 170 tys. żołnierzy, w tym 8 tys. Polaków w korpusie księcia Poniatowskiego, wspartych ogniem 700 armat, podczas gdy nieprzyjaciel w pierwszej jej fazie miał do dyspozycji ok. 210 tys. żołnierzy – w armii czeskiej księcia Karla Philippa Schwarzenberga ok. 150 tys. żołnierzy i w pruskiej Gebharda Leberechta von Blüchera 60 tys. Ale w kierunku Lipska zmierzali Rosjanie i Szwedzi. Było niemal pewne, iż jeśli cesarzowi nie uda się unicestwić sił Schwarzenberga i Blüchera przed ich nadejściem, jego szanse na zwycięstwo staną się iluzoryczne.

Polaków było niewiele, ale byli najwaleczniejsi w armii cesarza i dali temu wielokrotnie dowód. Pomimo zmęczenia i poniesionych strat przepajał ich duch bojowy. Nie wykazywali oznak zdemoralizowania, dość powszechnych wśród żołnierzy innych nacji. Aby jeszcze pobudzić w nich męstwo i oddanie, 15 października cesarz obsypał podkomendnych Poniatowskiego odznaczeniami: 150 krzyżami Legii Honorowej, a w Biuletynie Wielkiej Armii znalazła się pochwała dla ich wodza. Oddziały księcia zajęły pozycje na skraju prawego skrzydła i miały bronić kilometrowego odcinka pomiędzy Connewitz a wsią Markkleeberg.

Pierwszego dnia bitwy, trwającej z wielkim nasileniem do zmroku, Napoleon zadał armii Schwarzenberga bolesne straty,

ale nie zdołał jej rozbić i przerzucić wszystkich sił przeciwko Blücherowi. I co gorsza, nie miał kim uzupełnić przereźanych szeregów, podczas gdy wróg mógł liczyć na nadciągające posiłki. Polacy dokonywali cudów odwagi, skutecznie opierając się 20 tys. Austriaków, Rosjan i Prusaków. Z pomocą Starej Gwardii powstrzymali korpus generała Maximiliana Merveldta i wzięli go do niewoli wraz z 1200 żołnierzami. Poniatowski na pełnym trupów poboju został mianowany marszałkiem. Ten nadzwyczajny zaszczyt przyjął z rzucającą się w oczy obojętnością. Swoich oficerów zapewnił, że nigdy polskiego mundur nie zamieni na jakikolwiek inny: „Żaden honor, żaden zaszczyt dla mnie nie jest wyższym nad ten: być wodzem wojska polskiego. Mundur marszałka Francji na mnie nie postanie”. Był śmiertelnie zmęczony i zdawał sobie sprawę z nadchodzącego krachu. Jego korpus utracił trzecią część ludzi. W ostatnim w życiu raporcie sporządzonym przez księcia znalazło się zdanie: „Nieprzyjaciel nie zdobył ani piędzi terenu (...) wojsko okazało zapał i wytrzymałość godne podziwu (...) straciłem 1/3 ludzi i nie mam amunicji”. Nie mniejsze straty ponieśli podkomendni generała Jana Henryka Dąbrowskiego walczący w korpusie marszałka Michała Ney, usiłującego powstrzymać wojska Blüchera.

## Śmierć marszałka

17 października jakby za cichym porozumieniem walczących, przerażonych ogromną skalą obopólnych strat, armaty nie przemieściły i bój zamarł, dając walczącym czas na przygotowanie się do kolejnego dnia zmagania. Jak obrazowo napisał Digby Smith w monografii bitwy, „armie stały cichutko naprzeciw siebie, gotując się do wznowienia działań”. Doszło jedynie do starć z udziałem korpusu Dąbrowskiego z atakującym Blücherem. Wielka Armia zawężyła front, cofając centrum i lewe skrzydło swoich pozycji bliżej Lipska. Napoleon zaniechał jednak przygotowania do obrony miasta i ewentualnej ewakuacji zepchniętych do niego wojsk. Nie zbudowano mostów, przede wszystkim przez Elstere, i fakt ten miał doprowadzić do tragedii. Cesarz ciągle miał nadzieję na zwycięstwo, a chociażby na kolejne zawieszenie broni. Oba te rozwiązania były mało realne; sprzymierzeni oczekiwali przybycia armii Levina Augusta von Bennigsen i Bernadotte'a, które miały wypełnić lukę pomiędzy zaangażowanymi już w walkę armią czeską i śląską, zamykając niemal szczelną obręcz wokół wojsk francuskich. Byli pewni, że z ich pomocą osiągną całkowite zwycięstwo.

Rachuby aliantów zaczęły się sprawdzać po wznowieniu walk rankiem 18 października. Masy ich wojsk uderzyły na pozycje Poniatowskiego, zaś rozpaczliwy bój jego wiarusów ze wznieśsienia nazwanego później Wzgórzem Monarchów obserwowali Aleksander I, Franciszek I i Fryderyk Wilhelm III. Po tym dniu w szeregach VIII Korpusu pozostało zaledwie 800 ludzi zdolnych do walki. Bolesne straty poniosła cała Wielka Armia, zewsząd atakowana i przygnięciona masą wrogich wojsk. Późnym wieczorem Napoleon uznał się za pokonanego i zarządził odwrót, aby ocalić armię przed unicestwieniem.

Teraz chodziło już tylko o możliwie jak najdłuższą obronę przedmieść, aby dać niezbędny czas kawalerii, taborom i artylerii na wycofanie się w kierunku Lindenau. Dowództwo ariergardy cesarz powierzył marszałkowi Étienne Macdonaldowi oraz księciu Józefowi. Czując to, wyraził się niepochlebnie o swoich dowódcach: „Wszyscy są zdemoralizowani, oprócz Poniatowskiego”. Dodał też znamienne zdanie, wystawiające wspaniałe świadectwo odwadze i poświęceniu Polaków, stwierdzając, iż „ośmiuset odważnych więcej znaczy, jak innych osiem tysięcy”. W odniesieniu do nich znalazło to potwierdzenie nie tylko pod Lipskiem.

Ostatni dzień batalii przyniósł pogrom Wielkiej Armii. Do jej klęski przyczynili się dotychczasowi sojusznicy Napoleona ►

► z państw niemieckich. Sasi, a z nimi Hesi i Badeńczycy w pewnym momencie gremialnie przeszli na stronę zwycięskiej koalicji, a swoją zdradę podkreślili w sposób najohydniejszy z możliwych – strzelając dotychczasowym towarzyszom broni w plecy. Właśnie tak zginął pułkownik Stanisław Malczewski.

Poniatowski, stojąc wraz z Macdonaldem na czele dziesięciotysięcznej ariergardy, ze stracenią ofiarnością osłaniał odwrót. Około 10.00 miało miejsce dramatyczne wydarzenie. Owładnięty paniką podoficer przedwcześnie wydał rozkaz wysadzenia jedyne kamiennego mostu przez Elsterę, co skazało na śmierć lub niewolę tysiące ludzi, którzy jeszcze nie przeprawili się przez rzekę. Jak później napisał Marcelin de Marbot, „ogarnęło nas ciche przerażenie i głębokie przygnębienie. Każdy z nas oplakiwał przyjaciela, krewnego lub serdecznego przyjaciela”. Dwaj francuscy generałowie, Reynier i Lauriston, oddali się do niewoli, w ich ślady poszło wielu żołnierzy, w tym również kilka setek Polaków, którym pozwolono zachować pułkowe orły. Jeńcem nie chciał zostać Poniatowski. Odrzucił namowy, aby szukać ocalenia w przeprowie – podobno mógł się przedostać na drugi brzeg po prowizorycznej kładce, co powiodło się Macdonaldowi. Kilkakrotnie ranny, ledwie trzymając się na koniu, ugodzony kulą rzucił się w nurty rzeki i utonął wraz z wiernym adiutantem Blechampsem, który pospieszył mu z pomocą. Podobno chwilę przed zgonem książę miał wypowiedzieć słowa: „umrzeć trzeba śmiercią mężnych”.

Poniatowski był jedynym marszałkiem, który zginął pod Lipskiem. W Biuletynie pojawiło się zdanie: „Niepodobna opisać żalu, jaki czuje armia na myśl o księciu Poniatowskim”. Uczucia Polaków i głębię owego żalu odmalował sławny później pułkownik Aleksander Fredro: „Zgon księcia Poniatowskiego pod Lipskiem osierocił wojsko polskie w całym znaczeniu tego słowa. (...) Książę Józef byłby na koniec świata szedł za Napoleonem, a wojsko polskie za nim. Zginął, a z nim i duch jego”.

### Tragiczny bilans

Bitwa narodów przyniosła niewyobrażalne straty. Wedle ustaleń Digby'ego Smitha w obu armiach „w sumie pod Lipskiem bezpośrednio lub w wyniku ran [i chorób – przyp. S.L.] życie straciło 120 000 ludzi”. Wielka Armia utraciła 70 tys. żołnierzy (nie licząc 20 tys. chorych i rannych pozostawionych w Lipsku). Poległo 5 generałów dywizji i 10 generałów brygady. Straty Polaków wyniosły 7 tys. zabitych, 3 tys. dostało się do niewoli, w tym 200 oficerów, a wśród nich 9 generałów. Zginął siostrzeniec Tadeusza Kościuszki gen. Sykstus Estko. Jedynie 500 Polaków przedostało się na drugi brzeg Elstery i u boku Napoleona ruszyło ku francuskiej granicy.

Cesarz Francuzów był zdruzgotany, ale pomimo pościgu i kilku starć z wrogimi wojskami zdołał przeprowadzić resztki Wielkiej Armii na drugą stronę Renu. Nim to się stało, drogę usiłował zastąpić mu dawny podkomendny, bawarski generał Carl Philipp von Wrede, Napoleon zdobył się na żart: „uczyniłem z niego księcia, ale generała z niego nie zrobię”. A potem przeszedł po trupach jego żołnierzy.

Rzekę sforsowało ok. 80 tys. żołnierzy, by znaleźć schronienie w Moguncji, ale wielu z nich – cóż za paradoks! – miało już wkrótce umrzeć z powodu panującej zarazy, tzw. mogunckiego tyfusu.

Bitwa narodów ostatecznie położyła kres dominacji Francji nad kontynentem. Od ostatniej bitwy epoki napoleońskiej, która miała być stoczona pod Waterloo, dzieliło Bonapartego niewiele ponad półtora roku.

SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI

Bibliografia: Sławomir Leśniewski „Książę Józef. Wódz i kochanek”, 2012; Sławomir Leśniewski „Napoleon Bonaparte. Genialny Korsykanin od Tulonu do Waterloo”, 2015; Sławomir Leśniewski „Napoleoński amok Polaków”, 2019; Digby Smith „Lipsk 1813”, 2005.



# Wielcy z Grandu

Po latach remontu słynny łódzki hotel znów będzie otwarty. To jedna z ikon tego miasta i świadek historii.

JOANNA PODGÓRSKA

**Z**anim Piotrkowska stała się reprezentacyjną ulicą Łodzi, część położonych wzdłuż niej parceli przeznaczono na osadę tkaczy lnu i bawełny. Jednym z nich był Edward Hentschel – klasyczny łodzermensz, który zaczął od małego warsztatu z ręcznymi krosnami, a kończył jako fabrykant produkujący m.in. na eksport do Rosji. Na swojej parceli postawił okazały dwupiętrowy budynek z attyką, fryzami i ozdobnymi gzymsami, którego sporą część

Od lewej: hotel w 1896 r.  
I wnętrze Grand Cafe w 1915 r.



W zachodnim skrzydle powstała Grand Cafe, gdzie dla gości koncertowała orkiestra. Było to ulubione miejsce spotkań łódzkich fabrykantów. To tu przygotowywano, omawiano i finalizowano interesy, ale też obradowano w czasie robotniczych strajków i buntów. Śmietanka towarzysko-artystyczna wolała położoną nieopodal kawiarnię Roszkowskiego, gdzie podczas pobytów w mieście przesiadywał Władysław Reymont, obserwując łódzkie życie. Ale to nie znaczy, że Grand nie był ważnym punktem na mapie kulturalnej miasta. Łódź nie miała jeszcze wówczas salonu wystawowego, więc ważne ekspozycje organizowano właśnie w salach Grandu. W 1895 r. pokazano tu m.in. „Szał uniesień” Władysława Podkowińskiego. Koncertowały orkiestry symfoniczne. W zapowiedziach pisano, że to jedyne miejsce, gdzie „melomani mają możliwość raczenia się prawdziwymi perłami z dziedziny poważnego repertuaru”. Na liście gości hotelowych pojawiały się takie znakomitości, jak Helena Modrzejewska, Henryk Sienkiewicz, Henryk Siemiradzki czy Isadora Duncan.

**W Grandzie działał także „teatr świetlny”, czyli kinematograf.** Podczas otwarcia pokazano serię 50 obrazów z życia Japonii, a pokaz trzyczęściowego filmu „Tannhäuser” na motywach opery Wagnera stał się w Łodzi wielkim towarzyskim wydarzeniem.

W czasie pierwszej wojny światowej, gdy życie biznesowe i artystyczne zamarło, Grand stał się obiektem pod nadzorem wojskowym. Stacjonowały w nim na przemian sztaby rosyjski i niemiecki. Kwaterował tu m.in. znany generał, późniejszy feldmarszałek August von Mackensen. Przez pewien czas nie wpuszczano tu żadnych cywilów, wokół budynku stanęły posterunki wojskowe, a przed nim odbywały się defilady. „Przed Grand Hotelem w mieście Łodzi/Z trzaskiem parademarsz odchodzi” – napisał Julian Tuwim. Wojna się skończyła i zostały po niej niezapłacone rachunki. Straty hotelu oszacowano na 200 tys. rubli, a Grand znalazł się na skraju finansowej katastrofy.

Jednak ciągle był w Łodzi hotelem największym i najbardziej luksusowym. I znów zaczął przyciągać elitarnych gości. Podczas wizyt w Łodzi zatrzymywali się w nim politycy najwyższej rangi, m.in. premier Władysław Sikorski i prezydent Stanisław Wojciechowski, na którego cześć wydano w salach hotelowych wielki raut. Znów gościła tu elita artystyczna: Jan Kiepura, Hanka Ordonówna, Juliusz Osterwa, Stefan Jaracz, Kornel Makuszyński, Tadeusz Boy-Żeleński. Znów działało w Grandzie najbardziej reprezentacyjne kino w mieście, wyświetlające przeboje polskiej i światowej kinematografii: „Ben Hura”, „Damę Kameliową”, „Dzieje grzechu”, „Annę Kareninę” czy „Znachora”. Działał Teatr Kameralny z takimi gwiazdami, jak Junosza Stępowski czy ►

stanowiły mieszkania na wynajem dla bogatych ludzi interesu. Gdy zięć Hentschela, Ludwik Meyer, przejął po nim interesy, zaangażował znanego łódzkiego architekta Hilarego Majewskiego, by przebudował dom na hotel. Był rok 1888 – narodziny Grandu.

**W tamtych czasach to był świetny interes.** Do Łodzi przyjeżdżali kupcy z Europy i Azji, przemysłowcy, bankierzy, milionerzy. A Grand był hotelem największym i najbardziej nowoczesnym. Miał restaurację, kawiarnię, własny omnibus konny, powozy do wynajęcia, gazowe oświetlenie. Przyjazdy ważnych gości anonsowała lokalna prasa. Od początku było to miejsce prestiżowe. Już w roku otwarcia odbył się tu bal karnawałowy z inicjatywy klubu łódzkich milionerów.

Gdy w 1911 r. hotel przejęło Towarzystwo Akcyjne, budynek został rozbudowany, wprowadzono elektryczne oświetlenie, nadbudowano kolejne piętra, wnętrza zyskały bogate sztuki, a Sala Malinowa – marmurową fontannę, sufit wykończony płytami ze szkła i gabinety do dyskretnych spotkań. Wszystkie pokoje wyposażono w instalacje sanitarne, telefony i specjalne urządzenia sygnalizacyjne do wzywania służby. Do dyspozycji gości przeznaczono także dwie windy. Pod względem luksusu Grand ustępował jedynie warszawskiemu Bristolowi. Nawet powietrze tu ozonowano, co w zadymionej Łodzi nie było bez znaczenia.

► Irena Solska. Wróciły wystawy plastyczne i koncerty, a od 1919 r. organizowano w Grandzie pokazy mody. Co roku prezentowała tu swoje kolekcje znana warszawska firma Hersego. Restauracja Malinowa była najdroższa w Łodzi, a dla jej gości grały orkiestry cygańskie i jazzbandy. Ale przez cały okres międzywojnia funkcjonowała tu także „czarna giełda”. „W cukierni, restauracji na ulicy, wszędzie rozbełgotany tłum chłystków – gołowąsów w getrach, sakach, borsalinach – rozpycha się, rozpiera i handluje walutą, manufakturą, bawełną i czym tylko można, a zwłaszcza czym nie można” – pisała łódzka prasa.

### Gdy we wrześniu 1939 r. wojska niemieckie wkroczyły do Polski, Grand Hotel przeznaczono na kwatery dowództwa 8. Armii Polowej. Cafe Grand zmieniło się w biuro jej dowódcy, a w Malinowej urządzono wojskowe kasyno. Gdy dowództwo 8. Armii opuściło Łódź, hotel został przejęty przez filię Głównego Urzędu Powierniczego Wschodu, powołanego do zarządzania polską i żydowską własnością na terenach okupowanych. W obsłudze hotelowej i restauracyjnej nadal pracowali zatrudnieni przed wojną Polacy. Udało im się ukryć w kanale grzewczym dwa kosze platerów, które dotrwały tam do 1945 r. Restauracja i hotel przeznaczone były wyłącznie dla gości niemieckich. Grand po raz pierwszy stracił wówczas swoją nazwę, przemianowany na Fremdenhof General Litzmann. Bywali tu m.in. Heinrich Himmler czy Hermann Göring. Podczas wizyt hitlerowskich dygnitarzy zwyczajowo aresztowano kilku polskich pracowników, których jako zakładników przewożono do więzienia. To miała być gwarancja bezpieczeństwa. Z powodu reglamentacji żywności restauracyjni goście musieli oddawać kupony żywnościowe na tłuszcze czy produkty zbożowe. Ale podczas przyjęć dla hitlerowskich elit do menu trafiały ostrygi, krewetki i żabie udka.

W nocy z 17 na 18 stycznia 1942 r. w hotelu wybuchł pożar, który zniszczył część dachu i uszkodził kilkadziesiąt pokoi. Jeśli chodzi o przyczynę – wersji jest kilka: ogień zaproszony od niedopałka, zwarcie w instalacji podsłuchowej zamontowanej na strychu, sabotaż. Ta wersja jest najbardziej prawdopodobna. Jego wykonawcą miał być Henryk Domeradski, znany lewicowy działacz socjalistyczny. To on, na polecenie swojej organizacji, miał podłożyć na strychu ładunek wybuchowy. Władze niemieckie przeprowadziły szybki remont, podczas którego Grand rozbudowano. A gdy w styczniu 1945 r. żołnierze radzieccy wchodzili do Grandu frontowymi drzwiami, ostatni Niemcy uciekali bocznymi schodami.

Polska załoga podczas tego zamieszania starała się chronić hotel przed szabrem, organizowała nocne dyżury i szykowała obiekt do normalnego funkcjonowania. Można powiedzieć, że Grand miał szczęście do ludzi. Ci, którzy tu pracowali, kochali to miejsce i często wiązali się z nim na całe życie. Legendarną postacią był recepcjonista Jan Zimniak, który zaczął tu pracę jeszcze przed wojną. Znał biegle cztery języki; przepracował w Grandzie 45 lat.

W porównaniu ze zrównaną z ziemią Warszawą Łódź wyszła z wojny w miarę obronną ręką. Dlatego przez pewien czas pełniła funkcję zastępczej stolicy. Przeniosły się tu agendy rządowe (w Grandzie urzędował przedstawiciel Rządu Tymczasowego Ignacy Loga-Sowiński), zarządy wielu organizacji, placówki kultury, redakcje gazet. Literaci, artyści, uczeni i dziennikarze zatrzymywali się w Grand Hotelu, czekając na przydział mieszkania. Gości witał portier w liberii ze złotymi galonami i windziarz – karzełek – Bułgar Janko. Dla tych, którzy mieli jeszcze w oczach powidoki Warszawy, Grand był obrazem wstrząsającej normalności. „Portier zaczął wydawać klucze, bagażowy ustawił walizki w windzie i pojechaliśmy na czwarte piętro – opisuje we wspomnieniach Leopold Marschak, który przyjechał z żoną do Łodzi, by objąć kierownictwo rządowej agencji PAP Polpress. – A tam – dywan bordo na całą długość

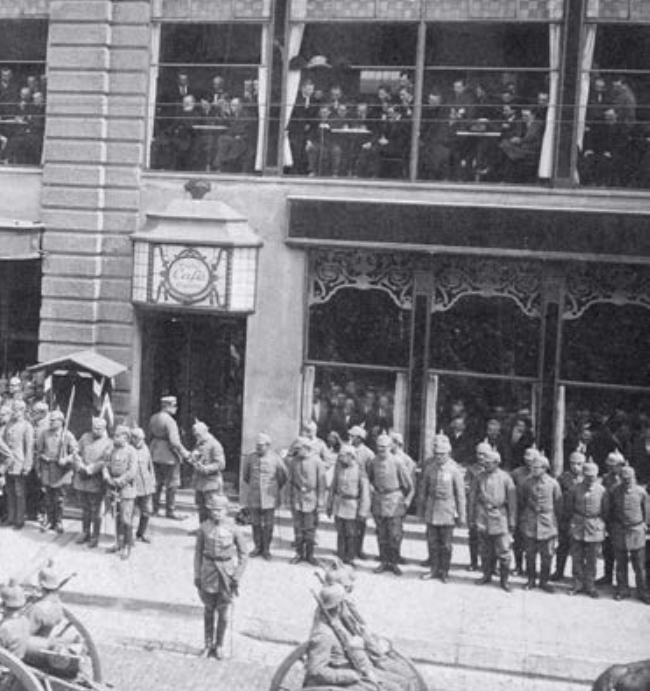


korytarza, zapastowana podłoga, błyszczące kłamki, jeszcze kilka kroków i otworzyliśmy drzwi do apartamentu: przedpokój i duża komnata, dwa tapczany, szafa, fotele, obrazy na ścianach, telefon na nocnym stoliku, w dolnej szufladzie leżą nawet szczotki do butów, a z korytarzyka – wejście do łazienki. (...) W łazience znajdowała się prawdziwa wanna, z której po odkręceniu kranu połała się gorąca woda, a kaloryfery grzały. Usiedliśmy w fotelach, nie zdejmując płaszczy, i tak siedzieliśmy, patrząc na siebie bez słowa: po warszawsko-praskich wrażeniach Łódź, żyjąca normalnym życiem, wydawała się nam jakby miastem z innej planety”.

**W Grandzie zatrzymywała się cała partyjna góra: Władysław Gomułka**, wówczas sekretarz generalny PPR, prezydent Bolesław Bierut czy premier Rządu Tymczasowego Edward Osóbka-Morawski. Przyjeżdżali także goście z zagranicy: Ilia Erenburg, Paul Éluard, Irena Joliot-Curie, córka Marii, wraz z mężem. A to oznaczało, że mimo powojennej biedy menu musiało trzymać poziom. Zachowała się karta dań z 1945 r., w której figurują takie pozycje, jak majonez z homara, chłodnik polski z rakami, łosoś z rusztu w sosie remoulade, filet sauté z truflami czy perliczka. Prawdziwy popis kunsztu dali kucharze Grandu podczas wizyty zespołu pieśni i tańca Armii Czerwonej pod kierunkiem Aleksandrowa. W Sali Malinowej wygaszono światła i wniesiono wielopiętrowy, misterny tort, podświetlony od wewnątrz. Niestety, gdy leciwy kierownik zespołu próbował go podnieść, tort wylądował na podłodze.

W Grandzie znalazło się także miejsce dla teatru Syrena Jerzego Jurandota. Dostał siedzibę w dawnej sali kinowej z balkonem, pięknym kasetonowym stropem i przegniłą posadzką, bo w czasie wojny przechowywano tu zapas kartofli. Trzon zespołu tworzyli m.in. Stefania Grodzieńska, Edward Dziewoński, Alina Janowska, Kazimierz Rudzki.

Gdy latem 1958 r. po raz pierwszy po wojnie przyjechał do kraju Jan Kiepura, zamieszkał właśnie w Grandzie. Wielotysięczny tłum zablokował wówczas Piotrkowską. A Kiepura – jak to Kiepura – ukazał się wielbicielem z balkonu, by odśpiewać „Ninon” i „Umarł Maciek, umarł...”. Gdy podczas wizyty w Polsce dowiedział się o tym Andrea Bocelli, także zaśpiewał z balkonu, ale nie wzbudził wielkiego entuzjazmu. Zamieszkał w słynnym apartamencie 205, gdzie zatrzymywał się zwykle Artur Rubinstein i jego rodzina. Lista słynnych gości hotelu jest długa – począwszy od radzieckich kosmonautów po Juliette Gréco i Paula Ankę.



Defilada wojska niemieckiego w 1916 r.

W 1950 r. upaństwowiony Grand przekazano Orbisowi. Wówczas – po raz drugi w historii – stracił swoją nazwę. Kojarzyła się zbyt reakcyjnie. Wróciła dopiero po październikowej odwilży. Remonty prowadzone przez kolejne dekady miały wprowadzić hotel w nowoczesność. Grand zyskał neon, windy wymieniono na szwedzkie z elektroniczną pamięcią, pokoje dostały nowe wyposażenie, zainstalowano w nich telewizory. Hotel nie był jeszcze wówczas wpisany na listę obiektów zabytkowych, więc w zapale unowocześniania zniszczono m.in. stylowy sufit z kryształowymi żyrandolami i marmurową fontannę z figurką chłopca. Nie ostały się także bogato rzeźbione obrótowe drzwi frontowe. W ramach unowocześniania w latach 70. programy rozrywkowe w Sali Malinowej wzbogacone zostały o striptz – premierowy wykonała tancerka o pseudonimie „Hari”.

**Bliskość Szkoły Filmowej i Wytworni Filmów Fabularnych sprawiła, że Grand wdał się w romans z kinem.** Zagrał m.in. w „Zaklętych rewirach” Janusza Majewskiego, „Vabanku” Juliusza Machulskiego, „Krollu” Władysława Pasikowskiego, a słynny apartament 205 Artura Rubinsteina stał się planem filmu Davida Lyncha „Inland empire”. Rano, przy śniadaniu w Cafe Grand, ozdobionej plakatami filmowymi, można było spotkać wszystkich świętych polskiego kina. A wieczorem popodglądać ich w Malinowej. „Przy atelierowych zdjęciach do »Bony« w Łodzi okazało się, że z jakiegoś powodu musimy popracować w weekend i nic nie wyjdzie z piątkowego wyjazdu do domów. Wieczorem postanowiliśmy się pocieszyć dobrą kolacją w legendarnej Sali Malinowej (...). Najpierw rozrzewniliśmy się, a potem dostaliśmy małego rozumu i ruszyliśmy na parkiet w skarpetkach! My dwaj tańczyliśmy ze sobą tango, jak Mroźek ze Szlachtyczem w moim »Rondzie«, a te skarpetki miały w naszym zamiarze obrazić łódzkich filistrów” – wspomina Janusz Majewski. Filmowcy kochali Grand, a Grand kochał filmowców. „Kiedy w beztrzęsio używania światowego życia zdarzało nam się przepućcać pensje w połowie miesiąca, zawsze można było pójść do Malinowej, zasiąść przy stoliku i otrzymać zamówienie na kredyt, parafowany przez pana Tadeusza. Kiedy przekraczaliśmy progi Malinowej, wszystko dookoła jaśniało. Ech, jakie to było rozkoszne, kiedy pan Tadzik, oberkelner, w nieskalanym smokingu z muchą witał nas rozłożonymi rękoma, błyskając wykrochmalonymi mankietami” – opowiada Jerzy Antczak.

Jan Machulski, który był inicjatorem słynnej Promenady Gwiazd na Piotrkowskiej, wymyślił także imienne apartamenty. Oprócz niego swoje pokoje w Grandzie mieli Krystyna Janda, Janusz Gajos, Beata Tyszkiewicz, Marek Kondrat, Daniel Olbrychski, Jerzy Stuhr, Wojciech Pszoniak. Można było je wynajmować i podziwiać zdjęcia z autografami, chyba że gwiazda gościła akurat w Łodzi.

Oprócz artystów i lokalnej elity Grand – zgodnie ze swoją przedwojenną tradycją – przyciągał także półświatka. Zaraz po wojnie byli to spekulanci, przemysłowcy i szabrownicy. Już w 1945 r. w Grand Cafe aresztowano kilkanaście osób podejrzanych o brylantowo-dewizowe przekręty. Później stałym elementem pejzażu były prostytutki i cinkciarze. W latach już wolnorynkowych codziennie w Grand Cafe przy porannej kawie i gazetach spotykała się grupka mężczyzn. Sprawiali wrażenie taksówkarzy szykujących się do porannego kursu. Pewnego dnia zniknęli. I to się dziwnie zbiegło z aresztowaniami wśród łódzkiej „ośmiornicy”.

Niedługo po nich zniknęła słynna Grand Cafe. Najpierw dzierżawiła to miejsce restauracja sushi, a potem pierogarnia. Hotel popadał w finansowe tarapaty. To, co było luksusem w latach 70. i 80., spowszedniało. Grand ciągle miał spatynowany, przedwojenny urok, ale nadgryziony zakurzonym klimatem późnego Gierka. W 2008 r. Orbis sprzedał hotel firmie Holding Liwa, należącej do rodziny Likusów. Remont zaczął się w 2019 r. i właśnie dobiega końca.

**Likusowie to słynna hotelarska rodzina, która specjalizuje się w tym, że kupuje hotele legendy**

w stanie agonalnym i doprowadza do blasku. Zaczęli od słynnego krakowskiego hotelu Pod Różą, w którym mieszkali niegdyś Liszt i Balzac, a car Aleksander I nocował w drodze spod Austerlitz. W czasach PRL przeobrażono go na dom wycieczkowy z piętrowymi łózkami. Kolejny krakowski hotel Likusów – Stary – został zwycięzcą prestiżowego paryskiego konkursu na najlepszą architekturę wnętrza hotelowego w Europie. Inne nabytki rodziny to katowicki Monopol, gdzie odbyło się głośne wesele Jana Kiepurzy z Martą Eggerth, i Monopol wrocławski, w którym kręcono słynną scenę z „Popiołu i diamentu”, gdy Zbigniew Cybulski podpala kieliszki na barze.

Teraz czas na łódzki Grand. Podczas remontu warstwa po warstwie usuwano kolejne warstwy tynków, PRL-owskich boazerii, meblowniczek, farb olejnych, aż udało się odsłonić oryginalne fragmenty XIX-wiecznych sztukaterii i połączono je z minimalistycznym wystrojem. Na swoje miejsce wróci nie tylko Cafe Grand, ale także teatr. Wrócą imienne pokoje; oczywiście jeśli gwiazdy lub ich spadkobiercy wyrażą na to zgodę. Na wewnętrznych skrzydle zaplanowano tarasy z zielenią, których częścią miały być sale wystawiennicze w ogrodach, by – jak deklaruje Leszek Likus – Grand znów związać ze światem sztuki. Pomysł nie uzyskał jednak akceptacji Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków.

*– Konserwator zazwyczaj nie widzi, że coś się sypie. Jak się rozleci, wrzusza ramionami. A gdy ktoś coś z tym chce zrobić, zaczyna mieć obiekcje – ocenia Ryszard Bonisławski, miejski przewodnik, wieloletni dyrektor Centrum Informacji Turystycznej, prezes Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, autor licznych publikacji na temat historii miasta. – Gdy z fasady zdjęto płachty remontowe, łodzianie thumnie przychodzili ją oglądać i fotografować. My się cieszymy, że Grand wraca.*

JOANNA PODGÓRSKA

W tekście wykorzystałam m.in. książkę „Grand Hotel w Łodzi 1888–1988” autorstwa Kazimierza Badziaka, Leszka Olejnika i Bolesława Pełki oraz „Spacerownik. Łódź filmowa” Joanny Podolskiej i Jakuba Wiewiórskiego. Dziękuję także za pomoc Ryszardowi Bonisławskiemu.



na ekranie

## Za winy matek i ojców 4/6

**Różyczka 2**, reż. Jan Kidawa-Błoński, prod. Polska, 106 min

**G**łośny dramat społeczno-polityczny Jana Kidawy-Błońskiego oparty na biografii Pawła Jasienicy stał się 13 lat temu wielkim wydarzeniem m.in. z tego powodu, że stawiając ważne pytania natury ogólnoludzkiej – np. o granice etyki, zaangażowania politycznego, siłę miłości – niczego do końca nie dopowiadał. Widz sam musiał rozstrzygnąć, co kierowało żoną wybitnego intelektualisty i dysydenta, a zarazem kochanką esbeka donoszącą na męża, wspaniale zagrana przez **Magdalenę Boczar** (na zdjęciu z **Januszem Gajosem**). W sequele tych wahań brakuje. Są za to mocne odpowiedzi na trudne pytania, z czego nie sposób czynić zarzutów, gdyż takie przyjęto założenie. To, co wtedy dręczyło widzów, ma teraz znaleźć rozwiązanie. „Różyczki 2” nie należy więc dalej łączyć z postacią wybitnego historyka czy jego rodziną. Jest

to fikcja polityczna rozgrywająca się w czasie hipotetycznych wyborów prezydenckich we współczesnej Polsce rządzonej przez silną partię konserwatywną. Film próbuje zdiagnozować nastroje wyborcze oraz zachowania ludzi władzy w czasie nasilającej się kampanii. Kluczowym problemem jest kwestia deficytu prawdy w życiu publicznym. Odwieczny spór, jakie tajemnice można ujawnić, a do czego pod żadnym pozorem nie należy się przyznawać, bo natychmiast zostanie to wykorzystane przez spin doktorów, odpowiednio skomentowane przez posłuszne media i użyte przeciwko danemu człowiekowi, jego bliskim czy środowisku. Powraca też temat zbierania haków, teczek i manipulacji. Pytaniem przykuwającym największą uwagę wydaje się jednak odpowiedzialność pokolenia 40-, 50-latków za winy matek i ojców, w tym konkretnie przypadku mająca sondować gotowość mierzenia się ze „złym” pochodzeniem prominentnych polityków aspirujących do najwyższych urzędów w kraju. Czy Polacy zaakceptują (wybaczą) niewygodną, często bolesną przeszłość ukrytą lub pomijaną w życiorysach, pozwolą żyć w zgodzie ze sobą i zaczną rozmawiać o tym, co naprawdę istotne? „Różyczka 2” mogła ożywić przedwyborczą atmosferę w nieco inny sposób niż „Zielona granica”. Decyzją dystrybutora, który opóźnił o dwa tygodnie premierę, stało się inaczej.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

## Czy diabeł może być zbawiony 4/6

**Figurant**, reż. Robert Gliński, prod. Polska, 113 min

**C**zarno-biały dramat polityczny Roberta Glińskiego zręcznie łączący fabularną fikcję z dokumentem rozgrywa się w ponurych latach gomułkowskiego zamordyzmu i zajmuje się masowymi represjami wymierzonymi w wiernych i duchowieństwo oraz inwigilacją Karola Wojtyły prowadzoną wiele lat przez niesławny Departament IV. Schematyzmu ani stereotypowego ujęcia charakterystycznego dla kina historycznego prawicy tu nie ma. Ciekawa natomiast jest wnikliwa obserwacja życia wewnętrznego młodego człowieka, w dzieciństwie prawdopodobnie molestowanego albo bitego przez siostry zakonne, co skutecznie pozbawiło go sentymentu i złudzeń co do Kościoła. W działalność aparatu bezpieczeństwa angażuje się z przekonaniem. Uzdolnionemu artystycznie chłopakowi, nieprzeciętnie inteligentnemu, lecz w pewien sposób zablokowanemu emocjonalnie, zostaje przydzielone zadanie śledzenia i donoszenia na przyszłego papieża.



Film stara się odtworzyć jego zawiłą drogę uczuciowo-duchową – od braku skrupułów do wyrzutów sumienia – skojarzoną z figurą powrotu syna marnotrawnego. Tę przemianę naprawdę znakomicie uchwycił i uwiarygodnił grający główną rolę **Mateusz Więclawek**. Partnerująca mu Marianna Zydek jako najpierw ulegająca jego czarowi dziewczyna, a potem buntująca się przeciwko niemu żona również budzi uznanie. To najlepszy film Glińskiego od czasu „Cześć, Tereska”, na którego sukces w równym stopniu zapracował Andrzej Gołda, doświadczony scenarzysta m.in. Jana Holoubka.

JW



w galerii

## Blockbuster dla ubogich 3/6

**Picasso**, Muzeum Narodowe w Warszawie, do 14 stycznia 2024 r.

**W**yobraźmy sobie, że ktoś chce nam pokazać, jak wielkim aktorem jest Janusz Gajos. I włącza tylko „Czterech pancernych i psa”. Z tą wystawą jest podobnie. Jej tytuł obiecuje bardzo dużo. Żadnych

podtytułów, żadnych uzupełnień. Po prostu, krótko i dosadnie: „Picasso”. I im ktoś ma większe oczekiwania, wsparte biletem za 40 zł, tym większe rozczarowanie przeżyje. Po pierwsze, mamy do czynienia z dziełami powstałymi wyłącznie po 1945 r. A więc blisko pół wieku po artystycznym debiucie twórcy! Nawet śladu po czarodziejskich pracach z tzw. okresu błękitnego i różowego. Kompletnie nic z erupcji kubizmu, który współtworzył i który zapewnił mu miano geniusza. Wyłącznie prace z czasów, gdy właściwie już tylko bawił się sztuką, powiełał niektóre motywy, wygodnie moszcząc się na laurach. Młody Gajos jako filmowy Janek ledwie sygnalizuje swój talent, podobnie późny Picasso. Po drugie, na wystawie nie ma ani jednego obrazu wielkiego mistrza. Kogoś, kto jest znany już jako malarz, nie reprezentuje choćby najmniejsze płótno. Są za to wielkonakładowe grafiki i ilustracje książkowe, niemal wszystkie czarno-białe (do tych nielicznych kolorowych tłum zwiędzających Ignie jak szpilki do magnesu). No i trochę ceramiki, w większości dobrze nam znanej, bowiem



**Pablo Picasso**, litografia „Kobieta w fotelu nr 4”, 1949 r. Obok: ceramika „Corrida na białym tle”, 1948 r.

pochodzącej ze zbiorów muzeum i wielokrotnie już pokazywanej na wystawach. Stanisław Tym miał rację: „To jest miś na skale naszych możliwości”. Niestety.

PIOTR SARZYŃSKI

na scenie

## Zaklinanie pokoju 5/6

**Matki. Pieśń na czas wojny**, koncepcja i reż. Marta Górnicka, Fundacja Chór Kobiet w koprodukcji m.in. z Teatrem Powszechnym w Warszawie i Maxim Gorki Theater w Berlinie

**N**ajnowsze wcielenie projektu chóralnego Marty Górnickiej to mocna, poruszająca, perfekcyjnie skonstruowana i wykonana wypowiedź kobiet doświadczonych przez wojnę i dyktaturę. Jest ich 21, mają od 9 do 71 lat, pochodzą z Ukrainy, Białorusi i Polski. Motywem przewodnim jest tradycyjna ukraińska pieśń szczerdriwka, z którą wiosną gromada kobiet i dzieci obchodzi sąsiadów, życząc im szczęścia i pomyślności – odrodzenia po zimie. Odśpiewywana przez chór w kontekście wojny nabiera mocy zaklęcia. Miesza się z opowieściami uchodźczyń o tym, co zostawiły, co jest dla nich najważniejsze, o zderzeniu z nową rzeczywistością. Osobne miejsce w „Pieśni na czas wojny” ma gwałt, stosowany przez Rosjan jako broń masowego rażenia, i próba znalezienia głosu, by wypowiedzieć i rozbroić traumę. A również silne wrażenie pozostawia rozdzielone na głosy, skandowane chórem oraz wytupane, oskarżenie Europy, że robi zbyt mało, by powstrzymać dyktatorów: zaśłania się konwencjami, strachem przed przeniesieniem wojny na własny teren, ulega rosyjskiej propagandzie, od obrazów przemocy woli memy z kotkami. Spektakl jest międzynarodową koprodukcją, będzie pokazywany w całej Europie, z prestiżowym festiwalem w Awinionie włącznie, ma wszelkie walory, by zostać w pamięci i sercach widzów na długo, i zmienić myślenie. Oby szczerdriwka-zaklęcie zadziałała.



ANETA KYZIOŁ

## Opera o wybaczeniu 4/6

Wolfgang Amadeus Mozart, **Łaskawość Tytusa**, Opera Bałtycka w Gdańsku

**T**o okolicznościowe dzieło, które Mozart napisał na koronację cesarza Leopolda II na króla Czech. Musiało być więc peanem dla łaskawego władcy. Współcześni realizatorzy zwykle na takie tematy patrzą z nieufnością. Maja Kleczewska spojrziała od innej strony: a co, jeżeli władca naprawdę jest tym dobrym i łaskawym? Kropkę nad i postawiła już na uwerturze, pokazując nawiązanie do zamachu na prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, w którego roli występuje śpiewak odgrywający później rolę cesarza Tytusa. W I akcie mamy dobrego władcę oraz złą intrygantkę Vitellię, która również pragnie władzy, ale u boku Tytusa; gdy ten skłania się ku innym kobietom, ona, by się zemścić, podburza zakochanego w niej Sesta, by zorganizował zamach stanu. Zamach się nie udaje, ale pokazany jest tu niezmiernie sugestywnie jako napad zamaskowanych barbarzyńców. Niestety, II akt nie rozwija konsekwentnie pomysłu; zamiast tego widzimy banalne, znane z wielu inscenizacji przeniesienie akcji do domu starców, co przesuwa problem w inne obszary: czy wybaczać naprawdę można dopiero pod koniec życia? Nierówność inscenizacji rekompensuje świetna strona muzyczna: w drugiej obsadzie są znakomici Aleksander Kunach (Tytus), Aleksandra Orłowska (Vitellia) i Elżbieta Wróblewska (Sesto); pozostałe role także trzymają poziom, jak również orkiestra pod batutą Yaroslava Shemeta.



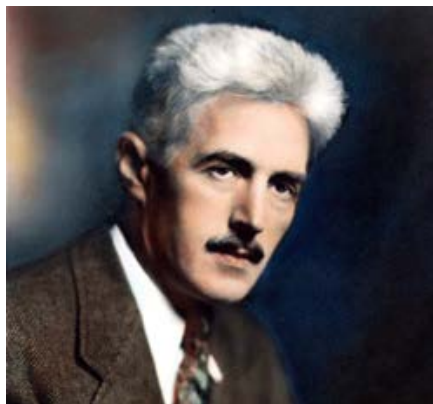
DOROTA SZWARCMAN

książki Fragmenty książek na stronie: [www.polityka.pl/czytelnia](http://www.polityka.pl/czytelnia)

## Esencja noir 6/6

Dashiell Hammett, **Sokół maltański**, przeł. Tomasz S. Gałązka, Art Rage, Warszawa 2023, s. 262

Zapewne „Sokół maltański” to jeden z tych tytułów, które są częściej oglądane – dzięki słynnej ekranizacji detektyw Sam Spade już zawsze będzie miał twarz Humphreya Bogarta – niż czytane. Nowy przekład Tomasza S. Gałązki daje szansę, żeby nadrobić zaległości, na dodatek pozwala w pełni docenić siłę i ironię pisarstwa Dashiella Hammetta, wywiadowcy agencji Pinkertona, który własne doświadczenia przekuł w gatunkową literaturę. Jego proza zmieniła reguły kryminalnej gry i na dobre zepchnęła Holmesów i Poirotów do lamusa, otwierając w zamian szeroko drzwi zgorzkniałym detektywom, cynicznym gliniarzom i manipulatorskim *femmes fatales*. Okazała się też nienaruszalnym fundamentem czarnego kryminału – to Hammett stworzył podstawę, na której później



Chandler, Gardner i Spillane budowali swoje błyskotliwe kariery. „Sokół maltański”, najważniejsze z dzieł Hammetta, to fabuła ograniczona do niezbędnego minimum: banalne z pozoru zlecenie zamienia się w gangsterskie porachunki i poszukiwanie tytułowej statuetki. Surowa esencja kryminału. Ważniejsze od eleganckiej dedukcji są tu twarde pięści i spryt ludzi, którzy w mrocznych zaułkach San Francisco czują się niepokonani. Żadnych stylistycznych fajerwerków i niepotrzebnych ozdobników, zostało tu i teraz, wręcz namacalna rzeczywistość i cedzone przez zęby dialogi. Oczywiście „Sokół maltański” czytany dziś może chwilami razić mizoginią i macyzowską wizją świata, lecz i tak trudno uwierzyć, że to tekst sprzed blisko stulecia, pełen energii, cynizmu i goryczy.

JAKUB DEMIAŃCZUK



## Tysiąc twarzy Babla 5/6

Aleksander Kaczorowski, **Babel. Człowiek bez losu**, Czarne, Wołowiec 2023, s. 328

Izaak Babel – rosyjski pisarz pochodzenia żydowskiego – brał udział w wojnie 1920 r., zrobił karierę w okresie przedwojennym, był świadkiem czystki 1937 r., zginął w 1940. Tak można w największym skrócie streścić jego życie, bardzo krótkie i burzliwe, przerwane egzekucją w radzieckim więzieniu. I choć wydaje się, że jest to opowieść o innej epoce, to Kaczorowski wnosi do niej nasze dzisiejsze dylematy. O Bablu wielu rzeczy nie wiemy i nigdy się nie dowiemy, bo sam określał się jako mistrz milczenia, zdając sobie sprawę, w jakich warunkach przyszło mu żyć. Kaczorowski dotarł jednak do nieprawdopodobnej ilości materiałów, zebrał teksty Babla i innych bliskich mu pisarzy, ich listy, niektóre wydobyte z archiwów więziennych, nigdy niewysłane, nawet wspomnienia ich dzieci, tak że powstaje pełna mozaika. Mozaika właśnie, bo autor pokazuje linie cięcia, jasno wytycza granicę między tym, co wiemy, a czego możemy się domyślać. Tak jest właśnie w dramatycznej kulminacji tej historii, gdy Babel trafia do więzienia, a autor oddaje głos wspomnieniom Meyerholda, reżysera, który w tym samym okresie był torturowany w tym samym więzieniu. Widzimy tu tysiąc twarzy Babla: młodego i aroganckiego, ale też ukrywającego swe żydowskie pochodzenie. Raz jest oddanym mężem, raz seryjnym kochankiem. Widzimy go, jak podąża z Armią Konną i sporządza skrótowe notatki, ale też jak bryluje (i w końcu drzy) na salonach Moskwy. Jest dobrze zarabiającym scenopisarzem, ale i zablokowanym pisarzem. Kaczorowski nie czuje potrzeby, by te obrazy uspójnić, wygładzać, szukać jakiegoś mocnego mianownika. Babel – jego bohater – służy mu także do przyglądania się rosyjskiemu światu i nagle okazuje się, że niewiele zmieniło się w jego porządku od 1920 r.

PAULINA MAŁOCHLEB



## Powrót do Fjällbacki 4/6

Camilla Läckberg, **Kukucze jajo**, przeł. Inga Sawicka, Czarna Owca, Warszawa 2023, s. 544

Po niezbyt udanych wypadach w innej stronie (cykl „Faye” o kobiecej zemście w wyższych sferach, a także cykl „Mentalista”, pisany wspólnie z Henrikiem Fexeusem) szwedzka autorka wraca do swojej rodzinnej miejscowości i cyklu o Ericie Falck, autorce książek o niewyjaśnionych sprawach kryminalnych, i jej mężu, policjancie Patriku Hedströmie. To właśnie

saga o Fjällbaccie przyniosła jej szeroką popularność. Nowy, już jedenasty tom jest napisany według stałego schematu: w miasteczku lub jego okolicy popełniona zostaje zbrodnia, która ma swoje korzenie w innej zbrodni sprzed lat lub przeżytej niegdyś traumie (w tekście są retrospekcje). Zbiegiem okoliczności polskie wydanie pojawiło się w momencie, gdy Nagrodę Nobla otrzymał skandynawski pisarz, tyle że z Norwegii; w książce to Szwed. Kiedy dzwoni do niego przedstawiciel Akademii Szwedzkiej, Henning Bauer właśnie szykuje się z żoną do obchodów złotego wesela. Jednocześnie ich dawny przyjaciel fotograf przygotowuje wystawę, która zdemaskuje niechlubną przeszłość. W kolejnych dniach ginie kilka osób. I tym razem Erica, szukając tropów pozornie w celu napisania nowej książki, wyprzedza męża i jego kolegów w rozwiązaniu zagadki. Czytelniczki (bo seria lubiana jest zwłaszcza przez kobiety) zapewne ucieszą się z powrotu do Fjällbacki i nie będą im przeszkadzać naciągane szczegóły, bo to jak z kawą na komisariacie w Tanumshede: jest gorzka i paskudna, ale swojska, więc tak musi być.

DOROTA SZWARCMAN



na płycie

## Wbrew metryce 5/6

The Rolling Stones, **Hackney Diamonds**, Polydor

**Z**eby pójść do przodu, trzeba się czasem cofnąć. „Hackney Diamonds”, pierwsza od 18 lat nowa płyta The Rolling Stones z autorskim repertuarem – i, od razu powiedzmy, najlepszy album tej grupy od co najmniej 40 lat! – nie powstałoby więc, gdyby nie opublikowane siedem lat temu „Blue&Lonesome” z coverami ulubionych szlagierów bluesowych. Album mniej znaczący, ale pozwalający muzykom w zaawansowanym na rock’n’rola wieku (Mick Jagger skończył już 80 lat, Keith Richards skończy osiemdziesiątkę w grudniu) raz jeszcze zaczerpnąć ze źródła dawnych inspiracji. Jest to zarazem swoisty powrót na stare śmieci. Pierwsza zapowiedź nowej płyty ukazała się w lokalnej „Hackney Gazette” londyńskiego Hackney (Stonesi przedstawili się jako zakład szklarski, obiecując „satysfakcję” ze swoich usług). W tej samej dzielnicy odbyła się pierwsza prezentacja singla „Angry” reprezentującego krótki rozdział z początku płyty: jedną z trzech piosenek napisanych z producentem młodszego pokolenia Andrew Wattem. Tu słysząc lekką presję rynkową, jednak warto



te kilkanaście minut przeczekać, by doczekać drugiego otwarcia – żywiłowego nawet jak na standardy Stonesów „Bite My Head Off” nagranych z Paulem McCartneyem na basie. Tu się zaczyna historyczny rozdział „Hackney Diamonds”, które okazuje się dopracowanym i imponującym zwieńczeniem kariery. Mamy więc wzruszające solo McCartneya, dalej pełen londyńskich retrospekcji tekst „Whole Wide World”, nawiązujący do tanecznego stylu Stonesów z lat 70. „Mess It Up” (jeden z dwóch utworów z perkusją nieżyjącego Charliego Wattsa, którego zastąpił Steve Jordan), a wreszcie „Live by the Sword”, swobodne boogie-woogie z Eltonem Johnem na fortepianie. Jest obowiązkowy fragment z Richardsem na wokalu („Tell Me Straight”), a na koniec zdumiewające „Sweet Sound of Heaven”, znany z singla, rozbudowany utwór nagrany z Lady Gagą i Steviem Wonderem. A potem jeszcze standard Muddy’ego Watersa „Rollin’ Stone” – to od niego wzięł nazwę zespół, który po 61 latach, jak wskazuje ten album, ciągle ma z grania sporo satysfakcji.

BARTEK CHACIŃSKI

na płycie

## Fortepianowy trans 5/6

Infinity. Adam Kośmiejca  
plays **Canto ostinato**, Warner

**W** tym roku obchodzimy stulecie urodzin Simeona ten Holta, kompozytora zmarłego 11 lat temu, który, żyjąc skromnie na holenderskiej prowincji, był jednym z najwybitniejszych twórców muzyki repetycyjnej (rodzaj minimalizmu, opiera się na powtarzaniu fraz), a jego dzieła zdobywały rangę kultowych. Najśłynniejszym jest powstałe w drugiej połowie lat 70. „Canto ostinato”, które w założeniu może być wykonywane przez czworo pianistów i trwać parę godzin, a nawet cały dzień. Utwór składa się z modułów, które można powtarzać dowolną ilość razy, zmieniając w nich poszczególne elementy i akcenty, by nie nużyć, a jednocześnie wprawiać w trans. Adam Kośmiejca, jeden z najlepszych dziś na polskim rynku wykonawców współczesnej muzyki fortepianowej, skondensował swoją wersję do 46 minut, ale za to nagrał wszystkie partie (dodając jako bonus dwa single). To muzyka, w którą można się pogрузić, jednocześnie śledząc migotliwość, jaką dają drobne, konsekwentne modyfikacje; czujemy się, jakbyśmy słuchali dźwiękowej wersji grafika rodaka kompozytora, M. C. Eschera.



DOROTA SZWARCMAN

festiwale

## Jazz od morza

Jazz Jantar, 20 października – 18 listopada  
Gdańsk, Klub Żak

**K**oncertы jesiennej, 26. edycji zlotowego gdańskiego festiwalu jazzu i muzyki improwizowanej rozłożone zostały na prawie miesiąc. Trudno o prosty wspólny mianownik stylistyczny dla gości Jazz Jantar, jak zwykle jednak dużo na tej imprezie premier. Wśród nich Myra Melford’s Fire And Water Quintet – kobiece składowe z instrumentalistkami, które



może nie spełniają kryteriów gwiazdorstwa, ale wybitności na pewno. Oraz Irreversible Entanglements – jeden z najmocniejszych głosów zespołowych w amerykańskim jazzie. Z całą pewnością duże zainteresowanie wywołają australijscy The Necks (po raz kolejny w Polsce, gdzie mają wierną publiczność), ale nie wolno przegapić mniej u nas znanej francusko-japońskiej formacji

PoİL Ueda, która została z nimi sparowana podczas tego samego wieczoru. To bardzo atrakcyjny w wydaniu koncertowym amalgamat psychodelicznego rocka, transowego jazzu i japońskiej tradycji, do której odwołuje się śpiewająca i grająca na biewie Junko Ueda. Wprawdzie w Polsce już grali, ale tym razem prezentują materiał z nowego albumu. Podobnie międzykulturowy charakter ma muzyka zespołu norweskiego gitarzysty Kima Myhra. Nowościami są też kierowana przez Kubę Więcką formacja Hoshii czy promujące debiutancką płytę polskie trio Ronnie N. A to dopiero początek długiej listy atrakcji.

BCH  
Szczegóły: [jazzjantar.pl](http://jazzjantar.pl)

# Śniąc o Warszawie

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Głośna powieść „Ślepnąc od świateł”  
**Jakuba Żulczyka** właśnie doczekała  
się kontynuacji. Warszawa nie  
jest już tak mroczna, ale świat się  
kończy, a bohaterowie miękną.  
Tylko narkotyki niezmiennie  
twarde.

**D**awno temu w Warszawie Jacek, główny bohater sensacyjnej powieści Jakuba Żulczyka, miał już dość dilowania i zapragnął zwać do Argentyny. Zerwać na chwilę nić łączącą go z przeszłością, Polską, gangsterami i prochami. W ostatnich scenach „Ślepnąc od świateł” musi się już tylko odprawić. Ale dzwoni telefon i krzyżuje mu plany. Pazina, jedyna osoba, której Jacek ufa, ma polecieć sama i słać mu pocztówki na dowód, że naprawdę da się żyć inaczej, jak normalni ludzie. „Dawno temu w Warszawie” ukazuje się prawie dziesięć lat później. I staje się jasne, że coś poszło nie tak. Przeszłość jest jak kula w nogi, a polska stolica wsysa człowieka i nie chce go wypuścić.

### Nie będziesz szło samo

Jakub Żulczyk wziął teraz większy rozmach i gdyby chciał uczciwie zekranizować drugą część cyklu, ekipa filmowa musiałaby polecieć na sam skraj świata, gdzieś pod Antarktydę, zahaczając po drodze o Buenos Aires. To już nie jest raptem „siedem dni z życia dilerów”, który zna na pamięć wszystkie warszawskie imprezownie-mordownie i co chwila wpada w tarapaty, ale raczej zdana na porażkę i obliczona na lata ucieczka i podróż ekspiacyjna. Jacek chce z przeszłością zerwać, tak to ujmijmy, definitywnie. Ale i to nie będzie proste.

Zaczynamy tę lekturę prawie tam, gdzie ją skończyliśmy. Z jakiegoś powodu to właśnie Jacek przemierza Amerykę Południową, pomieszkuje tu i tam, adoptuje psa i coraz sprawniej posługuje się hiszpańskim. Bogaci się na kryptowalutach trochę przypadkiem i bez entuzjazmu. Szuka końca świata, czyli sensu życia, a znajduje kłopoty. I nadal diluje. Do Polski wołają go z powrotem niewesołe rodzinne okoliczności (paradoks, że wcześniej z tego powodu nie mógł jej opuścić), ale nie obejdzie się bez komplikacji. To już nie jest bohater bez właściwości, wyprany z emocji, teraz kreuje się na bydlaka, ale i to mu niespecjalnie wychodzi.

Drogi Jacka i Paziny w międzyczasie się rozeszły i ona akurat na tym literackim rozwodzie najwięcej zyskuje. Pazina, czyli Marta Pazińska, harda, ale sfrustrowana, w poprzednim wcieleniu przede wszystkim naganiała klientów dilerom. Znajomości z półświatkiem się nie wypiera, nadal wie, co i jak w Warszawie piszczy, ale otworzyła w swoim życiu zgoła inny rozdział: prowadzi „hostel interwencyjny” dla młodych osób, które uciekają z domów, nierozumiane przez dorosłych, wykluczane, pomijane przez system. We wspólnej świetlicy powiewają tęczowe flagi, odwagi dodaje plakat z białą pięścią i znany ▶

POLITYKA nr 43 (3436), 18.10–24.10.2023

REKLAMA

 MUZEUM  
WARSZAWY

M  
O  
I

wystawa

12.10.2023

4.02.2024

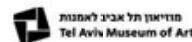
V  
E  
R

Rynek Starego Miasta 32  
muzeumwarszawy.pl

Organizator:



Współorganizatorzy:



Patroni medialni:

POLITYKA

FOTOGRAFIA

SZUM

VOGUE

► zapewnieniem, że „nigdy nie będą szli sami”. Słyszysz Pazina od swojej współpracownicy: „Wiesz, odkąd pamiętam, mówiło się dzieciaki teraz to, te dzieciaki teraz tamto. Ale... to jest jakaś wielka zbrodnia, Marta. Świat zastawił na nie pułapkę i nie chce ich wypuścić. Polub to, kup to, będziesz lepszy. Z drugiej strony świat się zaraz skończy, to apokalipsa. Czyli kupuj i umieraj, kupuj i umieraj”.

Na Azyl, bo tak to miejsce się nazywa, łypie wpływowy developep, świat dookoła generalnie jest mało przyjazny. A czasem wręcz złowrogi. Jeden z młodych podopiecznych znika bez śladu, brutalnie zakatowany w okolicy stołecznego Novotelu. Pazina poprzysięga zemstę. A Jacek ma własne krzywdy do wyrównania. To dwie osobne historie, które gdzieś się w końcu przetną.

## Małe apokalipsy

Ta klasyczna powieść sensacyjno-gangsterska ma bardzo aktualny wsad obyczajowy. Transpłciowe dzieciaki szukające zrozumienia i schronienia to nie jest, niestety, tylko literacka fikcja. Żulczyk wplata je w swoją opowieść, jakby chciał złapać w prozie istotny moment polskiej dyskusji i oddać przestrzeń bohaterom, których w polskich książkach tak wielu jeszcze nie ma (nie licząc zeszlórocznej powieści „Nigdy nie będziesz szło samo” Anouk Herman). Stosuje też chętnie żeńskie końcówki.

Podobnie autor uchwycił dziwny etap pandemii, przestoju, niepewności. Dla powieściowych dilerów to czas „złotych żniw”, ale i nowych reguł gry, nawet jeśli niektórzy z nich wątpią w istnienie wirusa. Warszawa pustoszeje, kluby zamykają podwoje, lockdown je wykańcza. Ale popyt na prochy nie spada. Ludzie ćpają na potęgę, dwa albo trzy razy więcej niż przed covidem, już nie tylko w weekendy, nie tylko w klubach, ale i w dzień, od samego rana; jarają, wciągają i polykają do śniadania, aby przetrzymać pracę zdalną, ciągną obecność dzieci, no i tego drugiego człowieka, z którym przecież wcale nie ma jakiegos zajebistego kontaktu. Nici umowy, że będziemy siedzieć ze sobą dwa cztery na dobę”.

Kiedy Jacek po latach tułaczki wraca do Warszawy, czuje się jak postać z innej epoki, nawet dilerzy są wymuskani. Znikają dawni klienci i starzy wyjadacze z „branży”, idzie nowe: „Pokolenie pruszkowskich, mokatowskich odchodziło w niebyt. Nie żyli, garowali, część została patocelebrytami, inni po prostu mieli jakieś firmy i spokojnie gnili na miazdźcy w pobudowanych pod Warszawą domach”.

Jakub Żulczyk w pewnym sensie okazał się prorokiem. Na kartach „Ślepnąc od światła” dało się wyczuć pomroki nadciągającej apokalipsy, zła, które ogarnia, obezwładnia i nie daje za wygraną. Pytania o jego naturę i życiowy determinizm wracają i tutaj. A pandemia to być może jeszcze jeden obiektywny dowód, że pędzimy ku samozagładzie. Covid, niewidzialny wróg i kontekst, świetnie puentuje daremny trud jakiegokolwiek walki. Podobnie jak globalne ocieplenie: „Po chorobie zostały dziwne pamiątki – małe dziurki zamiast niektórych wspomnień i słów, ślepe plamki w oczach, awarie smaku i węchu. I to poczucie przegranej, świadomość, że bokujemy powietrze. Jesteśmy wyznawcami kultu śmierci, wiemy, że wszyscy umrzmemy, może nie teraz, ale i tak szybko, w przegrzanych miastach, z wydzielaną wodą, z przerwami w dostawach prądu”.

## Mam tak samo jak ty

„Dawno temu w Warszawie” jest jak szalony rajd bez trzymanki, przeplatany filozoficznymi postojami („Rzeczywistość to gra. Istnieją tylko te miejsca, które są przystankami”), mordobicami i wspomnieniami „jakiegoś dzieciństwa”. Ludzi

trzyma w pionie nawyk, siła inercji albo – w najlepszym razie – wola przetrwania. I sentymenty za tym, co utracone. Biorą, żeby utrzymać się na powierzchni, nie wypaść z wyścigu, ale i z „łęku przed beczynnością”. Paradoks polega na tym, że umyka im to, co istotne, a w finale nie czeka ich za ten pęd żadna nagroda.

Ten mrok pomieszany z nostalgią byłby pewnie nadmiernie przytłaczający, gdyby nie realizm i język: żywy, obrazowy, mięsisty i dosadny. Dialogi to jedna z najmocniejszych stron obu powieściowych części Żulczyka i serialu na motywach części pierwszej, który okazał się przebojem stacji HBO. Brutalna proza dobrze się wkomponowała w teledyskową estetykę reżysera Krzysztofa Skoniecznego, ze wstawkami z polskim rapem (zwłaszcza PRO8L3M) i punk rockiem (grupa Siekiera). Część widzów dawkowała sobie (nomen omen) oglądanie „Ślepnąc od światła”, żeby zgrać się w czasie z głównym bohaterem i akcją toczącą się w okolicy świąt Bożego Narodzenia. Najbarwniejszą postacią był tu największy antagonista, Dario, „gangster, sadysta, morderca”, który wychodzi z więzienia i wyrównuje porachunki, kapitałnie zagrany przez Jana Frycza.

Warszawa to osobny bohater, w pierwszej części i w wersji serialowej sportretowana głównie nocą, mroczna, ale i kusząca. W drugim tomie mroku jest mniej, mniej knajpianego gwaru, więcej ciszy, zamiast oniryzmu (słynne sugestywne sny Jacka) dominuje raczej marazm. Jesienny entourage też nie dodaje Warszawie uroku. Trochę jak u Bułhakowa: w świetle dnia zło się zcaić nie musi, jest bezwstydne, a mimo to łatwe do przeoczenia. Żulczyk kiedyś stwierdził, że akcję powieści równie dobrze można by osadzić w dowolnym dużym mieście, ale chyba żadne inne nie zagrałoby tak dobrze. Stolica mami w sposób szczególnie i okrutnie pozbawia złudzeń. Pisz Żulczyk w drugim tomie: „Warszawa wymusza na tych, którzy się tu urodzili, swoisty fanatyzm, lęk przed przebywaniem na dłużej gdziekolwiek indziej. (...) Nie można po prostu mieszkać w Warszawie. Trzeba być jej żołnierzem. Iść prosto, karmić się niechęcią całej reszty Polski. Salutować. Napierdalać każdego, kto się pruje”.

Warszawa udanie odgrywa scenografię dla apokalipsy. W tym roku ukazał się też poświęcony jej zbiór felietonów „Mam tak samo jak ty” Doroty Masłowskiej, który w przedziwny sposób dobrze rezonuje z tą prozą Żulczyka. Masłowska w rozmowie z Grzegorzem Piątkiem na łamach Dwutygodnika mówi między innymi, że: „Warszawa nie może nie być inspirująca, bo jest miniaturą Polski, takim wyciągiem z Polski, ale też nie-Polską. Jednocześnie pisanie w Warszawie jest trudne, bo ciężko się tu wyabstrahować z tego pędu. Pracować z tym wszystkim za oknem, z tą całą presją zmiany i rozwoju, która jest fajna, ale okazuje się upiorna, kiedy masz tak rozciągniętą w czasie, medytacyjną rzecz do zrobienia. Ale wydaje mi się, że jeśli próbować złapać Polskę, to tutaj”. I oboje autorzy właśnie to na swój sposób robią.

U Żulczyka ta Polska-nie-Polska kończy się i zatracza, ale na gruzach coś może da się jeszcze zbudować. Koniec jest zwykle też początkiem. Radzi Kurtka, diler, ale dobroduszy: „Te komputery, co robią ten matrix, to kable im się palą z przeciążenia. Jest wojna, ale ty właściwej wojny to jeszcze nie widzisz, mordko. Ona się dopiero wykluwa. To dopiero początek, więc nie ma co się mazać. Trzeba jeść i żyć, i tyle”.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Jakub Żulczyk, **Dawno temu w Warszawie**, Świat Książki, Warszawa 2023, s. 800

# SŁUCHAJ PODCASTÓW „ZWIERCIADŁA”



**BĄDŹ DLA  
SIEBIE WAŻNA**  
Z PSYCHOŁOŻKĄ  
DR JOANNĄ HEIDTMAN rozmawia  
KAROLINA MOREŁOWSKA-SILUK



**ZDROWIE  
PSYCHICZNE**  
**Tvoja głowa  
w twoich rękach**  
ROZMOWY MONIKI STACHURY



**W CZUŁYM  
ZWIERCIADLE**  
CYKL MAŁGORZATY SERAFIN



**PRZERWA NA KAWĘ  
Z KASIĄ MILLER**  
CYKL JOANNY OLEKSZYK

Ruszył nasz cykl podcastów. Jakie tematy w nich poruszamy?

■ O tym jak w codzienności uwzględnić swoje potrzeby i pragnienia oraz dlaczego warto się tego nauczyć - dziennikarka **Karolina Morełowska -Siluk** rozmawia z psycholożką **dr Joanną Heidtman**.

■ O higienie emocjonalnej i zapobieganiu wypaleniu życiowemu rozmawia naczelna „Sensu” **Monika Stachura**. Jej gośćmi są specjaliści zdrowia psychicznego.

■ Alkohol. Pornografia. Zakupy. Hazard. **Małgorzata Serafin** zaprasza na najnowszą serię podcastów o uzależnieniach.

■ Redaktorka naczelna „Zwierciadła” **Joanna Olekszyk** zaprasza na przerwę na kawę z psychoterapeutką **Katarzyną Miller**. Czyli na serię spotkań poświęconych temu, jak dostrzegać pozytywy w życiu.

Naszych podcastów możecie słuchać na:  
Spotify, Apple Podcasts, Google Podcasts, YouTube,  
a także na [zwierciadlo.pl](http://zwierciadlo.pl).

**zwierciadło**  
PODCASTY



# Ożywianie Odrzan

Powojenna historia tych ziem jest odtrutką na polski romantyzm. To pozytywistyczne doświadczenie podźwignięcia ogromnej krainy, która nie była mlekiem i miodem płynąca – mówi **Zbigniew Rokita** o swojej nowej książce „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych”.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: – **Co to za kraina ta Odrzania?**

ZBIGNIEW ROKITA: – Kraina, którą długo nazywaliśmy Ziemią Odzyskanymi. Chciałem znaleźć słowo, które zastąpiłoby pojęcie Ziemi Odzyskanych, bo ma propagandowy rodowód. Obserwowałem reakcję Odrzan i Odrzanek na to hasło: o ile we Wrocławiu czy Szczecinie wielu Odrzania się podobała, o tyle w leżących daleko od Odry Gdańsku czy Olsztynie kręcono głowami. Ale to zabawa, moja książka jest podróżnicza, eseistyczno-reporterska, nazywam ją knajpianym poematem reporterskim, ma spory cudzysłów. Podróżuję po Odrzaniu, która jest kontrapunktem do Polski – Wiślanii, ziem, które należały już do naszego państwa przed wojną. „Odrzania” jest opowieścią o przyłączonych po wojnie do Polski ziemiach, ale nie kończy się na latach 40. czy 50., opowieść ciągnę aż do współczesności.

**Zbigniew Rokita**, (ur. w 1989 r.) – pisarz i dziennikarz. Autor m.in. książek reporterskich: „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku” (Wyd. Czarne), wyróżnionej Nagrodą Literacką Nike i przełożonej na język śląski, oraz „Królowie strzelców. Piłka w cieniu imperium”. Właśnie ukazała się w wydawnictwie Znak Literanova jego książka „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych”.

## Nie tylko tam, gdzie płynie Odra, ale też tam, gdzie istnieje poniemieckość? To jest trochę wytyczanie granic własnego świata?

Tak. Katowice, w których mieszkam, nie są ponemieckie, bo od 1922 r. już należały do Polski i w Polsce przeżyły Wielki Wybuch Odzyskanych, rok 1945. Ale na Odzyskane mam blisko – muszę wsiąść w tramwaj nr 7, przejechać parę przystanków. Ale Górny Śląsk jest odrębną całością, nie o nim napisałem tę książkę, tylko o ziemiach, na których nikt bądź prawie nikt po 1945 r. nie został. W Odrzaniu doszło do spektakularnego eksperymentu demograficznego, do przemienienia Niemiec w Polskę i próby skonstruowania nowego człowieka. Dowiedziałem się kilka dni temu, że w Bytomiu w 1930 r. powstała pierwsza wyższa szkoła na Górnym Śląsku, ale na budynku, w którym działała, nie ma dziś ani jednego upamiętnienia tego faktu. To „odrzański” dylemat: jak skonstruujemy swoją pamięć, czy dzieje naszych hajmatów zaczniemy liczyć od 1945 r. Czy wcześniej żyli tu na przykład Niemcy czy może bytomianie?

### To w Odrzaniu doszło najwcześniej do pojednania polsko-niemieckiego?

Na pewno na pograniczu polsko-niemieckim, wzdłuż Odry i Nysy, Polacy najwcześniej oswajali sobie masowo Niemców. Czwierć wieku po zakończeniu wojny Niemcy zaczęli milionami przyjeżdżać do Polski, żeby zobaczyć dawne kąty, a Polacy jeździli do Niemiec. Wówczas ten Niemiec stawał się bardziej realny. Trudniej sprzedać kit, że Niemiec jest „jakiś”, jeśli się go nieco zna. To nie znaczy, że zawsze się go lubi – sąsiada się czasem lubi, czasem nie – ale na ogół się wie, że nie chce nam zrobić wielkiej krzywdy. W Odrzaniu od lat 70. ludzie spoglądali Niemcom w twarz i zdawali sobie sprawę, że na ogół nie są rewizjonistami czy nazistami.

### Z perspektywy Odrzania to Wiślania wydaje się ciągle dominująca.

Wymyśliłem sobie termin „wiślanizacji”, żeby zwrócić uwagę, jak bardzo dominuje w Polsce zespół wyobrażeń, doświadczeń zaczerpnięty z tamtej strony mapy. Jasne, że wrocławianie czy szczecinianie są częścią tej samej wspólnoty narodowej co warszawiacy. Jeżeli myślimy o „polskich górach”, to zazwyczaj chodzi o Tatry. Jeśli o „polskiej rzecze”, to o Wiśle, a nie Odrze. Wśród lektur szkolnych próżno szukać jednej z wielu świetnych odrzańskich książek: od „Domu dziennego, domu nocnego” po „Krótką historię pewnego żartu” czy „Błaszany bębenek”. Odrzania się nieustannie wiślanizuje. Mówię o tym nie z żalem, ale żeby zwrócić uwagę na coś jeszcze: nie ma jednego obowiązującego

wariantu polskości. W różnych regionach polskości przeżywa się różnie, ja proponuję siatkę pojęciową, żeby zwrócić uwagę na fenomen dolnośląskości czy lubuskości. Dopuszczenie do polskiego imaginarium większej liczby wrażliwości i pamięci tylko je wzbogaci. Ja sam, będąc Ślązakiem i Polakiem, rozumiem, że moja polskość, tak jak ją przeżywam, różni się od polskości wielu ludzi z innych regionów.

### Pisze pan o renesansie, czyli o latach 90., o odkrywaniu tożsamości i różnorodności. Na przykład Zyta Oryszyn pisała o takiej nowej kulturze tworzonej przez osadników na Dolnym Śląsku. Dziś jest tego coraz więcej.

Kłaniam się wszystkim, którzy piszą o miejscach znacznie lepiej przebadanych, bo trudniej zachwycić opowieścią o Warszawie czy Krakowie niż o Gliwicach czy Legnicy. Grzegorzowi Piątkowi, bo napisał książkę o Warszawie, która mną poruszyła. Ale tak, remanent Odrzania i jej *odpamiętywania* ma się coraz lepiej. Głośno snuje się tę opowieść od 1989 r., gdyż wcześniej choćby losy kresowych przesiadleńców były cenzurowane – najpierw przemilczane, potem sprowadzone do folkloru jak w „Samych swoich”. Od 1989 r. wiele osób rozpoznaje ślady poprzedniej cywilizacji i zaczyna konstruować sobie swoje hajmaty. Te strumyczki czasem tworzą większą rzekę.

### Jak wyglądało to gwałtowne odkrywanie przeszłości na tych terenach w latach 90.?

Wiele osób odreagowywało peerelowską zgrzebną opowieść o wyłącznie polskiej przeszłości ich nowych władz małych ojczyzn: a było to ze strony władz PRL trudną sztuką, żeby pomijać 500–700 lat w dziejach miast czy sprowadzać je do niemieckiej okupacji. W latach 90. zaczęto na większą skalę rozpoznawać ślady poprzedników, Niemców, Żydów, choć często nie była to pogłębiona refleksja, raczej fascynacja tropami łatwiejszymi – przedwojennymi pocztówkami czy niemieckimi monetami, które wykopywano z piaskownic na wrocławskim starym mieście. Wszystko to było jednak ważne, gdyż przebijano barierę 1945 r. i na nowo konstruowano miejscową pamięć, łącząc elementy przedwojennego z powojennym. We Wrocławiu odpowiadało sobie np. na pytanie, czy w 2011 r. obchodzić 200-lecie założonego w Breslau uniwersytetu, czy może obchodzić rok 1945 jako początek uczelni? Wciąż trwa czas fundamentalnych pytań.

Później minęło kilkanaście lat, weszliśmy do Unii Europejskiej i mam wrażenie, że otwartość na uznanie, że z Breslau i Wrocławia powstał Bresław, jest ►

REKLAMA

Kraków

# EDWARD STEICHEN 1879–1973



Edward Steichen, *Modelki Claire Coulter oraz Avis Newcomb przy Piątej Alei 1200 w sukniach od Lanvin i Chanel, 1931*, Zbiory MNAHA w Luksemburgu. Copyright © 2023 The Estate of Edward Steichen / Artists Rights Society (ARS), New York

Wybrane fotografie  
z kolekcji MNAHA  
w Luksemburgu

14.10.2023–28.1.2024

MuFo Rakowicka  
ul. Rakowicka 22A  
mufo.krakow.pl

MuFo  
Museum Fotografi  
w Krakowie

LE GOUVERNEMENT  
DU GRAND-DUCHÉ DE LUXEMBOURG  
Ministère de la Culture

MNAHA Musée national  
d'archéologie, d'histoire et d'art

MUZEUUM FOTOGRAFII W KRAKOWIE -  
INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

► mniejsza – ale najtrudniej być historykiem teraźniejszości.

**W polityce historycznej, jaką się dziś uprawia, nie ma miejsca na niuanse, tylko na mocarstwową Polskę. To jest zagrożenie?**

Doświadczenie odrzańskie jest doświadczeniem pozytywistycznym: podziwianiem krainy, która – wbrew kolejnemu mitowi – nie była mlekiem i miodem płynąca. Była zniszczona: przemysł był zrujnowany, pola zamienowane, zwierzęta wybite, zagospodarowanie tej krainy i ściąganie osadników było spektakularnym sukcesem. Integracja całego kraju, odbudowywanie zniszczeń w sytuacji, gdy brakuje motywacji, bo nie wiesz, gdzie będziesz mieszkał za chwilę, to był sukces. Powojenna historia Odrzania jest dobrą odtrutką na polski romantyzm.

**Przesłość to pamięć i stąd trudność uzgadniania rozmaitych wersji. Dlatego zajmuje się pan też mitami, które narosły wokół tych ziem?**

Oczywiście jest ich wiele, pastwię się nad nimi, ale jednocześnie wcale nie twierdzą, że wszystko w pamięci trzeba demitologizować. Mity są często pozytywne, czasem nawet mamy ich za mało – brakuje choćby pozytywnego mitu 1989 r. Również wiele mitów odrzańskich z Ziemi Odzyskanych odegrało ważną rolę w powojniu czy w późniejszym PRL – mit piastowski czy odwiecznie polskiej krainy. Możemy się dzisiaj podśmiewać z naiwności ludzi, którym wystarczyło, żeby jakiś dziewiętnastowieczny polski poeta zjadł kaczkę w hotelu w Breslau, a już uznawano to za dowód polskości tego miejsca. Ale te opowieści były potrzebne ludziom, aby oswoić sobie nowe miejsca, często niebezpieczne i obce. I z czasem poczuć się nie jak zdobywcy, ale powracający, a może nawet spadkobiercy czy kontynuatorzy.

**Zatem z dzisiejszej perspektywy takie próby upamiętniania polskości na siłę okazują się próbą zakorzenienia?**

Tak, ludzie tego potrzebowali, a państwo i Kościół im to dawały. To był realny problem w krainie, gdzie mieszkało przed wojną blisko 10 mln ludzi i ogromna większość stamtąd uciekła albo została wypędzona. Państwo polskie stanęło przed ogromnym wyzwaniem. Przesiedlanie części polskiej ludności Kresów nie załatwiało sprawy, kolejne miliony trzeba było zachęcić. Większość osadników przyjechała tam dobrowolnie,

ludzie z Mazowsza, z Kielecczyny. Również dlatego mitologia odegrała ważną rolę. Zwłaszcza że w takich miejscach jak Szczecin udowodnienie polskości po wojnie było karkołomnym zadaniem.

Szczecin ostatni raz należał do Polski 800 lat wcześniej, a przed wojną zamieszkiwało go kilkuset Polaków.

**Czy „piastowskie ziemie” nie były jednak przede wszystkim propagandą?**

Tak, Piastów na większości nowo przyłączonych ziem nikt nie widział od setek lat, a gdyby ich ujrzeli, mógłby się zdziwić, bo nieraz nie byli wcale takimi polskimi patriotami, jakimi chciała ich widzieć propaganda. Bajka o jednym kraju z jednym narodem i pamięcią odbija się czkawką do dzisiaj. Jednak to, co się stało z Polską w trakcie wojny, było nieprawdopodobną zmianą – z jednego z najbardziej wielonarodowych i wielokulturowych krajów zmieniła się w jeden z najbardziej jednolitych, monoetnicznych na świecie. A pozostałe różnice przysypywano propagandą.

**Porównuje pan Odrzanie do Galicji, dlaczego?**

Żeby pokazać, że wcale nie jest mniej realna niż wiele innych wyobrażonych krain, które narodziły się w czyjejs głowie, a potem zaczęły żyć swoim życiem, bywało nawet, że ludzie oddawali za nie życie. Galicja została wynaleziona w XVIII w. przez Austriaków, została skonstruowana i się przyjęła. Dla mnie Odrzania jest ćwiczeniem intelektualnym. Pokazuje, jak wiele rzeczy jest umownych, również te krainy wyobrażone, które czasem awansują do rangi państw. Tożsamość odrzańską pomogła reforma województw. Wcześniej trudniej było poczuć się Dolnoślązakiem niż teraz, kiedy zamiast województw legnickiego czy wałbrzyskiego jest dolnośląskie.

**Pisze pan, że widząc np. w Brzegu typowy krajobraz – dom poniemiecki i puste pole, dziury w zabudowie, parkany – czuje się pan u siebie.**

Uspia mnie kojące piękno. W Odrzaniu zaś cały czas jestem bodźcowany. Ta przestrzeń jest niespokojna, rozedrgana i nie znam innej, która by tak dobrze opowiadała swoją własną historię. Mnie się długo wydawało, że spóźniłem się na historię tych miejsc, że wraz z drugą wojną światową one przeminęły i teraz to jest tylko proteza. Ale później to pokochałem. I ta książka jest również wyznaniem miłości

do przestrzeni Odzyskanych. Architektura jest najbardziej widzialną różnicą między Wiślaną a Odrzanią, cała reszta jest intuicyjna, rozproszona. Napisałem książkę literacką, w której nie zmyślam, jestem wierny sztuce reportażu, ale szukałem formuły, żeby opowiedzieć różno trudno weryfikowalne intuicje.

**To była pierwsza książka po nagrodzie Nike. Jak się ją pisało?**

Różnica między moimi dwiema ostatnimi książkami: „Kajś” i „Odrzania” jest taka, że „Kajś” pisałem z perspektywy od wewnątrz, jako Ślązak, a najbardziej interesowała mnie umowność tożsamości. Natomiast „Odrzanie” pisałem z zewnątrz, mniej interesowała mnie tożsamość, bardziej pamięć. Nagroda Nike dodała mi pewności siebie. Pomyślałem, że spróbuję przeprowadzić parę szarż i napisać to tak, jakbym tę historię komuś opowiadał w barze – nie zawsze szukając na siłę rozstrzygnięć, faszeringując opowieść anegdotami, pisząc o moich reporterskich porażkach i wątpliwościach. Odrzania jako kraina wymyka się binarnościami, tutaj na jedno pytanie może być wiele odpowiedzi.

**Pojechał pan aż do Namibii, stamtąd lepiej było widać Odrzanie?**

Długo sobie tę książkę wymyślałem, początkowo chciałem porównać różne rodzaje poniemieckości. Zebrałem materiały z Francji, Czech, Rosji, w końcu pojechałem do Namibii, byłej kolonii Cesarstwa Niemieckiego, i będąc tam, zdałem sobie sprawę, że fenomen Odrzania nie bierze się z poniemieckości, z nagłego zerwania, ale bierze się z twórczej syntezy, melanzu tego, co polskie i niemieckie. To ze zderzenia przed- i powojennego narodziła się swoista polskość: dolnośląskość, lubuskość czy jeszcze inne warianty polskości. Musiałem odjechać kilkanaście tysięcy kilometrów, żeby zobaczyć Odrzanie z drugiego końca mapy.

**Czy znalazł już pan kandydata na najpiękniejsze miasto Odrzania?**

Tak, w książce przytaczam napisany gdzieś na skrawku ranking moich ulubionych miast Odrzania: Gorzów, Zielona Góra, Słubfurt, ale bez pierwszego miejsca. Jeszcze całej Odrzania nie zjeździłem, rywalizacja jest zacięta. Poza tym wciąż nie wiem, czy Odrzania istnieje. Mogę sobie ją proklamować, ale nie wiem, czy ktoś poczuje się częścią tej krainy. Może się zdziwić i tak jak teraz, w spisie powszechnym pojawiło się przeszło 2 tys. wyznawców Latającego Potwora Spaghetti, tak za jakiś czas pojawią się Odrzanie. Byłbym zachwycony: tysiąc Odrzan na stulecie Odrzania.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA



# POSZERZAMY HORYZONTY



## Naukowe miesięczniki **POLITYKI**



# Twarze blade ze wstydu

„Czas krwawego księżyca” to jedno z najwspanialszych dzieł w dorobku Martina Scorsesego. Wymieniany w gronie oscarowych faworytów film potrzęsa sumieniami, przywołując wydarzenia, które biali Amerykanie wyparli ze świadomości.

JANUSZ WRÓBLEWSKI



**S**tany Zjednoczone mają wiele powodów, by odczuwać wstyd i skruchę. Jednak zbrodnie, o których mówi najnowszy film Scorsesego, nie mieszczą się w głowie. Rzecz dotyczy plemienia Osagów, pracowitej i pokojowo nastawionej społeczności zajmującej się od wieków polowaniami na bizona. Ich przodkowie zamieszkiwali obszar środkowej części kraju od Missouri, Kansas po Oklahomę aż do Gór Skalistych. Modlili się do Wah’ Kon-Taha – tajemniczej siły życiowej, która według nich przenikała słońce, księżyc, ziemię i gwiazdy. Siły milczącej i budzącej grozę, sprzyjającej na swój sposób przynajmniej

plemienia. Mężczyźni malowali twarze i nosili pióropusze. Kobiety na ramiona narzucały koc i farbowały pasmo włosów pośrodku głowy na czerwono, co miało symbolizować drogę, którą słońce odbywa po niebie. Z pogardą odnosili się do zdobywców cywilizacyjnych, uważając, że lasy i rzeki dają im wszystko, czego potrzebują. By zapobiec zagładzie, naród Osagów podpisał traktat z prezydentem Jeffersonem, oddając ponad 40 mln ha swoich ziem.

Na początku XX w. chciwi, cyniczni biali sąsiedzi – często pełniący funkcję prawnych opiekunów Indian – uknuli spisek, w wyniku którego Osagowie zaczęli

masowo ginąć. Film jest głosem przeciwko rasizmowi, bezduszości, okrucieństwu skrywanemu pod maską ogłady. Obnaża i oskarża system niesienia pomocy ludziom bezgranicznie ufającym swoim wrogom. To hołd złożony kulturze i cierpieniu rdzennych Amerykanów, którzy nigdy się z tej traumy nie podnieśli.

## Czarne złoto

Tempo zaskoczy niejednego fana twórczości autora „Wilka z Wall Street”. Lepiej nie spodziewać się lawiny dynamicznie montowanych scen. W trzyipółgodzinnym filmie Scorsesese wraca do klasycznego stylu, spowalnia narrację, pozwalając

Lily Gladstone i Leonardo DiCaprio jako bohaterowie morderczej rodzinnej sagi.



sobie na głębszy oddech, stosuje długie panoramy przedstawiające m.in. obyczaje i rytuały Indian, warunki, w jakich żyją, relacje, jakie ich łączą z białymi mieszkańcami. Niektóre ujęcia przypominają westerny z lat 50., inne – kadry z kina niemego. Jednak w miarę upływu czasu perspektywa mocno się zawęża, aby w finale skończyć na bliskich planach śledzących napięte twarze trójga protagonistów morderczej rodzinnej sagi, których grają Lily Gladstone oraz dwie legendy kina: Robert De Niro i Leonardo DiCaprio.

„Czas krwawego księżyca” trzyma się ściśle faktów opisanych przez Davida Granna, amerykańskiego reportażystę

i pisarza, w książce o tym samym tytule (właśnie wyszło jej wznowienie w przekładzie Piotra Grzegorzewskiego w W.A.B.). Na początku lat 70. XIX w. Osagowie zostali przesiedleni ze swoich ziem w stanie Kansas na bezwartościowy teren położony w miejscu przypominającym błotnistą pustynię w północno-wschodniej Oklahomie. Wegetacja w rezerwacie okazała się błogosławieństwem, odkąd w tym regionie wykryto największe złoża ropy naftowej w Stanach. Firmy zamierzające eksploatować czarne złoto miały obowiązek dzierżawić ziemię od Indian i uiszczać opłatę za prawa do korzystania z zasobów. Początkowo kwoty z dywidend nie przekraczały kilku dolarów, jednak z biegiem czasu, w miarę jak rosło wydobywanie, zyski sięgnęły setek, a potem tysięcy dolarów. W latach 20. XX w. – wtedy właśnie toczy się akcja filmu – majątek Osagów szacowano na ponad 30 mln, co w przeliczeniu na dzisiejsze wartości dałoby ponad 400 mln dol.

Niezbyt liczne plemię – mowa o trzech tysiącach figurujących w rejestrach – cieszyło się więc bogactwem budzącym zazdrość niemal wszystkich. W chwili opisywanej przez film członkowie plemienia byli uważani za najbogatszych ludzi na świecie. Gazety podgrzewały atmosferę uprzedzeń i nienawiści na tle rasowym – grzechu pierworodnego, na którym zbudowano Amerykę. Pisały o „plutokratkach z Osage” i „czerwonoskórych milionerach”, pyszniących się wielkimi rezydencjami, luksusowymi autami prowadzonymi przez białych szoferów, sprowadzonymi z Paryża nowinkami modowymi czy drogocenną biżuterią, na którą nie stać było przeciętnego obywatela. Wystawny styl życia Osagów kłuł w oczy i jawnie przeczył stereotypowym wyobrażeniom „dzikich” jako leniwych, żałosnych, tchórzliwych i rozpustnych istot niezastępujących zdaniem wielu na żadne przywileje.

### Plaga nagłych śmierci

Szczęśliwy los Osagów szybko obrócił się przeciwko nim. Do Oklahomy zaczęły ścigać tłumy kryminalistów oraz łowcy okazji. Najlepszym sposobem, by z dnia na dzień wejść w posiadanie bajecznej fortuny, okazało się odziedziczenie prawa do ziemi (nie wolno było nim handlować) poprzez stanie się pełnoprawnym członkiem indiańskiej wspólnoty. Poślubienie czystej krwi Indianki. Za najlepszą partię uważało się pannę młodą nieposiadającą wielu krewnych. Ci tylko niepotrzebnie komplikowaliby kwestie formalno-spadkowe. ▶

REKLAMA



# JAZZ JAMBOREE

27-29 PAŹDZIERNIKA 2023



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka”, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.



projekt współfinansuje miasto stołeczne Warszawa



zaKS  
sprzyjamy wyobraźni



STEINWAY & SONS.

Partnerzy medialni

POLITYKA

STRÖER

jazz forum

Jazzpress

Informacje i bilety:

[www.adamiakjazz.pl](http://www.adamiakjazz.pl)

► Ale i na to znalazły się sposoby, świadczące o tym, jak traktowano wówczas życie rdzennych Amerykanów. W okresie od wiosny 1921 r. do stycznia 1926 r. hrabstwo Osage dotknęła plaga nagłych śmierci. Na skutek potrącenia samochodem, podłożenia bomby, otrucia zginęły co najmniej 24 osoby, w tym kilka kobiet zamordowanych strzałem w tył głowy z broni kalibru 32 mm. Ofiar było jednak znacznie więcej. Autor książki David Grann na podstawie dokumentów odnalezionych w archiwum Fort Worth twierdzi, że bez wątplenia były ich setki. Podejrzane zgony oficjalnie tłumaczono nadmiernym spożyciem, zespołem wyniszczenia lub nieznanymi przyczynami. Prasa nazwała później te zabójstwa tak mrocznymi i okropnymi jak żadne inne w tamtym stuleciu, „najkrwawszymi rozdziałami w kryminalnej historii Ameryki”. Śledztwa prowadzone przez szeryfów nic nie wykazywały. Podob-

Okazało się, że w skandal zamieszani są też inni kongresmeni. Aby zapobiec dalszemu osłabieniu systemu sprawiedliwości, powołano 29-letniego urzędnika z zamiłowaniem do biurokracji J. Edgara Hoovera do stworzenia Federalnego Biura Śledczego mającego zapobiegać korupcji i bezprawiu w skali całego kraju. Aby udowodnić swoją przydatność, Hoover potrzebował spektakularnego sukcesu. Wyjaśnienie zbrodni w hrabstwie Osage przez agenta White'a i jego zespół idealnie się do tego nadawało. Stało się nieskazitelnym mitem założycielskim FBI, przyćmionym wkrótce przez kolejne akcje i równie szybko zapomnianym.

### Jak ojciec chrzestny

Reżysera mniej interesują frapujące zwroty śledztwa prowadzonego przez agentów odkrywających zbrodniczy spisek. Uwagę kieruje na sprawców i dramat

uznawany przez Indian za sprzymierzeńca Osagów. Ten, pod pozorem działalności dobroczynnej, budowania szkół i szpitali, za pomocą szantaży i skrytobójczych mordów realizuje swój makabryczny plan – niewiele się różniący od praktyki stosowanej przez amerykańskich pionierów. Władza i bogactwo za cenę ludobójstwa.

Scorsese (za miesiąc skończy 81 lat) zawsze miał skłonność do portretowania moralnie niejednoznacznych wyborów. Także i w tym, zrealizowanym dla platformy Apple TV, epickim obrazie pokazuje, na czym polega przywiązanie i ślepa lojalność wobec „złych” instynktów oraz jak się rodzi czyste szaleństwo. DiCaprio ujął to tak: „Martin jest tak niewiarygodnie dobry dlatego, że jest w stanie dostrzec człowieczeństwo nawet w najbardziej pokręconych, złowrogich postaciach, jakie można sobie wyobrazić”.

I faktycznie, na tym polega m.in. wielkość „Czasu krwawego księżycy”. Scorsese szeroko zarysowuje tło historyczne, lecz w centrum stawia moralne dylematy, kwestię sumienia. Wpędzony w pułapkę siostrzeniec miota się między lojalnością do wszechpotężnego szefa a więzami łączącymi go z żoną i dziećmi. DiCaprio fenomenalnie oddaje jego zagubienie, tłamszenie wyrzutów sumienia, niezaspokojoną chciwość. Trudno odgadnąć, co dzieje się w jego głowie, gdy systematycznie wstrzykuje chorej na cukrzycę żonie zabójcze dawki insuliny, patrząc jej prosto w oczy i okłamując co do swoich intencji. Ta relacja bliskich, ale obcych sobie ludzi wydaje się jeszcze bardziej patologiczna niż to, co pokazał Coppola w „Ojcu chrzestnym”, gdy wydawszy wyrok na rodzinę, Michael Corleone obejmuje żonę i zapewnia ją o swojej miłości.

Scorsese jest zresztą świadom tych porównań. Robi to celowo, nawiązując do znanych scen czy odnosząc się do własnych grzechów. Z wypchanymi policzkami i sztuczną szczęką DiCaprio wygląda jak Marlon Brando z pierwszej części trylogii Coppoli. Przewrotny jest też finał „Czasu krwawego księżycy”, w którym pojawia się sam reżyser odczytujący sądowy werdykt. Nie kto inny, tylko właśnie on jako filmowiec opowiadał się najczęściej w swojej twórczości po stronie różnej maści mafiosów, którzy nigdy nie wyrażali skruchy, bo zawsze imponowało im życie gangsterów. Tym razem nabiera dystansu do siebie, sięga nieco głębiej do historii Ameryki i staje po stronie jej rdzennych mieszkańców, których wypędzono, zamknięto w rezerwach, wybito, a o ich zagładzie szybko zapomniano.

JANUSZ WRÓBLEWSKI



W finałowej scenie pojawia się też sam reżyser, kończący niebawem 81 lat Martin Scorsese.

nie dochodzenia prokuratury generalnej. Dopiero gdy Departament Sprawiedliwości wysłał swoich agentów, część zagadek udało się rozwiązać.

Reportaż Granna jest poświęcony żmudnym, wieloletnim czynnościom podejmowanym przez baptystę Toma White'a, stróża prawa w starym stylu, weterana Texas Rangers, w celu wyjaśnienia fali zbrodni m.in. w miejscowościach Pawhuska oraz Fairfax na terytorium Osagów. Kontekst tej sprawy był jednak szerszy. Dochodzenie zbiegło się z głośną aferą zwaną Teapot Dome związaną z przekupstwem ówczesnego sekretarza spraw wewnętrznych Alberta Falla (chodziło o nielegalne wydanie zezwolenia na odwierty).

ofiar. DiCaprio gra jednego z naciągaczy, leniwego hazardzistę kochającego nade wszystko pieniądze i wygody. Po odbyciu służby wojskowej zatrudnia się jako kierowca i za namową swego wuja, każącego się nazywać „królem” (w tej roli wyjątkowo diaboliczny DeNiro), poznaje i poślubia jedną z milionerek z plemienia Osagów, Mollie Burkhart (tu wspomniana Lily Gladstone), której bliscy zaczynają nagle ginąć w tajemniczych okolicznościach. Ciało jej siostry – z kulą między oczami – zostaje wyłowione z rzeki. Kolejna siostra, kładąc się do łóżka we własnym domu, ginie w zamachu bombowym. Siostrzeniec nie od razu pojmuje rolę, jaką mu wyznaczył wuj, lokalny polityk i mason,

Nie pamiętam takiej polaryzacji – mówi **Krzysztof Wodiczko**, wybitny artysta wizualny, wprowadzający sztukę do przestrzeni publicznej. – Dlatego trzeba tworzyć przestrzeń dialogu, w której ludzie będą się wzajemnie słuchać.

# Głos z nieba

**JAKUB KNERA:** – **Od lat 70. realizuje pan projekty i instalacje w przestrzeni publicznej na całym świecie. Czy dziś, kiedy większość dyskusji przenosi się do internetu, można jeszcze nawiązać dialog?**

**KRZYSZTOF WODICZKO:** – Otacza nas kofonia głosów ludzi czy grup, które wzajemnie się przekrzykują. A sztuka polega na stworzeniu takich warunków, aby pomimo przeszkód i tego, jak trudna jest obecna dyskusja, przy wykorzystaniu magii mediów zainicjować proces, który pomoże ludziom się otworzyć, by opowiedzieć o tematach, które bardzo trudno wyrazić, a o których mało kto chce słuchać.

**Zazwyczaj poświęca pan uwagę marginalizowanym grupom mniejszościowym.**

Mówię przede wszystkim o ludziach i grupach, które najmniej się słyszy, o których większość ludzi wie najmniej, a może nawet nie jest zainteresowana, żeby wiedzieć. Trzeba znaleźć specjalne metody pracy i okoliczności, które umożliwią im zabranie głosu. Półtora roku temu w Krakowie we współpracy z MOCAK i różnymi organizacjami stworzyliśmy zespół ludzi, którzy mieli kontakt z tymi, których w Polsce wciąż mało ludzi chce słuchać: społecznością LGBTQ+. Trudnością był fakt, że robiliśmy to w pandemii, więc większość kontaktu odbywała się przez internet. Działaliśmy z pracownikami społecznymi czy aktywistami, którzy musieli najpierw zdobyć zaufanie swoich podopiecznych, aż w końcu zaczęliśmy rozmawiać. ▶

## **Krzysztof Wodiczko** (ur. 1943 r.)

– artysta wizualny, teoretyk sztuki, wykładowca Harvard Graduate School of Design, Wydziału Sztuki Mediów warszawskiej ASP i Waitzman School of Design na University of Pennsylvania w Filadelfii. Autor projekcji publicznych i prac medialnych angażujących społeczność miast. Laureat m.in. Hiroshima Art Prize, The György Kepes Fellowship Prize, Nagrody im. Katarzyny Kobro i medalu Gloria Artis.

► **Co sprawiło, że zainteresował się pan grupami zmarginalizowanymi?**

Trafiłem do Nowego Jorku w trudnym okresie, kiedy amerykańskie miasta były dżunglami kapitalizmu. Kiedy przyjechałem tam na początku lat 80., wcześniej mieszkając w Kanadzie, trudno było nie zauważyć sytuacji bezdomnych – ze względu na okrutną politykę prezydenta Reagana było ich wtedy w mieście niemal 100 tys. Podobnie jak w Wielkiej Brytanii za czasów Margaret Thatcher – następowała wtedy ogromna prywatyzacja, miasta rozwijały się kosztem wyrzucania ludzi na bruk, zamykano programy społeczne. Intensywność tego zjawiska w tamtych czasach była historyczna.

**Po rozmowach z bezdomnymi w Nowym Jorku w latach 80. zaprojektował pan „Pojazd dla bezdomnych”, którego użytkownik może się myć, gotować, spać i przechowywać zebrane butelki.**

Jego celem było zbliżenie się do problemów społecznych i praca z ludźmi, którzy są przetrwaniami, znalezienie wraz z nimi sposobów, aby te problemy wyartykułować w sferze publicznej. Pokazałem, jak z osoby bezdomnej mogą stać się operatorem-performerem-użytkownikiem, dzięki temu ludzie zobaczą człowieka, który operuje specjalnie zaprojektowanymi urządzeniami, a nie jedynie zaadaptowanym czy przechwyconym wózkiem do zakupów. Stworzyłem coś, co z jednej strony przypomina ten wózek, a z drugiej strony jest poważnym narzędziem, które tworzy z użytkownika aktora społecznego miasta. Na dodatek kogoś, kto wspomaga miasto w odzysku – jest elementem w ekologicznym procesie odsprzedaży szkła czy plastiku.

**Potem był „Rzecznik obcego”, „Egida” czy „Laska emigranta”, które wyglądały futurystycznie – wykorzystywały nowe technologie, by rozwiązywać problemy społeczne. Ta ostatnia przydałaby się i dzisiaj, chociażby w obliczu napływu do Polski migrantów z Ukrainy, ale też na granicy z Białorusią.**

Może i przypominały science fiction, jakąś wizję przyszłości, ale to wizja, która nie powinna nastąpić. Rozmowa jest trudna bez pośredniczącego obiektu między ludźmi – czy będzie to laska, pojazd czy pomnik z projekcją. Trzeba stworzyć coś, co pomoże osobie, której nikt nie chce wysłuchać, aby otworzyć dyskurs. Sztuka może być takim pośrednikiem.

**Najbardziej zasłynął pan jednak z projekcji wielkoformatowych na słynnych i symbolicznych obiektach w różnych krajach: Kopule Bomby**



Instalacja Krzysztofa Wodiczki „Wolność. Dialog naziemny”, Gdańsk 13 października 2023 r.

**Atomowej w Hiroszynie, Royal Bank Tower w Montrealu, Hauptbahnhof w Berlinie czy Grand Army Plaza w Nowym Jorku...**

Doszedłem do wniosku, że to samo, co z pojazdem czy laską, mogę zrobić z pomnikami, wykorzystując wideo i projekcje. Wybieram miejsca symboliczne, które pamiętają wiele wydarzeń – to zupełnie inna wypowiedź niż w internecie, bo projekcje wpisują się w ich dzieje jako fakt historyczny. Przestrzeń fizyczna i symboliczna jest tak samo ważna jak elektroniczna – razem funkcjonują w różnych sytuacjach. To były próby zaangażowania tych form symbolicznych we współczesne sytuacje – „nauczenia” ich, jak mają mówić za pomocą slajdów, obrazów, które organicznie wpisywały się w te formy.

**To było dosyć pionierskie działanie – wtedy technologie nie pozwalały na taki mapping obiektów jak dziś.**

W pewnym momencie pojawiły się projektor wideo na tyle silne, że można było rzucić z nich obraz na ogromne pomniki i budynki. Zaczęło się od tego, gdy w połowie lat 90. zostałem zaproszony na Festiwal Andrzeja Wajdy w Krakowie przez samego reżysera. Na rynku krakowskim pokazywał swoje filmy, używając nowych projektorów – postanowiłem więc porzucić te slajdowe, które wykorzystywałem wcześniej, i wymyśliłem projekcję na wieżę ratuszową. W ten sposób moje doświadczenia pracy z emigrantami i bezdomnymi połączyłem z wielkoformatowym medialnym przedsięwzięciem. Projekcja w Krakowie skupiała się wyłącznie na doświadczeniach nocnych mieszkańców miasta – tych, o których najmniej się wie, doświadczających przemocy, maltretowanych kobiet, osób z niepełnosprawnościami, osób o innej orientacji seksualnej czy uzależnionych od narkotyków. Zaczęli przemawiać przez wieżę, łącząc się z nią organicznie, cieleśnie, dzięki swoim doświadczeniom. Wyglądała jak

ludzka postać: hełm był niczym głowa, a do tego wyświetlałem na niej ręce i nagrania z wypowiedziami.

**Półtora roku temu wrócił pan do Krakowa z projektem „Niebo nad Krakowem. LGBT mówi”, w którym – za pomocą dronów latających nad rynkiem – oddał pan głos tej społeczności.**

Jeśli coś jest powiedziane z nieba, wymaga specjalnej uwagi. Wydawało mi się dość ważne, żeby mówić z góry, a trudno jest to robić bez specjalnej technologii. Ważny jest też sam gest patrzenia w niebo, ponadto jeśli pojawia się tam twarz i oczy, oznacza to, że jesteśmy oglądani.

Wykorzystanie drona to coraz bardziej banalna sprawa – te urządzenia śledzą, co się dzieje, i ukazują inną perspektywę, na co dzień niedostępną. Wzniesienie się, spojrzenie z dystansu było przedsięwzięciem oświeceniowym. Już Stanisław August Poniatowski leciał balonem, żeby dyskutować o Konstytucji 3 maja. Udokumentował to poemat „Balon” Adama Naruszewicza, w którym czytamy, jak ludzie stają się coraz mniejsi, różnica między panem a chłopem się zaciera i stajemy się sobie równi. Z drugiej strony drony przypominają prorocze stwory, które – podobnie jak osoby z laskami – są prorokami świata, którego nie powinno być.

**Drony wykorzystał pan także w swoim najnowszym projekcie „Wolność. Dialog naziemny” w Gdańsku, poświęconym rozbiciu społecznemu i życiu we własnych bankach.**

Chodziło mi tu o szczerą i otwartą zmianę się z trudnymi sprawami, znalezienie formy i ekspresji, aby o nich rozmawiać. Ale też stworzenie sytuacji, w której ludzie będą słuchać się wzajemnie, a nie tylko narzucać jedni drugim swoje poglądy albo wpadać w pułapki własnych uprzedzeń i skrótów myślowych. Tak jak w przypadku teatrów odgrywanych między partiami politycznymi, gdzie ludzie

nie słuchają jedni drugich, mimo że może mają wiele wspólnych trosk czy nadziei. To patologia dzisiejszych społeczeństw na całym świecie – nie pamiętam takiej polaryzacji w moim życiu. Zapraszam do studia ludzi o innych poglądach, ale chcę stworzyć warunki, w których będą się słuchać, a nie tylko przekrzykiwać jak w telewizyjnych debatach.

### Znamiennie, że praca pojawiła się tuż przed wyborami parlamentarnymi.

Zamiast tworzenia dyskusji na żywo, w tym samym czasie, postanowiłem nagrać wypowiedzi, które potem można przesłuchiwać i wprowadzać nowe przemyślenia. Celem było przedłużenie przetrzeni do myślenia.

Realizowałem podobny projekt trzy lata temu w Nowym Jorku. W „A House Divided...” brali udział ludzie, którzy głosowali na przeciwne partie polityczne w tej samej części Nowego Jorku, w Staten Island. Spotykali się w tym samym studiu, mieli więcej argumentów, dzięki czemu mieli szansę zrozumieć pozycję tzw. przeciwnika, który powinien być nie przeciwnikiem, ale interlokutorem czy adwersarzem.

Żyjemy w świecie antagonizmów, a powinniśmy żyć w świecie, w którym uznajemy cywilizacyjne ramy dyskusji i przestrzeni demokratycznej. Obecnie, także w Polsce, obie strony wzajemnie ich nie respektują.

### Brzmi utopijnie. Czy to w ogóle możliwe? Ciągłe mamy do czynienia z uprzedzeniem w stosunku do osób LGBTQ+, czy emigrantów – co przywołała znów debata wokół filmu „Zielona granica” Agnieszki Holland.

Przemiany kulturowe powodują trudności, szykanowanie czy odizolowanie takich grup.

Sytuacja dialogowa wymaga więcej elementów procesu, ale wydaje mi się, że dzięki pracy w sferze kultury ta sytuacja zaczyna się zmieniać. Niezależnie od tego, jak ciężka jest sytuacja środowisk LGBTQ+, coraz częściej odbywają się marsze, pojawiają się dyskusje, które wcześniej były nie do pomyślenia.

Nie dążę do stworzenia świata, gdzie wszyscy będą sobie równi, będą mieli taki sam dostęp do wszystkiego – to jedynie horyzont, w stronę którego należy zmierzać. Jego piękno polega na tym, że im bardziej do niego zmierzamy, tym bardziej się oddala. Gdy pojawiają się nowe problemy i coraz więcej ludzi o nich mówi, wydaje się, że idziemy do tyłu, ale tak naprawdę idziemy do przodu, bo wcześniej nie było miejsca na ich dyskutowanie.

Tak samo demokracja jest procesem ciągłego wyzwalania się, emancypacji

– pojawiają się nowe problemy, ale za każdym razem inny jest sposób ich rozwiązywania. Nawet tam, gdzie wydaje się, że wszystko jest w porządku, jeśli nie będziemy wykazywać nerwicy w szukaniu form tyranii, zaczniemy się cofać.

### Prace w dziedzinie kultury i sztuki mogą pomóc w ujawnianiu tych problemów i włączaniu ludzi w dyskusję?

Dzięki formie estetycznej łatwiej zbliżyć się do głosu czy doświadczenia. Wtedy

to jest częściowo rzeczywiste, częściowo fikcyjne – jak w sztuce, filmie czy teatrze – i wtedy ciężką, bolesną prawdę odbiera się inaczej niż bezpośredni przekaz: bez strachu i paniki. W tym widzę rolę sztuki i kultury: oferuje formy estetyczne, dzięki którym można przekazać rzeczy, na które często brakuje słów, na które nasz normalny sposób porozumiewania się nie wystarcza, zabija możliwość wejścia głębiej w coś, co – jak mówił Tadeusz Kantor – wisi na włosku.

ROZMAWIAŁ JAKUB KNERA

REKLAMA



Portret młodzieńca

7.10.2023 – 21.01.2024  
Zamek Królewski w Warszawie



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Departament Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Mecenas Partner Strategiczny

Sponsor Zamku

Partnerzy Jubileuszu

Partnerzy Zamku Królewskiego

Patroni medialni



# Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna  
**Kuby Wojewódzkiego**

5,61 mln widzów oglądało debatę wyborczą zorganizowaną przez TVP. To wielki sukces Michała Rachonia. Równie złe aktorstwo w „M jak miłość” ma o połowę mniejszą widownię.

Raper Mata został twarzą nowej platformy komunikacyjnej firmy Adidas pod hasłem „To co lokalne może być globalne”. Obok takich gwiazd, jak Zinédine Zidane czy David Beckham. Mnie to nie dziwi. Mata jako jedyny miał w liceum świadectwo z trzema paskami.

Jak wynika z raportu NIK, TVP wydała ponad 100 tys. zł na obsługę prawną procesu Samuela Pereiry z koncernem RASP. Ja uważam, że dobry komik wart jest każdej ceny.

Julia Kuczyńska, pseudonim Maffashion, rozstała się z narzeczonym Mateuszem o pseudonimie Blue Baby, który przeprosił byłego partnera Maffashion, Sebastiana Fabijańskiego, że źle o nim myślał. Jak wynika z tej informacji, tylko Sebastian nie ma pseudonimu.

Polsat szykuje show „Dagmara szuka męża”, którego bohaterką będzie Dagmara Kaźmierska z „Królowych życia” w TTV. Ciekawa zmiana. Trochę jak transfer Ronaldo do Legii, który był 50/50: oni chcieli, on nie.

Krzysztof Luft, członek Rady Programowej TVP, poskarżył się do KRRiT na pasek „Polacy stawiają na Prawo i Sprawiedliwość”, który ostatnio pojawił się w „Wiadomościach” blisko 30 razy. Już Marek

Hłasko to przewidział, pisząc: „Paseczek, krawacik, sznurowadełka”.

TVN nie pozostaje w tyle i szykuje nowy show, w którym grupa celebrytek wyjedzie za granicę, by spędzić dłuższy czas w dżungli. Ładny pomysł. Lubię oglądać ludzi w ich naturalnym środowisku.

Ponad 1,5 mln widzów śledzi w TVP1 nowe odcinki 30. sezonu „Ojca Mateusza”. Są to wyniki powyżej średniej stacji. Brawo. Wszystko to pokazuje, że nie ma złego sezonu na rower.

Film Mikołaja Konopskiego o mrocznych tajemnicach polskich youtuberów obejrzało już ponad 10 mln widzów. Porażka ma jedną przewagę nad sukcesem: dużo większą oglądalność.

Cudowne dziecko PiS Oskar Szafarowicz w natarciu: „Krystyna Janda stwierdziła z żalem, że popadła w narodową depresję, a jej choroba nosi nazwę Polska. Idealne podsumowanie elit III RP”. Oskar ma 22 lata. Podobno mózg ludzki jest w najlepszej kondycji, gdy mamy lat 18.

Stacja RMF FM rusza z sobotnią audycją „RMF FM w trasie”, której gospodarzami mają być muzycy. Pierwszą prowadzącą została Agnieszka Chylińska. Znakomity wybór. Ona dobrze rozumie, że raj składa się z tych rzeczy, za które trafia się do piekła.

Polsat wycofał z internetu odcinki kabaretu „Młodzi i Moralni”. Stacja tłumaczyła to kampanią wyborczą. TVN usunął z Playera odcinki programu „Kuba Wojewódzki” z oskarżeniami youtuberami. Nie tłumacząc czemu. Czasem wolne media podejmują szybkie decyzje.

Monika Olejnik zapytana, jakie jedno pytanie chciałaby zadać Jarosławowi Kaczyńskiemu, odpowiedziała: „Dlaczego pan tak gnębi kobiety?”. George Mallory zapytany kiedyś, dlaczego wspina się na Mount Everest, odpowiedział krótko: Bo jest.



**Ewa Kasprzyk** tradycyjnie szczerza i bezkompromisowa. Aktorka wyznała, że jej udział w filmie „365 dni” według Blanki Lipińskiej był opłacony niezłą kasą, bo wstyd kosztuje. Gdyby w innych branżach płacili za wstyd, polską reprezentację tworzyliby miliarderzy.

# Konwencja przyzwoitości



**K**iedy piszemy ten felieton, nie wiemy, w jakiej rzeczywistości obudzimy się 16 października. Nie mamy też pewności, czy Polska zostanie w Unii Europejskiej. Dlatego przypominamy o jednym z najważniejszych zwycięstw, jakie ostatnio odnieśliśmy jako społeczeństwo XXI w. A stało się to dzięki temu, że Polska jest częścią większej, europejskiej całości. W zależności od wyników wyborów nasza codzienność, ta domowa, będzie przewidywalna i bezpieczniejsza. Albo stanie się pieśnią przeszłości, anegdotą o chorych ambicjach zrównania płci i wzajemnego szacunku w związku, materiałem na memy o kobietach, którym zachciało się nietykalności.

„Babie trzeba przyłać, żeby jej się w głowie nie przewróciło”, „Weź no ją tam ustaw, bo za bardzo podskakuje”, „Co to za chłop, co nie przyłoży czasem żonie” – kto z nas nie usłyszał tych pokrzykiwań, kto nie był zmuszony do uśmiechnięcia się, że to niby takie zabawne? Skoro wuj na przyjęciu serwuje nam taki żart, nie można biedaka rozgniewać, przecież tak się stara być dowcipny. Że wuj nieszkodliwy? Mamy teorię opartą na prawdzie ludowej, która zaczyna się od słów „czym skorupka za młodu...”. Przemocowe teksty są jak niewidzialne ciosy, ranią tym skuteczniej, że bywają poparte czynami. Nawet jeśli wuj nie bije ciotki, to nie znaczy, że ojciec nie tłucze matki. Silniejszy znęca się nad słabszym, z takim przekazem wzrasta duża część społeczeństwa.

To nie tylko polska specyfika. Co trzecia kobieta w Unii Europejskiej podlega przemocy, najczęściej ze strony partnera (według danych Rady Europejskiej z połowy 2023 r.). Co druga kobieta doświadczyła molestowania seksualnego. To też forma dominacji, naruszania granic drugiego człowieka. Oznacza to, że jeśli spotykamy się w gronie sześciu koleżanek, co najmniej dwie z nas są bite, łzone lub podlegają innemu rodzajowi przemocy, najczęściej w tzw. domowym zaciszu. A połowa z nas jest molestowana seksualnie, na ulicy, w pracy, w uczelni, w domu, w internecie. Nas obie, i Sylwię, i Grażynę, spotkało molestowanie, i to nie raz.

Bywa i tak, że to kobiety upokarzają mężczyzn. Skala tego procederu jest mniejsza, co nie niweluje winy tych, które są sprawczyniami przemocy. Na szczęście na wszelkiej maści przemocowców jest już bat. 1 października w krajach Unii weszły w życie przepisy konwencji stambulskiej. To oznacza, że żarty się skończyły. Osoby, które dotknęła przemoc, mają za sobą prawo. A Polska zobowiązana jest podejść do tematu poważnie. Musi gromadzić informacje na temat skali przemocy, edukować, zapobiegać jej, a przede wszystkim skutecznie karać sprawców. Na państwo, które tego nie robi, jest paragraf, i to nie słynny paragraf 22, tylko porządny art. 258, na podstawie którego Komisja Europejska może rozpocząć postępowanie naruszeniowe.

2 października obchodziliśmy Międzynarodowy Dzień bez Przemocy. Minęło niezauważone, utonęło w powodzi politycznego śmiecia. A to ważna data, zapamiętajmy ją, niech przenika do zbiorowej świadomości, zamiast podsztych chorym podziwem tekstów o „damskich bokserach”. Warto przeczytać najnowszą książkę Sylwii Spurek „Nasza Konwencja”, w której przytacza nie tylko prawne aspekty, ale i liczne przykłady tego, że mądra polityka może zmienić społeczne podejście do problemu.

**C**zas, żeby osoby, które zmagają się z przemocą, zrozumiały, że teraz stoi za nimi prawo. Może odważą się przeciwstawić katowi, doprowadzić go przed sąd, mając pewność, że zostanie ukarany. To jest trudne, zwłaszcza w małych miejscowościach, gdzie wszyscy wszystko wiedzą, ale nie zawsze pomogą. W dużych miastach podobnie, choć krzyki i kłótnie słychać przez ściany. Ile jest osób, które zadzwonią po pomoc?

Ale bywa i odwrotnie. W końcu kobiety solidaryzują się ze sobą od wieków, czego ślady znajdziemy w polskich powieściach obyczajowych. Jedną z najciekawszych postaci w „Chłopach” Władysława Reymonta jest Hanka. Jej relacja z Jagną to kwintesencja siostrzeństwa. Termin w polszczyźnie zapuszcza korzenie raptem od dekady, ale Reymont zdefiniował ten typ związku już sto lat temu, wprowadzając go do literatury. Aspekt siostrzeństwa, czyli kobiecej solidarności mimo wszystko, był ignorowany w interpretacjach utworu. Nie dostrzegano wielkiej inteligencji emocjonalnej Hanki, wciąż za mało zwraca się na to uwagę. Dziś, kiedy głos w przestrzeni publicznej zabierają również kobiety, to się może zmienić. A powieść Reymonta mogłaby nosić tytuł „Baby”, bo dużo w niej prawdy o kobietach, nie zawsze zresztą pięknej.

Wejście w życie konwencji stambulskiej jest tym ważniejsze, że na Słowacji wygrała niedawno populistyczna prawica, a blisko władzy znalazło się ugrupowanie faszystujące. Jeśli śmiesz nas pohukiwania z polskiej piwnicy o kobietach jako „dobytku mężczyzny”, to wyobraźmy sobie, co by było, gdyby te typy wyszły na światło dzienne i miały rządzić w Polsce. Swoją drogą mężczyzn, którzy wygłaszają takie dyrdymały, żadna normalna kobieta nie zechciałaby mieć w dobytku, nawet gdyby jej dopłacali.

Wejście w życie Konwencji Stambulskiej powinno być traktowane nie jako kolejny przykład politycznej przepychanki, ale wielkie zwycięstwo przyzwoitości. Świętujmy je, bądźmy świadome, świadomi, że przed przemocą, w tym domową, chronią nas od teraz międzynarodowe przepisy. A na matronkę Polek, które stają się coraz bardziej świadome swoich praw, weźmy na przykład literacką Hankę. Ta kobieta swoje przeszła, ale się nie załamała, i jeszcze pomogła Jagnie. Może jej postawa doda nam sił.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

# Nie róbmy tego, co zrobimy



Sąsiadka stała przed płótnem, na którym wisiały trzy kandydujące wizerunki. Stała niepotrzebnie tak blisko, nie było tam nic do czytania. Ona je studiowała. Jakby próbowała przedrzeć się przez maskę promocyjnej fotografii i wyczytać – w pomalowanym oku, krępująco odstającym uchu, maskowanej łysinie, uśmiechu ponad siły – jacy są naprawdę? po co im ta władza? jak jej użyją? Bardzo chciałem wiedzieć, czego szuka w ich twarzach. Ale od ciekawości silniejsza była obawa, że powie mi na kogo. I być może od tej chwili niemożliwa stanie się swobodna, publiczna rozmowa. Przystaniemy proponować sobie ten codzienny, uliczny aperitif zagadywani zdarzeniami, które zjawiają się przed naszymi – jakże różnymi – oczami. Jeszcze wczoraj przyjaźni sąsiedzi, a teraz ona w świecie Montekich; ja w barwy Capuletich ubrany bakałarz. Albo skończymy jak żałosne kopie Guildensterna i Rosenkrantza – kumple odcięci od siebie partyjnymi ostrzami „potężnych szermierzy”, pozbawieni przyjaźni przez polsko-polską wojnę, którą nie my wywołaliśmy i której sami nie zdołamy zakończyć. Ze strachu przed taką możliwością, szybko, chyba niezauważony przemknąłem za róg.

Tragedia „Romeo i Julia” jest na wskroś polityczna. Świat sztuki zastajemy podzielony beznadziejnie i ostatecznie. Szekspir nawet nie próbuje ludzić nas nadziejnie kompromisu między partiami Montekich i Capuletów. Idee i programy są nieważne, bo nienawiść zabetonowała strony w swoich poglądach. Zmiana sił może nastąpić tylko przez wzajemne unicestwienie. I jakby tej bezradności było mało, autor wymyślił bohaterów, którzy nie mają żadnego wpływu na politykę. Nie mają prawa głosu. Mimo to kazał im przekonać nas, że nieważne, jak zagłosujemy, zrobimy źle. Ponieważ pozwoliliśmy zamienić nasze ludzkie imiona na nazwy partii. Bohaterowie odkryją to zaraz na początku sztuki.

Julia: „Co to Monteki? Nie jest przecież ręką, twarzą ni żadną częścią ciała ludzkiego. O, weź sobie inne imię!”.

Romeo: „Kim jestem, tego nie umiem określić imieniem. Me imię, święta, jest mi nienawistne, gdyż jest twym wrogiem. Gdybym je na karcie miał wypisane, podarłbym to słowo” (przeł. M. Słomczyński).

Podarta karta do głosowania przez nastolatka, który do głosowania nie ma prawa, oznacza jego niewczesną niezgodę na świat, jaki im dziś gotujemy. Tymczasem oni już wiedzą, że będą płacić za szaleństwa dorosłych i starców. Szekspir oraz życie przestrzegają, żeby nie ufać w naturalną mądrość późnego wieku. To szkodliwa fikcja. Jak się kończy, widać w zakończeniu jego największych sztuk o politycznym wykorzystywaniu młodych przez starców: Romeo i Julii, Hamlecie i Królu Lirze. Starość jest tam niecierpliwa, namiętna, gniewna, zazdrosna i mściwa. Nie wolno zostawiać przyszłości w jej rękach.

Młodzież nie powinna czekać na prawo głosu, żeby mówić publicznie o swojej przyszłości. Ma do tego więk-

sze prawo moralne niż my, którzy nie poniesiemy spraw publicznych w swoich rękach równie długo. W dodatku realizm naszych porażek sprawia, że na największe proble-

my reagujemy w najlepszym razie rozsądnym pragmatyzmem podszytym melancholią. „Tak to jest na tym świecie” – wzdychamy. A tu potrzeba żarliwego buntu przeciw urzędzeniu świata. Buntu, który wybucha w obliczu odkrytej po raz pierwszy niesprawiedliwości; bezwarunkowego idealizmu, który rozkwita wraz z przeżywaną pierwszą miłością, dowodząc dwojgu ludziom, że żadna granica nie jest niewzruszona, żadna nienawiść ostateczna. Śmieszność tych słów, kiedy pisane są przeze mnie, zmienia się w poruszającą powagę, gdy wypowiada je młodość.

W 1577 r. blisko osiemnastoletni Etienne de La Boétie opublikował niewielką książeczkę pt.: „Rozprawa o dobrowolnej niewoli” (przeł. K. Matuszewski). Wstrząśnięty rzeczywistością wokół siebie, nie może pojąć, że tak chętnie wyrzekamy się wolności; „że tylu ludzi – tyle miast i miasteczek, tyle narodów – toleruje tyrana, który ma tylko tyle siły, ile od nich dostanie, który może ich krzywdzić tylko w takiej mierze, w jakiej godzą się oni to znosić, i który nie mógłby im wyrządzić żadnego zła, gdyby nie woleli oni raczej wszystko ścierpieć, niż mu się przeciwstawić”. Dzieje się tak – dochodzi do wniosku Boétie – ponieważ wolność zamieniamy na korzyści. Czynią tak nie tylko zwolennicy tyrana, ale także ci, którzy na niego w cichości pomstują, a naprawdę korzystają z jego władzy.

„Ma przewagę tylko w zakresie środków, jakich mu dostarczacie, aby was niszczył. Skąd bierze on oczy, które was śpiegują, jeśli nie od was? (...) Czy ma nad wami władzę, która nie pochodziłaby od was? Jakże ośmieliłby się was zaatakować, gdyby nie miał na to waszego przyzwolenia? Jakież zło mógłby wam wyrządzić, gdybyście nie byli kompanami lotra, który was łupi, współnikami mordercy, który na was dybie, zdrajcami siebie samych?”.

Profetyczny geniusz Boétiego, mimo gniewnego ataku na tyranię, nie wzywa do obalenia siłą autokratycznych rządów. „Postanówcie więcej mu nie służyć, a będziecie wolni. Nie proszę was, abyście go przegnali lub przeciw niemu wystąpili, ale tylko byście go już nie podtrzymywali. A wówczas zobaczycie, jak ów kolos, którego pozbawiono fundamentu, zacznie tracić równowagę, a wreszcie runie”.

A potem? Potem „Umówmy się na Polskę”. Autorzy tej najważniejszej książki o polskiej polityce od 1989 r. twierdzą to, co Szekspir, ale bez tragedii. Niezbędny jest nowy „okrągły stół”, aby rówieśnicy Julii i rówieśniczki Romea nie dochodzili do prawa głosu tylko po to, aby brać udział w niekończącej się partyjnej wojnie. Gdyby jednak cud się nie ziścił, jak to z cudami bywa, pozostaje nam dobra rada błyskotliwego nastolatka, że „książki i myślenie bardziej niż cokolwiek innego uzbrajają ludzi w godność i nienawiść tyranii”.

RYSZARD KOZIOŁEK



# Jak tam u Państwa?

**N**o?... No i?... No i jak u Państwa? Ten felieton dobiega z zamierzchłej przeszłości. Z dawno minionego tygodnia.

Tu się jeszcze nie zaczęła ta druga wojna. Tu jeszcze nie słycać wieści z Izraela. Nie przychodzą zdjęcia ofiar. Emocjonują nas lokalne debaty, oświadczenia, wewnętrzne sondaże. (Ciekawe, czy Państwo w ogóle pamiętają jakieś wewnętrzne sondaże). Tutaj trwają narady, jak postąpić z kartą do referendum i co powiedzieć komisji. Pchać się do Sulejówka, czy może lepiej oddać głos na lokalnej pływalni „Tatarak”. (No właśnie, warto?).

Państwo już to mają za sobą. Państwo przetrwali finał kampanii, potem ciszę wyborczą, ogłoszenie rezultatów *exit poll* i nawet konferencje prasowe PKW. Bo przecież policzyli, prawda? A zagranicę? Czy policzyli zagranicę? Co jeszcze się wydarzyło?

Tam u Państwa już po bólu lub po balu. Po strachu lub po szkodzie. Po zawodach, po ptakach, po kłopotach. Czerwone paski ostygły. Wiadomości z kraju przestały być takie pilne. Internet już zna odpowiedź. Telewizja zna. Prasa codzienna podaje podział mandatów. Nawet tygodniki są na czasie. W każdym razie okładki coś przeczuwają. Pierwsze strony posiadły pewną wiedzę. Ostatnie – zwąchały pismo nosem. Tylko ten felieton na zawsze utknął w nieświadomości.

Pora wyciągać jesienne płaszcze. Czy Państwo też znajdują w kieszeniach pomięte chusteczki, wiosenne bilety tramwajowe, papierowe żonkile i żel antybakteryjny sprzed dwóch lat? A potem – któregoś dnia na początku zimy – czy zostawiają Państwo w kieszeni kolejny depozyt? Kilka matowych kasztanów, bilet, ulotkę, drobne monety, które do przyszłego roku już całkiem stracą na wartości. Kim będziemy wiosną?

Tam u Państwa pewnie już rozgościli się eksperci. Emerytowani trenerzy, piłkarze usunięci ze składu. Rozrysowali schematy. Wylczyli zmarnowane okazje w siódmej i osiemnastej minucie. Objasnili, że wszystko się rozstrzygnęło... No właśnie, kiedy? I jak?

Zazwyczaj nie wierzę w zwroty akcji. Rzeczywistość nie kombinuje. Bez zapału, ale spełnia przewidywania. Ale może tym razem wszystko potoczyło się inaczej? Może żyją Państwo w scenariuszu, na który tutaj, w poprzednim tygodniu, nie starcza nam wyobraźni? Albo nie starcza odwagi, żeby go nazwać.

Lato było słoneczne. Trzeba się było nawadniać. Latem każdy chodził z piciem w plastikowej butelce. Słońce przechodziło przez plastik, mieszało wodę, a potem rysowało cień rzucony, ciemną sylwetkę z połyskującym błękitnym odnóżem. Dużo płynów i dużo plastiku zużyliśmy w tym roku. Uczni znaleźli mikroplastik

w rzodkiewkach i w chmurach, a także na dnie jakiejś niedostępnej pieczonej.

U Państwa noce robią się chłodne. Niedługo temperatura spadnie poniżej progu. Ale spokoju nie ma. Pewnie już się zaczęły nocne narady. Ktokolwiek by wygrał, teraz trwa przewąchiwanie, obmacywanie, ugadywanie. Dziennikarze koczują przy wjeździe na parking. Kierowcy pykają e-fajki i próbują się ogrzać. Co jakiś czas włączają silniki, zakłócając spokój willowych dzielnic.

A przegrani? U nas nie mają pojęcia, że przegrali. Trzymają gardę. Dopiero u Państwa mogą ujawnić załegłe żale. Wszyscy, którzy milczeli w imię jedności, sprawy, przywództwa, wreszcie nie zaciskają zębów. Rozwiązują się języki. Sto kwiatów skacze sobie do gardeł. Ani triumfu, ani klęski nie dzieli się po równo.

Września w tym roku nie było. Sierpień kurczowo uczeplił się stanowiska. Już nie rządził, najwyżej administrował, wszystkie problemy zostawiając dla następców. Wyrzytykał się. Brakowało mu nowych pomysłów. – Więcej tego samego – mówił i dolewał słońca. Tydzień po tygodniu, dzień w dzień trzydzieści stopni. Oczy bolały od światła. Ogłupiałe kasztanowce zakwitły na nowo, jakby się szykowały na poprawkowy termin matur.

Dopiero październik miał nas uspokoić. O tej porze rok osiąga wiek przedemerytalny. Wreszcie ma trochę czasu. Już tak nie goni, niczego nie musi udowadniać. Wciąż jest w niezłej formie. Tygodnie jeszcze mu nie zszarzały, dni nie wyblakły od deszczu. Październik powinien przynosić rutynę. Spokojne piątki. Nudnawe weekendy. Czas na dojrzałą refleksję nad przyszłością naszej skołatanej wspólnoty. Ale chyba nie w tym roku.

A ludzie, którzy od ośmiu lat próbują nami rządzić? Nie ma takiej rzeczy, której nie zdecydowałiby się powiedzieć. Ale czy są rzeczy, których nie odważyli się zrobić? Państwo widzieli najnowszy odcinek: coś się wyjaśniło? Do czego się posunęli? Kto z nas przesadzał? Kto bagatelizował? Kto grzeszył optymizmem, a kto miał rację?

Więc jak u Państwa? Jak z Państwa poczuciem sprawczości? Jak z nadzieją? Proszę powiedzieć, czy Państwo już zaczynają się przyzwyczajać? Co nam wkrótce znormalnieje? Do czego tym razem zdołamy przywyknąć?

Cisza. Nikt nie spojleruje, nie podaje prawidłowych odpowiedzi. Nikt nie woła w studnię nieaktualnego felietonu. Cóż. List ten kończę. Przyszłość to niebezpieczna okolica. Proszę tam na siebie uważać. My wszyscy idziemy Państwa śladem. Ja też będę ścigał przyszły tydzień, kolejne wydanie, następny numer. A potem następny i następny. I nigdy nie dogonię.

MARCIN WICHA



## Z ringu

**H**ip, hip, hurra! Trudno nie skakać z radości, że – chyba już w ostatniej chwili – spod tego tępego pisowskiego sierpa uciekliśmy. Donald Tusk, z wykształcenia nauczyciel historii, a także sportowiec i polityk (jak sam o sobie mówi), udowodnił, że jakby stanął naprzeciwko Tysona i Muhammada Alego, to zmiotłby ich z ringu. Obu naraz.

Patrzyłem na tę powyborczą noc z podziwem, który mimo wszystko chwilami przeplatał się z niedowierzaniem. I wreszcie stało się to, co stać się musiało. „Som-dwiecpie” chyba po raz pierwszy w życiu zrozumiał, że siła prawdy jest oceanem, a bajeczki o Czerwonym Kapturku czy Królownie Śnieżce wyschniętą kałużą.

Na koniec kampanii wyborczej w tej kałuży wyta-plała się jeszcze Beata Szydło. Zamknijcie oczy, zaciśnijcie zęby i głosujcie na PiS. Co wam szkodzi, to tylko

cztery lata – rozpaczliwie wzywała była premier. Równie dobrze mogła mówić: Spójrzcie, jakie piękne muchomory tu rosną, zjedzcie chociaż kawałek, czego się obawiacie,

to wam da nowe życie. Potraktowała nas, wyborców, niczym chór nieprzytomnych lub zżeranych amnezją. Co zresztą świetnie wpisało się w całą pisowską kampanię.

A tymczasem w germańskim Wrocławiu jeszcze po przerwie rano stała kolejka do wyborczych urn. Przeważali młodzi – uśmiechnięci, z kocami, termosami i kawałkami pizzy w rękach, spędzali tę noc. Za 40 lat będą opowiadali wnukom, jak nie głosowali na PiS.

Prezydent Duda przemawiał następnego dnia po wyborach prosto z Rzymu. 16 godzin po zamknięciu urn – przypominę tylko, że w 2019 r. stało się to po 23 minutach. Właściwie nic nie powiedział. Pogratulował frekwencji, a potem „tym, którzy zwyciężyli”. Jakie decyzje podejmie, dowiemy się po ogłoszeniu oficjalnych wyników. Może jeszcze nie dopuszcza do siebie myśli, że opozycja może przejąć władzę. Zwłaszcza że Morawiecki z Kaczyńskim ogłosili „historyczne zwycięstwo”. Pewne jest, że lokator Pałacu Namiestnikowskiego będzie dotychczasowej opozycji podstawał nogę. A może nawet dwie, bo w cudowną przemianę nie wierzę.

Ciekawe, że z wizji kompletnie zniknął Zbigniew Ziobro. No, ale to człowiek z poczuciem humoru i bardzo się lubi bawić w chowanego. Podobno biega po lasach z wielką torbą białej kredy i zaznacza, które drzewa uda się jeszcze wyciąć, zanim władzę przejmie „ten leniwy Niemiec” Donald Tusk, bo jemu oczywiście lasów nie będzie chciało się wycinać. A wtedy Polska znacznie się gospodarczo staczać. Żarty żartami, ale teraz poważnie. Mam nadzieję, że Ziobro już nigdy nie dostanie szansy na dorzynanie trzeciej władzy, a wymiar sprawiedliwości przestanie być tarczą dla rządu. Amen.

Te tony politycznej – i nie tylko – popisowskiej zgnilizny, które będzie musiał przejąć nowy rząd, jeszcze długo będą nam psuć powietrze swoim smrodkiem, rozchodzącym się daleko poza granice Polski.

**A**Kaczyński nie zamilknie, to pewne. Już podczas wieczoru wyborczego straszyl napięciami i walką. Tym, że nie pozwoli, „by Polskę zdradzono, by straciła niepodległość i prawo do decydowania o własnym losie”. Ależ prezesie Kaczyński, po co aż takie słowa? Wszystkim wiadomo, że niepodległości nigdy pan nie pozwoliłby utracić, a kłamstwem i zdradą pan się brzydzi.

Ten felieton piszę jeszcze przed ogłoszeniem oficjalnych wyników wyborów, więc wiele może się jeszcze zdarzyć. Z reasumpcją włącznie... Nie, nie, nie dajmy się zwariować.

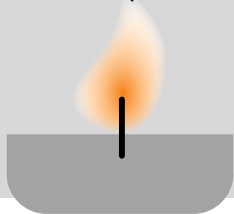
STANISŁAW TYM

### GALERIA POLITYKI / MAREK KWIATKOWSKI



## Uwaga, Czytelnicy!

Z uwagi na wypadający w tym roku w środę dzień Wszystkich Świętych następny numer **POLITYKI (44)** będzie dostępny na rynku o jeden dzień dłużej, a kolejny – czyli **numer 45**. – w wydaniu papierowym ukaże się w czwartek 2 listopada.



## Oświecenie w Warszawie

Serdecznie zapraszamy do Ursynowskiego Centrum Kultury „Alternatywy” na drugą edycję Festiwalu Nowe Oświecenie poświęconego namysłowi nad kondycją współczesności. Festiwal, któremu patronujemy, odbędzie się w dniach 21–28 października w Warszawie. Pytanie przewodnie tegorocznej edycji brzmi: „Kim jest człowiek”? Ekspertki z różnych dziedzin – artyści, pisarze, naukowcy, dziennikarze i aktywiści będą się zastanawiać, jak możemy odnaleźć się i zdefiniować we wciąż zmieniającej się rzeczywistości. Spotkaniom i dyskusjom towarzyszyć będą koncerty, spektakle, wystawy, zajęcia i warsztaty.

Podczas festiwalu będzie można się spotkać z redaktorem naczelnym **POLITYKI Jerzym Baczyńskim** (24 października o godz. 19.45) oraz z red. **Marianem Turskim** (28 października o godz. 16.45).

Szczegóły na stronie: [www.festiwalnoweoswiecenie.art](http://www.festiwalnoweoswiecenie.art)

## Osiedle Tysiąclecia

W 41. numerze błędnie podpisaliśmy jedną z fotografii ilustrujących rozmowę „Blok ma nowy look”. Zdjęcie przedstawia bowiem nie Osiedle Słoneczne w Szczecinie, ale Osiedle Tysiąclecia w Katowicach. Za pomyłkę przepraszamy.

REDAKCJA



## Fetysze i deformacje

Lektura interesującej rozmowy Jacka Żakowskiego („Zamożni nigdy nie będą większością”, **POLITYKA** 41) nasunęła nam kilka refleksji:

**1** Ostatnia dekada XX w. przyniosła światu obietnicę końca historii, postępującej demokratyzacji i wzrostu ekonomicznego. Dość szybko okazało się, że światowego raju nie ma i zapewne nie będzie. Ukazały się na ten temat setki artykułów naukowych i dziesiątki książek o przyczynach rozczarowania demokracją i odchodzenia od niej do autorytarnego populizmu. Jednego wyjaśnienia nie ma. I być nie może. Bo komplikacja, różnorodność i zmienność świata jest olbrzymia.

**2** Zadziewia więc proste i monokausalne, jednoczynnikowe wyjaśnienie, jakie podaje Catherine Liu. Jej zdaniem to wyłącznie wina egoizmu *professional managerial class* (PMC), jej poczucia wyższości, wynikającego z wykształcenia i czytania nieodpowiednich książek. Takich, w których „nosićielami zła przestali być pazerni bogacze wyzyskujący biedaków, a stali się leniwi biedacy folgujący swoim prymitywnym popędom”. PMC mówią więcej o uprzedzeniach niż nierównościach materialnych. Niewykluczone, że jest to *professional deformation* świata postrzeganego oczami ekonomistki.

**3** Prezydent Obama to dla prof. Liu „wzorzec z Sevres PMC”, który rozpoczął „wojnę kulturową”. Nie tylko podkreśla, że doszedł do swojej pozycji własną ciężką pracą, ale dużo czyta. W dodatku jego ulubioną lekturą jest „Zabić drozda” (Harper Lee), którą umieścił w zestawie lektur szkolnych. Według Catherine Liu „za Obamy czytanie stało się politycznym fetyszem”, kolejnym rodzajem kulturowej przemocy i poczucia wyższości nad prostymi ludźmi, którzy nie czytają. Prezydent „opowiada, że tylko dzięki lekturze można się nauczyć empatii i stać się dobrym człowiekiem”, podkreśla rolę samorozwoju. Doprawdy to wielki grzech. A jednak nie tylko red. Żakowski chciałby mieć takiego prezydenta.

Zbyt proste jest to wyjaśnienie utraty zaufania do demokracji i „samozańczej elity” (nie rozumiemy, dlaczego „samozańczej”; czy nie ma już w USA wolnych wyborów?). Chyba rozmówczyni red. Żakowskiego mało zna społeczny świat, nie widzi tego, co budzi w ludziach groźbę i niepewność; jakby nie czytała wyników badań nad tym, dlaczego ludzie wykształceni lepiej radzą sobie w demokracji i tolerują niepewność i różnorodność świata bardziej niż osoby o niskim poziomie wykształcenia. I chyba nie zna historii naszej ponadklasowej Solidarności. Wiemy, że klasa polityczna u nas szybko się alienowała od społeczeństwa, od wszystkich jej warstw, tworząc w końcu klasę dla siebie. Ale to już – jak napisałby Rudyard Kipling – zupełnie inna historia.

PROF. ADAM D. ROTFELD, UNIwersytet warszawski  
PROF. KRYSZYNA SKARŻYŃSKA, UNIwersytet SWPS

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegły ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

### POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA  
ADRES ul. Słupecka 6  
02-309 Warszawa

#### RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;  
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY [www.polityka.pl](http://www.polityka.pl)

POCZTA ELEKTRONICZNA [polityka@polityka.pl](mailto:polityka@polityka.pl)

#### PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński  
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

#### CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Solska, Mariusz Janicki,  
Wiesław Władyka

#### Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO

Mariusz Janicki (*Pierwszy Zastępca*),  
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03  
Łukasz Lipiński (*wydania cyfrowe*)

#### BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37  
e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (*dyr.*),  
Julian Sobiech (*reklama cyfrowa*)

#### PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi  
ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH  
W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

#### PRENUMERATA PAPIEROWA

[www.sklep.polityka.pl](http://www.sklep.polityka.pl)  
Infolinia: tel. 67 210 86 30,  
e-mail: infolinia@polityka.pl

Monika Grabowska,  
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

e-mail: prenumerata@polityka.pl

#### PRENUMERATA CYFROWA

[www.polityka.pl/cyfrowa](http://www.polityka.pl/cyfrowa)  
Infolinia: tel. 22 336-79-16,  
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA  
BGZ BNP Paribas S.A.  
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763  
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.  
Kontakt: Maciej Domagała,  
tel. 22 451-61-25,  
e-mail: m.domagala@polityka.pl

Druk Quad



PBC

lepa

PRINTED IN POLAND





RELACJE

Nasz lęk przed życiem czasami wygląda zupełnie nie jak lęk. Czasami może przypominać pewność siebie – mówi Marta Niedźwiecka, psycholożka i autorka podcastu „O Zmierzchu”, przed premierą nowej książki.

## Uwaga, nie możemy wszystkiego

**AGATA SZCZERBIAK: – Podtytuł pani książki, która jest zapisem pierwszego sezonu autorskiego podcastu, brzmi: „Jak przestać bać się życia i przeżyć je po swojemu”. Czy nasze obawy przed życiem zawsze wyglądają jak obawy przed życiem?**

MARTA NIEDŹWIECKA: – Czasem nie widać po nas, że coś nas dreczy, ale przeżywamy przymus kupienia sobie nowego samochodu albo zrobienia czegoś ze swoim ciałem czy też trudność w nawiązaniu satysfakcjonującej relacji partnerskiej. Ponieważ w Polsce panuje dość mechanistyczne podejście do ludzkiej psychiki, zakładamy, że odpowiedzią na trudności jest wzięcie leków, będące odpowiednikiem naprawy. Albo gdy klócimy się z osobą partnerską, wystarczy u coacha lub terapeuty par uzgodnić protokół komunikacyjny i po sprawie. Kłopoty miną. Skupiamy się na symptomach, jakby



**Marta Niedźwiecka**

– psycholożka, sex coach, twórczyni podcastów, w tym autorskiego „O Zmierzchu”, „Spokojnie, to tylko życie” oraz cykli „Szósty Zmysł” i „Piąty Element”.

były całością problemu, bez wnikania w istotę zjawiska. Propozycja intelektualna, którą od pięciu sezonów podcastu „O Zmierzchu” staram się propagować, ma zupełnie inne założenia. Mieści się w niej zrozumienie, że funkcjonujemy w bardzo subtelnym splocie indywidualnych predyspozycji i wzorców kultury, że działa na nas to, co dzieje się na świecie. W tym układzie mamy wiele powodów do obaw, a nasze obawy nie muszą wyglądać jak lęki. Możemy na przykład czuć przymus pracy ponad siły, bo sądzimy, że tak trzeba. Albo przybieramy maskę pewności siebie, która ma coś przykrywać.

**Dużo miejsca poświęca pani wspomnianym zewnętrzny kontekstom naszego życia psychicznego. I pani teoria jest taka, że większość z nas mierzy się dziś z kryzysem psychicznym.**

Moja refleksja na temat tego, jak wygląda rzeczywistość psychiczna Polaków, jest raczej ponura. Natomiast staram się niuansować zarówno skalę problemów, jak i ich dokuczliwość. Podcast nie zastępuje diagnozy psychoterapeutycznej, ale może skłonić odbiorców do innego sposobu myślenia i krytycznej analizy rzeczywistości. Jego przejawem jest niepoddawanie się narracjom o stawianiu się „codziennie lepszą wersją siebie” lub przekonaniu, że „sky is the limit”. Mamy swoje limity, deficyty, trudne historie, ale też zasoby, a dorosłość polega na rozsądnym bilansowaniu obydwu.

**Dużo czasu na myślenie o swojej nowej roli, pozycji i o tym, kim powinny być, przeznaczają dziś kobiety. Pani ma teorię, że część z nich w poszukiwaniu tożsamości udała się zbyt daleko w rejony, które są toksyczną męskością.**

Unikam określenia „toksyczna męskosc”, bo ono nie nie wyjaśnia, odnoszę się do internalizowania przez kobiety zasad patriarchy. Kobiety, socjalizowane w świecie, który docenia głównie wartości związane stereotypowo z męskością, czyli dominację, ekspansję, osiąganie, zaczynają się orientować na jakości pozwalające im przetrwać. W perspektywie ich życia to nie rozwiązuje żadnego problemu, a dodatkowo umacnia system, który jest szkodliwy dla wszystkich.

Moje myślenie o patriarchy jest refleksją zarówno kulturową, jak i psychologiczną. Patriarchat rozumiany jako system oparty na władzy organizuje życie społeczne, polityczne, dostarcza symboli, identyfikacji narodowych, ale także determinuje życie wewnętrzne jednostek. Polskie społeczeństwo jest bardzo silnie przesiąknięte patriarchy, nie docenia współpracy czy wspólnotowości.

**À propos polskich przywar, wspomina pani, że narodową dysfunkcją seksualną Polaków jest odmawianie seksu.**

W odcinku „Kto komu seksu odmawia i dlaczego” mówię o tym, że właściwością wielu polskich związków jest specyficzny stosunek do kobiet – odmawianie im podmiotowości. Kobiety w odpowiedzi na brak szacunku, uznania, prawa do autonomii, wykorzystują m.in. wycofanie się z seksu. Jest to swoista linia obrony i detale tej dynamiki objaśniam dość dokładnie. Jednocześnie chciałabym powiedzieć, że słuchanie czy czytanie „O Zmierzchu” bez zdolności objęcia ironii i bez poczucia humoru może okazać się zbyt trudne.

Cała rozmowa dostępna na Polityka.pl.

# Chłopy zamiast emotek

WIRAL

Polacy są narodem ponuraków, więc mają jedno słowo na uśmiech, tymczasem w angielskim istnieją rozmaite określenia. Jednym z nich jest „smirk”, jak tłumaczy to słownik oxfordzki: „głupawy i nieprzyjemny uśmiech, który pokazuje, że osoba jest z siebie zadowolona, wie coś, czego inni ludzie nie wiedzą”. Taki nieco złośliwy uśmieszek, który nie drażni u postaci z anime, wręcz podkreślając jej charakter, ale gdy widzimy go u jakiegoś faceta, wydaje się strasznie irytujący, chciałoby mu się zmyć ten uśmieszek z twarzy.

I właśnie taki wyraz twarzy ma aktor **Kevin James** na zdjęciu promocyjnym z serialu „Diabli nadali” („The King of Queens”, emisja 1998–2007). Irytuje zresztą całą mową ciała – opiera się o kuchenny blat, trzyma ręce w kieszeniach, jest lekko zgarbiony, misiwate ciało kryje pod koszulą w kratę. To jeden z ostatnich telewizyjnych „working class hero” – bohaterów z klasy pracującej, którzy mieli piękne żony i domki na przedmieściach. Może to jest przyczyna jego samozadowolenia – ziszczony amerykański sen, o którym dzisiejsi mileniści nie śmią nawet marzyć. Dziś ten rodzaj humoru prezentowanego przez serial – konflikt małżeński w stylu „facetów z Marsa, kobiet z Wenus” – odszedł do lamusa.

I taki właśnie mem z odzysku krąży po sieci, pełniąc tę samą funkcję co „smutna żaba Pepe” czy inne rysunkowe twarze pełne różnych emocji. Służą do ilustrowania wpisów, podkreślając nastrój osoby piszącej, a w czasie kłótni w internecie wyklada się je niczym karty w grze Pokemon; oto wybieramy sitcomowego cwaniaka z Queens, żeby zdenewrować adwersarza.

Być może to początek większego zjawiska. W ślady fotki Kevina Jamesa poszły zdjęcia z sesji Erika Stonestreeta w roli Camerona Tuckera, męża (i ojca) z homoseksualnego



małżeństwa w serialu „Nowoczesna rodzina”. Na memie Tucker przyjmuje pozę chłopca, który coś zmalował (może wyjadł cukier z cukiernicy, jak w znanej piosence dla dzieci?). Doskonała ilustracja dla każdego, kto się chce pochwalić, że coś spocił lub zmalował.

A jak uśmiechają się Polacy? Memiczny stał się głupkowaty rechot Waldusia Kiepskiego, a także wąsaty uśmiech ojca z ekranizacji pasty Malcoma XD „Fanałyk”. Rozparty w fotelu wędkarz na wieść o śmierci rywala mruczy zadowolony: „I bardzo k...a dobrze”.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

# Gra w patoszachy

SŁOWO

Skoro jest już patointeligencja, to także królewska gra musiała się doczekać patologicznej wersji. Fenomen „patoszachów” wiąże się z pewnością z rosnącą popularnością szachów jako takich. W 2020 r. nawet całą eksplozją tejsze, wywołaną przez serial „Gambit królowej” i jeszcze pandemiczną rywalizację popularnych streamerów, którzy zamiast transmitować rozgrywki „League of Legends”, zaczęli grać ze sobą w szachy, nawet pomimo niewielkich umiejętności. Jak Witold „H2P Guccio” Tacikiewicz i Paweł „Delord” Szabla, których mecz na Twitchu pełen był nieszablonych zagrań, stąd komentarze w stylu „Co tam się wydarzyło XD Patoszachy w wykonaniu Gucia i Delorda to najlepszy event w tym roku”. Pojawiło się też określenie „gambit Tacikiewicza” – od wyjątkowej pomyłki w ostatniej chwili przypadkowo oddającej partię. Trzeba też zaznaczyć, że język, którym komentowane są szachowe pojedynki na Twitchu, daleki jest od salonowego.

Patologiczne modyfikacje szachów nie są nowym pomysłem – od lat da się kupić tę starą grę w wersji specjalnej



– z kieliszkami zamiast figur. Te kieliszki można na własną odpowiedzialność wypełniać alkoholem i opróżniać w miarę wpływu rozgrywki. Efekt uboczny to swoiste wyrównywanie szans. Bicie łączy się z piciem, więc wygrywający pije więcej,

a strategia się sypie. Odświeżył ten temat serwis Miejski.pl, podając taką oto (zaaprobowaną przez czytelników) najnowszą definicję patoszachów: „Miejsce z kamiennym stołem z szachownicą, które w praktyce służy do chłania”. Rzeczywiście, stół z szachownicą jest stałym elementem wystroju miejskich skwerków, stoi często obok elementów siłowni pod gołym niebem, które w praktyce faktycznie zamieniają się często w miejsca spotkań towarzyskich. W tej odmianie patoszachów w ogóle nie potrzeba figur, za to przebieg akcji bywa wyjątkowo hałaśliwy. Są też modyfikacje natury czysto językowej: zamiast o „utrzymaniu piona”, mówi się o „utrzymaniu pionu”, a określenie „pat” zastępuje „padł”.

BARTEK CHACIŃSKI



TREND

Gdy tylko temperatura robi się jesienna, do kawiarni triumfalnie wprowadzają się kawy typu Pumpkin Spice Latte. Ten przesłodzony specjał obchodzi w tym roku 20. urodziny.

## O dyni i kozie

**U**waga! Niniejszy artykuł nie dotyczy kawy, a jedynie smakowych, często mlecznych napojów tworzonych na bazie espresso. Pumpkin Spice Latte, często nazywane po prostu PSL, to obecnie najpopularniejsza kawo-nie-kawa wylansowana przez sieć Starbucks z siedzibą w Seattle. Kawiarnia przez swoją stronę internetową ogłasza wręcz „powrót królowej na salony”, mając na myśli właśnie PSL oraz jej wegańskich (z „mlekiem” roślinnym) i czarnych (czyli w wersji cold brew) kuzynów.

Skromna dynia, w bajce zmieniona w karocę dla Kopciuszka, przeżyła niezły awans. Inspirowany, jak by powiedział spec od marketingu, tym warzywem napój składa się z espresso, mleka, syropu o smaku dyniowego ciasta – koniecznie naszpikowanego cynamonem, imbirem i innymi przyprawami, które są dalekimi



### Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

krewnymi naszej „mieszanki do piernika” – bitej śmietany i smakowej posypki. Kalorii ma tyle, co duży kawałek ciasta, swoje też kosztuje, ale w tym przypadku stosuje się zasadę obowiązującą w wakacje – wydane pieniądze i pochłonięte kalorie dzieli się na pół.

Tu warto nadmienić, że w przypadku zamówienia tego napoju oraz większości dużych białych kaw, podsluchujący nas Włosi złapałoby się za głowę i zastanowili, dlaczego zamawiamy mleko (czyli po włosku „latte”) zamiast kawy. Z kolei złośliwi komentatorzy kawiarnianego życia nie zostawiają suchej nitki na tych smakowych napojach, uważając je za infantylne. Dostaje się nie tylko PSL, ale też Chai Latte, czyli białej kawie z przyprawami typu kardamon, imbir i anyż, przywiezionej z Indii do zachodnich kawiarni w czasach kontrkultury i równie popularnej od jesieni do przedwiosna. Jak zwraca uwagę cytowany przez „The Guardian” dziennikarz specjalizujący się w kulinariach Tim Hayward: „Sam skład takiej kawy jest infantylny, generalnie zamawiasz kawę składającą się przede wszystkim z ciepłego mleka”. Trudno po takim dictum nie pomyśleć, że przykrywkę papierowych kubków sprawiają, że takie napoje bardziej się sse, niż pije – niczym osesek przyczepiony do butelki-niekapki.

Tak czy inaczej PSL, wprowadzone przez sieć Starbucks 20 lat temu, okazało się wielkim hitem. Jak wspomina Peter Dukes, który wymyślił napitek, w tamtych latach dynia nie była aż tak popularnym smakiem czy zapachem. „Jedyne, co można było znaleźć w spożywczości, to puszcza z dyniowym puree służącym do przygotowania ciasta” – mówi na łamach Foodnetwork.ca. A kawiarnia chciała przebić własny wcześniejszy hit, jakim była Peppermint Mocha. „Zalaliśmy placek dyniowy espresso, zjedliśmy po kawałku i powiedzieliśmy sobie, że to naprawdę dobrze smakuje” – kontynuuje Dukes. Resztę zaś zrobiły rozwijające się media społecznościowe. PSL stało się obiektem podlanego aromatycznym sosem i cukrem kultu. Dość powiedzieć, że wywiad z Duksem jest ilustrowany zdjęciem, na którym kubek z tym napojem ma założone małe okulary i oparty o drzewo czyta książkę, niczym student jednej z uczelni należącej do tzw. Ligi Bluszczowej.

**O**d tamtego czasu dyniowo-korzenny napój rozplenił się w innych sieciowych i niesieciowych kawiarniach i zyskał grono dziwnych kuzynów, czyli „kaw” o smaku szarlotki, orzechów zatopionych w cukrze, syropu klonowego i tak dalej. Popularność PSL oraz innych wynalazków na bazie espresso wyśmiał film „Zoolander”, którego główny bohater, model, zwykle zamawia Orange Mocha Frappuccino, czyli kubek z czekoladowo-pomarańczowo-mrożono-mleczną zawartością.

Jesienne „kawowe” menu brzmi, jakby było częścią popkulturowej bajki, ale nic w tym dziwnego, skoro odkrycie samej kawy brzmi jak bajka właśnie. Dawno, dawno temu (czyli ok. 850 r.) etiopski pasterz Kaldi zauważył, że jego kozy tańczą na tylnych nogach po zjedzeniu kolorowych jagód. On sam po ich spróbowaniu czuł dziwną euforię. Gdy Kaldi przyniósł owoce do wioski, uznano je za piekielny wynalazek i wrzucono do ognia. Wkrótce nad paleniskiem i całą wioską zaczął się unosić niesamowicie pociągający aromat... ■



## Utopia Morrisa

Brytyjski projektant chciał stworzyć lepszy świat. Masowy rynek tanich produktów wyewoluował w formę, o której mu się zapewne nie śniło.

**K**ilka lat temu w sklepach marki H&M specjalizującej się w fast fashion pojawiła się kolekcja ubrań w **kwiatowe wzory projektu Williama Morrisa**, angielskiego malarza, rysownika, jednego z najbardziej znanych projektantów XIX w. W ramach linii H&M Home można kupić ściereczki, obrusy i inne domowe tekstylia zdobione jego deseniami. Gęste, pełne wysmakowanych motywów kwiatów, owoców, liści i ptaków wzory, kojarzące się z czymś starodawnym i przytulnym, były niegdyś rewolucyjne. Kiedy każdy angielski projektant tapet, obić i zasłon wymalowywał piękne naturalistyczne róże, przedstawiał bukiety i rabaty jak żywe, William Morris postanowił wszystko uprościć. Plamy stały się płaskie, podziały geometryczne, wszystko miało współgrać z architekturą, a nie z nią konkurować.

Firmę Morris&Co. brytyjski artysta założył wspólnie z przyjaciółmi oraz z rodziną i zaczął wcielać w życie utopię: dobre, nowoczesne, oparte na rzemiośle wzornictwo dla wszystkich. Jednak, jak to bywa z utopiami, nie wszystko szło jak po maśle. Piękne przedmioty, kafele, tapety i inne elementy wyposażenia wnętrz, produkowane z dbałością o detal w warsztatach Morrisa, okazały się tak drogie, że stać na nie było tylko najzamożniejszych. Podobno przy zamówieniach od członków najbardziej ostentacyjnych w swym bogactwie elit, sfrustrowany Morris odwracał wzrok i całość zlecał do wykonania swoim pracownikom. W końcu rachunki trzeba było zapłacić, więc nie można było odrzucić intratnego zlecenia.

Skąd u projektanta pięknych deseni taka niechęć do najbogatszych? William Morris pochodził z zamożnej klasy średniej, studiował w Oxfordzie, jednocześnie

zarażony rodzącymi się wówczas ideami socjalistycznymi, z przeobrażeniem obserwował społeczne skutki rozkręcającej się na jego oczach rewolucji przemysłowej. Kiedy jego starsi koledzy rozpaczali nad tym, że produkcja masowa doprowadziła do zalewu rynku tandetnymi towarami i upadku publicznego gustu, Morris – dzieląc ich poglądy – przyjrzał się sposobowi pracy w fabryce. To, co zamieniło uprzemysłowienie w rewolucję, powodując olbrzymi rozwój masowej produkcji, opierało się na nowych pomysłach organizacyjnych. To był

tak zwany nowoczesny podział pracy, w ramach którego każdy robotnik lub robotnica byli odpowiedzialni za wykonywanie tylko jednego, powtarzanego w kółko zadania. W fabryce już nikt nie tworzył krzesła od początku do końca. Cały proces był pokawałkowany: ktoś przygotowywał drewno, ktoś inny robił śrubki, kołki, toczył szczebelki, wypychał tapicerkę, lakierował i tak dalej. A to wszystko za gło-

downą pensję, przez wiele godzin, od najmłodszych lat dziecięcych, z ciągłą perspektywą utraty pracy i – w konsekwencji – głodu.

Morris uznał, że taka praca nie tylko prowadzi do produkcji brzydkich rzeczy, lecz przede wszystkim krzywdzi człowieka i alienuje go od obiektu jego pracy. Alternatywą miał być powrót do rzemiosła, które wytwórcy zapewniało sprawczość, satysfakcję, rozwijający kontakt z materią, a odbiorcy – piękny, zrobiony z sercem przedmiot. W utopii Morrisa takie solidne, estetyczne i etycznie produkowane przedmioty miały trafić do każdego, także do robotnika. Jak już wiemy, nie udało się tego zrealizować. Sfrustrowany Morris pod koniec życia zradykalizował się politycznie, coraz więcej czasu zaczął poświęcać aktywizmowi. W 1884 r. założył Ligę Socjalistyczną, brał udział w demonstracjach, projektował – piękne i wysmakowane, a jakże! – transparenty i broszury. Projektowanie lepszego świata przeniósł do literatury, pisząc i publikując powieści.

**M**orrisowi nie udało się zaprowadzić rewolucji. Masowy rynek tanich produktów wyewoluował w formę, o której mu się zapewne nie śniło. Co by pomyślał, gdyby dowiedział się, że jego wzory, owszem, trafiły pod strzechy, ale sposób ich produkcji przypomina najgorsze praktyki z wiktoriańskiej Anglii, tyle że przeniesione daleko, poza nasz wzrok, do biedniejszych krajów? Czy może jakimś pocieszeniem byłby fakt, że już nie tylko najbogatsi mogą obcować z jego pięknymi wzorami? ■

D I Z A J N



**Agata Szydłowska**

– historyczka dizajnu, kuratorka, wykładowczyni, autorka książek i artykułów o projektowaniu w kontekstach ludzkich (społeczeństwo, polityka) i nie ludzkich (środowisko, planeta).



## Pies, który jeździł tramwajem

Meczety, kawiarnie, parki, ruiny antycznych miast, a nawet stambulskie metro – w Turcji co krok natykamy się na psy i koty. Bezpańskie zwierzęta nie tylko są powszechnie dokarmiane, ale bywają też celebrytami.

**Z**eus skradł nam show – śmieje się ktoś z ekipy archeologów w ruinach Aizanoi w zachodniej Anatolii. Ogromny czarny pies leży na grzbiecie i przeciąga się leniwie. Za nim wyrasta potężna bryła rzymskiej świątyni Zeusa – Jupitera, której pies zawdzięcza swoje imię, nadane przez badaczy. Gdy ruszam w stronę oddalonego o kilometr starożytnego teatru, Zeus wstaje, i merdając ogonem, idzie za mną. Poza nim po terenie wykopalisk kręci się jeszcze spora przyjazna suczka i cała zgraja szczeniaków.

Aizanoi to nie jedyne starożytne ruiny w Turcji, gdzie gospodarzami zdają się być zwierzęta. W znacznie bardziej popularnym wśród turystów Efezie spotykamy można m.in. Garfielda wylegującego się na jednej z zabytkowych kolumn. To kot celebryta, ma swój profil na Instagramie. Innego kota ze sporymi zasięgami można zobaczyć w stambulskiej Hagii Sophii. Przechadza się po dywanach, którymi wyłożona jest podłoga meczetu, chętnie daje się głaskać i fotografować, ale prychnie, gdy ktoś za bardzo chce się z nim spoufalić. Przed świątynią królują zaś psy – równie duże jak Zeus, ale niektóre tak grube, że ledwie mogą się ruszać. Z nimi także turyści robią sobie zdjęcia. Czasem, przekraczając granice zdrowego rozsądku, kładą się obok i opierają głowy na spasionych brzuchach. Na szczęście dla nich psy są mniej asertywne od świątynnego kota.

Bezdomne psy i koty doskonale wpisują się w turecki krajobraz. Są wszędzie, także w tramwajach i autobusach. Najsłynniejszy psi podróżnik, Boji, mieszkał w Stambule i korzystał ze środków transportu miejskiego, włącznie z promami. Dzięki czipowi jego wędrówki były śledzone przez władze miasta. Okazało się, że przemierzał ok. 30 km dziennie, wielokrotnie

się przesiadając. O psie, który podobno wiedział, dokąd zmierzał – jak twierdzili pracownicy metra – rozpisywała się nie tylko prasa turecka, ale także BBC, CNN czy „Washington Post”. Na Instagramie śledziło go ponad 100 tys. osób, a drugie tyle na Twitterze. Ostatecznie pies został adoptowany przez tureckiego biznesmena Ömera Koça. Mogłoby się wydawać, że to happy end, część Turków jednak zastanawia się, czy zamknięty na posesji Boji aby na pewno jest szczęśliwy.

Jak to możliwe, że Boji przez wiele miesięcy mógł swobodnie przemieszczać się po Stambule, a wraz z nim setki tysięcy (według niektórych statystyk miliony) innych psów i kotów włóczących się po tureckich miastach? Wynika to z polityki. W 2004 r. wprowadzono prawo nazywane „no kill, no capture”, zgodnie z którym bezdomne psy i koty są sterylizowane, szczepione i wypuszczane z klipsem lub innym oznakowaniem z powrotem na ulicę. Przykład niewykastrowanego Zeusa i gromady szceniąt w Aizanoi pokazuje, że polityka ta nie zawsze jest realizowana, ale w Stambule u wielu psów faktycznie można dostrzec oznakowanie.



**Julia Zabrodzka**  
– fotografka i autorka tekstów o miejskich, smakach i ludziach. Od dwóch lat jako wolontariuszka wyprowadza psy w warszawskim schronisku Na Paluchu.

**P**rawo to jednak tylko jedna strona medalu. Drugą jest podejście Turków do bezdomnych zwierząt. W badaniach przeprowadzonych w 2022 r. przez tureckie ministerstwo spraw wewnętrznych ponad 80 proc. ankietowanych zadeklarowało, że kocha bezdomne zwierzęta, a 45 proc. stwierdziło, że nie powinno się ich zamykać w schroniskach. Choć średnio co trzeci badany uważa, że mogą stanowić zagrożenie, do zdecydowanej niechęci przyznało się jedynie 9,2 proc.

Uliczne włóczęgi mogą liczyć na dokarmianie, regularne głaski, a nawet schronienie w czasie niepogody. Choć co jakiś czas ktoś próbuje rozprawić się z kwestią bezdomności wśród zwierząt w sposób bardziej brutalny, ale te działania nie znajdują zwykle szerszego poparcia w społeczeństwie. A połączenie dziurawego systemu sterylizacji z sympatią względem czworonogów pozwala przypuszczać, że bezdomne psy i koty jeszcze długo będą stanowić element tureckiego krajobrazu i atrakcję turystyczną. ■

# Jesienna zupa mocy



Im więcej warzyw w zupie, tym lepiej. Nie może też zabraknąć pożądanego umami, piątego smaku, który wyniesie nasz złocisty rosół na zupełnie inny poziom.

**J**esiień jest przewrotna. Serwuje nam ciepłe dni i zimne wieczory. Skrupulatnie za naszymi plecami skraca słoneczne godziny. Dzień staje się krótszy, bury, ciemny. To czas, kiedy wyjątkowo warto dbać o swoją odporność, a nic tak nie poprawia humoru i nie rozgrzewa jak miska dobrej zupy. Bogatej w smak i stawiającej na nogi.

Warzywna zupa bulionowa to taki wegański rosół. Do jej przygotowania niepotrzebne są wymyślne składniki. W zupie mocy nie ma zasady. Może poza jedną: im bardziej różnorodnie, im więcej warzyw, tym lepiej. Potrzebujemy też kilku składników, które wzbogacą smak zupy i dodadzą tego pożądanego *umami*, czyli piątego smaku, zaraz obok gorzkiego, słodkiego, słonego i kwaśnego. Jest delikatny, przez co trudny do jednoznacznego opisanego. Te składniki to sos sojowy, grzybki i suszone pomidory. Z kolei dodatek świeżego pomidora oraz jabłka sprawi, że zupa będzie bardziej klarowna, mniej mętna. Dodatkowo pomidor i kwaskowate jabłko przyjemnie wkomponują się w słodkawy smak zupy.

Co do przypraw, stawiam na indywidualne preferencje. Podstawą są liście laurowe, ziele angielskie i czosnek. Można dodać suszony grzybek dla leśnego aromatu. Imbir jest ważny, bo to on rozgrzewa. Jeśli mamy ochotę na całkowicie orientalny i mocny smak, dodajmy laskę cynamonu i koniecznie gwiazdkę anyżu!

**U**przedzając pytania, co zrobić z warzywami po bulionie, odpowiem od razu, że można je zblendować na pastę lub przerobić na pasztet.

Zupę mocy można dodatkowo wzbogacić w białko w postaci tofu, ale to ten mocny warzywny wywar jest tutaj dodającą mocy gwiazdą. Zupę należy gotować w niskiej temperaturze. Niech nie bulgocze mocno. Najlepiej sprawdzi się wolnowar, czyli takie urządzenie, które gotuje potrawy w mniejszej temperaturze (40–60 st. C), za to przez długi czas.

KUCHNIA



## Alicja Rokicka

– autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

### Składniki:

2 łyżki oliwy	4 cm kawałek imbiru
1 cebula	4 liście laurowe
½ średniego selera	4 ziarna ziela angielskiego
2 łodygi selera naciowego	4 ziarna jałowca
3 pietruszki	3 plasterki suszonego pomidora
2 marchewki	gwiazdka anyżu (nieobowiązkowo)
kawałek kopru włoskiego	laska cynamonu (nieobowiązkowo)
1/5 białej kapusty	4 łyżki stołowe sosu sojowego
mały por (cały)	4 litry wody
1–2 kwaśne jabłka	sól, pieprz
pomidor	natka pietruszki.
inne warzywa, np. kilka gniazdek kalafiora	
1 główka czosnku	

### Sposób przygotowania:

- Cebulę pokrój na pół. Nie obieraj jej; żółta skórka nada zupie bursztynowej barwy. Można wcześniej przypalić ją na palniku lub w piekarniku. Marchewkę, pietruszkę i seler obierz i pokrój na duże kawałki. Użyj całego pora. Przetnij go na pół. Zielone końcówki rozdziel i umyj, by pozbyć się ewentualnej ziemi. Jeśli masz czas i chcesz, by zupa była naprawdę wyjątkowa, przenieś warzywa na blachę do pieczenia i upiecz je w 220 st. przez 20 min.
- Do dużego garnka lub wolnowaru wlej oliwę. Umieść wszystkie warzywa oraz grzyby. Dodaj pokrojony po długości kawałek imbiru, liście laurowe, jałowiec, ziele angielskie. Główkę czosnku natnij na wysokości. Dodaj suszone pomidory, świeży pomidor i nieobrane jabłko przekrojone na pół. W tym momencie dodaj też ewentualnie cynamon i anyż. Całość zalej wodą, tak by lekko zakrywała wszystkie składniki. Dodaj sos sojowy. Przykryj i postaw na małym ogniu na 6–7 godzin. Niech zupa gotuje się wolno, spokojnie i nie bulgocze. Jeśli używasz wolnowaru, ustaw wyższą temperaturę i czas 12 godzin. Najlepiej zostaw ją na noc.
- Następnie warzywa dobrze odcedź, przenieś na duże sito i pozostaw nad miską do ocieknięcia. Zawartość miski wlej do zupy. Zupę można przelać dodatkowo przez drobne sitko. Dopraw solą i pieprzem do smaku.
- Podawaj z makaronem ramen lub takim ze strączków. Możesz przystroić ją świeżymi dodatkami i tofu. Koniecznie jedz bardzo ciepłą, posypaną natką pietruszki.

**W** „Przeglądzie” Wojciech Kuczok jakby przewidział słowa prezesa: „Mam wrażenie, że w najbliższą niedzielę bez względu na ostateczny rezultat kaczyzm nie tylko w Polsce się nie skończy, ale wręcz wkroczy w fazę morderczego wzmocnienia. Nie przypominam sobie bowiem, by Jarosław Kaczyński kiedykolwiek uznał niepomysłny dla siebie wynik wyborów bez sugestii, że zostały one sfalszowane. Niegdyś były to raptem pohukiwania przegrywa, teraz ten człowiek ma w ręku cały aparat władzy i dziesiątki sprytnych kanałii na wypadek konieczności »reasumpcji totalnej«. A prezydent raczej nie pospieszy się z desygnowaniem premiera.

**J**erzy Surdykowski zadaje w „Rzeczpospolitej” pytania, które powinny spędzać sen z powiek każdemu polskiemu rządowi: „Czemu wciąż rozmiłujemy się ze współczesnością? Czemu suwerenność i niepodległość rozumiemy głównie jako pokrzykiwanie o nich i jarmarczne obwieszanie się narodowymi symbolami? Dlaczego nie potrafimy pojąć, że patriotyzm w niepodległym państwie to nade wszystko wypełnianie niełatwych powinności obywatelskich? (...) No i skąd wreszcie ten zaprzęży klerikalizm z Chrystusem Królem na czele państwa zamiast chrześcijańskiej refleksji nad człowiekiem i jego ojczyzną, do której daremnie wzywał nas polski papież?”. Może to takie pytania skłoniły najmłodszych wyborców, by stać w wielogodzinnych kolejkach do urn...

**W** „Plusie Minusie” Katarzyna wytyka krytykom „Zielonej granicy”, zarzucającym Agnieszce Holland „szkalowanie polskiego munduru”: „Jeśli Rachoń z Cenciewiczem [w serialu „Reset” pokazywanym w TVP] odkryli zdradę, to zdrajcami są ubrani w polski mundur autorzy takiej koncepcji obrony Polski, a nie premier w cywilu. Jeśli politycy nie rozumieją, jak bezpowrotnie niszcza wizerunek polskiego żołnierza taką propagandą na użytek jednej kampanii wyborczej, to już niczego nie rozumieją. I tylko Polski szkoda...”. Jest gorzej, oni to świetnie rozumieją, ale szkoda im władzy, a nie Polski.

## K O Z A



© JAN KOZA

Pamiętajcie o tym, że przed nami jeszcze dni walki, dni różnego rodzaju napięć

– Jarosław Kaczyński  
po ogłoszeniu sondażowych wyników wyborów. Ostrzega, zachęca czy zapowiada?

**T**ropiciel paradoksów Michał Ogórek zauważa w „Angorze”: „W kampanii wyborczej partii umieścili w internecie ogłuszającą ilość materiałów propagandowych; nieporównanie najwięcej PiS. Za ich emitowanie zapłacił amerykańskim właścicielom stron internetowych (głównie Google’owi) gigantyczne pieniądze. Okazuje się, że wybieranie suwerennej władzy następuje w wyniku opłacenia się obcym gigantom”. Suwerenni inaczej.

**P**rzerażającą wizję roztoczył prof. Witold Orłowski w „Newsweeku”: „Z Unii możemy wyjść w jeden dzień. (...) Panuje złudne przekonanie, że rządzący muszą zorganizować w tej sprawie referendum (...). Tymczasem nasze członkostwo w Unii, w sensie prawnym, jest zwykłą umową międzynarodową, którą podpisuje prezydent na wniosek decyzji Sejmu podjętej zwykłą większością głosów. Może się więc zdarzyć, że ktoś ważny obudzi się rano i pomyśli, że ma dość bycia w Unii, i wyśle do Sejmu wniosek o rozwiązanie umowy międzynarodowej. Posłowie się zbiorą, podyskutują i do godz. 12 przegłosują wniosek. Po południu trafi on na biurko prezydenta. I jeśli ten wniosek podpisze, to ambasador Polski w Brukseli przed końcem dnia będzie mógł zawiadomić formalnie Unię, że Polska bierze z nią rozwód”. Na razie rozwodu nie będzie.

**Z**aprawdę wzruszające wyznanie rysownika Cezarego Krysztopa (wicenaczelnego „Tygodnika Solidarność”): „[kampania] dla każdego dziennikarza jest czasem wyjątkowej pracy graniczącej z obłędem. Do tego dochodzi potężny wzrost społecznych emocji, niestety w dużym stopniu negatywnych. Oczywiście dziennikarz powinien być na nie, i najczęściej jest, odporny, ale przecież też jest człowiekiem i muszę przyznać, że przynajmniej ja osobiście czuję się w jakimś sensie brudny, a swoją pracę w tym okresie porównuję na własny użytek do pracy szambonurka”. I pisze to dziennikarz (?), który od lat specjalizuje się w rysowaniu karykatur zohydzających Donalda Tuska i całą opozycję. Współczujemy, ten zapach trudno zmyć.

**W**ojciech Cejrowski zastanawia się w „Do Rzeczy”, czy „rządzą nami durnie?”. I proponuje test: „Czy wziąłbyś [ministra] Błaszczaka jako pełnomocnika do negocjacji twojego osobistego kredytu w banku? (...) Czy poszedłbyś po poradę w dowolnej sprawie do pani Witek, która jest marszałkiem Sejmu? (...) Czy nasz marszałek w jakiegokolwiek dowolnej sprawie nadaje się na twojego doradcę, pełnomocnika, zastępcę, reprezentanta? Powierzyłbyś jej do wykonania cokolwiek?”. Fakt, raczej nie. Ale i autorowi felietonu też nie.

**F**ilozofka Katarzyna Kasia w „Newsweeku” odnosi się do metafory żaby: „Ciągłe powtarzamy historię o [powsoli] gotującej się żabie. Tylko nikt nie pamięta, że niemieckiemu naukowcowi Friedrichowi Leopoldowi Goltzowi, który te żaby próbował gotować, wszystkie wyskakiwały z garnka, z wyjątkiem jednej, której wcześniej usunął mózg”. Wciąż mamy sporą populację takich żab.

# CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

## Klinika ortopedyczna

### Szpital

operacje ortopedyczne ✦

## Poradnia Medycyny Sportowej

dla dzieci, młodzieży i dorosłych:

Badania wstępne, okresowe i kontrolne ✦

Orzeczenia sportowo-lekarskie ✦

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych ✦

## Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / neurolizy współczulne ✦

blokady / neurolizy nerwów obwodowych ✦

termolezja ✦

## Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne ✦

## Dietetyka

Dietetyka kliniczna ✦

Dietetyka sportowa ✦

Porady dla dzieci i dorosłych ✦

## Rehabilitacja

✦ Rehabilitacja ortopedyczna:

✦ stawów rzepkowo-udowych

✦ stawów barkowych

✦ kręgosłupa

✦ stawów kolanowych

✦ kontuzji sportowych

✦ po zwichnięciach stawów

✦ urazów mięśni

✦ więzadeł

✦ po złamaniach

✦ Fizykoterapia

✦ Masaż leczniczy

✦ Diagnostyka funkcjonalna

✦ Rehabilitacja w uroginekologii

✦ Terapia przeciwobrzękowa

## Rezonans Magnetyczny 3T

✦ Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców  
w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

## Tomografia Komputerowa

✦ Pełny zakres badań

## Diagnostyka

✦ RTG, USG, EEG, EMG

**CMS i Wracasz do gry!**

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych.  
CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

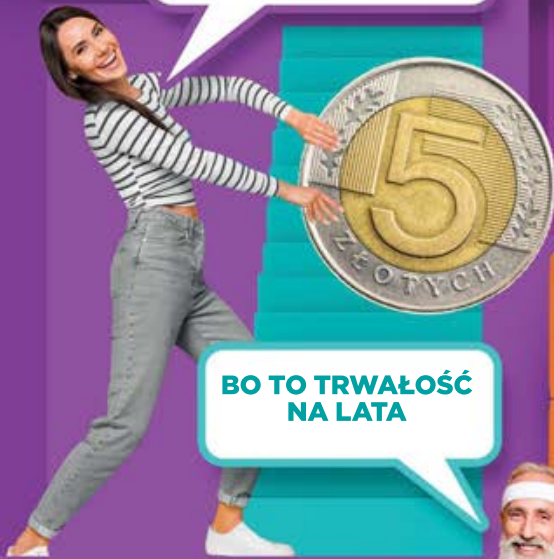
CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

# RÓŻNE POTRZEBY JEDEN STYROPIAN

BO OSZCZĘDZAM  
PIENIĄDZE I ENERGIE



BO TO TRWAŁOŚĆ  
NA LATA



BO JEST  
RECYKLOWANY



BO JEST  
BEZPIECZNY



**STYROPIAN TO SAME KORZYŚCI!**

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ NA  
[POZNAJSTYROPIAN.PL](http://POZNAJSTYROPIAN.PL)

